



**TEMATY
NA WYBORY**

Przewodnik **wyborcy** | 8 lat z **PiS** | Prof. Sadura o **sondażach**
Ostatnie dni **kampanii** | **Izrael** a sprawa polska | Awarie na **Orlenie**

POLITYKA.PL

POLITYKA

TYGODNIK, nr 42 (3435), 11.10–17.10.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

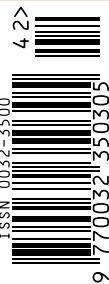
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Polacy chcą zmiany władzy

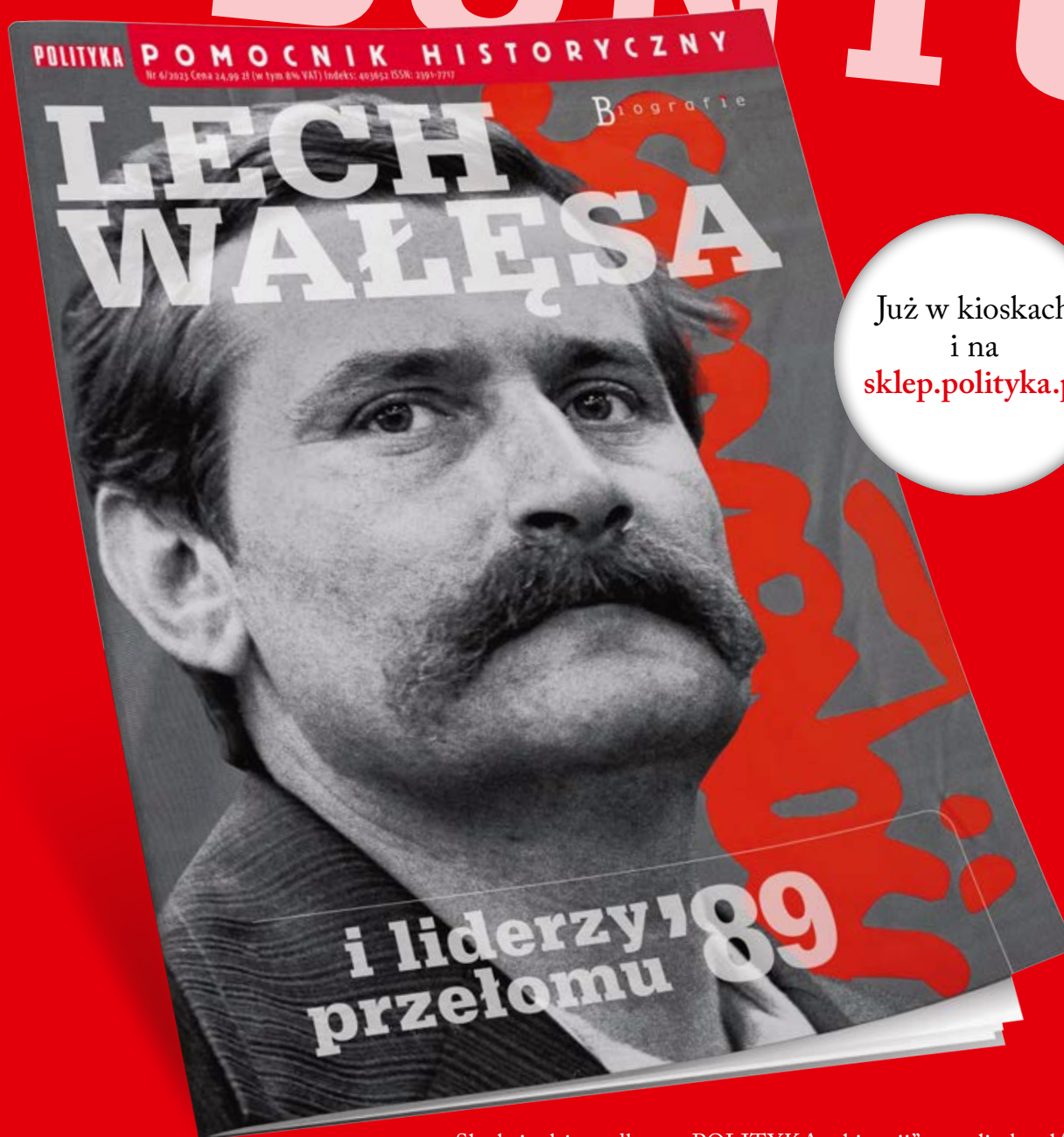
SONDAŻ POLITYKI

Za utrzymaniem rządów PiS: **26 proc.** ogółu Polaków
Przeciw: **61 proc.**



ISSN 0032-3500
9 770032 350305
4 2 >

IKONY BUNTU



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

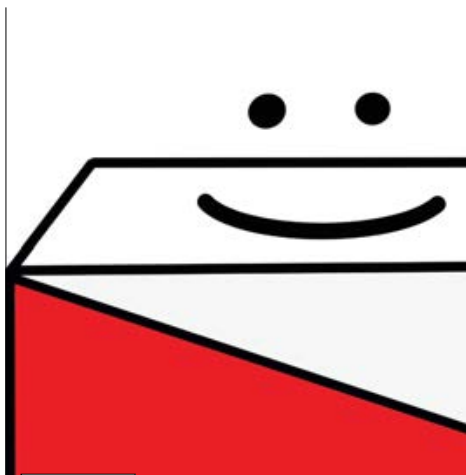
Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podkasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektimpulsar>

Partner główny wydania



Partner wydania





6–26 Wyборы 15 X:
test obywatelski



32 Afera
youtubera



42 Cuda
przy pompie

Tematy na wybory

- 6 Anna Dąbrowska
**Przewodnik wyborcy:
gdzie i w jaki sposób głosować**
- 8 Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki
Co wybieramy w tych wyborach
- 10 Piotr Łukasiewicz
**Izrael, wojna w Ukrainie,
migranci – jaka Polska
w niespokojnym świecie**
- 12 Mariusz Janicki
SONDAŻ POLITYKI
**Czego Polacy chcą
dla Polski**
- 16 Rozmowa z prof. **Przemysławem
Sadurą** o kampanii, wyborcach
i sondażach
- 20 Jerzy Baczyński **Ruina w budowie,
czyli 8 lat z PiS**
- 24 Zbigniew Borek
Z opozycją w terenie

Spółeczeństwo

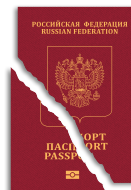
- 28 Marcin Kołodziejczyk
Miasteczko Orlen
- 
- 32 Agata Szczerbiak, Aleksandra
Żelazińska **Pandora gate:
o co chodzi w aferze,
którą żyje polski internet**
- 36 Rozmowa z dr **Agatą Szydłowską**
o tym, jak się mieszkało w PRL
- 40 Norbert Frątczak
Życie mimo parkinsona

Rynek

- 42 Adam Grzeszak **Paliwo wyborcze:
kto i ile zapłaci za kampanijny
prezent Daniela Obajtka**

Świat

- 48 Eugene Medvedev,
Paweł Reszka ROSJA
**Jak rzec się rosyjskiego
obywatelstwa**
- 51 Jędrzej Winiecki CHINY
Imperium pęcznieje na mapach
- 54 Rozmowa z **Serhijem Plochy**
o tym, co Ukraina osiągnęła już
w wojnie z Rosją
- 56 Tomasz Maćkowiak SŁOWACJA
**Kim jest Robert Fico i dlaczego
znów wygrał wybory**
- 58 Łukasz Wójcik AUSTRALIA
**Referendum w sprawie
Aborygenów**



Nauka/projektpulsar.pl

- 62 Karol Jałochowski, Paweł Walewski
**Czym się zajmują tegoroczni
naukowi nobliści**
- 65 Paweł Walewski **Czy onkologiczne
badania przesiewowe mają sens**
- 68 Marta Alicja Trzeciak
Pluskwy atakują

Historia

- 78 Rozmowa z **Catherine Grace Katz**
o „Córkach Jałty” i tym, jaką rolę
podczas słynnej konferencji w 1945 r.
odegrały Anna Roosevelt
i Sarah Churchill

- 81 Andrzej Hennel **Dlaczego twórcy
szczepionek na polio
nie dostali Nobla**

Kultura

- 88 Jakub Demiańczuk
**Stulecie Disneya:
jak wytwórnia
zmieniła świat**
- 92 DK i Hugh Welchmanowie
o tym, jak stworzyli animację
„Chłopów”
- 96 Jacek Świąder
Raper Łona idzie w jazz
- 98 Mirosław Pęczak **„Kocham wolność”
– nieformalny hymn opozycji**
- 102 Justyna Sobolewska
**Literacki noblista: Jon Fosse,
twórca osobny**
- 103 KAWIARNIA LITERACKA
Julia Fiedorczuk

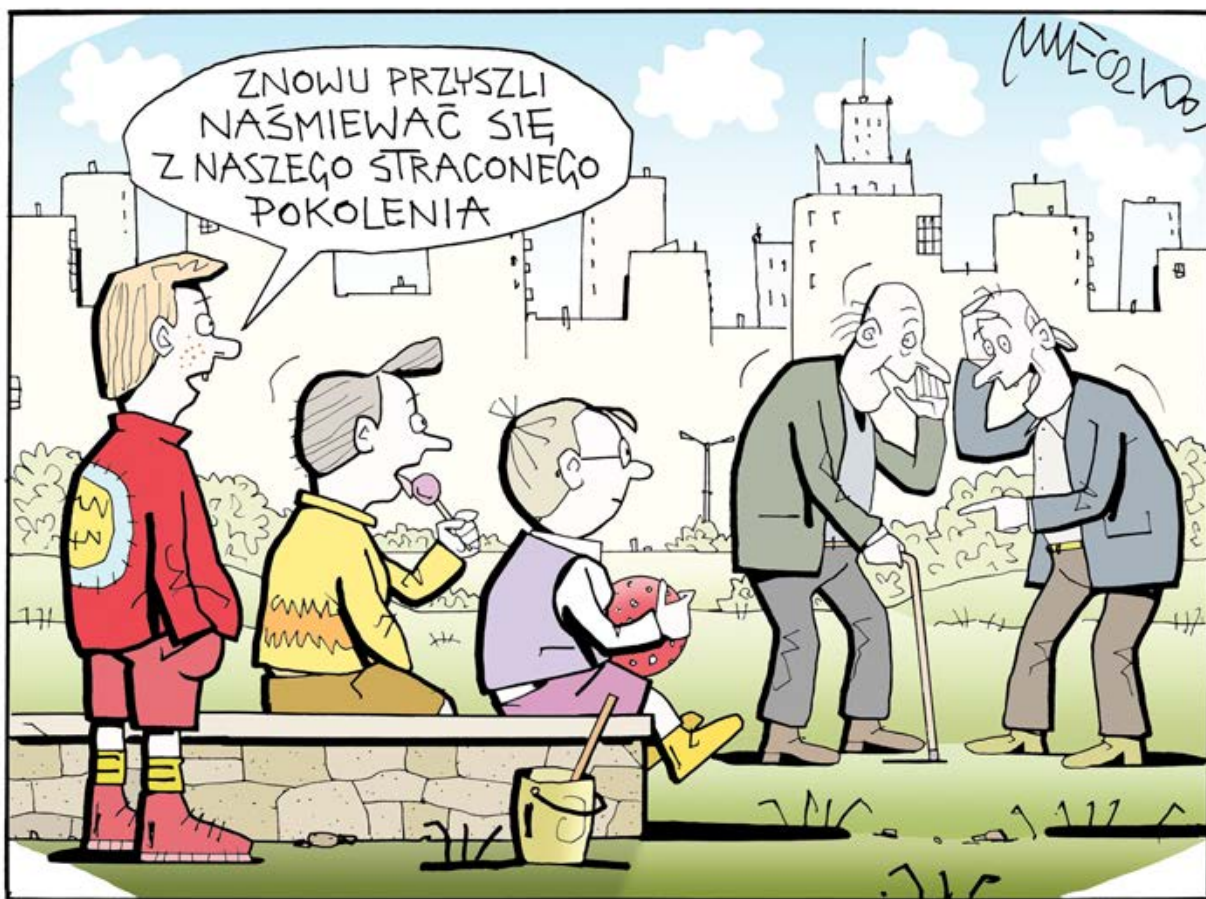


Ludzie i style

- 108–113 • **Jak się nie zamykać**
- Czy to koniec dubbingu
 - Mordy i ryjce
 - Dizajn sprzed wojny
 - Co można kandyzować
 - Malta po sezonie
 - Czym jest wine bar

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 84 Afisz • 104 Lis
- 105 Hartman • 106 Passent
- 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ostatnia deska ratunku

Jeśli mi czegoś w monotonnej i bezbarwnej kampanii PiS brakowało, to europościa Tarczyńskiego, dlatego cieszę się, że organizatorzy konwencji w katowickim Spodku wyszli naprzeciw moim oczekiwaniom, organizując występ tego politycznego szołmena. Dominik Tarczyński nie zawiódł, zjawił się na scenie z dużą, grubą deską, ostrzegając zebranych, że taką deską siepacze z KO będą lali „wszystkich, którzy inaczej myślą, inaczej głosują”.

Na desce Tarczyński ponaklejał serduszka, jakie noszą politycy KO, i wyjaśnił, że pod tymi serduszkami „kryją się ich prawdziwe intencje”. Następnie ujawnił te intencje, odklejając kolejno serca od deski. W sumie przekaz Tarczyńskiego był tak prosty, jak przyniesiona przez niego deska, a poziom umysłowy jego katowickiego wystąpienia nie odbiegał od poziomu innych jego wystąpień.

Oczywiście znając możliwości europościa Tarczyńskiego, nie spodziewałem się, że przyniesie na konwencję coś więcej niż deskę. Oczekiwanie, że zjawi się tam z jakąś książką, było szczerze mówiąc, mało prawdopodobne. Uważam zresztą, że deska doskonale do niego pasowała, w dodatku świetnie współbrzmiała z zaprezentowanym na konwencji

programem PiS. Była to z pewnością bardzo polska deska, ostatnia deska ratunku przed unijną zgnilizną, a jednocześnie deska na miarę wyzwań stojących przed Tarczyńskim i jego partią po wygranych wyborach, gdy polityczni przeciwnicy zostaną tą deską pogonieni do Berlina, a drzazgi z niej powbijają im się wiadomo gdzie. „Ocalimy Polskę, ocalimy Europę” – zapewniał w Spodku Tarczyński, potrząsając deską.

Być może, jednak na razie sytuacja jest nieciekawa, a Polska, czego nie krył zresztą sam Tarczyński, pozostaje ostatnim bastionem normalności i bezpieczeństwa, „w którym po 22.00 można wyjść na spacer”. Wychożenie na spacer w Paryżu, Rzymie czy Wiedniu, w obecnej sytuacji w ogóle nie wchodzi w grę, chyba że z uzbrojonym w deskę Tarczyńskim.

Nie wiem, czy w ramach programu „Bezpieczna Polska” politycy Zjednoczonej Prawicy na wypadek spotkania z nielegalnymi migrantami także nie powinni mieć przy sobie jakiejś deski. Premier Morawiecki przestrzega, że ci silni, młodzi, reprezentujący obcą nam kulturę mężczyźni, będą biegać po ulicach i gwałcić polskie kobiety, ale moim zdaniem nie można wykluczyć, że podochoceni alkoholem i kierowani ślepą erotyczną żądzą, zaczną się dobierać także do co bardziej atrakcyjnych polityków obozu Zjednoczonej Prawicy.



Wietnam od A do Z

Wietnam w pełnej krasie poznamy na tej fantastycznej wycieczce przez cały kraj od dużych miast po lokalne wioski i piękne krajobrazy z dala od utartych szlaków.

Niezwykła podróż przez cały Wietnam, która w sposób optymalny łączy znane zabytki Hanoi, Sajgonu i cesarskiego miasta Hue z ekscytującymi wycieczkami do wciąż nietkniętych części kraju. Podróżując z północy na południe zanurzymy się w nietatwej historii kraju od francuskiej obecności w Indochinach po okrutną wojnę wietnamską. Odwiedzimy pełne francuskiego klimatu i architektury miasta kolonialne, małe górskie wioski z mniejszościami etnicznymi i unikalne skarby przyrody, takie jak wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Zatoka Ha Long i największe na świecie jaskinie stalaktytowe. Przewijająca się przez całą podróż wspaniała kuchnia wietnamska jest elementem spajającym wszystkie aspekty tej wycieczki. Większość posiłków jest wliczona w cenę, a my dodatkowo spróbujemy swoich sił w gotowaniu podczas warsztatów kulinarnych w Hoi An.

20 dni | Wylot z Warszawy
18/02 2024

15.998,-



Włoskie Wybrzeże Adriatyku – od Ravenny po San Marino

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Cesenatico. **Dz. 2** RPrzekroczenie Rubikonu, Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 3** Rawenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 6** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 7** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy
07/05, 18/05 2024

od **5.998,-**



Rejs po Renie z pokazem „Ren w płomieniach”

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Transport autokarem do Kolonii, zakwaterowanie na statku i wyptknięcie w rejs. **Dz. 2** Andernach. Zwiedzanie miasta pieszo i możliwość wycieczki do zimnego gejzera. **Dz. 3** Koblenca. Możliwość zwiedzania miasta i wjazdu kolejką linową do twierdzy Festung Ehrenbreitstein oraz pokaz „Ren w płomieniach” w Bonn. **Dz. 4** Pasaż Lorelei i Mainz (Moguncja). Zwiedzanie średniowiecznego miasta z jego wspaniałą katedrą. **Dz. 5** Gernersheim. Dodatkowa wycieczka do Speyer (dodatkowo płatne). **Dz. 6** Kehl, Niemcy/Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 7** Mannheim, (Ludwigshafen) i Rüdeshheim. Możliwość wycieczki do Heidelbergu. **Dz. 8** Kolonia – Frankfurt i powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy
11/09 2024

9.298,-



Pomocnik wyborczy

Oto kilka podstawowych pytań i odpowiedzi, które pomogą w wyborczych rozterkach.

Czy jestem zapisany w Centralnym Rejestrze Wyborców (CRW) i gdzie głosować?

Warto upewnić się, że jest się ujętym w CRW i czy dane są poprawne. Rejestr działa od 4 sierpnia, a można się w nim sprawdzić na dwa sposoby. Pierwszy – wypełnienie papierowego wniosku o udostępnienie informacji o danych wyborcy przetwarzanych w CRW i złożenie go w urzędzie gminy. Informację powinniśmy otrzymać od ręki – w formie wydruku lub e-mailem. Drugi sposób, cyfrowy – logujemy się na stronie mobywatel.gov.pl za pomocą aplikacji mObywatel lub przez profil zaufany, e-dowód czy bankowość elektroniczną. W zakładce „Twoje dane” wybieramy „Centralny Rejestr Wyborców”. Tu można zobaczyć swoje dane osobowe, adres stałego zameldowania oraz adres obwodowej komisji wyborczej, w której możemy głosować. To, gdzie głosuje dana osoba, jest zależne od adresu, pod którym jest ujęta w Rejestrze. Najczęściej jest to adres zameldowania. Jeśli ktoś składał wnioski o zmianę miejsca głosowania, będzie głosował w lokalu, który wskazał we wniosku. Natomiast jeśli ktoś ma zaświadczenie o prawie do głosowania w miejscu pobytu w dniu wyborów, to może oddać głos w jakiegokolwiek obwodowej komisji wyborczej w kraju i za granicą. Konieczne trzeba mieć ze sobą zaświadczenie o prawie do głosowania. Adres najbliższej komisji można sprawdzić w wyszukiwarce: wybory.gov.pl.

Gdy okaże się, że naszych danych w CRW nie ma albo są niepoprawne, trzeba wnieść do urzędu gminy reklamację. Znowu dwa sposoby – na papierze w urzędzie albo przez profil mobywatel.gov.pl.

W jakich godzinach odbędzie się głosowanie?

Lokale wyborcze są otwarte od godz. 7.00 do 21.00. Czas głosowania może zostać wydłużony, ale tylko w dwóch przypadkach: gdy o godzinie 21.00 w lokalu lub przed nim stoi kolejka oczekujących na oddanie głosu lub wystąpią jakieś nadzwyczajne okoliczności.

Jaki dokument tożsamości trzeba mieć przy sobie?

Konieczne ze zdjęciem i danymi osobowymi – dowód osobisty, paszport,

prawo jazdy, legitymacja studencka, książeczka wojskowa. Można skorzystać z dowodu osobistego w aplikacji mObywatel. Wyjątkiem jest głosowanie za granicą. Tu trzeba pokazać paszport albo dowód osobisty, jeśli głosuje się w państwie, do którego można wjechać na jego podstawie.

Co zrobić, kiedy w lokalu okaże się, że nie ma mnie w spisie wyborców?

Należy okazać dokument ze zdjęciem, a przewodniczący obwodowej komisji wyborczej powinien skontaktować się telefonicznie z wydziałem spraw obywatelskich urzędu gminy (miasta) i zweryfikować, czy wyborca mieszka na terenie obwodu, w którym chce oddać głos. Jeżeli weryfikacja okaże się pozytywna, to wyborca zostaje dopisany do listy wyborców i dostaje karty do głosowania.

Ile kart do głosowania dostanę?

W lokalu wyborczym otrzymasz trzy jednostronicowe karty: jedną z listą komitetów oraz ich kandydatami do Sejmu, drugą do Senatu, a trzecią z pytaniami referendalnymi.

Karta do głosowania na posłów zawiera listy komitetów wyborczych z nazwiskami kandydatów (na szarym tle). Każda z list ma podany w tytule numer i nazwę lub skrót nazwy komitetu wyborczego. Oto niektóre skróty: KKW KOALICJA OBYWATELSKA PO. N IPL ZIELONI; KW PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ; KW NOWA LEWICA; KKW TRZECIA DROGA PSL-PL2050 SZYMONA HOŁOWNI. KKW oznacza koalicyjny komitet wyborczy, a KW po prostu komitet wyborczy. Karta do głosowania na senatorów zawiera nazwiska kandydatów z danego okręgu (na żółtym tle). Pod nazwiskiem kandydata znajduje się pełna nazwa lub skrót nazwy komitetu wyborczego, z którego startuje. Jeśli ktoś chce zagłosować na osobę z Paktu Senackiego, to musi szukać pod nazwiskiem kandydata nazwy jednego z tych komitetów: KKW KOALICJA OBYWATELSKA PO. N IPL ZIELONI; KKW TRZECIA DROGA PSL-PL2050 SZYMONA HOŁOWNI; KW NOWA LEWICA. W pięciu okręgach senackich (75 – startuje A. Dziuba, 24 – K. Kwiatkowi, 48 – K. Borkowski, 22 – W. Tyszkiewicz, 70 – Z. Frankiewicz) kandydaci w nazwie komitetu

wyborczego pod swoim nazwiskiem będą mieli wpisane „Pakt Senacki”.

Jakie numery mają komitety?

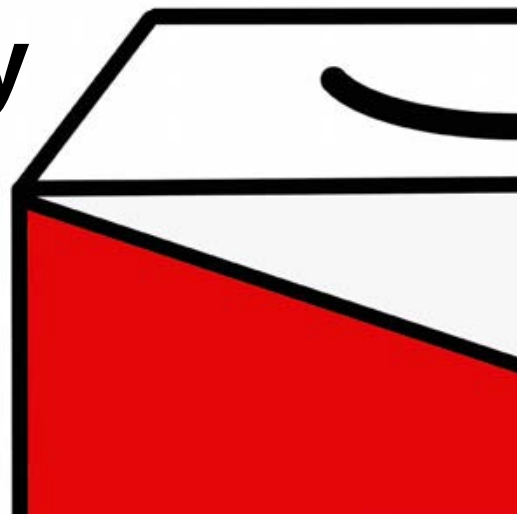
Komitetom wyborczym przypadły numery: 1 – Bezpartyjni Samorządowcy, 2 – Trzecia Droga, 3 – Nowa Lewica, 4 – Prawo i Sprawiedliwość, 5 – Konfederacja, 6 – Koalicja Obywatelska. Numery dla komitetów, które zarejestrowały listy do Sejmu w więcej niż jednym okręgu to: 7 – Polska Jest Jedna, 8 – Polska Liberalna-Strajk Przedsiębiorców, 9 – Ruch Dobrobytu i Pokoju, 10 – Normalny Kraj.

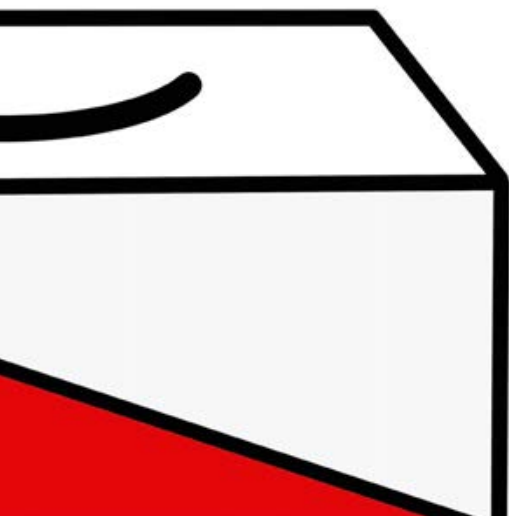
Jak oddać ważny głos?

Zasada jest prosta – na karcie do Sejmu jeden x, na karcie do Senatu jeden x. Trzeba odnaleźć kandydata, na którego chce się oddać głos, a następnie postawić znak x w kratce, przy jego nazwisku. Kratka znajduje się po lewej stronie nazwiska. Jeżeli x zostanie postawiony na jednej karcie obok nazwiska więcej niż jednego kandydata, albo nie postawi się go wcale, głos będzie nieważny. W razie pomyłki nie otrzymamy drugiej karty wyborczej. W przypadku referendum głos ważny jest wtedy, gdy głosujący postawi znak x w jednej z kratek przy odpowiedzi na dane pytanie. Będzie nieważny, jeśli znak x nie zostanie postawiony w żadnej z krater lub będzie postawiony w obu kratkach przy jednym pytaniu. Nie trzeba odpowiadać na wszystkie pytania, każde traktowane jest oddzielnie.

Czy mogą nie wziąć udziału w referendum?

Można wziąć udział w wyborach parlamentarnych i jednocześnie legalnie odmówić udziału w referendum. W chwili wręczania dowodu tożsamości członkowi komisji wyborczej należy oświadczyć, że nie chcemy, aby wydano nam kartę do głosowania w referendum. Ważne jest, aby odnotowano tę odmowę w spisie wyborców obok naszych danych. Jeżeli





członek komisji nie będzie chciał odnotować odmowy przyjęcia karty, należy domagać się, że samemu chce się to wpisać, jeszcze przed podpisaniem potwierdzenia odbioru kart do głosowania w wyborach do Sejmu i Senatu. A jeśli i na to się nie zgodzi, to trzeba poprosić przewodniczącego komisji obwodowej czy męża zaufania, żeby tę kwestię rozstrzygnąć.

Czy można podrzeć kartę do głosowania w referendum?

Nie, ponieważ to przestępstwo z art. 248 pkt 3 k.k. (zniszczenie dokumentu referendalnego). Były już za takie czyny wyroki skazujące. Są prawnicy, którzy uważają, że pełna przedarta karta jest legalna.

Czy można wynieść kartę z lokalu wyborczego?

Może to być uznane za wykroczenie. Możemy zostać także oskarżeni o sprzedaż kart, co jest przestępstwem.

Czy wrzucenie pustego głosu w referendum ma sens?

Wrzucenie karty bez zaznaczenia żadnej opcji lub z zaznaczeniem wszystkich oznacza przyczynianie się do zwiększenia frekwencji w referendum i gdyby frekwencja przekroczyła 50 proc. uznania go za ważne. Frekwencję oblicza się na podstawie kart wyjętych z urny, niezależnie od tego, co na nich zaznaczono. Jeśli więc nawet 80 proc. kart wrzuconych do urny byłoby pusta, to ostateczny wynik zależy będzie od 20 proc. ważnych. Opozycja podkreśla, że udział lub odmowa udziału w referendum nie mają znaczenia politycznego, bo istotny jest tylko wynik wyborów do Sejmu i Senatu.

Czy głos oddany na osobę na dalekim miejscu na liście jest zmarnowany?

Po przeliczeniu wszystkich głosów Okręgowe Komisje Wyborcze sprawdzają, ile mandatów otrzymuje każdy komitet w danym okręgu. O tym, kto dostanie

mandat z listy każdego komitetu, decyduje liczba głosów oddanych na poszczególne kandydatów. Mandat otrzymują osoby z największą liczbą głosów. Miejsce na liście nie ma więc, teoretycznie, wpływu na to, kto go zdobędzie. W praktyce jednak osoby, które są na najwyższych miejscach, mają większe szanse na zdobycie mandatu. Kandydaci z niższych pozycji mają niewielkie szanse na zdobycie mandatu, ale głos na nich oddany przyczynia się do wzmocnienia całej listy.

Gdzie zgłosić nieprawidłowości?

Można zrobić to osobiście albo za pośrednictwem obecnych przy głosowaniu mężów zaufania i obserwatorów społecznych. Gdy ktoś zakłóca ciszę wyborczą (np. nakleja lub zrywa plakaty, rozdaje ulotki, prowadzi agitację), można zadzwonić na policję pod numer 112. Jeśli widzisz nieprawidłowości w pracy komisji obwodowej (np. niezgoda na nieprzyjęcie przez wyborcę karty referendalnej), należy zgłosić to do Okręgowej Komisji Wyborczej.

Na których kandydatów można zgłaszać, będąc za granicą?

Obywatele głosujący poza granicami kraju, zgodnie z Kodeksem wyborczym, „przynależą” do dzielnicy Warszawa-Śródmieście. Głosują więc na kandydatów/kandydatki startujące w okręgu obejmującym tę dzielnicę. W przypadku wyborów do Sejmu jest to okręg nr 19 (Warszawa), a do Senatu okręg nr 44 (Warszawa: Białołęka, Bielany, Śródmieście, Żoliborz).

Czy warto przynieść się do innych okręgów wyborczych, aby zwiększyć szanse swojego kandydata?

Jednostkowe przenosiny nie mają żadnego znaczenia dla wyników wyborów. Eksperti od systemów wyborczych są zgodni, że aby zwiększyć szanse jakiegoś kandydata, należałoby zorganizować przynajmniej kilka autokarów z wyborczym wsparciem dla niego. Z perspektywy szans na przejście władzy przez koalicję partii opozycji demokratycznej kluczowe jest to, żeby przekroczyły one progi wyborcze, odpowiednio 8 i 5 proc. głosów, liczone w skali całego kraju. Dlatego też turystyka między okręgami nie ma tu znaczenia, bo do obliczenia progu wyborczego wszystkie głosy z całego kraju są równoważne.

Problem z wyjazdami na głosowanie jest też taki, że nie wiemy do końca, jak rozkłada się poparcie dla poszczególnych partii na poziomie okręgów wyborczych. Trudno oszacować z pewnością, czy dana partia swój ostatni mandat w okręgu zdobędzie z bezpiecznym zapasem czy też ledwo, ledwo. Sondaże, które znamy z mediów, dotyczą poparcia w skali całego

kraju, nie wiadomo więc, jak ono rozkłada się w okręgach. Jeśli ktoś chce jednak podjąć taki wysiłek, to musi pobrać zaświadczenie o prawie do głosowania. Wniosek, z własnoręcznym podpisem, o wydanie zaświadczenia o prawie do głosowania można złożyć w dowolnie wybranym urzędzie gminy do 12 października.

Czy w okręgach, gdzie opozycja ma dużą przewagę, warto przynieść głos np. na Trzecią Drogę, aby ułatwić jej pokonanie progu wyborczego?

Trzeba przemyśleć sprawę i podjąć decyzję, kierując się własnym wycuciem politycznym i popularnością kandydatów w okręgu. Zanim pomoże się Trzeciej Drodze, warto się upewnić, że opozycja ma w okręgu sporą przewagę i nawet jeśli ubędzie jej jakaś znacząca liczba głosów, to nie odbierze jej to mandatów.

Kiedy będziemy znali wyniki wyborów?

Wyniki mogą być ogłoszone, kiedy do PKW dotrze ostatni papierowy protokół. Komisje będą liczyły głosy do poniedziałku, w skrajnych przypadkach do wtorku.

W jakiej sytuacji obsadzona przez neo-sędziów Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych może podważyć wynik wyborów?

Protesty przeciwko ważności wyborów parlamentarnych należy wnieść do SN na piśmie w terminie 7 dni od dnia ogłoszenia wyników wyborów przez PKW w Dzienniku Ustaw. Protest może być wniesiony jedynie z powodu przestępstwa przeciwko wyborom mającego wpływ na przebieg głosowania, ustalenie wyników głosowania lub wyników wyborów, lub też naruszenia przepisów Kodeksu wyborczego w tym samym zakresie. Chodzi między innymi o niszczenie lub podrabianie dokumentów wyborczych; naruszenie tajności głosowania, nadużycia przy liczeniu głosów; odstąpienie innej osobie karty wyborczej. Ważne, aby wyposażyć się w dowody na potwierdzenie zarzutów. Mogą to być świadkowie, dokumenty, nagrania, które potwierdzą jednoznacznie to, co się zdarzyło. W razie orzeczenia o nieważności wyborów (lub wyboru danego posła czy senatora) przeprowadzone zostaną ponowne wybory. Jeśli nieważny był wybór poszczególnych osób, to wybory odbywają się tylko w ich okręgach wyborczych.

Możliwa jest ponadto sytuacja, w której Sąd Najwyższy orzeknie, że część protestów była zasadna, ale nie miały one wpływu na wynik wyborów. Wówczas wybory będą uznane za ważne. SN ma na podjęcie decyzji 90 dni od dnia wyborów.

ANNA DĄBROWSKA

Wygrają ci, którym bardziej

Nadchodzące wybory to ostatnia szansa na pokonanie Jarosława Kaczyńskiego.

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI

Trzecia kadencja PiS będzie oznaczać, że przywódca tej partii odniósł ostateczny sukces, że odejdzie z polityki już tylko na własnych warunkach, spełni swoje marzenie o „emerytowanym zbawcy narodu”, jak powiedział w wywiadzie sprzed 30 lat. Nie będzie można już z nim ani wygrać, ani go rozliczyć; odniesie finalne zwycięstwo. Jeśli nie teraz, i tak kiedyś PiS straci władzę, ale wtedy nie będzie to już miało takiego wymiaru politycznego i moralnego jak pokonanie tej partii 15 października. Bo to teraz różnica pomiędzy ustrojem liberalnej demokracji, który chce przywrócić opozycja, a autorytaryzmem wyborczym, proponowanym przez rządzącą prawicę, jest wyraźna jak nigdy przedtem. I być może jak nigdy potem.

Te wybory, wiemy o tym aż za dobrze, są dramatycznie nierówne. Partia władzy, inaczej niż opozycja, nie miała w kampanii żadnych ograniczeń finansowych. Ani etycznych. Przeciw opozycji, a zwłaszcza liderowi Koalicji Obywatelskiej Donaldowi Tuskowi, wykorzystano bez skrępowania przejęte przez partię media. W przekazach PiS i TVP Tusk był kreowany na zdracę narodu, pomawiany o spiskowanie z Niemcami i Rosją, obrzucany inwektywami. To przeciw niemu ogłoszono referendum, którego absurdalne, tendencyjne pytania miały przypominać wyborcom o dawnych „winach Tuska”. Wszyscy widzieliśmy, w jaki sposób rządowa telewizja manipulowała organizacją i przebiegiem jedynej transmitowanej w TVP debaty przedwyborczej.

Trzeba powiedzieć, że szef PO w tych skrajnie niesprzyjających okolicznościach – bez cienia wątpliwości pytania w „debacie” przygotowywał sztab wyborczy PiS – był opamiętany, przekonujący i bezpośredni. Szczególnie na tle pobudzonego, wyrzucającego z siebie potok słów i oskarżeń Mateusza Morawieckiego – wystawionego przed kamerą jako zastępca, namiestnik Jarosława Kaczyńskiego. A pytania w debacie były bardzo długie i jeszcze bardziej tendencyjne niż te referendalne, w dodatku je powtarzano. Dobrze wypadli liderzy dwóch pozostałych formacji demokratycznej koalicji: Lewicy i Trzeciej Drogi. Widzowie TVP po raz pierwszy mogli zobaczyć realnego Tuska – przez siedem minut po ośmiu latach – i realną alternatywę dla rządów PiS. To może mieć znaczenie w ostatniej fazie kampanii, choćby dla wyborców niezdecydowanych, od lat straszonych powrotem do władzy „niepolskiej” opozycji. A o wyniku tych wyborów i możliwych potem politycznych scenariuszach mogą zdecydować nawet ułamki procenta.

Sam lider PiS, ale także inni politycy tego ugrupowania, mówią wyraźnie, że trzecia kadencja ich władzy spowoduje, iż zmiany ustrojowe, kulturowe, prawne i ideologiczne, jakie zostały wprowadzone lub zainicjowane w ciągu

ostatnich ośmiu lat, staną się nieodwracalne, na trwałe wtopią się w system państwa. „Reform” PiS nie da się już wtedy prosto usunąć, trzeba będzie to negocjować, zapewne w wielu przypadkach bez powodzenia, bo „wygra życie”, ale przegra demokratyczny system.

Wysp niezależności nie zostało zresztą wiele: część prywatnych mediów i organizacji pozarządowych, grupa niezłomnych sędziów, jeszcze większość samorządów, ale już nęconych „dobłą współpracą z rządem, bo po co się sprzeciwiać”. Praktyka wielu krajów pokazuje, że trzecia kadencja niedemokratycznej władzy jest przełomowa. Słabnie wówczas, skłóca i dzieli się opozycja, rośnie konformizm wielu środowisk, które są już zmęczone walką o demokrację i zaczynają dbać o swoje przyziemne interesy. Pojawia się przekonanie, że „ich” nie da się pokonać. Autokratyczne, opresyjne regulacje są jakoś wchłaniane, osławiane i z konieczności akceptowane. Niby wszystko jest jak wcześniej, ale właśnie przekraczana jest czerwona linia „no return”.

Czasami zarzuca się opozycji, że używa zbyt dużych słów, za często ogłasza „koniec demokracji”, mówi powtarzalnie o konstytucji, o niezawisłości sędziów, o zagrożeniu obywatelskich wolności, a przecież wciąż jakoś było i jest. Ale to, że ostrzeżenia pojawiają się często, że wydają się w końcu „nudne”, w niczym ich nie unieważnia. To rządy PiS trwają bardzo długo, dlatego przestrogi przed nimi nie mogą trwać krócej. Na tym polega metoda PiS i innych populistycznych ugrupowań: na powolnym, ale zabójczo konsekwentnym wydrążaniu instytucji, urzędów, ale także pojęć i wartości – z pierwotnej treści. Ściany niby stoją, tablice z nazwami tkwią na miejscu, ale w środku już nie ma nic z tego, co było przedtem. Tak się stało z dziesiątkami instytucji, które miały kontrolować władzę, a teraz kontrolują obywateli.

Zyjemy jakby w mieście widmie, jakiejś upiornej dekoracji, która wielu ludziom wciąż wydaje się demokracją właściwą, poprawną, da się w niej jakoś żyć, w końcu nie strzelają do ludzi na ulicach, nie zamykają masowo do więzień, no i odbywają się wybory. I to zdaje się wystarczać, aby było normalnie. Kaczyńskiemu udało się stworzyć pozory demokratycznego systemu, akceptowanego przez tych, którzy szukają alibi dla swojego braku sprzeciwu, dla dostosowania się. Wątpliwości lider PiS wykupił świadczeniami socjalnymi, innych przekonał swoją sławetną „skutecznością”, przy czym słabo zauważano, że jest to skuteczność głównie w demontażu demokratycznego systemu. Ta sprawność dotyczy też politycznego piaru, tych wszystkich marketingowych sztuczek, przykrywek, zmyłek, które mają mobilizować wyborców PiS, a zniechęcać, demobilizować przeciwników – to są te wszystkie



zależy

ILUSTRACJA BARTEK KIELBOWICZ



sprytnie przekazy, narzucane tematy i odwoływanie własnych afer. Było to bardzo skuteczne. Formacja Kaczyńskiego okazała się za sprytna dla wielu dziennikarzy, ekspertów, także polityków i wyborców, którzy nie potrafili połączyć kropek, nie zauważyli, jak bezwiednie powtarzają przekazy PiS, bezkosztowo wzmacniają jej propagandę.

Jednak to wszystko jeszcze da się odwrócić, ale tylko teraz, drugiej tak łatwej szansy już nie będzie – można to zrobić w prostym głosowaniu. Jeszcze chyba nigdy w najnowszej historii tak wiele nie zależało od tak nieskomplikowanej czynności jak przespacerowanie się do wyborczego punktu. Nie wymaga to żadnego heroizmu ani stawania na jakiejś życiowej krawędzi, wystarczy spokojna decyzja i wciąż jeszcze bezpieczne, tajne oddanie głosu. Zbliży się najważniejsze głosowanie od 1989 r., to nie jest żadna przesada, cokolwiek by mówili o tym dyżurni szydery, także z niepisowskich kręgów. W tych wyborach w istocie wybierzemy nie programy, nie zwyciężycę kampanii ani szczegółowe rozwiązania, ale ustroj państwa i kierunek cywilizacyjny na długie lata. To plebiscyt: czy zapiszemy się wreszcie trwale do Zachodu, czy też pozostaniemy we wschodnim buforze, gdzieś między demokracją a satrapią, jako trochę śmieszni, trochę groźni, nieobliczalni i egzotyczni. W sumie mimo całej tromtadacji – porzuceni i nieobchodzący nikogo.

Polska polityka wymaga silnych nerwów. Sytuacja tuż po wyborach może okazać się niejasna, niejednoznaczna, być może nie wyłoni w oczywisty sposób premiera i rządzącego układu. Dzisiejsze sondaże pokazują, że walka będzie trwała do samego końca. Ale nie powinno to nikogo zniechęcać i odstręczać, skłaniać do wewnętrznej emigracji. Wyborcy PiS stawiają się karnie przy urnach, choć też nie są pewni wygranej swoich faworytów. Polityka to twarda gra, a politycy będą mieć tyle kart w rękach do dalszej rozgrywki, ile dostarczą im zwolennicy. I na ile będą ich nadal popierać po wyborach.

Naprawdę może się zdarzyć jeszcze wszystko, bo sytuacja polityczna jest dynamiczna, wyjątkowa, kampania jest intensywna, brutalna, są wielkie emocje. Wielu wyborców podejmuje decyzję w ostatniej chwili, a znaczenie będzie miało choćby najmniejsze odchylenie w tę

lub drugą stronę. W sondażach możliwy błąd pomiaru to 3 proc., w wyborach to 0 proc. To duża przestrzeń na niespodzianki. I szansa na dalszą grę, bo zwycięstwo nie musi być proste, ale bardziej skomplikowane. Pytanie, czy wyborcy opozycji są na to gotowi, nawet na kolejne, przedterminowe wybory.

Często słychać, że „nie pójde, bo nie ma na kogo głosować, nikt mnie nie przekonał”. I są to stwierdzenia wygłaszane po ośmiu latach rządów PiS (o tym więcej na s. 20), po zdewastowaniu Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, prokuratury, sądownictwa, po przejściu TVP i zrobienia z niej partyjnej sztekaczki, po inwigilowaniu Pegasusem przeciwników politycznych, po próbie zniszczenia największej telewizji prywatnej, po przykładach – na wielką skalę – nepotyzmu, pazerności, zawłaszczania państwowych spółek i wielu instytucji, po stworzeniu sądu kapturowego w postaci lex Tusk itd.

Brzmi to jak żart. Uważamy, że jest na kogo głosować, choć nie wskazujemy palcem żadnej konkretnej partii. Głos na Koalicję Obywatelską, Trzecią Drogę czy Lewicę ma taką samą moc, bo wszystkie te formacje przynależą do zachodniego kręgu ustrojowego i cywilizacyjnego. Przy okazji tak ważnych wyborów stajemy się po prostu liberalnymi demokratami. Prawdziwa debata programowa, szukanie optymalnych rozwiązań będą możliwe po osiągnięciu celu podstawowego – powrotu do liberalnej demokracji. Która – dopowiedzmy – nie jest demokracją liberałów, ale wolnościowym systemem podzielonej władzy, niezawisłego sądownictwa, kontrolnych instytucji, swobód obywatelskich i praw wszelkich mniejszości.

Nasz sondaż, który omawiamy w tym wydaniu tygodnika (s. 12), pokazuje, że 61 proc. polskiego społeczeństwa jest za zmianą władzy, ale na razie jest to proces, który zachodzi w umysłach ludzi, w sferze intuicji, wartości i przekonania. Teraz te przemyślenia muszą przejść w fazę realizacji – pójscia do punktu wyborczego. Bez tego konkretnego aktu wszelkie refleksje i rozważania nad naturą władzy PiS nie mają żadnego znaczenia, tak jakby ich nie było. 15 października okaże się zatem, czyja wizja, determinacja, chęć wpływania na los kraju jest silniejsza. Wygrają ci, którym bardziej zależy. ■



Obok świata

W spokojniejszych czasach polityka zagraniczna rządu PiS nie nadążała za globalnymi trendami. Nowe konflikty, jak ten w **Izraelu**, ale także te istniejące wcześniej, mogą wystawić temu rządowi srogi rachunek.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Na kilka dni przed polskimi wyborami świat znów przyspieszył. Sobotni atak palestyńskiego Hamasu ze Strefy Gazy wyraźnie zaskoczył Izrael, zarówno skalą – ataki raketowe skoordynowane z lądową inwazją – jak i brutalnością, w tym mordowaniem i uprowadzaniem cywilów. W ciągu weekendu zginęło więcej Izraelczyków niż przez ostatnie 19 lat trwałego się konfliktu z Palestyńczykami. Wśród pierwszych ofiar było co najmniej

100 uczestników muzyczno-filmowego festiwalu zorganizowanego tuż przy granicy z Gazą – na nagraniu widać bojowników Hamasu lądujących na parolotniach przy tańczących Izraelczykach.

Izrael szybko się otrząsnął. Władze przeszły w tryb wojenny w ciągu 12 godzin i gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, 300-tysięczna armia szykowała się do odwetu: lądowej inwazji na Strefę Gazy. Jeden z izraelskich dowódców mówił, że Strefa zostanie wkrótce odcięta od dostaw wody i prądu, a jej mieszkańców wezwano już do ewakuacji i poinformowano, gdzie będą spadać izraelskie

bomby. Jednocześnie w wielu arabskich stolicach – i kilku europejskich – na ulice wyszli radykalni zwolennicy sprawy palestyńskiej, świętując sukces Hamasu, który już wkrótce może zamienić się w szerszą wymianę ciosów, bo pomoc Palestyńczykom zapowiedział m.in. Iran. Czy zatem jest to zaledwie wstęp do konfliktu o jak najbardziej globalnych konsekwencjach?

Wojna w Izraelu stała się nagłym wyzwaniem również dla Polski. Nie tylko dotyczącym nas bezpośrednio, ale też w związku z konsekwencjami, jakie będzie to miało dla naszego otoczenia. Amerykanie nagle mają dwie wojny na głowie – ukraińską i izraelską – w których muszą znowu okazać się niezawodnym sojusznikiem. Sami domagają się wsparcia i wzięcia na siebie części odpowiedzialności przez Zachód. Czy Polska jest jednak jego częścią?

Atak Hamasu na Izrael zastał polską dyplomację bez ambasadora w Tel Awiwie – od dwóch lat nie znaleziono następcy na miejsce poprzedniego ambasadora Marka Magierowskiego. To efekt kryzysu, w jakim Polska i Izrael znalazły się w po kilku ostrych wypowiedziach dyplomatycznych i po sporze o ochronę wycieczek młodych Izraelczyków do Polski. Kryzys w relacjach rozpoczął się od zablokowania przez polski rząd możliwości prowadzenia naukowych badań nad Holocaustem. Wywołało to uzasadnione oburzenie w Izraelu i zapaść w relacjach dyplomatycznych, którą PiS usiłował naprawić m.in. w czasie spotkań polskich i izraelskich oficerów służb specjalnych.

Kiedy więc w Izraelu rozgrywa się największy od 50 lat dramat – wojna z Hamasem – placówka kierowana jest przez *chargé d'affaires*. A kiedy pierwsze rakiety z Gazy w sobotę rano zabijały cywilów w Izraelu, minister Zbigniew Rau wykłócał się z kandydatką opozycji Aleksandrą Wiśniewską, próbując zepsuć jej wiec wyborczy.

Zaledwie kilka dni wcześniej minister Rau nie raczył pojawić się na ważnym forum w Kijowie, gdzie omawiano sprzedaż broni Ukrainie – z uszczerbkiem dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, który na tym forum nie był odpowiednio wsparty przez dyplomację. Nie było go też na posiedzeniu unijnych ministrów spraw zagranicznych w Kijowie, gdzie omawiano perspektywę członkostwa Ukrainy w Unii.

Jeszcze poważniejszy kryzys czai się jednak w relacjach polsko-amerykańskich. Nie o TVN albo wolność słowa w Polsce, ale o udział Polski w strategii globalnej – czyli wygranie przez Ukrainę wojny z Rosją. Kaczyński, Duda, Morawiecki, Błaszczak



i Rau sądzili, że zakupami czołgów i rakiet zakłajstrują oczywiste dla Amerykanów w administracji Joe Bidena deficyty demokracji i praworządności w Polsce. Nie dostrzegli jednak, jak bardzo ważne dla amerykańskiej strategii globalnej stało się utrzymanie poparcia dla Ukrainy.

W tej strategii Polska zajmuje miejsce ważne: jako szlak przetrzutu pomocy wojskowej i zaplecze do politycznego wsparcia Ukrainy, choćby w postaci dworca kolejowego w Rzeszowie, znanego już niemal każdemu amerykańskiemu politykowi jadącemu do Kijowa. Pomoc Ukrainie to kluczowe zadanie dla Bidena.

Amerykańscy dyplomaci w Warszawie w ostatnich dniach wysyłają do polskich przywódców sygnał jednoznaczny: zakończenie spór polsko-ukraiński o zboże i o dostawy broni dla Ukrainy. Przekazał go otoczeniu prezydenta Andrzeja Dudy w ubiegłym tygodniu w Warszawie Philip Gordon, doradca wiceprezydentki Kamali Harris. To pokłosie słów Mateusza Morawieckiego o tym, że Polska już nie przekazuje Ukrainie uzbrojenia, ponieważ sama musi się uzbroić. Choć słowa te co do meritum były zasadne – Polska faktycznie przekazała duże ilości uzbrojenia i amunicji i teraz musi odtworzyć własne zapasy – to moment na ich wygłoszenie oraz styl przekazu były fatalne.

Kongres USA znalazł się w kryzysie po odsunięciu spikera Kevina McCarthy'ego przez jego kolegów z Partii Republikańskiej. Zablokowali dalszą pomoc wojskową dla Ukrainy. Kongresmeni nie są w stanie nawet wyznaczyć ambasadora USA w Izraelu. Ludzie Bidena mówią więc polskim władzom: mamy problem, bo radykalni Republikanie w Kongresie przytaczają słowa Morawieckiego jako uzasadnienie własnego oporu przed finansowaniem Ukrainy. Polski problem staje się problemem Bidena. I amerykańskiej strategii. Dyplomaci amerykańscy zaczynają nawet martwić się o dalsze funkcjonowanie lotniska w Rzeszowie, głównego hubu logistycznego dla Ukrainy.

W ten sposób polskie spory wyborcze – a ściślej wyścig PiS z Konfederacją o marginalny elektorat antyukraiński – stają się bólem głowy prezydenta światowego mocarstwa, który zmuszany jest do rozmyślenia nad „polską wrażliwością”, Wołyniem, zbożem i potknięciami Morawieckiego.

Z członkostwa w Unii Europejskiej Polacy cieszą się od 20 lat. PiS z Unią walczy i Unię obrzydza od lat ośmiu. W tym nagromadzeniu słodko-gorzkich emocji polska dyplomacja przestała zwracać uwagę na zbliżającą się transformację Unii,

przygotowującej się do zmiany mechanizmów głosowania w Radzie Unii i do zmiany modelu działania Komisji Europejskiej.

Ekspert francuscy i niemieccy, a ostatnio czescy i estońscy, wydają szereg raportów i rekomendacji, które – jeśli przekują się w politykę – w końcu mogą doprowadzić do Europy wielu prędkości, a więc wielu poziomów decyzji. Polski żółw skorupę w skorupę z żółwiami węgierskim będą na końcu tych łańcuchów decyzyjnych, w dodatku w fundamentalnie zmienionej Unii.

Politycy opozycji, szykujący się do wygranej w polskich wyborach, już teraz zastanawiają się, co dla Polski oznaczać będzie rozszerzenie Unii o Ukrainę. Kiedy ją przyjąć? Czy wraz z państwami bałkańskimi, czy dać jej pierwszeństwo – rzecz zrozumiała dla wsparcia morale walczących Ukraińców. I jak wykorzystać perspektywę utworzenia wewnątrzunijnego bloku dwóch ludnych państw – Ukrainy i Polski – które mogą mieć więcej mandatów w unijnych głosowaniach niż Niemcy albo Francja? Tymczasem uprawiana przez PiS paradypłomacja, po krótkotrwałej szarży za przyjęciem Ukrainy do Unii i NATO w pierwszej połowie bieżącego roku, namysł nad tym odkłada na święty nigdy.

Kłopotem obecnej dyplomacji stały się również Niemcy, które władze PiS tak skutecznie obijały retorycznie i postponowały, że nie dostrzegli, że w końcu Berlin może się odwinąć. Nie sposób przy tym odejść od złośliwych klisz i obraz, w jakie zamieniły się wzajemne relacje Polski z Niemcami. Już na początku rządów PiS polska dyplomacja oceniana była upokarzająco jako „rozwrzeszczany bachor”, domagający się uwagi i cierpliwej „Mutter Merkel”. Faktycznie niemiecka kanclerz wydawała się tolerować nowy, krzykliwy styl „dyplomatyżowania” Warszawy.

Olaf Scholz jest jednak znacznie bardziej asertywny wobec Polski, a dyplomaci niemieccy już otwarcie pozwalają sobie na złośliwości wobec Warszawy. Ostatnio Thomas Bagger, były ambasador Niemiec w Polsce i obecny sekretarz stanu w MSZ, komentował rzekomy wzrost znaczenia Polski w Europie z powodu jej bliskości geograficznej wobec Ukrainy. „Czy Polska jest nowym centrum znaczenia? Nie wiem, ale na pewno jest nowym centrum zainteresowania!”.

Polityka zagraniczna poważnego państwa powinna być przewidywalna, dyskretna i w sumie mało ciekawa. Sojusze są podtrzymywane, alianci hołubieni i wspierani. A przeciwnicy – trzymani na dystans. Racja stanu powinna być azymutem znanym obywatelom, jak również sojusznikom

i przeciwnikom. To, co nudne na co dzień, dopiero w czasie kryzysów przyspiesza i podlega sprawdzeniu. Kształtuje się wówczas wizerunek państwa na zewnątrz i wśród obywateli.

W polskich wyborach chodzi m.in. o to, aby Polska ponownie stała się państwem przewidywalnym, statecznym. Strategicznie nudnym, ale konsekwentnym w działaniach zewnętrznych. Taką Polskę powinien zostawić następcom dobry rząd. Następcy PiS dostaną ruinę, historię i operetkowość. Niestety dostaną też serię kryzysów i procesów globalnych, w których trzeba się będzie umieć odnaleźć.

Polska na kryzysy dyplomatyczne reaguje powoli i nieporadnie, a często od kłopotów wybawiają nas mniejsi sąsiedzi albo potężni partnerzy zza oceanu. Dyplomacja PiS to brak odpowiednio szybkiego działania w czasie kryzysu i nadrabianie przesadą i „narracjami” wtedy, kiedy inni już czerpią korzyści z działań własnej dyplomacji. Unikanie przez PiS prowadzenia polityki zagranicznej z powodów wewnętrznych coraz częściej zderza się z rzeczywistością międzynarodową. Kryzysy światowe: wojna ukraińska, wojna w Izraelu, walka izolacjonistów z internacjonalistami w polityce amerykańskiej oraz oczekiwana transformacja Unii Europejskiej przywracają pytania o rolę i sprawność polskiej dyplomacji.

Relacje światowe ulegają fundamentalnej zmianie, a PiS stoi obok. Rządzona przez tę partię Polska w ważnych kontekstach międzynarodowych – sytuacji na Bliskim Wschodzie, wojnie w Ukrainie, transformacji NATO i Unii Europejskiej – po prostu przestała dyplomatycznie i aktywnie uczestniczyć.

W tym kontekście oskarżenia PiS pod adresem opozycji o bycie sterowanym z obcych stolic stają się w istocie projekcją pisowskiego stuporu. Polska udaje, że nie zabiera głosu w relacjach międzynarodowych, bo one Jarosława Kaczyńskiego po prostu nie obchodzą. A nie obchodzą, bo najwyraźniej uznał, że nie ma w PiS dyptomatów, są za to eksperymenty – jak Jacek Czaputowicz, ekstrawagancje – jak Witold Waszczykowski, albo krzykacze – jak Paweł Jabłoński, Piotr Wawrzyk czy Szymon Szynkowski vel Sęk.

Wytworzony przez tych ludzi wizerunek Polski nie tylko nie potęguje, ale wręcz ogranicza międzynarodowe oddziaływanie naszego kraju, które jest dziś wyraźnie mniejsze, niż mogłoby to wynikać z realnego potencjału Polski. ■

SONDAŻ POLITYKI

Gotowi na zmianę

MARIUSZ JANICKI

ILUSTRACJA BASIA POSPISCHIL



Czy powinna się zmienić władza w Polsce? Jak ma wyglądać kraj po wyborach: gospodarka, socjal, wymiar sprawiedliwości, prawa kobiet, TVP, pozycja Polski w Europie? Takie między innymi pytania zadaliśmy w sondażu, który przeprowadziliśmy przy współpracy z pracownią Opinia24.

Sprawdzenie, jakiej Polski oczekują wyborcy po głosowaniu 15 października, jest istotne dla toczącej się walki politycznej. Czy ma być to raczej nadal państwo PiS, z wszystkimi praktykami i wizją systemu, jaki znamy od ośmiu lat, czy też ma nastąpić wielka zmiana. Sytuacja polityczna w Polsce powoduje, że nie może być nic pośredniego, żadna ewolucja nie wchodzi w grę, na stole leżą dwie karty: liberalna demokracja i autorytaryzm wyborczy. Społeczeństwo może sięgnąć tylko po jedną z tych dwóch kart. Którą wybierze?

Już na początku zadaliśmy najbardziej fundamentalne pytanie: czy po nadchodzących wyborach chce Pan/Pani, aby zmieniła się władza w Polsce? Okazuje się, że 61 proc. respondentów opowiada się za tym, aby po wyborach nastąpiła zmiana i aby rządziła już inna ekipa, 26 proc. chce pozostania PiS u steru państwa, a 13 proc. nie ma zdania. Widać zatem, że przy zero-jedynkowym postawieniu sprawy partia Jarosława Kaczyńskiego nie ma papierów na dalsze rządzenie, sytuacja jest klarownie dymisyjna. Nawet nie wszyscy zwolennicy PiS widoczni w bieżących partyjnych sondażach są entuzjastami kontynuowania władzy Zjednoczonej Prawicy, zapewne część z nich w naszym badaniu przemieściła się do strefy „trudno powiedzieć”.

Zdawałoby się, że przy takiej przewadze przeciwników PiS trzecia kadencja tego ugrupowania byłaby jakąś aberracją, dziwością wynikłym z ordynacji D'Hondta i podzielonej opozycji, wszak mimo takiej przewagi antyPiSu rzecz nie jest przecież przesądzona. Spadnięcie pod próg którejś z partii opozycyjnych, dosztukowanie posłów z Konfederacji lub nawet z innych ugrupowań, manipulowanie „krokami konstytucyjnymi” po wyborach, naginanie sejmowych procedur może spowodować, że ta faktyczna większość, która chce odejścia PiS, zamieni się nagle w polityczną mniejszość. Warto przypomnieć, że w 2005 r. do objęcia władzy, przy pomocy „paktu stabilizacyjnego”, wystarczyło PiS 27 proc. zdobytych głosów, a w 2015 niespełna 38 proc. Ten wynik zatem – 61 proc. (a w ostatnim badaniu Kantara dla TVN i TVN24 nawet 65 proc.) musi się jeszcze przetworzyć na konkretne notowania opozycyjnych partii, których dopiero szczęśliwa kombinacja da antyPiSowi bezpieczną większość. Nie pierwszy raz system D'Hondta oraz progi wyborcze mogą istotnie zniekształcić polityczną wolę większości.

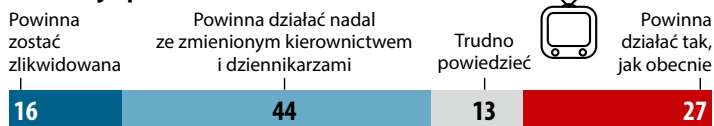
Dość wyrazisty na pierwszy rzut oka jest też wynik sondażu w kolejnej kwestii, kiedy zapytaliśmy o sądownictwo. 43 proc. uczestników badania stwierdza, że należy cofnąć wszystkie bez wyjątku zmiany w wymiarze sprawiedliwości, jakie PiS wprowadził w całym okresie swoich rządów. Tylko 19 proc. uważa, że powinno się kontynuować po wyborach wszystkie rozpoczęte „reformy” (co zapowiedział już zresztą Jarosław Kaczyński), i to jest te ok. 20 proc.

Czy po nadchodzących wyborach: (w proc.)

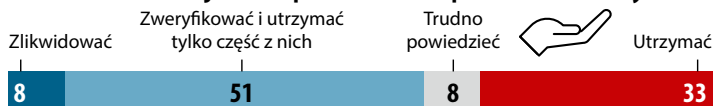
Czy chce Pan/Pani, aby zmieniła się władza w Polsce?



Telewizja publiczna TVP:



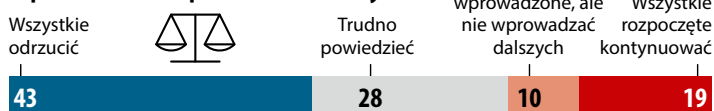
Świadczenia socjalne wprowadzone przez PiS należą:



W relacjach z Unią Europejską należą:



Zmiany w sądownictwie wprowadzone przez PiS należą:



najtwardszych wyborców, „wyznawców” PiS, ujawniających się, w tym dokładnie rozmiarze, w wielu innych badaniach. Jest też 10 proc. „ugodowców”, gotowych pozostawić te zmiany, jakich PiS już dokonał, ale bez kontynuacji; 28 proc., i to też już tradycja, wybrało opcję „trudno powiedzieć”. Zwróćmy uwagę, że łącznie zwolenników reform Ziobry, ugodowców i obojętnych na sprawy sądownictwa jest wyraźnie więcej (57 proc.) niż tych, którzy twardo postulują odrzucenie zmian wprowadzonych przez PiS (43 proc.). Spowoduje to, że ewentualny proces naprawy sądownictwa po objęciu rządów przez obecną opozycję nie musi przebiegać tak szybko i bez problemów, jak by tego sobie życzyli liberalni demokraci. Pojawi się na pewno silna tendencja, aby „szukać kompromisu”, nie utrudniać działania wymiaru sprawiedliwości, część rozwiązań z czasów Kaczyńskiego i Ziobry zostawić, neosędziów jakoś wkomponować w całość. Ostatnio w „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł, w którym autorzy wprost nawołują do pogodzenia sądowniczych wizji PiS i opozycji, na zasadzie, że każdy musi ustąpić, aby łagodzić „wojnę polsko-polską”. ▶

© LECH MAZURZYK (5)

► Rozgrzywka w sądownictwie będzie szczególnie znacząca, bo pokaże skalę „nieodwracalności” systemu PiS.

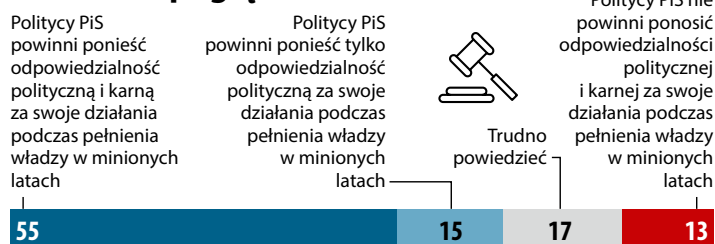
Aborcja wciąż niedecydująca

Ważnym wątkiem kampanii, ale też całych właściwie osmiu lat rządów Kaczyńskiego, jest sprawa aborcji: co z nią zrobić w powyborczej Polsce. Z naszego badania wynika, że 47 proc. Polaków opowiada się „zdecydowanie” za prawem kobiety do aborcji do 12 tygodnia tylko na podstawie jej decyzji (procentowo wyraźnie więcej kobiet niż mężczyzn). Kolejne 23 proc. jest „raczej na tak”. Na „nie” i „zdecydowanie nie” jest w sumie 20 proc. zapytanych, przy 13 proc. niezdecydowanych w tej materii. Widać więc, że zobowiązanie Platformy, a także hasła Lewicy postulujące tu wybór kobiety padają na podatny grunt. Za prawem do aborcji do 12 tygodnia opowiada się 95 proc. wyborców Lewicy (80 proc. zdecydowanie), 91 proc. – Koalicji Obywatelskiej (zdecydowanie 73 proc.) i 82 proc. Trzeciej Drogi (zdecydowanie 65 proc.). Ciekawy jest wynik wśród wyborców PiS: 20 proc. z nich zdecydowanie chce takiej liberalizacji przepisów aborcyjnych, a 27 proc. „raczej” się na nią zgadza, z czego wynika, że następuje tu powolna zmiana poglądów, ale też może być to oznaka, że przy PiS przycumował – np. z socjalnych powodów – elektorat bardziej liberalny światopoglądowo, który traktuje partię Kaczyńskiego czysto pragmatycznie, jak by to powiedzieli Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, autorzy „Społeczeństwa populistów” – cynicznie. Tak czy inaczej, utrzymywanie dzisiejszego stanu przepisów aborcyjnych po wyborach stałoby w istotnej sprzeczności z poglądami dużej większości obywateli. Pytanie, jaką wagę ma ten temat jako kryterium politycznych wyborów; wydaje się, że tak trudno tę sprawę ostatecznie załatwić, ponieważ dla wielu Polek i Polaków inne kryteria niż aborcja przeważają w podejmowaniu ostatecznej wyborczej decyzji. Gdyby było inaczej, już dawno przepisy aborcyjne byłyby podobne do tych obowiązujących w niemal całej Europie.

Telewizja do zaorania, i do zasiania

Przekaz rządowej TVP i zachowania pracowników tej stacji to stały element kampanii i całej rzeczywistości politycznej po 2015 r. Ostatnio Donald Tusk zapowiedział, że jego partia ma sposób na uzdrowienie sytuacji, „w ciągu 24 godzin”. Czy jest to oczekiwane? Za całkowitą likwidacją TVP (co nie jest zapowiadane przez żadną partię opozycyjną) opowiada się 16 proc. respondentów naszego badania. Opcję „powinna działać nadal ze zmienionym kierownictwem i dziennikarzami” wybrało 44 proc., a za pozostawieniem jej w dotychczasowej postaci – 27 proc.; 13 proc. nie ma zdania. W sumie więc 60 proc. nie życzy sobie TVP w obecnym kształcie i z takim jak teraz politycznym przekazem. Najbardziej krytyczni wobec TVP (likwidacja) są zwolennicy Lewicy, potem Koalicji Obywatelskiej, dalej Konfederacji, która wyprzedza pod tym względem sympatyków Trzeciej Drogi. Ale nawet 16 proc. wyborców PiS chciałoby wymienienia ekipy telewizji rządowej. Ciekawe, że pokrywa się to liczbowo z nadwyżką ponad 20 proc. twardej wyborców, co w sumie daje te 35–36 proc. poparcia dla PiS w sondażach. Może to świadczyć o tym, że ci miękcy wyborcy bez trudu dostrzegają patologię w mediach dawniej publicznych, ale nie jest to dla nich wystarczający powód, aby odejść od formacji Kaczyńskiego. To pokazuje siłę więzi, jakie zbudował PiS, to, jak wiele wybacza się tej partii w imię innych korzyści, jakich ona dostarcza.

Która z poniższych opinii jest bliższa Pana\Pani poglądom? (w proc.)



Zapytaliśmy o ważną kwestię o wymiarze ustrojowym, podnoszoną także w tej kampanii, a zaognioną kolejnymi wypowiedziami Zbigniewa Ziobry na temat toczących się różnych postępowań. 63 proc. respondentów zdecydowanie chce po wyborach oddzielenia funkcji ministra sprawiedliwości, członka ekipy rządzącej od stanowiska prokuratora generalnego, a 15 proc. mówi na to „raczej tak”. Tylko w sumie 8 proc. zapytanych chce pozostawienia prokuratury pod nadzorem władzy politycznej, czyli tak jak to jest do tej pory. Zdaje się, że sposób sprawowania nadzoru nad prokuratorami, jaki demonstrował przez lata Zbigniew Ziobro, wymęczył także istotną część sympatyków prawnicy. Aż 36 proc. wyborców PiS w naszym badaniu chce zdecydowanie uniezależnienia prokuratury od rządu, a 24 proc. „raczej chce”. To polityczna klęska Ziobry.

Rozliczyć politycznie i karnie

W toczącej się kampanii istotną rolę pełni sprawa rozliczenia ludzi obecnej władzy po jej odsunięciu od rządzenia. Spora większość, bo 55 proc., Polaków uważa, że politycy PiS powinni ponieść odpowiedzialność zarówno polityczną, jak i karną, za swoje działania po 2015 r.; 15 proc. jest bardziej miłosiernych i domaga się tylko odpowiedzialności politycznej, zaś 13 proc. uważa, że nie powinni ponieść żadnej odpowiedzialności. Te 13 proc. opowiadających się za bezkarnością to wyraźnie mniej niż typowe 20 proc. twardych zwolenników PiS, co może oznaczać, że afery, przekreśły i nadużycia obozu rządzącego nadweryły cierpliwość także części prawnicowego matecznika, który i tak wiele wybacza.

Zapytaliśmy o największe przez lata polityczne aktywa PiS, czyli programy socjalne (w tym 500 czy 800 plus). 33 proc. uczestników sondażu chce utrzymania bez zmian wszystkich programów, ale aż 51 proc. oczekuje weryfikacji tych świadczeń i utrzymania tylko „niektórych z nich”. Potwierdzają się zatem wnioski z innych raportów i obserwacji, że blask świadczeń socjalnych przygasł i nie pełni już tak dużej roli politycznej i społecznej jak w minionych latach. Choć te programy zapewne nadal podtrzymują wysoką pozycję partii Kaczyńskiego, nawet jeśli już nie są motorem dalszych wzrostów.

Za utrzymaniem w całości świadczeń wprowadzonych przez partię PiS jest 72 proc. wyborców PiS, ale 22 proc. z nich chciałoby ich weryfikacji. Umowne 500 plus w dotychczasowej postaci, bez zmian, popiera 14 proc. sympatyków Koalicji Obywatelskiej i 28 proc. – Lewicy. Najmniej entuzjastów socjalu jest wśród zwolenników Trzeciej Drogi (8 proc.) i Konfederacji (7 proc.), co potwierdza pewne podobieństwo elektoratów tych formacji i możliwe przepływy wyborców. Widać, że w kolejnych politycznych rozdaniach



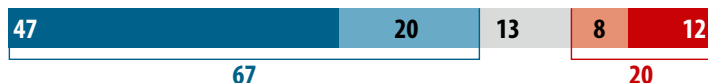
Czy po nadchodzących wyborach: (w proc.)

Zdecydowanie tak Raczej tak Trudno powiedzieć Raczej nie Zdecydowanie nie

Prokuratura powinna stać się niezależna od rządu?



Prawo aborcyjne powinno być zmienione tak, aby kobieta mogła dokonać aborcji do 12. tygodnia ciąży na podstawie własnej decyzji?



ranga takich rozwiązań będzie malała, być może, wraz z nowymi generacjami, nadchodzi fala wolnorynkowego indywidualizmu, co jest w sumie złą wiadomością dla etatystycznej i socjalnej formacji Kaczyńskiego. Może Konfederacja i Trzecia Droga jeszcze nie potrafią skutecznie popłynąć na tej nowej „kapitalistycznej” fali, ale ją coraz wyraźniej widać, co jest wskazówką również dla Platformy, a nawet Lewicy. Polska drugiej połowy lat 20. wydaje się zapowiadać inaczej, pojawiły się nieoczekiwane trendy, przy których polityka PiS i goniących ją ugrupowań jawi się anachronicznie, przynajmniej dla najmłodszych wyborców, co potwierdza nasze badanie: ludzie w wieku 18–29 lat dwukrotnie częściej opowiadają się za likwidacją świadczeń niż ci w wieku do 50 lat, a w porównaniu z 50- i 60-latkami – aż pięciokrotnie.

Przyczółki polexitu

Nie zabrakło też w naszym sondażu pytania o relacje Polski z Unią Europejską. Tutaj przewaga „zmiany” nad „kontynuacją” polityki PiS nie jest już tak duża. Za tym, aby „zakończyć wszystkie konflikty z Unią Europejską”, opowiedziało się 46 proc. respondentów, ale 39 proc., a więc całkiem sporo ponad dzisiejsze notowania PiS, uważa, że należy „twardo walczyć o swoją suwerenność w Unii Europejskiej”; 15 proc. nie wyraziło tu opinii. Widać, że przekaz PiS o Polsce zagrożonej przez Zachód odniósł pewien sukces. Ciekawy jest tu rozkład sympatii politycznych: 22 proc. zwolenników PiS jest za zakończeniem sporów z Unią (ale wciąż tkwią przy Kaczyńskim, bo widocznie działają inne przyciągające czynniki), ale też całkiem dużo, bo 10 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej jest za „twardą walką”. Podzielony jest w tej kwestii elektorat Trzeciej Drogi: 54 proc. chce się utożyczyć z Brukselą, ale 29 proc. żąda „walki”, a 17 proc. nie ma zdania. Także 15 proc. wyborców Lewicy chce walki o suwerenność w ramach Unii. Grupa „suwerennistów” jest więc politycznie zróżnicowana, choć oczywiście przeważają w niej zwolennicy PiS i Konfederacji.

Widać jednak, że antynijny przekaz formacji Kaczyńskiego przebił pravicową bańkę i przeniknął do środowiska liberalnego. Może dlatego lider PiS tak często i chętnie używa antyniemieckiej retoryki, utożsamiając Unię właśnie z Niemcami. Próbuje obrzydzić europejską wspólnotę, bo widzi, że ta strategia w sumie – powoli i z oporami – ale działa. Kiedy Donald Tusk mówi ostatnio o zamiarach Kaczyńskiego wprowadzenia Polski z Unii, jest to traktowane jako kampanijna zagrywka. Jednak w Wielkiej Brytanii proces prowadzący

do brexitu rozpoczął się właśnie od rozszczelnienia liberalnej bańki – sami radykalni konserwatyści i nacjonalści nie daliby rady. Te 39 proc. zwolenników „walki o suwerenność w ramach Unii” z naszego badania to nie są oczywiście w całości jawni zwolennicy polexitu, ale widać, że pierwsza praca nad nimi została wykonana. Gdyby PiS przedłużył władzę na trzecią kadencję, to urabianie eurosceptyków trwałoby nadal. Sztab Kaczyńskiego umie wpływać na poglądy nie tylko własnego elektoratu, czego najlepszym dowodem jest radykalna zmiana społecznego nastawienia do kwestii imigrantów. Praktyka pokazuje, że nie ma tu pewnych filarów, każdy można nadwerężyć.

Do ostatniego głosu

Sondaż POLITYKI i pracowni Opinia24 pokazuje, że istnieje duży potencjał politycznego przełomu, jednak przy wciąż sporym marginesie inercji i obojętności. Decydująca będzie zatem mobilizacja antyPiSu na ostatniej prostej, rozstrzygnięcie wątpliwości, ważenie racji, określanie kryteriów na te bardziej i mniej ważne – na korzyść opozycji, a nie obozu Kaczyńskiego. Wygląda na to, że nie brakuje wiele, przesilenie jest na wyciągnięcie ręki.

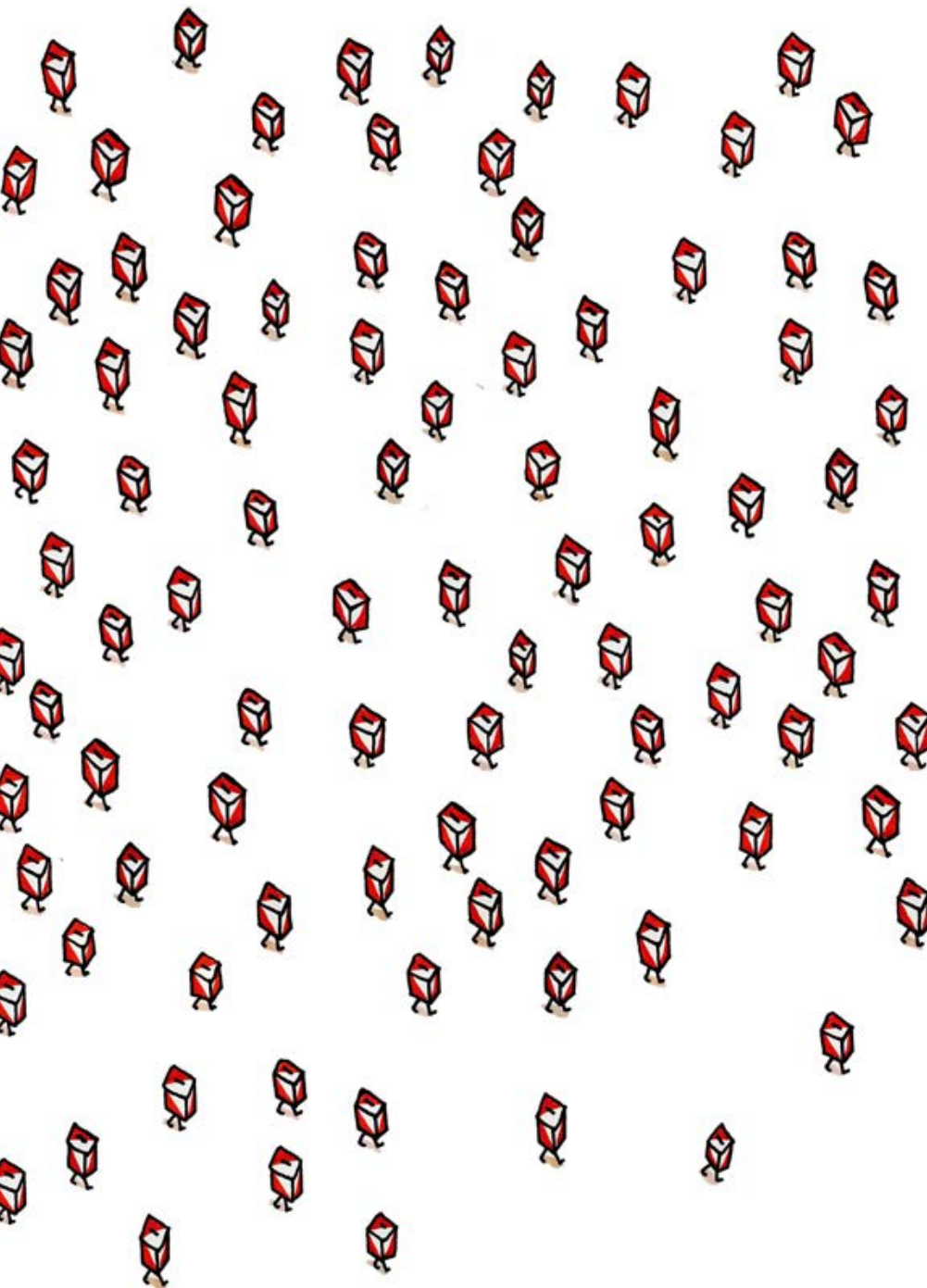
W zbiorowej świadomości zachodzą procesy, które moralnie odsuwają już PiS od władzy. Poglądy większości społeczeństwa coraz wyraźniej oddalają się od wizji, projektów i działań rządów Kaczyńskiego. Jego formacja jest mocno zużyta, trzyma się teraz głównie dzięki nadal wysokiej sprawności piarowej, marketingowej, socjotechnicznej. Znalazła się na sondażowym płaskowyzu, traci głębsze, ideologiczne wpływy, przestaje być tak wyraźnym jak kiedyś ideowym drogowskazem, poza swoimi żelaznymi 20 proc. najwierniejszych wyznawców. Ale jeszcze kusi także tych „miękkich”, którzy – jak pokazuje nasz sondaż – tkwią przy tym ugrupowaniu, nawet nie podzielając wielu jego poglądów i wartości, przyłączając się wręcz do krytyków obecnej władzy.

Ta specyficzna „przyczepność”, trwałość więzów elektoratu z PiS staje się fenomenem polskiego życia publicznego i jest wielkim wyzwaniem dla opozycji. Kaczyńskiemu udało się zanegować zwyczajowe polityczne reguły, rozchwiać kryteria oceny, wprowadzić alternatywne fakty i alternatywną moralność, własną wersję patriotyzmu i przyzwoitości. Opozycyjne sztaby, zwłaszcza Platformy, mają tego świadomość: że lider PiS otoczył swoich zwolenników szczelnym murem, stara się nie dopuścić do nich żadnych wrogich przekazów, aby nie mąciły im w poukładanych głowach. Także po to, aby pozostali przy nim po ewentualnych przegranych wyborach. Duża część kampanii Tuska i innych partii opozycyjnych polega na próbach przebicia tego muru, szukania dostępu choćby do części miękkich zwolenników Kaczyńskiego. Także po to, aby po wyborach polaryzacja nie była jeszcze większa niż przed nimi.

Polacy w aktywnej większości chcą, i to wyraźnie, innego kraju, z innym prawem, ustrojem, sądownictwem, prokuraturą, telewizją publiczną, relacjami międzynarodowymi, przepisami aborcyjnymi, ale zaskakuje to, że wcale nie ma pewności, czy to nowe państwo dostaną. Ta walka będzie trwała do ostatniej chwili i do ostatniego głosu.

MARIUSZ JANICKI

Badanie telefoniczne wspierane komputerowo (CATI) realizowane przez Opinia24 na reprezentatywnej próbie 1003 Polaków w wieku 18 lat i więcej, w dniach 23–26 września 2023 roku.



Mobilizacja i emocje

Rozmowa z socjologiem Przemysławem Sadurą o tym, co kampania mówi nam o Polakach i co opozycja może zrobić w ostatnich dniach przed głosowaniem.

ŁUKASZ LIPIŃSKI: – Jaka była ta kampania? Najmniej merytoryczna w III RP, ale chyba nie mogło być inaczej. Gdy opozycja walczy z populistyczną władzą, to sama musi sięgnąć po emocje.

PRZEMYSŁAW SADURA: – Odeszliśmy od modelu, w którym politycy tworzyli programy, żeby wygrać wybory, ale nie wygrywali wyborów, żeby realizować programy. Programy były ważne, partie ich od siebie żądały. Ale od czasu, gdy politycy odkryli, że ludzi naprawdę mobilizują emocje i pozwoliliśmy im na to, kampanie robią się coraz mniej merytoryczne. Merytoryczną politykę mieliśmy na pierwszym etapie transformacji, kiedy panował niepisany konsensus w sprawie integracji z Unią Europejską i NATO oraz przyjętego modelu rozwoju gospodarczego. Ale to dla ludzi stawało się coraz bardziej nudne, frekwencja wyborcza spadała – z 64 proc. w 1989 r. do 40 proc. w 2005 r.

Zainteresowanie udziałem w wyborach zaczęło rosnąć, kiedy do polityki wpuszczono duże emocje. Partie, które wydawały się sobie bliskie, PiS i PO, zaczęły wykorzystywać emocje, żeby sobie zorganizować elektoraty. Do tego PiS, który wszedł w koalicję z Samoobroną, obserwując z bliska populizm, zaraził się nim. A populizm, gdziekolwiek się pojawi, zaczyna psuć politykę. Narracja populistyczna jest łatwiejsza, nie trzeba się silić na programy, wystarczy wrzucić hasła, które trafią w społeczne nastroje.

PiS się nie zaraził populizmem, raczej spróbował i mu się spodobało.

Na tym to polega, że czerpie się ze wzorów innych. Poza Samoobroną takim wzorcem dla PiS były rządy Viktora Orbána na Węgrzech, które pokazywały, jak uprawiać populizm w UE – tak żeby jednocześnie być i nie być w Unii.

To była najbrutalniejsza kampania III RP?

Tak. Różni się od wcześniejszych, bo zmienił się przedmiot nienawiści. Osiem lat temu to byli uchodźcy, bo był wtedy europejski kryzys migracyjny. I wtedy po raz pierwszy pojawił się nieakceptowalny język zaczerpnięty z najgorszych tradycji – oskarżanie uchodźców o to, że roznoszą pasożyty.

Jak na nazistowskim plakacie z 1942 r. „Żydzi, wszy, tyfus plamisty”.

Tak, to jednoznaczne skojarzenia. Cztery lata temu obiektem szczucia były osoby LGBT i ludzie rzeczywiście kupili ten rzekomą spór. Dziś znowu wrócili uchodźcy, którymi Jarosław Kaczyński straszy, chociaż afera wizowa trochę skomplikowała tę narrację. Ale PiS stoi na takich



paradoksach. W polityce migracyjnej można szczerze przeciwko migrantom, blokować białoruską granicę w sposób niehumanitarny, a jednocześnie te same osoby z tych samych krajów wpuszczają, gdy opłacą łapówki. A musimy je wpuszczać, bo inaczej rynek pracy przestałby u nas funkcjonować.

Teraz obiektem nienawiści jest Donald Tusk – kwintesencja zła.

Podobnie jest z atakami na Agnieszkę Holland. Dla mnie to było szokiem, że urzędujący ministrowie takim językiem uderzają w reżyserkę, szczując przeciwko niej, porównując do nazistowskiej propagandystki. Doprowadzili do sytuacji, w której musi mieć całodobową ochronę. To nie jest standard demokratycznego społeczeństwa.

I widzimy skutki takich działań – ataki na posłów opozycji Martę Wcisło czy Borysa Budkę, na biuro senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego.

Przemoc stała się elementem uprawiania polityki. Przeszliśmy długą drogę – 10 lat ludzie byli niechętni polityce, bo „politycy się non stop kłócą”, zamiast wspólnie usiąść i rozwiązywać problemy. Ta niechęć do konfliktu i szczególnie agresywnych polityków była bardzo wyraźna. Od tego czasu przeszliśmy do stopniowej akceptacji mowy nienawiści. Elektorat opozycji nie pozostaje dłużny, wypowiedzi na temat wyborców PiS są coraz bardziej agresywne, pojawiają się klisze – przede wszystkim klasistowskie, że „hołota sprzedała swoją i naszą wolność za 500 zł” itd. Ale po drugiej stronie doszło do przejścia od mowy nienawiści do akceptacji przemocy w polityce. Cztery lata temu prowadziliśmy badania tuż po wyborach, żeby złapać ludzi w stanie emocjonalnego nakręcenia. I wyborcy PiS spontanicznie fantazjowali o tym, że jakby mieli karabin maszynowy, toby zrobili porządek z Paradą Równości.

Władza zaczęła się tą przemocą posługiwać, czego przykładem jest kampania nienawiści przeciwko Holland. Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW pokazało, że hejt rozpowszechniany w internecie i mediach społecznościowych ma wyraźny antysemityczny charakter. Elementem tej przemocy w polityce było też łamanie immunitetu posłanki KO Kingi Gajewskiej, zatrzymanie jej po to, żeby sprowokować, zastraszyć, ale też pokazać, że „możemy to zrobić”.

Na ile PiS był w stanie wykorzystać ogromną przewagę: spółki, aparat państwa, media rządowe? A na ile nie ma już ludziom nic do powiedzenia poza straszeniem Tuskiem?

To, co mogło zachwiać rządami PiS, to pogorszenie sytuacji gospodarczej. Prawica stoi bowiem na dwóch elektoratach – jeden to ideowy, ludzie zaniepokojeni kierunkiem i tempem modernizacji. PiS wykonał ogromną pracę, żeby skłonić starszych Polaków do udziału w wyborach, wycisnął z tego elektoratu więcej, niż ktokolwiek się spodziewał. Ale jest drugi elektorat i to dopiero on daje władzę, któremu ideowo nie jest po drodze z PiS. To kontraktowy, warunkowy elektorat – my nazwaliśmy go cynicznym, bo to osoby, które widzą w głosowaniu własną korzyść: czy to 500 plus, czy emerytura. I ten elektorat cyniczny trochę się zawałał, kiedy zobaczył, że mamy do czynienia z drożyzną.

PiS nie może wrócić do notowań powyżej 40 proc.

To głównie ubytek tych cynicznych, warunkowych wyborców. Już pod koniec ubiegłego roku aż 12 proc. badanych w sondażu, który zrobił dla nas Ipsos, deklarowało, że w przeszłości głosowało na PiS i już tego nie zrobi. Zapytaliśmy tych ludzi o powody rozczarowania – dominowały ogólniki, ale kiedy pojawiały się konkrety, to była inflacja, drożyzna, niespełnienie obietnic, wszystkie kwestie ekonomiczne. To spowodowało cofnięcie warunkowego poparcia dla PiS, a nie afery, korupcja, kwestia praw kobiet czy LGBT, a już zupełnie nie chodziło np. o łamanie praworządności.

PiS próbuje zaklinać rzeczywistość. Ale co z tego, że wystąpi szef NBP i zacznie opowiadać banialuki, że ceny nie rosną, jak ludzie widzą, że rosną? W 2015 r. można było obiecać 500 plus – to zadziało jako obietnica, potem jako obietnica spełniona. Można było jeszcze raz na tym wygrać wybory w 2019 r., strasząc, że opozycja zabierze te pieniądze. Ale trzeci raz tym samym programem nie da się wygrać. Można podwyższać świadczenia, ale wiadać, że to próba ratowania budżetów gospodarstw domowych w obliczu rozkręconej inflacji.

A skąd antyukraiński zwrot PiS?

PiS to populisci, którzy nie kierują się żadną ideologią. Mogą zmieniać narracje, bo dla nich najważniejsza jest skuteczność. W tym konkretnym przypadku dużą rolę odegrała reakcja rolników, a potem mieszkańców wsi – rolnicy od dawna nie stanowią większości mieszkańców wsi, ale wciąż nadają jej charakter. Pozwolono zalać Polskę tanim ukraińskim zbożem i PiS poczuł, że pali mu się grunt pod nogami. Więc partia postanowiła czasowo zagrać na nastrojach antyukraińskich.

Ale w polityce nie da się czegoś wprowadzić czasowo, bez reperkusji. Sztuczna obniżka cen paliw spowoduje skokowy wzrost – teraz się cieszymy benzyną za 6 zł, a po wyborach będziemy musieli się pogodzić z 8 zł. Podobnie jest w polityce międzynarodowej – tracimy zaufanie ukraińskiego partnera i przestajemy być ambasadorem sprawy ukraińskiej w świecie. Dodatkowo może to zadziałać jak przyzwolenie na okazywanie niechęci do ukraińskich uchodźców i zmieniać nastroje dotyczące wspierania Ukrainy w walce z Rosją. To, że nie ma żadnych świętości i interes narodowy można rzucić na szalę tylko po to, żeby wygrać wybory, pokazuje, iż jesteśmy w zupełnie innym miejscu niż 10–15 lat temu.

Dlaczego Konfederacji tak skoczyło poparcie, a teraz tak gwałtownie opadło?

Konfederaci przyciągnęli „normalsów” – odpowiednik pisowskiego cynicznego elektoratu. Nowi wyborcy nie zgadzali się z głównymi postulatami Konfederacji, z tak zwanej piątki Mentzena („Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”), im chodziło tylko o podatki. To byli normalni młodzi ludzie, którzy myśleli tak: „Mamy po 20–30 lat, nie mamy rodziny, nie mamy dzieci, 500 plus nas nie dotyczy. Do emerytury też daleko. Po co mamy płacić podatki, jak nic z tego nie mamy”.

Równoległe ci ludzie są równościowi w kwestii płci, nie mają nic do osób LGBT, nie wyobrażają sobie Polski poza Unią. Mało tego, popierają osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r. Ale tutaj media spełniły swoją rolę i przez kilka miesięcy do tych wyborców dotarło, czym jest partia, na którą chcieli głosować.

Czy Marsz Miliona Serc odmienił kampanię, może dać opozycji zwycięstwo?

Może. Ważne były te emocje tłumu, to, że ludzie mogą się zobaczyć i policzyć, że znowu mamy niewygodne dla rządzących obrazki tłumów wypełniających po brzegi centrum stolicy. Przypominały one zdjęcia z papieskich pielgrzymek, które przygotowały grunt pod zasadniczą zmianę społeczną. Oczywiście jest pytanie, czy starczy na to czasu. Ale taka mobilizacja, oprócz długoterminowych efektów kuli śnieżnej, ma też krótkoterminowe działania, podbija morale.

Marsz był substytutem jednej listy opozycji. Od samego początku uważałem i uważam, że opozycja powinna iść do wyborów razem. Gdyby opozycja była liderem sondaży, to już dawno do stałaby premię, bo są wyborcy, którzy ►



► preferują głosowanie na tych, którzy wygrywają. Lider w sondażach narzuca też tempo kampanii, to PiS musiałby się bronić, a opozycja narzucałaby tematy. Lecz marsz spowodował, że to PiS musi kombinować, jak go przykryć, z braku pomysłu na to, jak odpowiadać na mowę miłości Tuska, odpowiadać mową nienawiści. To na moment odwraca role w polityce i daje poczucie, że jest nas więcej i jesteśmy silniejsi.

Trzy listy też mają swoje zalety – można niuansować przekaz, iść szerzej. Samo walenie w Tuska nie wystarczy, żeby uderzać w całą opozycję.

Jasne, dzięki temu np. KO może sięgać po taki bardziej konserwatywny elektorat, bo jak nawet zniechęci tych najbardziej liberalnych wyborców, to przepłyną do Lewicy, stąd np. decyzja o wystawieniu Giertycha. Nie ma co narzekać, nie mamy wspólnej listy, fajnie, że przy okazji marszu opozycja się nie się pokłóciła. Na koniec stało się to, o co prosiliśmy od samego początku – jak się nie może zjednoczyć, to przestańcie się nawalać łopatkami po głowie. Wyjdźcie z piaskownicy, pokażcie, że jesteście teamem, że Polacy mogą być spokojni – oddać wam władzę w nadziei, że się dogadacie.

Czy niezdecydowani mogą zdecydować o wyniku wyborów? Kto ich lepiej mobilizuje, PiS czy opozycja?

W ostatnich dniach przed wyborami wszyscy mniej więcej wiedzą, jak zagłosują. Fetyszujemy tych niezdecydowanych, wielu z nich już tak naprawdę podjęło decyzję, ale nie chce jej ujawnić. Patrząc na sondaże, trochę obawiam się, że poparcie dla PiS może być niedowartościowane, a trochę nadreprezentowana może być Trzecia Droga, bo to taka bezpieczna opcja, żeby się przyznać ankietarowi. Ale może oni naprawdę są w stanie dotrzeć do Polaków, którzy są zniechęceni konfliktem politycznym.

Jedną z grup, którą mobilizuje opozycja, są młode kobiety.

Młodych kobiet osobiście dotyczy kwestia praw reprodukcyjnych. Ale ich mobilizacja to nie lada wyzwanie dla opozycji. To osoby, które rzadziej niż inne deklarują chęć udziału w wyborach, a zarazem wiemy, że gdyby zagłosowały, to na opozycję. Na podstawie sondaży Ipsos policzyliśmy, że jest 6-proc. grupa kobiet do 39. roku życia, które zarazem mają progresywne poglądy, np. oczekują liberalizacji ustawy aborcyjnej, jednocześnie są relatywnie antyklerykalne i nie wybierają się na wybory. 6 proc. to bardzo dużo – to byłaby armia, która mogłaby przesądzić wynik wyborów.

Jednocześnie wiemy, że kobiety do polityki zniechęca ostry konflikt. Szansą na ich przyciągnięcie byłiby Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz, którzy mówią „kochajmy się!”, ale w kwestiach praw reprodukcyjnych i aborcji nie są partią, na którą te kobiety mogłyby głosować. Opozycja ma tutaj problem, jak te kobiety pozyskać, a nie zniechęcić. Odpalono wiele akcji profrekwencyjnych skierowanych do tej grupy, mam nadzieję, że to zadziała.

Jaki powinien być przekaz opozycji w tych ostatnich dniach?

Bardzo mocny apel do młodych kobiet, że to jest walka o ich prawa, i że opozycji zależy na poprawie ich sytuacji. Przy czym ważne jest nie tylko, co się mówi, ale kto to mówi. Absolutnie niezbędne jest, żeby w tych ostatnich wystąpieniach opozycji pojawiły się też młode polityczki, np. w KO Kinga Gajewska ma swój moment.

Dругa rzecz to uderzenie w miękkie podbrzusze PiS. Swoją elektorat można mobilizować kwestiami praworządności, ale elektorat PiS demobilizują kwestie gospodarcze. Kluczowe jest pokazanie, że polityka PiS jest nieskuteczna ekonomicznie. Populiści obiecują skuteczność za wszelką cenę, nie mają żadnych skrupułów. Trzeba bazować choćby na tym, że Polacy wiedzą, iż cena benzyny jest sztucznie zaniżona i skoczy po wyborach. PiS próbuje ukryć, w jakim stanie jest gospodarka, żeby dotrzymać do wyborów, a Polacy to podskórnie czują.

Opozycja, żeby wygrać, musi użyć populistycznego kostiumu. PiS zbudował swoją potęgę, dobrze diagnozując, że Polacy są nieufni. I teraz Polacy znowu podejrzewają szwindel – że to tak nie działa, że PiS nie jest już w stanie spełnić obietnic. Trzeba to tylko umieć nazwać dobrymi słowami. A to może spowodować, że iluś potencjalnych wyborców PiS zostanie w domach.

Jaka jest stawka tych wyborów? Co oznacza zwycięstwo PiS albo opozycji?

Samo zwycięstwo opozycji to warunek konieczny, ale nie wystarczający, żebyśmy wyszli z populizmu. Jeśli mielibyśmy dalej u władzy populistów stosujących metodę „dziel i rządź”, kierujących pieniądze tylko do swoich, byłoby nam bardzo trudno. Dlatego odbicie państwa to pierwszy krok. W razie zwycięstwa opozycji po wyborach trzeba by się zająć na poważnie odbudową instytucji: praworządności, Trybunału Konstytucyjnego, mediów publicznych... A to nie takie proste. Skoro uważamy, że w Polsce nie da się z TVP zrobić BBC, to może istnieje pokusa, żeby sobie zrobić własną tubę propagandową. Podobnie można z Trybunałem: wymieńmy neosędziów na innych neosędziów i gra gitara. A nie można w ten sposób myśleć, bo to oznacza, że na zawsze pozostaniemy w tym populizmie, nigdy nie wrócimy do grona krajów o liberalnej demokracji.

Trzeba też odbudować zaufanie, a raczej zbudować, bo nigdy go w Polsce nie było. I bardziej zakorzenić wartości liberalne, czyli na serio potraktować, to, co było oczkiem w głowie prawicy – kultura i edukacja. Opozycja się zachowuje, jakby myślała kategoriami materialistycznymi, twardymi, a prawica wie, że w wielu kwestiach to świadomość określa byt. Dlatego tak serio traktują krucjatę w szkołach, nieważne czy to jest skuteczne czy nie. Na serio traktowali budowę prawicowego społeczeństwa obywatelskiego, jeszcze zanim byli u władzy – wszystkie Rodziny Radia Maryja, Kluby „Gazety Polskiej” itd.

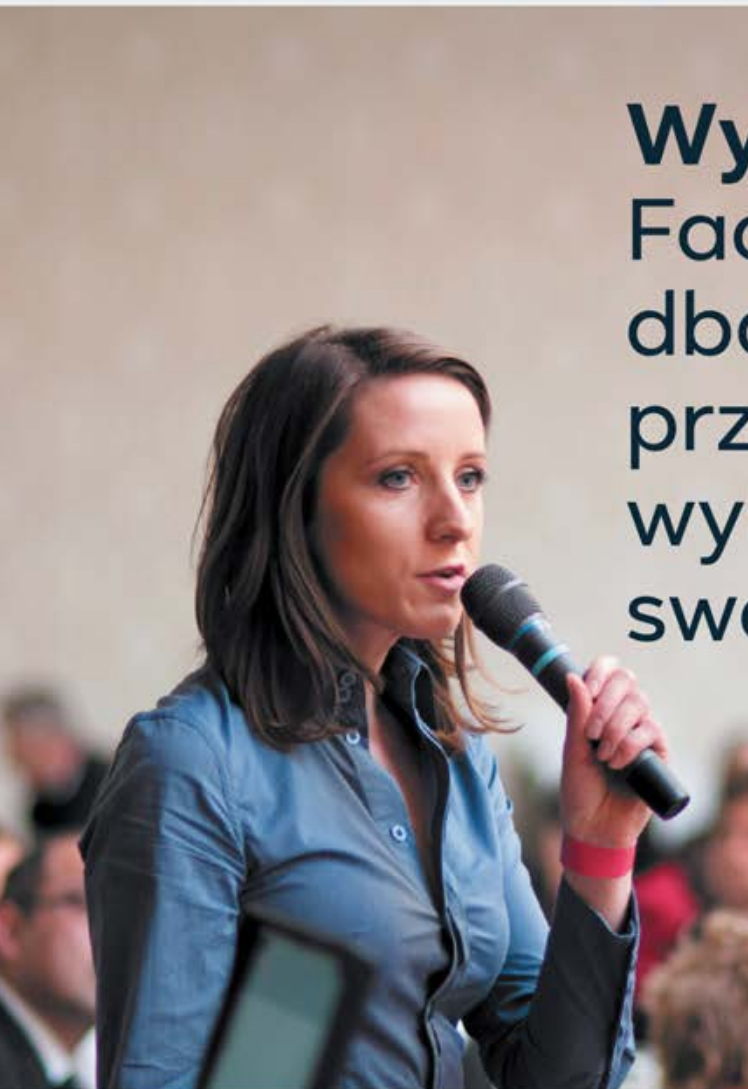
A potem, odkąd przejęli władzę, zaczęło się wspieranie, inwestowanie – afera „willa plus” to tylko wierzchołek góry lodowej. PiS wpompował w tę sferę tyle pieniędzy, że nawet jak stracą władzę, to będą twardo siedzieć na swoich pozycjach. Partie opozycji, które miały w przeszłości możliwość rządzenia, zajmowały się wszystkimi innymi resortami, poza edukacją i kulturą. Trzeba dowartościować te obszary, bo bez nich nic się strukturalnie nie zmieni.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ LIPIŃSKI



© LESZEK ZYCH

Prof. UW dr hab. **Przemysław Sadura**, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor licznych publikacji naukowych i raportów, a ostatnio ze Sławomirem Sierakowskim książkę „Społeczeństwo populistów”.



Wybory w Polsce. Facebook pomaga dbać o prawidłowy przebieg kampanii wyborczych na swojej platformie.

Kampanie wyborcze prowadzone są obecnie w coraz większym stopniu na portalach online. Serwisy społecznościowe zapewniają przestrzeń dla ożywionych debat społecznych. Facebook bardzo poważnie traktuje swoją odpowiedzialność za stworzenie odpowiednich warunków dla przebiegu kampanii wyborczych na swojej platformie.

Konsekwentnie przeciwdziałamy dezinformacji.

W celu ograniczenia rozprzestrzeniania fałszywych informacji współpracujemy z niezależnymi organizacjami weryfikującymi fakty. W Polsce naszymi partnerami są AFP i Demagog.

Pomagamy zapobiegać ingerencjom w wybory.

Nasze zespoły podejmują działania na całym świecie przeciwko tym, którzy próbują wpływać na dyskurs polityczny za pomocą skoordynowanych kampanii dezinformacyjnych. Obejmuje to wykorzystanie naszej technologii do znajdowania i usuwania osób nadużywających funkcjonalności naszej platformy, blokowanie fałszywych kont i ograniczanie zasięgu osób, które złamały zasady dotyczące ingerencji w wybory.

Chronimy i wspieramy kandydatów.

Zalecamy politykom korzystanie z naszego dwuetapowego procesu uwierzytelniania i kontroli bezpieczeństwa. Pozwala to skuteczniej chronić ich konta przed nieautoryzowanym dostępem. Ponadto promujemy bezpieczną wymianę opinii z wyborcami, umożliwiając kandydatom blokowanie obelg i nieodpowiednich komentarzy.

Zwiększamy przejrzystość reklam wyborczych.

Każdy, kto chce zamieszczać w Polsce reklamy polityczne na Facebooku i Instagramie, musi przejść pięciostopniowy proces autoryzacji. W naszej publicznie dostępnej bibliotece przechowywane są wszystkie reklamy polityczne wraz z informacjami o ich nadawcach i odbiorcach oraz przeznaczonych na nie nakładach finansowych.

Dowiedz się więcej na fb.me/polandelections2023

Ruina w budowie



RYSUNEK OPUBLIKOWALIŚMY JUŻ CZTERY LATA TEMU W PRZEDWYBORCZYM NUMERZE Z PAŹDZIERNIKA 2019 R. BYŁ ILUSTRACJĄ DO DYSTOPIJNEGO TEKSTU ZIEMOWITA SZCZERKA „PAŹDZIERNIK, ROK 2023” OPISUJĄCEGO POLSKĘ PO DRUGIEJ KADENCJI RZĄDÓW PiS.



Wybory zamykają dwie kadencje rządów Zjednoczonej Prawicy. Ale w kampanii właściwie nie było żadnych podsumowań. PiS skupił się na straszaniu Tuskiem i migrantami, opozycja też nie męczyła elektoratu raportami o stanie państwa. Jednak 16 października nie urodzimy się na nowo; wejdziemy w nowy etap z całym bagażem tych 8 lat. Więc warto sobie to i owo przypomnieć.

JERZY BACZYŃSKI

W wydaniach POLITYKI bezpośrednio poprzedzających wybory 2019 r. opisywaliśmy kończącą się wtedy pierwszą kadencję rządów PiS, trochę jak historię bolszewickiej rewolucji, podboju państwa przez wygłodzoną, bezwzględną, armię-partię. Odpowiednikiem szturm na Pałac Zimowy, zapowiedzią rozprawy z kolejnymi instytucjami demokratycznymi, był listopadowy (2015 r.) atak na „Pałac Sprawiedliwości”, czyli na ograniczający samowolę władzy Trybunał Konstytucyjny. Potem była napaść na Sąd Najwyższy, z zamiarem wyrzucenia (pod hasłem wcześniejszych emerytur) większości sędziów; likwidacja niezależnej prokuratury; zorganizowana kampania nienawiści wobec całej „sędziowskiej kasty”. Jednocześnie, jak w każdej rewolucji, zostały zajęte stacje telewizyjne i radiowe (TVP i PR), oczyszczone z dziennikarzy, potraktowane jak łup i zamienione w tuby propagandy. Szybko obsadzono też partyjnymi nominatami spółki Skarbu Państwa. I tak urząd po urzędzie, służba po służbie, instytucja po instytucji.

W ciągu kilkunastu miesięcy od wygranych przez PiS podwójnych wyborów w 2015 r. złamany też został publiczny opór. Wielkie antypisowskie manifestacje z lat 2016–17 w obronie sądownictwa praktycznie skończyły się niczym, podobnie jak protesty w Sejmie i pod Sejmem, po nielegalnym, bez udziału posłów opozycji, uchwaleniu budżetu w Sali Kolumnowej. Władza przeczekała wielkie marsze przeciwko „deformie edukacji”, czyli likwidacji gimnazjów, protesty wobec wycinki Puszczy Białowieskiej; akcje strajkowe lekarzy rezydentów czy nauczycieli. Jedynie Czarny Marsz, pierwszy ogólnopolski protest kobiet, spowodował czasowe zawieszenie prac nad zaostreniem przepisów antyaborcyjnych (ale 4 lata później jeszcze większe manifestacje zostały już zignorowane). Ustrój państwa ewidentnie zmierzał w stronę autorytaryzmu, bezwzględnego zawłaszczania państwa przez partię – i to punktowała, o tym głównie mówiła w kampanii przed poprzednimi wyborami, „totalna opozycja”. Nadaremno. Już nieoczekiwana przegrana w wyborach do Parlamentu Europejskiego w maju 2019 r. koalicji skupiającej wszystkie partie opozycyjne była zapowiedzią klęski październikowej, sygnałem, że PiS „wie coś” o wyborcach, o czym partie III RP jeszcze nie wiedzą. Zwłaszcza o swoich wyborcach, których opozycja próbowała odbić i nawrócić.

Patent na wygraną

Już po 2010 r., po katastrofie smoleńskiej i po osobistej porażce z Bronisławem Komorowskim w wyborach prezydenckich, Jarosław Kaczyński zmienił PiS z partii konserwatywno-liberalnej w populistyczną, według węgierskiego wzoru Fideszu Viktora Orbána. Postawił na elektorat „ludowy”, porzucony przez „partie reform”, mało aktywny politycznie i zawodowo, zamieszkujący wieś i małe miasta, najuboższy (ze względu na brak wykształcenia, wielodzietność lub status emerycki), na ogół religijny, zachowawczy, ksenofobiczny. Odkrycie i mobilizacja tych wyborców

– poprzez transfery socjalne i „godnościowe” – okazało się patentem na wygraną z dotychczas dominującą politycznie, powstałą po 1989 r. nową klasą średnią.

PiS obejmując władzę w 2015 r., miał też mnóstwo szczęścia (pewnie zgodnie z przysłowiem „Bad guys have good luck”), trafił bowiem na koniec najgłębszego po wojnie globalnego kryzysu, po którym nastąpiło potężne odbicie, lata najlepszej od dekad koniunktury gospodarczej na Zachodzie. Oszczędne rządy Tuska zostawiły mu też zrównoważony budżet i znaczne rezerwy finansowe. To pozwoliło spokojnie finansować programy socjalne PiS, łącznie z rewolucyjnym 500 plus, podwyżki płac i świadczeń. Dla milionów Polaków, także tych, którzy nie głosowali na PiS, pierwsza kadencja ich rządów była pewnie niekomfortowa politycznie, moralnie i estetycznie, ale korzystna materialnie.

W parlamentarnej kampanii 2019 r. opozycja znalazła się w trudnej, jeśli nie na straconej pozycji. Już podzielona po wspólnej porażce w eurowyborach, wciąż prowadziła niegdysiejszą wojnę, wdawała się z PiS w (rzekome) spory programowe, ostrzegała wyborców przed jedynowładztwem Kaczyńskiego, upadkiem demokracji w Polsce, zamordyzmem i przyszłym kryzysem. Dobrą ilustracją tamtego nastroju jest wyborczy numer POLITYKI sprzed 4 lat, w którym znalazł się tekst-opowiadanie naszego współpracownika, nagrodzonego Paszportem POLITYKI, Ziemowita Szczerka. Tytuł: „Październik, rok 2023” (ilustrację z tamtego tekstu zamieszczamy obok). Pisarz w owym październiku 2023 r. wraca z emigracji, na którą udał się po wygranych przez PiS wyborach w 2019 r. W kraju, w ledwie zipiących opozycyjnych mediach (większość już znalazła się pod kontrolą Związku Mediów Narodowych), znajduje opisy kolejnych afer korupcyjnych, ale nikogo to już nie rusza.

Kontrolowana politycznie prokuratura, zamiast wyjaśniać sprawę, grozi świadkom zainstalowaniem im na prywatnych komputerach dziecięcej pornografii. W tym państwie „służby i policja robią, co chcą, bo przed nikim nie odpowiadają”. Sądy jeszcze sądzą niezależnie, ale tylko w sprawach, „które partia ma w głębokim poważaniu”. Na Pałacu Kultury w stolicy, gdzie zamiast iglicy jest wielki krzyż, wyświetlane są tzw. paski TVP, np. „Lewactwo w panice ucieka do Niemiec. Do niewidzenia!”. Itd. Dystopijna wizja Szczerka, wyraźnie nawiązująca do „Małej Apokalipsy” Tadeusza Konwickiego, była literackim żartem, ale też, jak całe tamto wydanie gazety, ostrzeżeniem przed drugą kadencją PiS i domknięciem systemu autorytarnego.

Jednak to PiS w cuglach wygrał wybory 2019 r., uzyskując aż 43,5 proc. głosów (KO 27,5, SLD 12,5, PSL 8,5, Konfederacja 7 proc.). Ale cztery lata później, wbrew ówczesnym prognozom, system bynajmniej nie jest domknięty. Sędziowie, mimo wszelkich szykan, skutecznie bronią niezależności, nie dały się uciszyć wolne media, samorządy nadal w większości są poza kontrolą PiS, działają, okrajane z funduszy i praw, organizacje społeczne, a opozycja – mimo bezczelnych manipulacji władzy – jest tak blisko zwycięstwa jak nigdy po 2015 r. Coś PiS-owi poszło nie tak. ►

► W ogóle ta druga kadencja była inna niż pierwsza, i zapewne inna niż PiS planował.

Przed wszystkim zmieniły się okoliczności zewnętrzne. Po czterech latach gospodarczej prosperity, dającej wygodną osłonę dla demontażu demokracji, w 2020 r. przyszedł pierwszy kryzys: globalna pandemia Covid-19, która przez dwa następne lata paraliżowała gospodarkę i społeczeństwo. Potem, kiedy już w 2021 r. ruszył program szczepień, rozpoczął się kryzys migracyjny na granicy z Białorusią, wywołany przez reżim Łukaszenki, a w lutym następnego roku Rosja zaatakowała Ukrainę; za naszą wschodnią granicą rozpętała się wojna. Jednym z jej skutków był kryzys energetyczny, który podkreślił i tak już rosnącą w Polsce inflację do niepamiętanego w tym stuleciu poziomu 20 proc. Los sprawił więc, że zbudowane w pierwszej kadencji scentralizowane, jednopartyjne państwo PiS w drugiej kadencji zostało przeegzaminowane. Świadcstwo leży na stole.

Triki popandemiczne

Arbitalność pisowskich władz w pierwszej fazie pandemii robiła jeszcze wrażenie „sprawczości”. Podejmowano decyzje radykalne, zaskakujące, jak nagle zamknięcie granic czy zakaz wstępu do lasu; z Chin, największym samolotem świata, sprowadzono miliony maseczek; rząd zobowiązał się do zakupu respiratorów; ruszyła budowa tymczasowych szpitali. Z czasem większość tych spektakularnych działań okazała się tylko hucpą, marnotrawstwem i propagandą. W rzeczywistości niedoinwestowana służba zdrowia stanęła na granicy załamania. Głównie dzięki ogromnemu wysiłkowi personelu medycznego i imponującej (na początku epidemii) dyscyplinie społecznej nie było hekatomb. Ale ostateczny bilans covidu, mierzony liczbą tzw. nadmiarowych zgonów w proporcji do liczby ludności, był dla polskiego państwa kompromitujący: w tej niechlubnej, a właściwie haniebnej statystyce znaleźliśmy się na pierwszym miejscu w Unii Europejskiej. Także akcja szczepień przebiegła bardzo słabo. Ze względu na silnie obecne w sporej części własnego elektoratu teorie spiskowe i lęki, PiS nie egzekwował obowiązku szczepień, ostatecznie objęły one ledwie 64 proc. społeczeństwa, a w wielu „pisowskich regionach” 20–30 proc.

Doświadczenie covidu wzbogaciło jednak praktykę rządzenia o dwa nowe wynalazki, które były w tej drugiej kadencji stosowane w każdej następnej sytuacji kryzysowej. Pierwszy to tzw. tarcze. Wszystkie kraje Unii, wprowadzając lockdowny, czyli administracyjne zamrożenie aktywności gospodarczej, jednocześnie zdecydowały się na wypłatę rekompensat, zwykle finansowanych emisją specjalnych państwowych obligacji.

Polski rząd skopiował to rozwiązanie, tworząc specjalny „fundusz covidowy”, administrowany przez państwową spółkę Polski Fundusz Rozwoju. Fundusz wypłacił poszkodowanym firmom ponad 200 mld zł, ale nie zakończył działalności do dziś. Stał się jednym z wielu, choć największym, pozabudżetowym sejfem, z którego rząd, już bez kontroli parlamentu, finansuje ekstrawydanki. Zwłaszcza kolejne tarcze, nazywane przez propagandę antywojennymi, antyputinowskimi, antyinflacyjnymi itd. Tych tarcz, czyli dopłat, mających amortyzować społeczne, a zwłaszcza polityczne, skutki inflacji jest bez liku: dodatki węglowe, gazowe, energetyczne, zbożowe, do paliw rolniczych, nawozów itd. Zadłużenie samego tylko funduszu covidowego przekracza już 300 mld zł; kolejne 100 mld ma pójść na zakupy zbrojeniowe ze specjalnego Funduszu Wspierania Sił Zbrojnych, 14. emerytury finansowane są ze specjalnego Funduszu Pomocy. Takich skarbonków do zasypywania problemów pożyczonymi pieniędzmi są dziesiątki.

Drugi trik to tzw. specustawy, czyli regulacje dotyczące jakiejś szczegółowej kwestii, prawnicza droga na skróty. PiS generalnie

nie przestrzega standardów porządnej legislacji, ustawy przepycha często bez społecznych konsultacji, jako rzekome projekty poselskie, w procesie tworzenia prawa pomijają głosy niezależnych ekspertów i co do zasady ignoruje opozycję. Specjalne ustawy pisano dla przekopu Mierzei Wiślanej, budowy CPK, pod program Mieszkanie Plus, ale ustawa o przeciwdziałaniu Covid-19 dała rządowi nadzwyczajne uprawnienia, faktycznie wprowadzała stan wyjątkowy, bez jego ogłaszania, co, jak pamiętamy, miało ułatwić rozpisanie „kopertowych” wyborów prezydenckich w 2020 r. Potem specjalne ustawy (czasem jako szybkie nowelizacje) stworzyły na granicy polsko-białoruskiej tzw. zony, strefy zakazu przebywania m.in. dla dziennikarzy czy organizacji humanitarnych. Na podstawie specustawy powstał też mur na granicy z Białorusią, a straż graniczna uzyskała szerokie prawo stosowania przymusu bezpośredniego.

Niekiedy szczególne regulacje były uzasadnione i popierane przez opozycję, jak w sprawie przyjęcia na terytorium Polski setek tysięcy wojennych uchodźców z Ukrainy, czy wzmocnienia armii, ale to były wyjątki w legislacyjnej przemocy, której symbolem oprócz specustaw stały się rozmaite doraźne przepisy opatrywane w mediach tytułem „lex”: lex TVN, lex Tusk, lex Knebel, lex Czarnek. Wiele tych ustaw wymierzonych było bezpośrednio w opozycję i ogniska oporu społecznego, w sędziów, w media czy samorządy, jak słynny, wielokrotnie nowelizowany Polski Ład.

Jeśli mimo tego „system się nie domknał”, to również dlatego, że kolejne próby łamania praworządności w Polsce napotykały coraz większy, „opóźniający” opór Unii Europejskiej – kolejne wyroki TSUE i sprawa wstrzymania funduszy z KPO są tego ilustracją – a także rządu Stanów Zjednoczonych. Gdyby w USA wciąż, albo znowu, rządził Donald Trump, PiS byłby dużo dalej na swojej drodze do – jak to nazwał ostatnio Jarosław Kaczyński – „jasnej przyszłości”.

Sondażowe inwestycje

Mimo pełni władzy, niekontrolowanej już przez żadną niezależną instytucję, prawo i procedury, i w istocie bezkarnej, czyli mimo tak upragnionego „possybilizmu”, PiS kompletnie nie poradził sobie z wyzwaniem, jakie w ostatnich latach stanęły przed Polską. I chyba w ogóle nie zamierzał. Populistyczną metodą uprawiania polityki jest raczej podgrzewanie, eskalowanie problemów i napięć niż ich rozwiązywanie, bardziej zarządzanie emocjami niż rzeczywistością. Przypomniałem epidemii koronawirusa, podczas której władza odgrywała spektakl radykalizmu i stanowczości, ale tak samo było z każdą ważną sprawą. Nielegalna migracja na granicy z Białorusią: żadnych prób wprowadzenia „humanitarnych korekt” do (niekwestionowanej przecież) potrzeby ochrony granic. W to miejsce groteskowe paramilitarne parady polityków PiS. Żadnych realnych starań w celu umiędzynarodowienia problemu, choćby przez udział w pracach nad unijną polityką (anty)migracyjną. Zamiast tego ohydna, rasistowska propaganda oraz, z drugiej strony, afery wizowa, która realnie grozi nam wykluczeniem ze strefy Schengen.

A wojna w Ukrainie? Długo w tej sprawie był w Polsce ponadpartyjny konsens, właśnie łamany – na potrzeby kampanii – antyukraińską rządową retoryką. Kolejny z wielkich problemów to niebezpieczna dla wyborczych szans PiS drożyzna. Odpowiedź – kuriozalna praktyka i retoryka prezesa NBP, przedwyborcze manipulacje stopami procentowymi i cenami na stacjach Orlenu, ukrywanie realnych cen za sztucznie przedłużanymi tarczami, co grozi po wyborach ponownym, silnym odbiciem inflacji.

W państwie PiS, jak ktoś ładnie powiedział, władza inwestuje głównie w sondaże. Polityka społeczna i transferowa jest



REKLAMA

nakierowana niemal wyłącznie na grupy własnego elektoratu. Każdy kryzys jest zaś okazją do wytapiania „politycznego złota”, podkręcania strachu i negatywnych emocji u własnych wyborców, głównie poprzez wskazywanie winnych z podręcznego zestawu – Tusk, Niemcy, Unia, Zachód, Putin, opozycja.

Gdyby do prezesa PiS, który nadaje ton i styl swojej formacji, stosować kryteria ze szkolnej klasy, byłby beką, skarżypytą i samochwałą. PiS czuje się nieustannie obrażany i atakowany, obnosi się z krzywdą, biadoli; sam nie popełnia błędów, za nic nie przeprasza, zawsze to ktoś inny zaczął, zaszkodził, napadł. Ten infantylnizm okazuje się politycznie produktywny, bo pozwala wymigiwać się od odpowiedzialności za czyny i słowa, nie reagować na pytania, unieważniać krytyków i próby rozliczenia ze sprawowanej władzy. Ale na koniec tego cztero- i ośmiolecia przynajmniej media i organizacje pozarządowe próbują takie bilanse zestawiać. My także robimy to w serii sektorowych przeglądów, publikowanych w serwisie polityka.pl i w tekstach na łamach gazety (rozliczeniu tego 8-lecia jest także poświęcona moja książka „PrzyPiSy”). Ten bilans jest, musi być, surowy: PiS, umacniając swoją władzę, dramatycznie osłabił polskie państwo, postawił je na krawędzi politycznej, moralnej, cywilizacyjnej zapaści. Ono działa siłą firm, milionów porządnie pracujących i aktywnych ludzi, ale zasoby, rezerwy państwa są wyczerpywane i wyzerane. Oto hasłowy skrót naszych przedwyborczych raportów.

Sztucznie podzieleni

Polska starzeje się i wymiera, spadła przeciętna długość życia, mamy najgłębsze w historii załamanie demograficzne. Zaczyna brakować rąk do pracy, a mowy nie ma o jakiegokolwiek sensownej polityce pronatalistycznej czy migracyjnej. Kraj jest zadłużony na rekordowe 1,5 bln zł; poza kontrolą i wiedzą społeczną zaciągane są kolejne zobowiązania na setki miliardów i na pokolenia. Inwestycje, wbrew szumnym propagandowym zapowiedziom, tkwią na najniższym od dekad poziomie. Zagrożony jest napływ europejskich funduszy, spada innowacyjność gospodarki, załamała się przedsiębiorczość. Stajemy się coraz bardziej zależni od koniunktury w gospodarce niemieckiej. Dramatycznie niedofinansowana jest nauka: profesor wyższej uczelni zarabia średnią krajową, asystent pensję minimalną. Edukacja zmagą się z brakiem kadr, pieniądze, anachronicznymi programami i przymusową klerikalizacją. Po latach technicznej i kadrowej destrukcji armii podejmowane są paniczne, arbitralne decyzje zakupowe.

I tak po kolei: sądownictwo – czas oczekiwania na wyrok wydłużył się o połowę; w prokuraturze liczba przewlekłych, ciągnących się lata postępowań wzrosła kilkakrotnie. W służbie zdrowia kolejki do specjalistów są długie jak nigdy. A ochrona klimatu, środowiska, rzek przed zatruciem, lasów przed wycinaną i wyprzedaną drewna? A państwowy mecenat kulturalny, zamieniony w przepompownię pieniędzy do wspierających władzę środowisk? A polityka zagraniczna podporządkowana krajowej propagandzie? A prawa kobiet? I tak można punkt po punkcie.

Osiem lat rządów PiS zabiło politykę rozumianą jako rywalizacja o władzę według stabilnych, demokratycznych reguł i jakichkolwiek merytorycznych reguł. Co gorsza, podważyło, nawet ośmieszyło, samą ideę dobra publicznego, wartość kompromisu, roztropności, zaufania, szacunku, planowania, odpowiedzialności, bez których nie ma politycznej wspólnoty. Jesteśmy sztucznie, a na pewno nadmiernie i bez sensu, podzieleni. To pomału przestaje być nasz wspólny kraj. Jeśli PiS przegra te wybory, i tylko wtedy, będziemy mogli krok po kroku zacząć odbudowę utraconego rujnowanego państwa.

JERZY BACZYŃSKI

**„PrzyPiSy,
czyli krótka historia 8 długich lat”**
– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego,
redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.

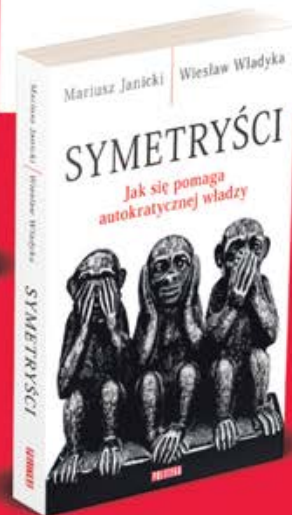
**Osobisty dziennik podróży
przez Polskę pod rządami PiS**

Historia 2015–2023 w zbliżeniach

**Przenikliwa krytyka
populistycznej władzy**

Z rysunkami Janka Kozy

Książki dostępne
w księgarniach,
na sklep.polityka.pl
oraz jako e-book.



**„Nie straszcie PiS-em”
„PiS-PO – jedno zło”
„Opozycja nie ma programu”**

**Analiza zjawiska symetryzmu
dokonana przez autorów tego pojęcia**

**„SYMETRYŚCI. Jak się pomaga
autokratycznej władzy” – nowa książka
Mariusza Janickiego i Wiesława
Władyki, zawierająca niepublikowany
wcześniej materiał.**

Gorący finisz

Byliśmy na kilku ostatnich przedwyborczych wiecach opozycji. Dominuje przesłanie: jesteśmy już dogadani w sprawie przyszłego rządu, rozliczymy PiS i zakończymy wojnę polsko-polską. Ale do zwycięstwa potrzebny jest każdy głos.

ZBIGNIEW BOREK

Konin



Wystarczy, żeby każdy, kto był na Marszu Miliona Serc, namówił jedną osobę. Nie dziesięć, nie pięć, nawet nie trzy. Wystarczy, że namówi jedną osobę, żeby zagłosowała na opozycję, a czarne zamieni się w białe” – mówił Tusk na spotkaniu z mieszkańcami Konina 3 października. To było pierwsze masowe spotkanie po warszawskim marszu, chodziło więc przede wszystkim o mobilizację wyborców i o to, żeby podtrzymać entuzjazm, który było widać na ulicach stolicy. – *Będziemy chcieli pokazać, że rzeczywiście olbrzym się obudził również u nas* – zapowiadał miejskowy poseł. Emerytka Bożena Strugarek: – *Byłam na marszu w Warszawie, piękne przeżycie. Teraz chcę być tu, bo lubię słuchać, co Tusk mówi i jak mówi, wierzę... nie, jestem pewna, że razem wygramy i wreszcie wróci normalność.*

Mam do pana pytanie

Przed spotkaniem z liderem opozycji słowo normalność jest odmieniane przez wszystkie przypadki. Według Bożeny Strugarek normalność to prawa kobiet, praworządność, uczciwy i przejrzysty system podatkowy. Januszowi Grajkowi kojarzy się z faktyczną demokracją („PiS udaje, że realizuje wolę większości”) i wolnością słowa („nie taką z TVP i Obajtkowych gazet”). Normalności dla małych przedsiębiorców oczekuje Kamila Jakimowicz, a Maria i Lesław Szabłowski widzą ją wtedy, gdy oświata, ochroną zdrowia i spółkami Skarbu Państwa rządzą eksperci, a nie dyletanci z politycznego nadania i ideologiczni fanatycy. Agata Zauer i Rafał Szczęsny normalnością nazywają odpowiedzialność polityków nie tylko przed wyborcami, ale też przed wymiarem sprawiedliwości. O potrzebie normalności mówi mama z dwojgiem dzieci oraz babcia: – *Referendum nie powinno służyć*

ogłupianiu ludzi na zamówienie polityczne, tylko pytaniu o rzeczy naprawdę ważne. Niech nas zapytają w referendum o to, czy chcemy wyjść z Unii, zamiast po cichu Polskę z niej wyprowadzać.

Niemal każdy i każda z nich już odczuł albo obawia się, że odczuje skutki ośmioletnich rządów PiS. Strugarek opowiada o kłopotach firmy jej syna (dawniej prowadziła ją z mężem) z chimerycznym fiskusem i rosnącymi podatkami. Janusz Gajkowski o tym, że jego interesy cierpią na braku KPO dla Polski: – *Prowadzę obiekty noclegowe dla robotników. Włożyłem w to mnóstwo pieniędzy, ale tych robotników ubywa, bo bez pieniędzy unijnych kończą się inwestycje.* Kamila Jakimowicz od 20 lat jest nauczycielką, od dziesięciu właścicielką przedszkola. Prowadzi je z mężem, zasuwa od rana do nocy, są dumni, że uczą maluchy krytycznego myślenia i pozwalają lepić pączki z błota, ale mają też czworo własnych dzieci i piąte w drodze. Pani Kamila boi się więc rejestru ciąży i powikłań na porodówce (rozważa poród w Kanadzie) oraz podwyżki płacy minimalnej: – *Każdy chce więcej zarabiać, bo wszystko drożeje, ale nie możemy podnosić czesnego w nieskończoność.*

To ludzie z Konina i okolicy: Kawnic, Ślesina czy Słupcy. Janusz Grajek przyjechał z Tarnowa Podgórnego pod Poznaniem. Był już na spotkaniu z Tuskiem w stolicy Wielkopolski i Dolnego Śląska. Bożena Strugarek zajęła miejsce w pierwszym rzędzie (i cały zaklepała dla znajomych), tuż przed krzyżkiem na parkiecie. Tu stanie Tusk, wokół będzie ponad 2 tys. osób, ale dla niej ważny jest bezpośredni kontakt. Jadwiga i Stanisław liczą na autograf Tuska (przynieśli jego książkę „Szczerze”). „Mam do Pana ważne pytanie” – wykaligrafowała na plakacie Kamila Jakimowicz (chce zapytać, jak ma utrzymać przedszkole, skoro rośnie

płaca minimalna, Tusk obiecał podwyżki dla nauczycieli, a państwo PiS zniszczyło ich autorytet). Agata Zauer (23 lata) i Rafał Szczęsny (24 lata) są świeżo po zaręczynach. Ślub chcieliby wziąć już w lepszej Polsce. Do głosowania na KO będą przekonywać rówieśników (ze spotkania planują rozsyłać filmiki), bo wierzą, że od młodych też coś w Polsce zależy.

Kołodziejczak – „pierwszy dla regionu”

„Wiem, że jeszcze będzie pięknie/Przegonimy mrok/Przegonimy całe zło/ Które w tym momencie/Chce nam zabrać szczęście/Uciszyć nam głos/My będziemy ponad to” – z głośników płynie przebieg rapera B.R.O., wiadomo: wchodzi Tusk. Szpaler jest wąski, ludzie robią selfiki, próbują przybić piątki, Tuska choć dotknąć. Lider opozycji rozdaje emocje, rzuca bon motami. I zapowiada rozliczenie PiS po wyborach: „Rozliczymy tych, którzy gwałcili konstytucję, zabierali prawa kobietom, wyplenimy kłamstwo z przestrzeni publicznej, ale nie będzie zemsty. To będzie droga do pojednania, za kilka lat nie będziemy pamiętać, jak polskie rodziny skakały sobie do oczu” – mówi (sala odpowiada aplauzem). Podkreśla, że jeśli ktoś nie chce głosować na KO, może głosować na inne, bliskie partie. W kolejnych dniach wzmacnia ten przekaz. W Rzeszowie apeluje do niezdecydowanych, żeby wybrali KO, „bo pierwszym warunkiem zwycięstwa jest zwycięstwo, żeby wygrać z PiS, trzeba być pierwszym”, natomiast wyborców Trzeciej Drogi i Lewicy namawia, żeby „głosowali na swoich” i nie dali się zwieść.

To także reakcja na próby zepchnięcia Trzeciej Drogi pod próg wyborczy w wykonaniu prezesa PiS: na finiszu kampanii Kaczyński niespodziewanie rozszerzył o PSL listę „wrogów Polski i Polaków”. Komuś



Kraków



Będzin

trzęsą się portki – komentują Hołownia i Kosiniak-Kamysz. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że o tym, kto będzie rządził, mogą zdecydować pojedyncze mandaty.

Wagę każdego mandatu widzą też Michał Kołodziejczak i Tomasz Nowak. Kołodziejczak dostał jedynekę na konińskiej liście KO jako spadochroniarz z Sieradza. Nowak dostał drugie miejsce, choć od 18 lat jest tu posłem. Jak mówi, „liczy się wynik w skali całego kraju”, schował więc dumę do kieszeni, choć po okolicy jeździ busem z napisem: „Pierwszy z Platformy Obywatelskiej. Pierwszy dla Regionu!”. – *Każdy orze, jak może, ale wszyscy jedziemy na jednym wózku* – uśmiecha się Kołodziejczak, stojąc koło tego busa. Jego samego ogólnopolskie anteny pokazują, jak zajeżdża skuterem w wiejskie obejścia, wciska ulotki traktorzystom w trakcie jazdy. Ten skuter to jednak trochę przymus, bo Kołodziejczak stracił prawo jazdy za zbyt szybką jazdę. – *Dwa za dużo* – mówi, a kiedy reporter powątpiewa, lider AgroUnii precyzuje, że jechał „dwa razy za dużo i jeszcze dwa”, w sumie: 102 km na godzinę. – *W terenie zabudowanym, ale za nazwy, tam nie było budynku. No, ale wie*

pan, jaki zbieg okoliczności: to się zdarzyło przed kampanią w miejscu, które leży w moim okręgu wyborczym.

Próbuje swoją AgroUnię odróżnić od KO także na poziomie symboli: Tuskowski dał w Koninie koalicyjne serduszko, ale biało-zielone. Nie przeszkadza mu, że on, Kołodziejczak, urodzony lider (jak mówi jego ekipa) i drugi Lepper (jak nazywają go media), na takich spotkaniach stanowi tło dla Tuska. – *Najważniejsza jest sprawczość. Razem wygramy wybory, pogonimy Kaczyńskiego i wprowadzimy normalne rządy. Zakończymy to pisowskie pasmo nieszczęść.*

Lewica i Trzecia Droga: wygrać i pojednać

Wspólne rządy opozycji po wygranych wyborach są oczywiste, podobnie jak to, że Konfederacja nie jest żadną opozycją, lecz potencjalnym koalicjantem PiS – mówiono na konwencjach Trzeciej Drogi i Lewicy w ostatni weekend kampanii wyborczej. Obie formacje podkreślają, że walczą „o zwycięstwo”, czyli o miejsce na wyborczym podium, które „w praktyce

zdecyduje o tym, kto będzie rządził Polską przez najbliższe cztery lata”.

Konwencja Trzeciej Drogi pod hasłem „Do przodu!” odbyła się w Krakowie. Być może dlatego działacze PSL w zielonych chustach było więcej niż odzianych w żółte koszule aktywistów Polski 2050. PSL obstał jedną stroną Hali 100-lecia KS Cracovia, Polska 2050 druga, środkiem obaj liderzy koalicji weszli na scenę otoczeni dziećmi. W oczy rzucała się ekipa z gminy Gdów, gdzie wójtem jest teść szefa ludowców Zbigniew Wojas, na sali była żona lidera PSL Paulina Kosiniak-Kamysz z córeczkami Zosią i Rózią. Dziewczynki na początku dzielnie słuchały przemówienia, potem wyszły przed budynek z mamą. „Wierzę w dobry wynik. Musi taki być, zwłaszcza dla tych dzieci. Nasze dziewczynki chodzą teraz do samorządowego przedszkola, potem pójdą do publicznej szkoły. To bardzo ważne, jaka ta szkoła będzie, jaki będzie w niej program” – komentowała mama.

Na konwencję przyjechała też ekipa z Częstochowy z dwiema kandydatkami do Sejmu, które wcześniej nie angażowały się w politykę. „Teraz tu jestem, bo Szymon mówi naszym głosem, wreszcie można głosować za większym dobrem, a nie za mniejszym złem” – wyjaśniała swoje decyzje Joanna Okularczyk. – Szymon mówi głosem zwykłych ludzi – dodała Joanna Perryka, a Krystyna Rzezinkiewicz (bezpartyjna córka oficera AK) mówiła, że zagłosuje za „ludźmi mądrymi”, żeby „Polska znów stała się normalnym krajem”.

„Nabierzmy ducha, nabierzmy wiary. Widzicie, że wiatr od kilku tygodni wieje w nasze żagle, że wszystkie te smęjące jękoły (...) powoli zaczynają przegłębiać na oczy i mówić, ojej, to rzeczywiście działa. Tak, to działa. Trzecia Droga działa. Trzecia Droga robi robotę” – przemawiał Szymon Hołownia na konwencji w Krakowie. „Alternatywa jest oczywista: albo ►



► Trzecia Droga, albo trzecia kadencja PiS – wtórował Władysław Kosiniak-Kamysz, podkreślając, że trzeba przegonić tych, którzy „od ośmiu lat doprowadzają do takiej klótni, takiej nienawiści, że ludzie w rodzinach przestali ze sobą rozmawiać”.

Lider ludowców odniósł się do słów Jarosława Kaczyńskiego wypominającego mu wiek: „Zacytuję fraszkę Sztudyngera: »Jedni są wiecznie młodzi, jedni są wiecznie starzy. To kwestia charakteru, a nie kalendarzy«. Przytoczył zasłyszaną od wyborcy „przypowieść” o czarnych i czerwonych mrówkach zamkniętych w jednym słoiku: „Dopóki nikt słoikiem nie rusza, mrówki się nie zabijają, ale wystarczy nim potrząsnąć, żeby zaczęły. Musimy przegonić tych, którzy od 8 lat potrzaskują tym słoikiem”. Apelowal do niezdecydowanych: „Głosujcie tak, żeby Polska znormalniała. Tak, żeby wasze dzieci i wnuki były z was dumne. Obiecujemy państwo bez zamordyzmu, patriotyzm bez zadęcia”. Hołownia nazwał PiS gangiem Olsena do kwadratu, ale do wyborców tej partii mówił: „Użyjcie jednego prostego argumentu: oni mieli 8 lat. Po 15 października nie będzie już jednej partii, jednego wodza, jednego mózgu, jednego kręcenia kulą ziemską. Nie będzie strachu, będzie nadzieja. Nie będzie Polski, w której rodzice wydają na korepetycje rocznie 7,5 mld zł, przy bezpłatnej szkole. Nie będzie już kolejek do lekarza specjalisty, dziś to [średnio] 164 dni”.

Obaj liderzy Trzeciej Drogi podkreślali potrzebę narodowego pojednania („To najważniejsza rzecz, którą ten przyszły rząd ma do zrobienia”), powtórzyli najważniejsze postulaty, m.in. akademik za złotówkę, finansowanie in vitro z budżetu państwa i refundowana wizyta u prywatnego lekarza, jeśli termin w publicznej placówce będzie zbyt długi.

„14 mln ludzi nie ma dostępu do komunikacji publicznej. Chcemy, żeby do każdego powiatu dojechał pociąg, do każdej gminy autobus” – podkreślał z kolei Włodzimierz Czarzasty. Na konwencji Nowej Lewicy w Będzinie na Śląsku liderzy byli witani jako „Avengersi Lewicy”, w rytm bębnow i przybitych piątek, sypało się konfetti, błyskały światła, powiewały flagi w barwach narodowych i partyjnych. Kto przemawiał, ten zbierał oklaski, po bardziej wyrazistych frazach sala skandowała imię lidera. Ten mechanizm zaciął się na samym początku, gdy z teledysku przemawiał Aleksander Kwaśniewski (miał być osobiście, ale trafił do szpitala). Były prezydent rekomendował głosowanie na Lewicę, ale kiedy Czarzasty oznajmił, że „takiego przywództwa chcemy”, zap-

nowała chwilowa konsternacja, oklaski były umiarkowane.

– *Poparcie Kwaśniewskiego to jeden z najmocniejszych elementów naszej kampanii, były prezydent do tej pory unikał tak jasnej deklaracji* – komentuje Katarzyna Kotuła (jedyńka z Gdańska), a Sylwia Bużniak (jedyńka z Chełma) dodaje: – *Wielu mieszkańców Będzina przyszło na konwencję z rodzinami. Część z nich na pewno kierowała się ciekawością, ale wielu wierzyło w pokonanie PiS. Czują to na swoich spotkaniach wyborczych, a na konwencji poczułam jeszcze mocniej.*

Czarzasty mówił o innych propozycjach: 35-godzinny tydzień pracy, świeckim państwie (ucięciu finansowych przywilejów Kościoła i wyprowadzeniu lekcji religii do salek katechetycznych) oraz budowie mieszkań do taniego najmu. Lewica chce przywrócić prawa kobiet (podobnie jak KO obiecuje m.in. legalną, bezpieczną i dostępną aborcję do 12. tygodnia ciąży), płatnych w 100 proc. zasiłków chorobowych, 20-proc. podwyżki płac i średniego wynagrodzenia w budżetówce na poziomie 130 proc. płacy minimalnej w kraju. „Te wybory będą o tym, czy chcemy pozostać w Unii, ale też o tym, jaka będzie Unia. Nie możemy traktować Unii tak, jak robi to PiS – jak skarbonki. To też unia wartości” – mówiła Anna Maria Żukowska.

„Setki tysięcy ludzi będzie teraz decydować, kto wygra te wybory. Musimy wrzucić piąty bieg – mówił (o niezdecydowanych) Adrian Zandberg, a Czarzasty podkreślał: „Jako Lewica jesteśmy wiarygodni, dowozimy do końca, od początku deklarowaliśmy, że działamy z całą opozycją, wiemy, że opozycja wygra wybory, po 15 października będzie rządziła. To wam obiecuję”.

Agresja i nadzieja

„Minister Rau wtargnął na spotkanie z wyborcami” – napisała w miniony weekend na platformie X kandydatka KO z Łodzi Aleksandra Wiśniewska (piąta na liście). Dołączyła nagranie, na którym widać, że szef dyplomacji przekrzykuje się z innymi osobami uczestniczącymi w spotkaniu, a eksperci i dziennikarze przypomnieli, że Zbigniew Rau (jedyńka PiS w Łodzi) nie spotkał się ostatnio z ministrami spraw zagranicznych UE w Kijowie. Wcześniej politycy obozu władzy zakładali też inne spotkania polityków opozycji. Wiceminister klimatu Jacek Ozdoba przeszkadzał Radosławowi Sikorskiemu i Janowi Grabcowi, rzecznik PiS Rafał Bochenek i rzecznik rządu Piotr Müller wturczyli się w konferencję posłów KO, Bochenek i wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski zaślaniai uczestników

innej konferencji kartonowymi wizerunkami polityków PO. Konferencję prasową Tuska przed siedzibą TVP zakłócił z kolei jej pracownik Michał Rachoń: liderowi opozycji nie pozwalał dojść do głosu, dziennikarzom zasłonił kamery.

W piątek (6 października) do biura Krzysztofa Kwiatkowskiego w Łodzi wtargnął z nożem agresywny mężczyzna, który odgrażał się dyrektorze biura, a nieobecnego senatora wyzywał od „zdrajców Polski”. To nie pierwsze takie zdarzenie w tej kampanii. Poseł PiS Paweł Kaleta opublikował nagranie, w którym z ręką na improwizowanym teblaku opowiada, że w Kaliszu padł ofiarą „nienawiści do niego i PiS”. Twierdził, że został potrącony przez działacza KOD (lokalny szef tej organizacji zaprzeczył). Pod koniec września posłanka KO Marta Wcisło informowała na portalu X: „Dziś tutaj, na targu w Opolu Lubelskim, zostałam napadnięta przez nieznanego człowieka. Zaczął mnie szarpać, grozić, mówić, że takich jak ja powinno się wybić”. Kilka dni wcześniej w Galerii Katowickiej zaatakowany został Borys Budka: „Mężczyzna najpierw krzyczał do mnie jakieś hasła. Wyzywał mnie od Niemców, nazistów, świni Tuska. Mówił do mnie paskami, które można przeczytać w TVP Info”.

– *Mam wrażenie, że agresja jest generalnie po stronie propagandy rządowej i polityków rządzącego obozu. Na ulicy, w rozmowach z ludźmi, na targowiskach w Oławie, Brzegu czy Oleśnicy, ja się z nią nie spotkałem, a cztery lata temu niechęć i to otwarta była obecna w bezpośrednich kontaktach z ludźmi. Dzisiaj, kiedy podaję swoją ulotkę, słyszę najwyżej: „Nie głosuję na tę partię”* – komentuje Kazimierz Ujazdowski (kandydat paktu senackiego we wrocławskim obwarunku).

Michał Kołodziejczak (jedyńka KO w Koninie): – *Byłem ostatnio na targowisku w Śremie. Ekipa TVP chodziła za mną z godzinę w nadziei, że ludzie mnie zwyzywają, ale wszyscy byli pokojowo nastawieni i śmiało się, że choć raz ta telewizja do nich przyjechała. Krzysztof Śmiszek, jedynka Nowej Lewicy we Wrocławiu: – *Dość mejle od ludzi, którzy chcą „oddać” swój płot na mój baner, jak zawieszałem jeden z nich w Górze Śląskiej, kierowcy pozdrawiali mnie klaksonami.**

„Wybory będą o wszystko, o być albo nie być – mówił Tusk w Koninie. – 15 października możemy uratować ojczyznę od wielu nieszczęść. Bez wysiłku zbrojnego, trzeba tylko przekonać każdego, kogo możecie, próbujcie wykorzystać każdą minutę. Idźcie i zwyciężajcie!”.

ZBIGNIEW BOREK

WSPÓŁPRACA KATARZYNA KACZOROWSKA



SONDAŻE
DEBATY

WYBORY

WYBORY 2023

WYBORY 2023

ANALIZY

PUBLICYSTYKA

**POSŁUCHAJ,
ABY WYBRAĆ**

RADIO I PODCASTY

Słuchaj na tokfm.pl/wybory lub w aplikacji mobilnej TOK FM

Orlen multikulti



Flagowe przedsiębiorstwo Rzeczypospolitej Polskiej, PKN Orlen, należące do Skarbu pokazuje społeczeństwu, jak skutecznie wprowadzić w czyn piękne idee wielokulturowości,

O

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Orlenowska rewolucja społeczna multikulti z fazy eksperymentu wkroczyła właśnie na poziom codziennej realizacji i w kolejnych latach będzie postępować. Rzecz dzieje się w Płocku i licznych wiejskich gminach północnego Mazowsza, gdzie decyzją władzy centralnej autochtoniczną ludność polską zetkniętą z żywiołem i kulturą Azji Środkowej. Chodzi o tysiące azjatyckich robotników rozbudowujących kombinat. Można by powiedzieć kwiecistym językiem mediów rządowych: współzycie przebiega bezkonfliktowo, a Polacy przekonują się empirycznie, że strach przed obcym, który początkowo tak silnie odczuwali, był nieracjonalny.

– Są mili, grzeczni, mówią dzień dobry, przepuszczają w kolejce do kasy – chwalać dziś cudzoziemców mieszkańcy okolic. – Wzylili się w Polskę, widać ich codziennie i nikt specjalnie nie zwraca na nich uwagi. Nie budzą już sensacji.

– Przyjechali do mnie dziennikarze z Francji i pytają: a co pan zrobi, jak przyjdzie tu Polka z narzeczoną z Bangladeszu i powie, że chce wziąć z nim ślub? – opowiada Sławomir Wawrzyński, wójt gminy Stara Biała. – Odpowiedziałem, że sprawdzę ich

dokumenty, bo do tego mam prawo, a następnie udzielię ślubu i jeszcze sobie zrobię z nimi pamiątkowe zdjęcie.

Okoliczności

Ale władza nigdy tak oficjalnie nie powie, bo idą wybory parlamentarne połączone z referendum antyimigracyjnym, w którym pytanie sformułowano tak, aby zawierało wskazaną przez rządzącą partię odpowiedź. Poza tym rząd zbudował mur na granicy z Białorusią i musi bronić sensu jego istnienia w patetycznych sformułowaniach, jako oznaki własnego patriotyzmu i przedmurza cywilizacji chrześcijańskiej. Zwłaszcza że urzędnicy państwowi zostali świeżo przyłapani przez niezależnych dziennikarzy na masowym handlu wizami do Unii Europejskiej. Polski rząd pokazał, jak omijać własne zakazy – wpuścił do Europy 250 tys. ludzi, przeciwko którym wznosił mur, także ten ze złych słów.

Co ciekawe – wojenny strach przed obcym i pokojową ideę multikulti, zaszczepiają obywatelom ci sami ludzie z rządu PiS oraz ich partyjne media. Na przykład TVP, która ogólnopolsko zażarcie zwalcza imigrantów, jednocześnie promuje wielokulturowość na potrzeby podpłockiej azjatyckiej siły roboczej Orlenu. A Maciej Wąsik, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, w wywiadzie dla płockiego portalu internetowego Petronews używa sformułowania „kraje żyzne migracyjnie”,



© MARCIN KOŁODZIECZYK

Państwa i kierowane przez ludzi rządu PiS, wielorasowości i wolności religijnej.

aby dojść do wniosku, że Europa umiera przez obcych, a jednocześnie Polska rośnie dzięki nim w siłę.

Rzeczywistość

Minister Wąsik spogląda z plakatów wyborczych porozwieszanych na płotach w Starej Białej pod Płockiem. Kandyduje do Sejmu z tego regionu jako lokomotywa, z nim liczni koledzy partyjni. W wojnie na plakaty we wsi PiS wygrywa ilościowo z konkurencją. Hasła mają wspólne, partyjne: „Bezpieczna przyszłość Polaków”. Jednak obowiązuje prawidłowość wieszania: PiS nie wisi wzdłuż ulicy ks. Kordeckiego, która przylega do kombinatu Orlen.

Wszystkie nazwy ulic w Białej pochodzą z „Trylogii” Sienkiewicza i tymi symbolicznymi dla Polaków ulicami przetacza się – na rowerach, piechotą, czekając na przystankach – wielorasowość. Turkmeni do Płocka i Warszawy na nocleg. Banglijczycy po mięso do sklepu. Podają się rozmokłą wiejską drogą z ogrodzonego, okamerowanego osiedla kontenerów, zwanego już w okolicach „obozem pracy”. Autobusy z ciemnoskórymi robotnikami na kwatery. Koreańscy technokraci nową terenówką. Paru czarnoskórych grupą po litrową wódkę – jest dużo śmiechu w spożywczym, bo karta płatnicza im nie działa, a sklepowa z nerwów pokrzykuje jak na dzikich.

To nowi mieszkańcy Orlenlandu, kilka tysięcy ludzi, a z Azji jadą kolejni. Orlen rządzi w okolicy pracą. Orlen, czyli rząd. Północne

Mazowsze – Orlenland. Ci zasiedzali już na budowie robotnicy fizyczni czują się całkiem po domowemu – w kłapkach i dresach, zmęczeni, niedogoleni, okutani w kilka bluz, bo w Polsce jesień.

Istnieje bardzo niewielka możliwość, że któryś z nich zostanie sfotografowany na tle plakatu kandydata PiS, powodując medialny tumult. Pisowcy wiszą w gromadach poza zwykłymi szlakami Azjatów z Białej; ronda wylotowe, sklep spożywczy koło kościoła. Stykają się z nimi jedynie Filipińczycy, którzy w niedzielę chodzą na msze do kościoła w Starej Białej, mijając plakaty Macieja Wąsika – ci mają na swoje usprawiedliwienie, że są, jak Polacy, praktykującymi katolikami. Ich koledzy z pracy w Orlenie to głównie niepraktykujący muzułmanie.

Lepsi

Wąsik przedstawia się w wywiadzie dla portalu Pertronews jako mąż stanu osobiście dbający o bezpieczeństwo Orlenlandu – brifuje się z policją i strażą graniczną, wciąż monitoruje zagrożenia i musi stwierdzić, że ich nie odnotowuje. Wskazuje to na istotną różnicę między „naszymi” Azjatami z „krajów żyznych migracyjnie”, a tymi, co zalewają Europę Zachodnią. Kandydat ma nadzieję, że Europa przykładem Polski zorganizuje referenda antyimigracyjne. Zwyczajnie „nasi” Azjaci są lepsi niż „ich”. Zrobią robotę na Orlenie i mają wrócić do siebie – tyle w temacie.

– *Normalni, umieją się zachować, często to bardzo biedni ludzie, przyjechali za pracą – słysząc dziś w Starej Białej. – Czasem aż żal na nich patrzeć, przecież każdy tam u siebie zostawił rodzinę. Każdy chce lepiej żyć, dlaczego mielibyśmy im zabraniać?*

„Ich” imigranci, grzmi minister i jednocześnie płocki kandydat wyborczy Wąsik, sięją strach na ulicach zachodnioeuropejskich miast. Strach tam chodzić po zmroku. Jak już raz się zainstalują, to zaraz sprowadzą rodziny, a te rodziny sprowadzą swoje rodziny. Ponadto imigranci nie prowadzą kontroli rozrodczości, jak cywilizowani odpowiedzialni Europejczycy, dlatego rodzi ich się niezwykle dużo, coraz więcej. Wprowadzają prawo szariatu, jak lata temu wieszczyl prezes Kaczyński. Kraje, jak Szwecja i Francja są na prostej drodze do zaprzestania istnienia, jeśli się nie opamiętają – wszystko przez tę nielegalną imigrację. Przetrywają, jeśli wezmą przykład z Polski. Bo w Polsce 90 proc. społeczeństwa czuje się bezpiecznie (nie podaje źródła danych, ale „bezpieczeństwo” to partyjny slogan wyborczy); w Polsce można jeszcze wyjść wieczorem na spacer i nie bać się imigranta.

Podpłoccy cudzoziemcy są całkowicie bezpieczni dla Polaków, ponieważ sprawdzeni przez służby – zapewnia minister Maciej Wąsik.

Lato

Ale późną wiosną Orlenland zadrzał ze strachu przed obcym. Opisaliśmy to w POLITYCE (28/2023). Ogromne puste pole pomiędzy kombinatem a prywatnymi gospodarstwami w Starej Białej ogrodzono metalową siatką i rozpoczęła się budowa miasteczka kontenerowego dla 6 tys. robotników z Azji – białe kontenery, stawiane jedne na drugich, z możliwością dostawienia kolejnych na dachach w razie potrzeby, niemal z dnia na dzień podpełzły wsi pod okna. Rękami cudzoziemców PKN Orlen miał się powiększyć o zakład rafineryjno-petrochemiczny Olefiny III.

Kontenery stały parę tygodni aseptycznie białe i puste, jakby sprawdzały reakcję opinii publicznej. Codziennosc spotykała się w Białej z polityką. Kalendarz polityczny niekorzystny dla władzy PiS: rok wyborczy; jak tu mądrze pogodzić 9 miesięcy ścisłego stanu wyjątkowego na granicy z Białorusią, zmilitaryzowania zony przygranicznej, budowę muru zaporowego, siłowe wypychanie ludzi przez Straż Graniczną i przypadki odmowy niesienia im pomocy humanitarnej, podgrzewany przez partyjne media ►

► na czele z TVP strach przed obcymi – z otwartymi szeroko ramionami na siłę roboczą z Azji? Jak pogodzić „zapraszamy” z „wypierdalać”? Sprawa się wydała, trudno było nie zauważyć lśniącego w polu pod kominami Orlenu miasta kontenerowego. Mieszkańcy Orlenlandu się buntowali. W gminach, do których zjeżdżali ciemnoskórzy robotnicy, trwały burzliwe spotkania społeczności. Na zmianę partyjnej strategii wyborczej z anty-migranckiej na antyinną było już za późno.

– *Sami sobie ten strach wyhodowali we własnej telewizji, która jest z nazwy publiczna – mówi jeden z lokalnych samorządowców z okolic kombinatu. – U pisowców był dym z głów, jak tu teraz przełknąć tę żabę bez straty w sondażach.*

Do miasteczka kontenerowego w Starej Białej władza wpuściła dziennikarzy. Obejrzeni, co im pozwolono, pod nadzorem. Smutne, wybetonowane przestrzenie, żadnego drzewa. Dwie piętrowe prycze w baraku, z mebli stół i krzesło. Kamery wokoło, wysoki płot zwieńczony sterczącymi drutami, żeby nikt nie przeszedł (dla bezpieczeństwa pracowników z Azji). Apogeum zasiedlania miało się rozpocząć latem 2023 r.

Przystanek

Środek tygodnia w Białej, na przystanku autobusowym czeka dwóch cudzoziemców i kilkoro Polaków. W tle fantastyczne za-budowania rafinerii Orlenu (kręcono tu kiedyś film „Pan Kleks w Kosmosie”). Cudzoziemcy ubrani w wyjściowe stroje – nowe dżinsy i skórzane kurtki – przy nogach położyli wyładowane spożywczymi zakupami torby. W Płocku zdarzyło się, jak opowiada jeden z Polaków mających na co dzień z racji pracy kontakt z azjatyckimi robotnikami, że pod Biedronką okradziono Azjatów z zakupów. Czegoś tam zapomnieli kupić, zostawili siatki w wejściu, gdy wyszli – nie znaleźli. Takie pozdrowienia od polskich autochtonów, cywilizacja.

Ci dwaj z przystanku jadą do Warszawy. Tam mają wynajęte mieszkanie, jutro przerwa w pracy, na budowę Olefin III przyjeżdża kolega. Kolega wróci, będzie miał przerwę – i tak w kółko, ciągle w małych podróżach tysiące kilometrów od domu.

– *Wizy mamy na rok – mówią mężczyźni i rwą się do pokazywania dokumentów, choć nikt nie prosi. – Przez rok nie będziemy widzieć rodzin inaczej niż w kamerce telefonu. I dodają niepytani: – Polska to bardzo przyjazny kraj i bardzo dobrzy ludzie. Podoba nam się w Polsce.*

Są Turkmenami, nie znają angielskiego, po rosyjsku mówią dobrze. Tylko się wstydzą, rozglądają się po twarzach współpasażerów, jak ci zareagują na dźwięk rosyjskiego. I mają rację: zrywa się natychmiast jeden Polak i przebiega na drugą stronę ulicy. Zdaje tam sprawę znajomemu: po rusku, k..., gadają. Turkmeni milkną, na szczęście jest ich autobus. Kiedy zaczynała się wojna rosyjsko-ukraińska, władzę w Turkmenii przejął syn dotychczasowego prezydenta. Wprowadził konstytucyjne prawo, że rodzina obu prezydentów jest nietykalna prawnie. Obaj, ojciec i syn, studiowali w Moskwie, a ich pierwsze wizyty zagraniczne, to były pielgrzymki do Mekki. Takich szczegółów się w Białej nie zna powszechnie, tylko tyle, że wyrwać się z tak zamordystycznego kraju do Europy, to jak złapać Allacha za nogi.

Obsada przystanku się zmienia. Przyszli ciemnoskórzy w roboczych kombinazonach. Nie chcą rozmawiać, ale zapewniają, że mają legalne wizy – choć nikt nie pyta. Wizy, mówią, były wyrabiane dla całej grupy, nie pojedynczo. Nie było pytań, tylko czasem wybiórco: czy zamierzają wrócić po robocie do siebie? Kogoś, kto by powiedział, że chciałby zostać w Europie na życie, uznaliby za idiotę. Pracy by nie dostał.

Ulicą ks. Kordeckiego przejeżdża leniwie radiowóz. Tylko się pokazać, że czuwa – bo policja nie narzuca się w Orlenlandzie.



© MACIEK NABRDLIK/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS

Dym

Kiedy w czerwcu 2023 r. ludność Orlenlandu zbuntowała się przeciw obcym, uspokajając nastroje przyjechał z Warszawy osobie Maciej Wąsik. Załatwił rzecz po generalsku: więcej policji (80 ludzi z Radomia), posterunek w miasteczku kontenerowym. I taki, „jak gdyby, areszt” (nikt nie powie wprost: areszt). Plus więcej patroli dniami i nocą, wrażenie otoczenia policją – wszystko dla bezpieczeństwa Polaków.

Cudzoziemcy byli już wtedy widoczni w okolicy. Kupowali nawet domy w sąsiednich gminach, wynajmowali kwatery u ludzi i w ośrodkach wypoczynkowych z dala od miast. Chodziło o to, żeby mieli spokój/nie rzucali się w oczy (zależnie z kim się rozmawia). Północne Mazowsze jest piękne, a sprawa Azjatów zrobiła się delikatna także dlatego, że ma tu domy wielu polityków wszystkich opcji. Zepchnięci pod miasto ciemnoskórzy, nawet żyjąc w ogrodzonych ośrodkach, jednak wywołali strach.

– *Była wśród ludzi taka niejasność – wspomina mieszkanka okolic Koszelówki. – Bo z jednej strony tyle się mówiło w telewizji, że uchodźcy szturmują polskie granice, że to agenci Putina, że Polska zbudowała mur i wysłała wojsko pod granicę białoruską. No istna wojna z uchodźcami. A my tu nagle widzimy, że do cichego ośrodka nad jeziorem sprowadza się pół tysiąca ciemnoskórych mężczyzn. Minęło parę miesięcy i muszę przyznać, że nie czuję strachu przed tymi ludźmi – normalni, cisi, grzeczni, rzadko wychodzą na wieś.*

Koszelówka to podpłocki kurort nad Jeziorem Zdwojskim. Azjaci sprowadzili się do wystawionego na sprzedaż, od kilku lat pustego, ośrodka wypoczynkowego Exploris w centrum miejscowości. Przylega on do innego wielkiego i znanego ośrodka Zacisze-Bis, urządzono w nim spotkanie niezadowolonych z nowego z sąsiedztwa.

– *Było burzliwie, zaczynał się sezon i baliśmy się, czy nasi turyści przyjadą, kiedy się dowiedzą, że obok zamieszkało kilkuset Azjatów – wspomina Krzysztof Kaźmierczak, właściciel Zacisza-Bis. – Najbardziej niezadowoleni byli działkowicze: mówili, że jak ktoś tu przyjeżdża na wakacje, to może sobie wybrać inne miejsce, ale jak ma dom, to musi przyjeżdżać. Zdarzały się głosy, że ktoś już gdzieś był napastowany przez tych cudzoziemców, że okradziony.*



Migranci, pracownicy Orlenu mieszkają m.in. w ośrodku Exploris nad Jeziorem Zdrowskim.

zdjęcia, chodzą do restauracji. Grzeczni, uśmiechnięci. Podoba mi się taki Płock.

W paru remontowanych lokalach miasta wkrótce otworzą się restauracje: na przykład „prawdziwy turecki kebab”. Sławomir Wawrzyński, wójt gminy Stara Biała, opowiada, jak jego urzędnicy witali azjatyckich budowlańców na dożynkach gminnych – szczyrze, chlebem i solą, po angielsku. Wszyscy siebie ciekawi, pogadali interkontynentalnie – ale z angielskim u Azjatów słabo, po rosyjsku nie chcą. Wójt chodził w dożynkowym w tłumie i zagadywał: Filipino? Turkmenia? Bangladesz? Albo skracał dystans, mówiąc: chodź, kolego, postawię ci piwo. Nie chcieli, mówili, że nie piją – muzułmanie. Z tym że cała polna droga, którą codziennie jeżdżą na rowerach z kontenerów na zakupy we wsi, dosłownie usłana jest puszkami po mocnym piwie.

Ostatnio przyjechał na wywiad zagraniczny dziennikarz, który, wycelowawszy w wójta kamerę, powiedział wprost: pan powie coś złego. Ale nic złego, mówi wójt, spokojnie, ludzie grzeczni. I jeszcze mówi: taka kolej rzeczy, świat się zmienia, kraj się rozwija, potrzebujemy pracowników z innych krajów.

Krzysztof Kaźmierczak całe lato przyglądał się Azjatów z ośrodka obok. Przychodzili do niego posiedzieć przy stole, pogadać. Owszem, są odmienni kulturowo: nie można im wytłumaczyć, żeby pestek słonecznika nie rzucali na podłogę. Ale niektórym Polakom też nie można. Z Polakiem nawet gorzej, bo pyskuje, a Azjata grzecznie się stosuje, bo ma powiedziane, że jeden wybryk i wypad z roboty.

Kandydat

W wywiadzie dla portalu Petronews Maciej Wąsik daje wskazówki zachodnioeuropejskim służbom kryminalnym, że bezwzględnie należy ścigać przemytników ludzi. Są to bowiem bandyci, którzy na swoim procederze zarabiają obecnie większe pieniądze niż biznes narkotykowy. Nie ma dla Europy w tym temacie, zdaniem ministra, lepszego przykładu niż Polska.

Po jednoznacznym stwierdzeniu faktu zaprowadzenia całkowitego bezpieczeństwa antycudzoziemskiego obywatelk i obywateli w Orlenlandzie, gdzie przyjechało tysiące Azjatów, którzy po robocie wszyscy grzecznie wyjadą (nie podaje źródła tej informacji), minister przechodzi płynnie do muru na granicy polsko-białoruskiej i filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”. Po pierwsze: mur jest potrzebny i powinno być więcej murów granicznych. Po drugie: film Holland jest nieprawdziwy (minister Wąsik podaje tu jako źródło swe rozmowy z funkcjonariuszami Straży Granicznej). Jakoś tak te tematy się narracyjnie łączą: Orlenland, mur, Holland.

Tymczasem, jak się okazuje, przesunięciu uległo apogeum sprowadzania azjatyckich robotników pod Płock. W kontenerach powinno ich być do tej pory – zgodnie z zapowiedziami z czerwca – ok. 3 tys. A jest tylko ok. 700 osób – w gminie Stara Biała policzyli to na podstawie zużywanej przez kontenerowe miasteczko wody per capita. Okolica prosto to sobie tłumaczy: PiS nie chciał drażnić ludzi przed wyborami.

Wywiad z ministrem Wąsikiem ukazał się na stronach portalu Petronews 1 października 2023 r. Petronews publikuje ogłoszenia wyborcze prawie wyłącznie kandydatów PiS, w tym ministra Wąsika. Portal przedstawia sam siebie jako najszybciej rozwijający się portal lokalny w Płocku, którego atutami są rzetelni dziennikarze i niebanalne tematy.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Potem się okazało, że to nieprawda. Teraz jest spokój, sezon był może najlepszy, ale turyści jednak przyjechali.

– Byłem wtedy zdziwiony, że nikt nas nie poinformował o sprowadzeniu do Koszelówki tak dużej grupy cudzoziemców – mówi Zbigniew Białecki, wójt gminy Łąck, w której skład wchodzi Koszelówka. – Lokalna społeczność mocno zareagowała. Dla gminy to były jeszcze wyzwania gospodarcze: większa ilość potrzebnej wody, większa ilość ścieków – i to tuż przed sezonem turystycznym. Powołaliśmy nawet sztab kryzysowy. Ale jest spokojnie. Lato minęło bez incydentów.

Multikulti

Dawny ośrodek Exploris, obecnie własność tureckiej spółki, stoi cichy, owinięty wzdłuż płotów, także od strony jeziora, szczerłą, zieloną siatką. Zakaz parkowania w pobliżu. W dwóch bramach od głównej ulicy czuwają wynajęci ochroniarze (polska firma). Rano i wieczorem wjeżdża na teren kilka autobusów wypełnionych robotnikami budującymi dla PKN Orlen. To głównie Turkmeni zatrudnieni przez turecką firmę ILK Construction, jednego z podwykonawców inwestycji. Na stronach internetowych ILK chwali się doświadczeniem i podaje kraje, w których pracowało – Turkmenistan, Azerbejdżan, Rosja, Kazachstan i Wenezuela. Radca Marcin Lubiński, pełnomocnik prawny ILK, mówi, że sam też trochę obawiał się lata z cudzoziemcami w Koszelówce, zwłaszcza po pierwszych buntach mieszkańców, ale teraz już spokój – Azjaci żyją, pracują, nie są skoszarowani, mogą w każdej chwili zrezygnować z pracy. Na święta muzułmańskie poprosili o pomoc w zdobyciu jagnięciny. I dostali. Są na rynku mieszkaniowym kłopoty ze znalezieniem lokum, dobra koniunktura dzięki tym cudzoziemcom. Orlenland rozpędza się gospodarzo.

– Tę zieloną płachtę na płocie ośrodka założyliśmy przed sezonem, z jednej strony po to, żeby pracownicy nie wywoływali niepotrzebnej ciekawości otoczenia, z drugiej, by zapewnić optymalne funkcjonowanie sąsiedniego ośrodka – mówi Lubiński. I dodaje: – Płock się bardzo zmienił przez ostatnie miesiące. Kiedy się wychodzi na miasto, to widać wielu cudzoziemców. W weekendy biegają Koreańczycy, spacerują Hindusi, inne nacje, robią sobie



Idole naszych dzieci

Najbardziej rozpoznawalni twórcy polskiego YouTube wykorzystywali seksualnie swoje fanki. Najmłodsze miały 13 lat i sądziły, że sami bogowie zstąpili do nich z Olimpu. To znacznie więcej niż „internetowa aferka”.

AGATA SZCZERBIAK, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Krzysztof Gonciarz to jeden z najpopularniejszych polskich youtuberów (979 tys. subskrypcji), publicznie wspierający kobiety i społeczność LGBT+, co teraz tylko wzmocniło atak na niego. Daria Dąbrowska, modelka, jego była dziewczyna, wyznała, że za seks oralny oferował jej narkotyki, seks miał generalnie charakter transakcyjny i „nietrzeźwy”. Gonciarz przesadzał z alkoholem i twardymi narkotykami. Ale też wybierał młodsze i borykające się z problemami natury psychicznej i nałogami dziewczyny. „Ućpam cię tak, żebyś nie wiedziała, co się dzieje”. „Do oferty dorzucam też ru... na trzeźwo” – zagajał. W końcu modelki, które przyjeżdżały do Japonii, były przed nim ostrzegane (youtuber od lat mieszka w Tokio).

Gonciarz opublikował przeprosiny, które z każdą liniijką ewoluują w nieprzeprosiny, wtrąca w nie bowiem uwagi o rozmaitej „interpretacji słów” i „clickbaitowych nagłówkach”. Podkreśla, że „nie rozumiem własnego zachowania”, „jest w terapii”, po „wielu przełomach”. Ci, którzy znają go osobiście, dodają, że mówi tak od dawna. Po Dąbrowskiej i dwóch anonimowych kobietach odezwały się prędko inne pokrzywdzone, w tym modelka Hanna

Koczevska. Pewne elementy są w ich opowieściach stałe: manipulacja, poniżanie, brak szacunku.

Gonciarza, okrzykniętego „hipokrytą seksistą”, przyćmiły od razu kolejne historie z jego młodszymi kolegami youtuberami w roli głównej. Jeszcze bardziej wstrząsające, jak to zwykle bywa, kiedy kula śnieżna się rozpędza. Całej aferze nadano kryptonim „Pandora Gate”, bo tak to określił Sylwester Wardęga, youtuber-performer, który stworzył puszkę w swoim demaskatorskim materiale.

Miłe zdjęcia, młode laski

Nie ma dnia, żeby nie wyszły na jaw nowe sensacyjne szczegóły z prywatnego życia polskich youtuberów. Gargamela, właściwie Jakuba Chuptysia, też zdemaskowała była dziewczyna. Laura Klaus miała 16 lat, kiedy się poznali (Chuptyś o dziesięć więcej), był 2020 r. O ich burzliwym związku opowiedziała na TikToku, dołączyła screeny i nagrania audio. Gargamel, twierdzi dziewczyna, był „zajebicie przemocowy”, kontrolował, z kim się spotyka, co je i jak się nosi. Stosował przemoc psychiczną, w końcu fizyczną. Szarpał ją, płuł na nią, nadużywał alkoholu. Laura nie mieszka już w Polsce i wreszcie czuje się

bezpiecznie. Zabiera głos, żeby wesprzeć inne dziewczyny. Przyznaje, że podjęła próbę samobójczą, „na szczęście nieudaną”.

Gargamel do sprawy odniósł się publicznie: „Przepraszam moją byłą dziewczynę i przyznaję się do popełnionych błędów – to, co zrobiłem w 2020, jest niewybaczalne i nie ma usprawiedliwienia dla mojego postępowania”. Dodał, że poszedł na odwyk i terapię, uczy się „zdrowego reagowania na stres i emocje”. Chuptyś zaczynał jako vloger publikujący satyryczne filmiki na YouTube, wslawił się punktowaniem kolegów po fachu, współprowadzi podcast „Dwóch Typów Podcast”. W międzyczasie był prezydentem radiowym, ale i DJ-em na koncertach rapera Bedoesa, który już zakomunikował, że natychmiast zrywa tę współpracę.

Stuu to kolejna niechlubna postać Pandora Gate. A ściśle Stuart Alexander Kluz-Burton, kiedyś znany jako Polski Pingwin (4,2 mln subskrypcji). Jego pierwsze nagrania dotyczyły gier, takich jak „Minecraft”. Oglądały go głównie nastolatki i dzieci, najpierw zainteresowane gramami, potem przygodami Teamu X (1 mln subskrypcji), czyli projektu, w którym pięciu znanych youtuberów zamieszkało wspólnie w ogromnym domu. Ot, internetowy



◀ Gonciarz Gargamel ▶



Big Brother, w którym można podglądać codzienność swoich idoli i rzucać im wyzwania, żeby się działo i „było grubo”: „Z kim chcemy być w związku”, „Rzutki decydują, jaką karę wykonujemy”, „Kto ostatni wyjdzie z pojemnika=wygrywa”, „Rozpoznaj członka Teamu po części ciała” itp. Im bardziej przekraczano granice, tym większy zasięg i lepsze pieniądze.

Stuu już nie jest do śmiechu. Znana jako Olciak93 youtuberka Aleksandra Adamczyk opowiedziała, że kiedy miała 13 lat, youtuber zachęcał ją, by wysłała mu swoje „mię zdjęcia”. Robił aluzje seksualne, opowiadał o swoich erotycznych snach.

Z materiału Sylwestra Wardęgi wynika, że do pierwszego spotkania Stuu z Adamczyk w cztery oczy doszło w 2015 r. Przy następnej okazji miał ją – wówczas 14-letnią – zaprosić do hotelu. Jak relacjonowała, youtuber zaczął ją obejmować, ale przestał, gdy natrafił na opór. Miał zarazem stwierdzić, że „przecież każdy facet upija młode laski” i „to jest normalne”, w dodatku „nie wiadomo, czy za dziesięć lat (...) nie stwierdzą, że jednak laski mogą się ru... od dziesięciu lat, bo będą dojrzewać sto razy szybciej” (dodajmy, że w świetle polskiego prawa 15 lat to granica zgody). Klasyczny, encyklopedyczny *grooming*. Anglicyzmem tym określa się szczególną kategorię relacji między dorosłymi a dziećmi w celu uwiedzenia ich i wykorzystania. Przemoc seksualna przybiera różne formy: od prezentowania dziecku materiałów pornograficznych, wyłudzenia intymnych zdjęć, zmuszania do tworzenia nagrań w trakcie wykonywania czynności seksualnych, aż po molestowanie i/lub gwałt.

Katarzyna Banasiak-Marszałek, koordynatorka ds. edukacji Grupy Ponton w Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny: – *Grooming jest rozłożony w czasie. Na początku wiadomości nie są seksualne,*

w ten sposób zdobywa się zaufanie. Dopiero po pewnym czasie pojawiają się aluzje seksualne, a wiadomości stają się coraz bardziej wulgarne i spornografizowane.

A kula śnieżna toczy się dalej. Okazuje się, że relacje seksualne z nastolatkami mogli mieć też inni, mniej znani youtuberzy. W tym Marcin Dubiel, który miał wymieniać jednoznaczne wiadomości z 14-latką. Dubiel należał do Team X, dziś jest głównie uczestnikiem walk w Fame MMA. Zasłynął też tym, że w 2019 r. wyjechał do Kenii, aby pomagać i promować zbiórkę pieniędzy na budowę szkoły dla dzieci. W relacji w sieci naśmiewał się z nazwania czarnoskórego dziecka „skośnym murzynem”. To mu akurat nie zaszkodziło.

Kolejnym „bohaterem” afery jest Michał Boxdel Baron, który pewnej 13-latce napisał, że chce ją „ru... w cycki”. „Kiedyś była całkowicie inna poprawność polityczna. Żartowaliśmy z takich rzeczy, że jakby dzisiaj takie żarty pojawiły się w sieci, to przecież byłaby masakra” – tłumaczył się w nagraniu na YT.

Paulina Kostrzycka, influencerka, wyjaśniła w sieci, że w czasie którejś z imprez Teamu X szukała łazienki, a omyłkowo weszła do pokoju, w którym trwał seks grupowy z udziałem youtuberów i 14-latki. „To nie była jednorazowa sytuacja ani jedna impreza, to działo się notorycznie. A ofiarami jest co najmniej kilkanaście dziewczyn”, opowiada Kostrzycka. Schemat podobny za każdym razem: dziewczyny upijano, podawano im różne substancje, wykorzystywano. Policja ponoć nie przyjęła zgłoszenia w tej sprawie.

Pato i pat

Teraz służby, podporządkowane władzy, która może przed wyborami jeszcze coś politycznie ugrać na „walce z pedofilią” w sieci, nie popełniły błędu zaniechania.

Na publicznym profilu policji na portalu X (dawniej Twitter) ogłoszono, że w sprawie „zabezpieczono materiały, które są analizowane”, trwają pierwsze przesłuchania, śledztwo prowadzi prokuratura okręgowa w Warszawie.

Sprawę komentują politycy prawicy i opozycji. Mateusz Morawiecki podczas codziennego live’a na Facebooku „jako ojciec i jako premier wypowiedział wojnę pedofilii”, podkreślając, że to, co się dzieje „na internetowych czatach”, jest ohydne. Szybko mu wytknięto, że mógłby się tu przydać przewodniczący Państwowej Komisji ds. Pedofilii, gdyby nie fakt, że nie ma go od kwietnia, bo po dymisji Błażeja Kmiecika rządzący nie znaleźli czasu na powołanie jego następcy. „Chowamy łby w piasek, bo rzecz dzieje się w świecie, którego nie rozumiemy i z którego uciekliśmy, zostawiając w nim nasze dzieci – mówi w filmiku na TikToku Szymon Hołownia. – Nie marzy mi się zamknięcie YouTube, cenzura i odłączenie dzieci od sieci. Przeciwnie, to my, dorośli, musimy tam za młodymi iść. Zrozumiemy i przestać się oszukiwać, że przechowamy nasze dzieci w świecie zeszytów, kredki i trzepaka”.

– *Afera wybuchła w przedwyborczym „tygodniu cudów”, więc rzucili się na nią politycy. Populistyczna reakcja jest najgorszą z możliwych, to pokaz hipokryzji – komentuje Michał R. Wiśniewski, pisarz i dziennikarz. – Premier Morawiecki mówi o karach dla sprawców, a przecież rządy PiS nie wspierają telefonów zaufania dla młodzieży i zamykają szkoły przed edukatorami seksualnymi.*

Youtuber jako twórca wirtualnego „kontentu”, który pozwala mu sensownie, a nawet świetnie zarabiać, narodził się 10 lat temu. Trudno tę dekadę celebrować bez rachunku sumienia. Sama społeczność ▶

► ma się w sumie dobrze, nie zdmuchnęli youtuberów influencerzy, tiktokerzy, robią swoje, wspierani finansowo przez lojalnych odbiorców. Latami działali niepokojeni przez nikogo, chyba że wpływały na jaw naprawdę „grube” afery, a policja musiała interweniować niemal w czasie rzeczywistym i na wizji. To domena głównie „patostreamerów”, którzy za „donejty” (drobne opłaty) pili na wizji alkohol (do upojenia), przezywali się bez cenzury, znęcali nad słabszymi (osobami z niepełnosprawnością, zwierzętami) i rozmaicie broili po to tylko, żeby odpowiednio służby były zmuszone zrobić im „najazd na chatę”. Ku ucieście widzów.

W Sejmie od maja leży złożony przez postów PiS projekt ustawy penalizującej patostreaming, przewidujący karę nawet 10 lat więzienia za szerzenie takich treści. W tej kadencji parlamentu nic w tej sprawie już nie drgnie. I szkoda, że na liście stu konkretów KO nie ma postulatów związanych z bezpieczeństwem w sieci.

Z badań SW Research z 2021 r. wynika tymczasem, że youtuberzy cieszą się w Polsce podobnym szacunkiem co politycy i księża, czyli niewielkim. Paradoks polega na tym, że zupełnie niepoważany społecznie „zawód” youtubera czy influencera nadal pragnie wykonywać znaczna część młodzieży i jest to trend globalny. Niemal połowa nastolatków (48 proc.) w wieku 10–15 lat uznaje prowadzenie kanału w mediach społecznościowych za atrakcyjne zajęcie zawodowe, w którym widzi siebie w przyszłości. 40 proc. osób w wieku 12–14 lat przyznaje, że jest im przykro, że nie mogą mieć takiego życia jak influencerzy. To wyniki badania przeprowadzonego przez Fundację Pro-Cultura.

Szacuje się, że w 2022 r. działało w naszym kraju nieco ponad pół miliona influencerów, stale obserwowanych przez co najmniej tysiąc osób (badania Nielsen). W tej masie ok. 57 tys. internetowych idoli ma co najmniej 10 tys. followersów. W 2022 r. na świecie rynek tzw. influencer marketingu osiągnął wartość, bagatela, 16,4 mld dol.

Dorośli nie dorośli

Ze zniuansowanymi formami cyberprzemocy znacznie trudniej sobie poradzić, oddzielić treści niewinnie zabawne od zwyczajnie szkodliwych i jeszcze zadbać o to, by były właściwie zaadresowane. Po latach wolnoamerykanki na Zachodzie rodzi się trend demaskatorski, influencerów przyłapuje się na manipulacjach i oszustwach (ma to swoją nazwę: deinfluencing). W Polsce trend przybrał

najwyraźniej swoistą formę #MeToo, bo tak się też określa Pandora Gate. Tymczasem lista zjawisk, z którymi można się zderzyć w internecie, mocno puchnie, więc jest co badać i zwalczać. Raport NIK poświęcony cyberbezpieczeństwu wymienia m.in. flaming (agresywna wymiana zdań), prześladowanie (regularne posyłanie nieprzyjemnych wiadomości), griefing (prześladowanie kogoś w grze), trolling (złośliwe komentarze), maskaradę (tworzenie fałszywych profili w sieci, żeby komuś zaszkodzić), happy slapping (nagrywanie czyichś agresywnych wypowiedzi lub zachowań i dzielenie się nimi w sieci), sextasting (posyłanie ofierze materiałów pornograficznych bez jej zgody) czy stary dobry stalking, ale w cyberodstępie. To wszystko poważne zagrożenia, realnie wpływające na dobrostan młodych, nie zawsze odpornych osób. Ba, dorośli też sobie z tym nie radzą. Cytowane wyżej wiadomości od youtuberów to w zasadzie norma dla nieco starszych użytkowniczek Tindera czy portali randkowych. Żądanie *nudesów* – czyli nagich zdjęć – to wirtualny *savoir-vivre*. Hasło „kobieta kończy się na 60 kg” to jedno z wyartykułowanych wprost oczekiwań wobec potencjalnych partnerek. W tym sensie afera z youtuberami jak w soczewce pokazuje szerszy problem z komunikacją, przepaść między kobietami a mężczyznami, szerzącą się infekcję toksycznej męskości. To musi budzić niepokój.

Niepokój budzą też różne reakcje na aferę: niektórzy winią ofiary (same tego chciały, wiążąc się ze sławami), a część środowiska youtuberów cieszy się z upadku kolegów po fachu. Wardęde, który parę nazwisk ujawnił, też się wypomina, że zamiast iść ze sprawą do właściwych służb, nagłaśnia ją na YouTube i zarabia. Boomerskie stękanie – tak tymczasem nastolatki nazywają reakcje ich rodziców na historie o kolejnych odsłonach Pandora Gate. „A kto to w ogóle jest ten cały Stuu czy Boxdel?” – komentują dorośli, choć świat ich dzieci legł właśnie w gruzach. Pod samym filmem Wardęgi na YouTube (już 7 mln wyświetleń) wśród ponad 40 tys. komentarzy mało kto sprawę bagatelizuje. To może być istotny moment otrzeźwienia, mimo że nie są to wcale mechanizmy nowe czy nieznanne – władza, również w sieci, degeneruje, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi duże pieniądze. Trudno zyskać popularność bez jakiejś dozy próżności. Dochodzi do wynaturzeń.

A konsekwencje przemocy seksualnej są zawsze te same, niezależnie od tego, czy doświadczają jej w sieci, czy w realu. Zdaniem terapeutów *grooming* wywołuje

objawy typowe dla urazu psychicznego powstałego wskutek wykorzystania seksualnego. Badania dotyczące tego zjawiska przeprowadzone w Wielkiej Brytanii – polskie nie istnieją – na próbie 1718 osób w wieku 11–16 lat pokazały, że 42 proc. osób otrzymywało jakieś materiały od obcych ludzi poznanych w internecie. 37 proc. badanych zdarzyło się dodać obcą osobę do grona znajomych na komunikatorze tekstowym, 35 proc. – na portalu społecznościowym.

Pole do nadużyć

Specyfika relacji między znanym youtuberem a fanką czy fanem dodatkowo zwiększa pole do nadużyć. Tu młodzi oglądają starszych. Czasem latami śledzą ich w różnych życiowych sytuacjach: ekstremalnych i zwyczajnych. To tworzy więź, jak się wydaje, bliską i intymną. W świecie influencerów dostęp do dzieci i nastolatków (nazywanych *subbies*, pieszczotliwie podwładnymi, podporządkowanymi) jest szeroki jak nigdzie indziej. Katarzyna Banasiak-Marszałek: *– Osoba, która zainteresuje się dzieckiem, ma zdecydowaną przewagę i władzę nad ofiarą. Właśnie przez to, że jest starsza, ma swoją niezależność, a dziecko nie potrafi przewidywać skutków różnych zachowań. W takim starciu nie ma praktycznie żadnych szans.*

Część rodziców pewnie reaguje teraz podobnie – wyśmianiem sprawy, ograniczeniem dostępu do internetu i komputera. Nie tędy droga. *– Kluczowe jest wzmacnianie podmiotowości dzieci – mówi Michał R. Wiśniewski. – Potrzebujemy nie tylko edukacji seksualnej i medialnej, żeby znały możliwe niebezpieczeństwa czyhające na nie w sieci, ale i żeby miały poczucie bezpieczeństwa, by o swoich krzywdach opowiadać. Ile młodych osób milczy o swoich problemach, bo boi się kary albo ograniczenia wolności? W jednej ze szczenińskich podstawówek wybuchła aferka – nastolatki wysyłały sobie internetową pornografię przez WhatsAppa. Pierwszym odruchem rodziców był zakaz używania tego komunikatora. A właśnie dzieci, które nie ufają swoim rodzicom, są podatne na grooming – bo spotkały nagle dorosłego, który je rozumie.*

Uzyskanie wsparcia w domu może być trudne. W szkole jeszcze trudniejsze, bo organizacjom, które mogłyby się przydać, zatrzaskuje się przed nosem drzwi. Politycy uznali, że jeśli tematu się nie poruszy, to problemu nie ma. A jest dokładnie na odwrót. Teraz zbieramy tego żniwo.

AGATA SZCZERBIAK
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

WIELKI KONKURS NA



URODZINY

**RMF
CLASSIC**

W terminie 11.09-26.10 wejdź na stronę
www.rmflclassic.pl, weź udział
w **WIELKIM TEŚCIE WIEDZY O MUZYCE FILMOWEJ**
i spędź dzień w Krakowie w redakcji RMF CLASSIC!

Upór w kuchni

Rozmowa z dr Agatą Szydłowską, badaczką związków wzornictwa z polityką i historią, o tym, czego dzisiaj można dowiedzieć się o Polakach, przyglądając się mieszkaniom, meblom i wazonom z PRL.



JOANNA CIEŚLA: – **Pewna kobieta opublikowała niedawno w mediach społecznościowych zdjęcie kolorowych wazonów z wyjaśnieniem, że zostały jej po mamie i chętnie komuś odda. Pod wpisem natychmiast pojawiły się apele, żeby absolutnie tego nie robić, bo to „szkło z PRL – rzeczy, na których można zarobić kilka tysięcy złotych!”.**

AGATA SZYDŁOWSKA: – Etykieta „PRL” bez wątpienia pomaga sprzedać przedmioty niezależnie od tego, jaka jest faktycznie ich jakość i wartość.

Pani nie podoba się moda na wzornictwo z tamtego czasu?

Podchodzę do niej z dystansem, bo ona wypacza obraz tej epoki. Na przykład podnosi do rangi „symbolu PRL” meble, przedmioty czy dzieła sztuki użytkowej, których ludzie wtedy nie oglądali na oczy albo były bardzo niszowe.

Na przykład?

Na przykład figurki ćmielowskie, na które kilka lat temu zapanował szal. To były rzeczy produkowane przede wszystkim na eksport. Tak samo fetyszyzowanie jako przykładów na „wspinały, nowoczesny design z PRL” prototypów, które nigdy nie weszły do produkcji, bo zawsze jest to rodzaj pewnego wyścigu

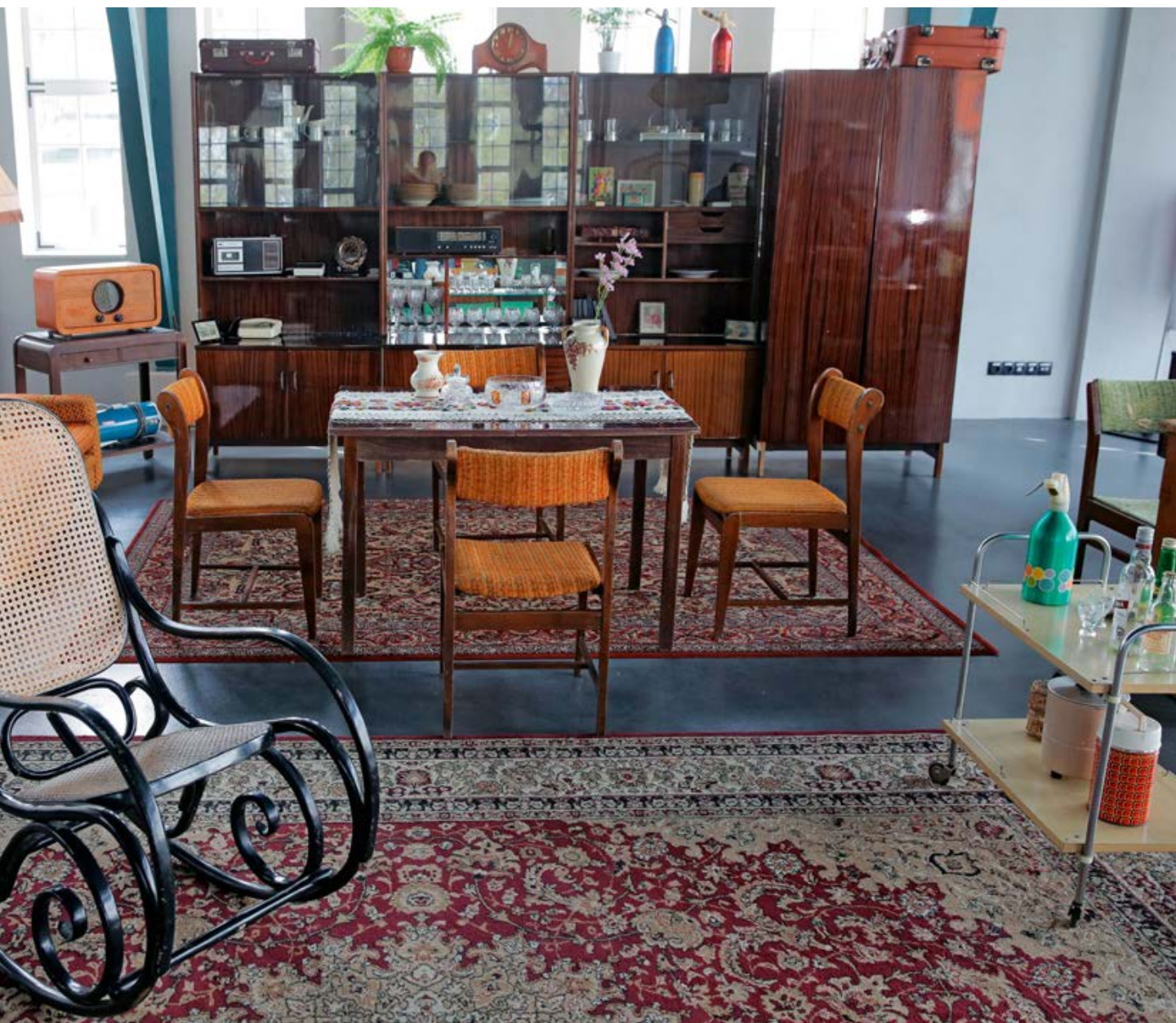
ewolucyjnego. Dla mnie tamten czas jest ciekawy z innych powodów – tego, jak rozwiązywano problemy, które były palące, i wciąż wracają: niedostępność mieszkań, drożyzna, starania, by w miarę wygodnie żyć w warunkach, które zazwyczaj były trudne.

Napisała pani książkę „Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL-u”. No to jak było – ludzie faktycznie się wtedy „urządzali” czy raczej próbowali przetrwać i wstawiali do mieszkań to, co udało się upolować w meblowym?

Urządzali się! Jednym z większych zaskoczeń przy zbieraniu materiałów do książki było dla mnie, że – właśnie mimo trudnej sytuacji – ludzie działali bardzo sprawczo. Mieli silne przekonania o tym, jak chcieliby mieszkać, jak będzie im wygodnie, co im się podoba. Zwłaszcza moje rozmówczynie podkreślały, że często musiały zadowolić się czymś, co nie do końca odpowiadało ich wizji, ale one i tak ją realizowały. Jeśli zdobyte kafelki były brzydkie, to je przemalowywały itd. Imponująca była też odporność na próby narzucania wzorców dotyczących mieszkania.

Wzorców motywowanych ideologicznie?

Niekoniecznie. Państwo próbowało narzucać ściśle rozumianą ideologię poprzez rozwiązania mieszkaniowe głównie



w stalinizmie. Postulowano na przykład rezygnację z kuchni, by zmusić mieszkańców do korzystania ze stołówek zakładowych. Na niektórych osiedlach budowano też zbiorowe pralnie, choć gdy w końcu pojawiały się w nich niezbędne sprzęty, uznawano, że dopuszczenie do nich gospodyń domowych grozi uszkodzeniem „drogich skomplikowanych maszyn”.

Z czasem kierownictwo państwa zmieniło podejście i główne zadanie, które sobie stawiało w kolejnych latach, polegało na poupychaniu ludzi w jakichś mieszkaniach, żeby wyszło jak najtaniej. Wzorce i normy próbowały narzucać głównie redakcje czasopism, ekspertki, niektóre instytucje. Rościły sobie prawa do tego, żeby radzić i instruować odbiorców – „cywilizować” to, jak mieszkają.

Normy tego, co jest ładne, a co nie?

W pierwszej kolejności chodziło o sposób organizacji mieszkań – tego, gdzie ludzie śpią, jak użytkują kuchnie, łazienki, gdzie jest miejsce dla dzieci. Choć normy estetyczne i funkcjonalne nieraz wymieniano jednym tchem: stół z krzesłami na środku pokoju jest i nieestetyczny, i niefunkcjonalny. Nieestetyczny, bo nawiązuje do „mieszczańskich wzorców pani

Dulskiej”. A niefunkcjonalny, bo zagraca przestrzeń, utrudnia przejście. Najostrzejsza i najdłużej trwająca wojna toczyła się jednak o kuchnie. Starano się, aby były jak najmniejsze – bo wtedy ludzie na pewno nie wstawią tam łóżka, a nawet stołu, i nie będą w niej jedli. No i oczywiście mniejsze oznacza tańsze, więc państwu było to na rękę.

Elity PRL odczuwały jakiś obsesyjny lęk przed stołami?

W przypadku kuchni chodziło przede wszystkim o higienę. W wielu mieszkaniach przez długi czas gotowano na piecach węglowych – było mało estetycznie, czasem brudno. Zakładano, że jeśli będzie stół, to ludzie będą przy nim przesiadywać, kobiety – szyć, dzieci – odrabiać lekcje. Dążono do tego, żeby separować pokój dzienny od przestrzeni roboczej. Od lat 60. ta polityka zaczęła się zmieniać, zauważano, że jeśli dzieci odrabiają lekcje w kuchni, to matka może ich doglądać. Natomiast faktycznie stół w wielu okresach PRL nie miał dobrej prasy. Najlepiej widziano rozkładane blaciki, na których można było zjeść, a potem je złożyć. Ale to właśnie przykład tych norm, które zostały kompletnie zignorowane, zwłaszcza przez klasę robotniczą. Tych ludzi pociągały wzorce mieszczańskie, choć też kultywowali ►

► zwyczaje z domów wiejskich. Efekt był taki, że z dużą determinacją ustawiali stoły na środku pokoju, na tapczanach układali po kilka pierzyn, i ogólnie przestrzeń w mieszkaniach dzielili w specyficzny sposób, uważany przez ekspertów za problem.

Na „białą izbę” i „czarną izbę”?

Tak, na przestrzeń reprezentacyjną, zamkniętą – gdzie nie miał wstępu nikt, a zwłaszcza dzieci. Otwierano ją wyłącznie na takie okazje jak wizyta księdza po kołędzie. Poza tym wszyscy tłoczyli się w drugim pokoju i kuchni. Ekspertcy uważali, że to jest nieracjonalne.

Tu chyba mieli rację?

Tu tak. Szerszy problem z kampaniami modernizacyjnymi był chociażby taki, że nie brały one pod uwagę możliwości bytowych ludzi. Zachęcano ich, żeby zmieniali zwyczaje, np. pozbyli się tych stołów i tapicerowanych krzeseł, które oni kilka lat wcześniej, już po wojnie, kupili w Centrali Handlu i Przemysłu Drzewnego. Państwo produkowało meble, które eksperci uważali za absolutnie złe i szkodliwe.

Ze spaniem i łózkami była związana druga największa kampania?

Tak. I właśnie o ile miało sens namawiać ludzi, żeby nie spać w kilka osób w jednym łóżku, czy nawet w jednym pokoju, gdy drugi stoi pusty, o tyle trudno było się dziwić mieszkańcom, że śpią w kuchni, jeśli tam jest najcieplej. Albo że na noc układają dziecko na złaczonych krzesłach, jeśli nie ma miejsca na kolejny tapczan.

Być może powinienam być się tego spodziewać, ale jednak mnie zdziwiło, że w masie przejranych przeze mnie materiałów nie natrafiłam na choćby jedną wzmiankę o tym, że miejsce do spania to też miejsce życia intymnego małżonków i warto byłoby pomyśleć o tym, jak to zorganizować. Drugi wątek równie spektakularnie przemilczany na tle szczegółowych wytycznych o tym, jak szorować zęby, myć naczyńia i robić właściwie wszystko inne – dotyczył klozetu i toalet.

Jak rozumieć, te miejsca też miały szerokie przeznaczenie – urządzano w nich spiżarnie czy wręcz ustawiano kucharki elektryczne, nieraz tuż przy sedesach?

Te barwne opisy zagospodarowywania przestrzeni pochodzą bezpośrednio z powojennych badań tzw. mieszkań najmniejszych, kilkunastometrowych. To nie była powszechna praktyka, ale z pewnością wielu ludzi miało pomysły, żeby w toalecie zrobić schowek. Łazienki zresztą też służyły jako przestrzeń m.in. na słoiki, narty, sanki, posłanie dla psa. Przeludnienie wymagało wielkiej kreatywności. Można o tym opowiadać w sposób anegdotyczny, ale trzeba pamiętać, że mnóstwo ludzi mieszkało w warunkach, które urągają jakiegokolwiek godności, masowym doświadczeniem była bieda. A trzecim wyzwaniem określającym to, jak żyło się w tamtym czasie, już w nowym budownictwie, były co rusz ujawniające się usterki, które wymagały różnych środków zaradczych.

Podobno najlepsze mieszkania budowano na fali odwilżowego optymizmu, pod koniec lat 50.?

Tak, metraże co prawda nie były oszałamiające – na pięcioposobową rodzinę przewidywano ok. 50 m, ale jakość tych lokali była bardzo przyzwoita. Często budowano je z cegły, były stosunkowo wysokie, dwustronne, z dość przestronnymi balkonami, drewnianą podłogą i szafami wnękowymi. Ale długo to nie trwało, bo już w latach 60., w fazie gomułkowskiej oszczędności, zaczął się najgorszy okres w mieszkalnictwie: stawianie niskich, jednostronnych klitek ze ślepych kuchniami.



Wynajmowałam kiedyś takie mieszkanie z lat 60. 42 m, duszne i źle rozplanowane, ale za to zdobyło je 40 kryształowych wazonów zgromadzonych w czasie PRL przez właścicielkę.

Rzeczywiście, wyraźnym trendem tamtego czasu było gromadzenie tych rzeczy, które były dostępne. Wielu z nas pamięta z własnych domów, widać to też na archiwalnych zdjęciach, że w takich stadach występowały i kryształy w mieszkaniach robotników, i inteligentkie „włocławki” – charakterystyczne talerzyki, kubki i dzbanki. Zresztą ludzie byli do takiego kolekcjonowania zachęceni, różne zestawy użytkowo-dekoracyjne prezentowano w czasopiśmie, może po to, żeby dać odbiorcom pewien posmak konsumpcyjnych przyjemności.

Wspomniała pani, że projekt mebla czy przedmiotu musiał wygrać „wyścig ewolucyjny”, żeby trafić do realizacji. Jednym z takich wygranych jest na pewno osławiony segment Kowalskich – ale jak to się dokładnie potoczyło?

Bogusława i Czesław Kowalscy zaprojektowali tę – według dzisiejszego nazewnictwa – meblościankę na konkurs na meble do małych mieszkań dla robotników. Swoją drogą sami Kowalscy zajmowali piękne poznańskie mieszkanie – i zdecydowanie nie tworzyli dla siebie. Segment dostał wyróżnienie na Targach Poznańskich i pewnie nie byłoby jakiegos spektakularnego sukcesu. Ale później pojawiła się druga szansa – prezentację mebli segmentowych, jako pewnej nowości, zorganizowano w nowo otwartym wspaniałym pawilonie przy ul. Przeskok w Warszawie. Zwiedzający głosowali na to, co im się podoba – i na tej podstawie oraz prawdopodobnie też jakichś kalkulacji „Kowalscy” zostali skierowani do wdrożenia na szeroką skalę. Później podobnych segmentów produkowano bardzo wiele. Nie był to aż taki sukces, jak mogłoby się wydawać na podstawie popkulturowej kariery „Kowalskich”, bo ten mebel wystąpił i m.in. w komedii „Małżeństwo z rozsądku”, i pojawił się w „Elementarzu” Mariana Falskiego. Znaczenie, jak byśmy dziś powiedzieli, marketingowe – na pewno odegrało też nazwisko projektantów. „Segment Kowalskich” – to brzmiało jak nazwa produktu dla każdego Polaka. Poza tym to były naprawdę dobre meble.

Meblościanka faktycznie, zgodnie z nazwą, z założenia miała zajmować całą ścianę?



Dr Agata Szydłowska
– historyczka sztuki i etnologa. Szefowa Katedry Teorii Designu na Wydziale Wzornictwa warszawskiej ASP. Autorka licznych publikacji, m.in. „Futerał. O urządzeniu mieszkań w PRL-u”.



Komplet kontiki.



Jedna z odmian meblościanki.

Pierwotnie meblościanka to raczej miał być mebel pełniący funkcję ścianki działowej, rozdzielającej pomieszczenia. Na takie zestawy jak Kowalskich mówiono właśnie meble segmentowe. Chodziło o to, żeby każdy mógł sobie wybrać to, co potrzebuje z szerokiego zestawu – zamykanych szafek, otwartych półek, biureczka, półkotapczanu. W praktyce fabryka zazwyczaj skręcała już to, co było na stanie, i ludziom sprzedawano taki gotowy „kombajn”.

Zupełnie inną ścieżkę kariery przeszedł zestaw wypoczynkowy Kontiki.

Rzeczywiście. Te fotele i sofy w latach 70. pojawiły się w produkcji Ikei, która od lat 60. na szeroką skalę produkowała meble w całkiem licznych fabrykach na terenie Polski, o czym może nie każdy wie. Początkowo te meble prawdopodobnie trafiały na półformalny rynek jako odrzuty z eksportu i bardzo spodobaly się głównie inteligencji i artystom. Sosna, surowe tkaniny, niskie siedziska – wpisywało się to w wiele trendów, które wówczas były w modzie. No i były to meble duże, trzeba było mieć duże przestrzenie, żeby je wstawić. Kupno kontiki było więc też przejawem statusu, bo nie było to mebel dla ludzi gnieźdzących się w kłitkach. Gdy analizuje się historię mieszkalnictwa, to chyba jeszcze bardziej niż w innych obszarach wyziera prawda o tym, jak bardzo rozwarstwione klasowo było tamto społeczeństwo.

Mnie zaskoczyły cytowane przez panią relacje o zatrudnieniu pomocy domowych przez rodziny, których w żadnym razie nie można było nazwać uprzywilejowanymi.

To jest opowieść o taniej sile roboczej – zwłaszcza kobiet, zwłaszcza ze wsi. Pomoc domową często zatrudniały rodziny ledwo wiążące koniec z końcem, bo to pozwalało kobiecie pójść do pracy, żeby choć trochę zarobić. A i tak wiele tych rodzin przez dekady mieszało w dramatycznych warunkach. To też mnie uderzyło, bo nie było tak, że przez pierwsze lata warunki mieszkaniowe były fatalne, a potem skromne, lecz znośne – tylko że przez cały ten okres, także przez lata 70. i 80., następował pewien postęp, ale wciąż mnóstwo ludzi nie miało gdzie mieszkać, zajmowało sutereny i jakieś potworne przestrzenie. I że nadal nie jest to opowieść wyłącznie historyczna, bo współcześnie ludzie też mieszkają bez łazienek albo zmuszeni są dzielić mieszkania z obcymi ludźmi, ponieważ na samodzielne nie mogą sobie pozwolić.

Dlaczego w Polsce przez dekady nie udaje się przełamać tego fatum?

Bezpośrednio po wojnie Polska była bardzo zniszczona, do tego przedwojenne warunki mieszkaniowe wcale nie były dobre. Jednocześnie ludzie zakładali rodziny, rodziły się liczne dzieci, mieliśmy boom demograficzny, a kraj był biedny. W latach 50. i 60. budownictwo nie było zdolne nadać za potrzebami. W latach 70., gdy powojenne dzieci zaczęły mieć swoje dzieci, nadać było jeszcze trudniej. Teraz, jak wiadomo, demografia nie jest już problemem – mieszkania są, ale nie są dostępne. Nie umiem patrzeć na to w oderwaniu od polityki – tak długo, jak długo państwo będzie traktowało mieszkania jako towar, a nie jako prawo, nie rozwiążemy tego problemu.

Metraż mieszkań, na które dziś ludzie ewentualnie mogą sobie pozwolić, są często podobne do tych z okresu PRL.

Czy są jakieś rozwiązania z tamtego czasu, do których warto byłoby się odwołać?

Kwestia metrażu jest szczególnie ciekawa. Z jednej strony mamy plagę patodeveloperki, nieprzyzwoicie małych kilkudziesięciometrowych mikroapartamentów – wciąż jednak stosunkowo drogie. Z drugiej, mówi się o tym, że w obliczu katastrofy klimatycznej powinniśmy ograniczyć przestrzenie, które zajmujemy, ogrzewamy i oświetlamy – żyć wygodnie, ale miarkować się z marzeniami o luksusowych 500-metrowych willach. Z tej perspektywy zainteresowanie niektórymi rozwiązaniami i zwyczajami z czasów, gdy mały metraż był powszechnym zjawiskiem, miałoby sens. Mam wrażenie, że meblościanka znów budzi pozytywne emocje u młodych ludzi. Nie kojarzy im się z gratem i obciążeniem jak starszym pokoleniom, ale widzą w tym potencjał. Coraz częściej młodzi projektanci zastanawiają się, jak można by te pomysły sprzed 60–70 lat dostosować do współczesnych realiów.

I to jest coś innego niż naiwna i powierzchowna moda na PRL?

Tak. To jest świadome docenienie racjonalizmu i funkcjonalności mebla, który nie zabiera wiele miejsca i realizuje modernistyczne założenia: z jednej strony dobrze rozumianej standaryzacji, z drugiej możliwości indywidualnego dopasowania. Starsze pokolenie, wychowane i pracujące w PRL, na standaryzację ma alergię – kojarzy mu się z glajchsztaltowaniem wszystkich i wszystkiego. A młodzi ludzie patrzą na to inaczej – uznają, że mebel standaryzowany może pasować do wielu różnych wnętrz, także małych, jest tańszy w wykonaniu. Może to być odpowiedź na wiele problemów – finansowych, ekologicznych i społecznych.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Krzysztof Bartkowiak

jeździ na rowerze, pływa, biega, trenuje boks, bierze udział w zawodach sportowych i maluje obrazy, a wszystko to od czasu, gdy dowiedział się, że jest chory na parkinsona. To jego sposób na walkę z chorobą.

NORBERT FRĄCZAK

Ostatnio wymyślił sobie, że przejedzie Polskę rowerem – od gór do morza. Akurat trochę się nudził, bo wakacje przerwały jego cykl zajęć z dziećmi w podstawówce w Dobrym Mieście, na których dwa razy w tygodniu opowiadał o swojej chorobie, ale przede wszystkim o tym, że trzeba spełniać marzenia. W telewizji zobaczył film o Laurze Dekker, żeglarsce, która w wieku 14 lat samotnie opłynęła świat swoim jachtem. Też tak chciał, ale nie miał umiejętności, a przede wszystkim jachtu. Miał za to rower i przemożną potrzebę, żeby zrobić coś spektakularnego.

Trasę z Krakowa do Gdańska zaplanował na 10 dni – po ok. 100 km dziennie, tak żeby był zapas na nieprzewidziane wypadki. Do roweru, wyposażonego w napęd elektryczny, bo choroba nie pozwoliłaby mu pedałowac przez cały czas, podłączył przyczepę elektryczną służącą jako akumulator i dodatkowy napęd. Specjalnie na tę okazję zaprojektował ją dla niego Artur Książek, zaprzyjaźniony konstruktor z Warszawy.

Treningi trwały blisko miesiąc, podczas którego zrobił łącznie 805 km (najwięcej 110 km jednego dnia). Pieniądze na rajd, a szczególnie na noclegi, zasponsorowali mu znajomi przedsiębiorcy. Potrzebny był jeszcze cel, którym mógłby wyjaśnić innym, a zwłaszcza sobie, dlaczego zamierza podjąć taki wysiłek. Znalazł kilka. Po pierwsze – udowodnić ludziom, że nawet z parkinsonem można żyć aktywnie i spełniać swoje marzenia. Po drugie – zmotywować innych parkinsoników do walki o siebie, rodzinę i lepsze jutro.



Pokerowa twarz

Wreszcie po trzecie – wesprzeć leczenie dwuletniego Jasia Moszczyńskiego, cierpiącego na dysfurię mięśniową Duchenne'a – prywatnie wnuczka siostry Krzyska (kilka lat temu na tę samą chorobę zmarł jego siostrzeniec).

Wszystko było gotowe. 17 sierpnia wyruszył z Krakowa w kierunku Gdańska.

Drżąca ręka

Krzysztof Bartkowiak mieszka w Dobrym Mieście pod Olsztynem. Ma 51 lat, żonę i troje dzieci – dwoje starszych już się wyprowadziło, w domu pozostała 13-letnia córka. Kiedyś prowadził warsztat renowacji zabytkowych mebli, nie uprawiał sportu, tylko wiódł zwyczajne życie: praca – dom. Aż 15 lat temu dowiedział się, że jest chory na parkinsona.

Zaczęło się klasycznie, jak u większości parkinsoników, od drżenia prawej ręki. – *Nie przywiązywałem do tego wagi* – opowiada dziś reporterowi POLITYKI na ganku swojego domu. Któregoś dnia pojechał ze starszą córką do lekarza. Ten powiedział, że z dziewczyną wszystko OK, ale niepokoi go ta drżąca ręka Krzyska. Dał skierowanie do neurologa i wszystko stało się jasne.

Choroba postępowała, z czasem Krzyskowi drżała nie tylko ręka, ale cała prawa część ciała. Pojawiły się napięcia i wykręcanie. Po sześciu latach ból stał się tak nieznośny, że Krzysiek zaczął myśleć o najgorszym. Uczucie takie, jakby mięśnie odklejały się od kości. O wszystko winił parkinsona.

Pewnego dnia zobaczył w telewizji program o kobietach z USA, które podobnie opisywały swój ból – chorowały na boreliozę. W szpitalu w Giżycku zrobiono mu badania. Wyniki wyszły pozytywnie. Gdy się o tym dowiedział, ucieszył się, że lekarze się pomylili – to nie parkinson, a „jedyne” borelioza. Ale szybko wyprowadzono go z błędu – miał i to, i to.

Czuł, że powoli się poddaje. Nie mógł spać, córki podnosiły go z łóżka. Gdy zaczynały się ataki, nieraz uciekał do piwnicy, żeby rodzina nie widziała, jak cierpi, a jego ciało się wykręca. Pojawiły się problemy z chodzeniem, charakterystyczne włączenie prawej stopy. W końcu kupił wózek inwalidzki.

Wszystko się zmieniło, gdy pojechał odwiedzić syna w Gdańsku. Jechał windą ze starszą kobietą, która wbiła wzrok w Krzyska. – Pan ma parkinsona

– stwierdziła. – A skąd pani to wie? – odpowiedział, zerkając na swoją dłoń, czy przypadkiem nie zaczęła się trząść. – Tej pokerowej twarzy nie da się zapomnieć – wyjaśniła dodając, że jej ojciec też na to chorował. Później się uśmiechnęła i powiedziała, żeby się nie martwił, bo jej tata dożył dziewięćdziesiątki. – Jak to zrobił? – zapytał Krzysztof. Usłyszał, że chodził, chodził i jeszcze raz chodził. Były złe chwile, gdy rzuczał laską ze złości, ale spacerów nigdy nie odpuścił.

Odzyskać kontrolę

Krótko po tym wydarzeniu Krzysztof zaczął prowadzić w Dobrym Mieście spotkania dla ludzi chorych na parkinsona. Chodziło o to, żeby wymieniać się doświadczeniami i wiedzą, ale też wzajemnie wspierać. Choć przede wszystkim o to, by zachęcić parkinsoników do wyjścia z domu i aktywności, bo ta jest kluczem do walki z tym schorzeniem.

Na jednym ze spotkań poznał pana Zbyszka, dużo bardziej zaawansowanego w chorobie. Jego żona szukała kogoś, kto pomoże jej mężowi podczas spacerów.

– *Zgodziłem się bez wahania, bo raz – będę miał dodatkową motywację, żeby wyjść z domu. A dwa – pan Zbyszek z pewnością będzie, jak to się mówi...* – Krzysiek chwilę się zastanawia, bo przez chorobę zdarza się mu zapominać słów – *kopalnia wiedzy na temat parkinsona.*

Miał rację. Dzięki panu Zbyszkowi Krzysiek mógł zobaczyć, jak wygląda mechanizm choroby. Taka sytuacja: podczas jednego ze spacerów pan Zbyszek wykonuje wiele niekontrolowanych ruchów ręką. Krzysiek ma ze sobą piłkę. W pewnym momencie rzuca ją panu Zbyszkowi bez ostrzeżenia, a mężczyzna precyzyjnie ją łapie. – *Więc tak to działa* – myśli Krzysiek, który żongluje teraz piłką nogami i rękami przed reporterem, żeby zademonstrować, że potrafi odzyskać kontrolę nad ciałem, jeżeli tylko czymś je zajmie.

Innym razem, gdy panu Zbyszkowi ściąga dłoń w górę, Krzysiek bierze z ziemi dwa długie patyki i poleca mu, żeby odpychał się nimi od ziemi. Efekt jest tak dobry, że później sam kupuje sobie kijki do chodzenia, a wkrótce zaczyna brać udział w zawodach nordic walking (kilka razy stanął na podium).

W dziewiątym roku zmagania z chorobą Krzysztof na nowo odnajduje wartość życia. Z wdzięczności odnajduje lekarza, któremu je zawdzięcza – dr. Andrzeja Janukowicza, który 45 lat wcześniej operował Krzyśka, gdy miał skręt jelit. Ich spotkanie było dodatkowym impulsem do walki z chorobą. – *Pomyślałem*

sobie wtedy, że pan doktor nie po to się tyle mordował podczas operacji, żebym teraz to zaprzepaścił – tłumaczy. Od tej pory mężczyźni utrzymują stały kontakt, Krzysiek dzwoni do doktora po każdym sukcesie sportowym.

Gra z chorobą

Niedługo później Krzysiek zakłada stronę na Facebooku „Parkinson i My”. – *Z początku to miała być, jak to się nazywa... – znów szuka słowa – kronika mojego życia z chorobą. Później zaczęłam wrzucać tam sugestie, jak sobie z nią radzić na co dzień, a z czasem poznałam masę uspaniałych osób z całego świata, z którymi wymieniamy się informacjami.*

Znajomy z Japonii pokazał mu, jak można walczyć z chorobą poprzez sport. Krzysiek złapał bakcyła – chodził już na basen i maszerował z kijkami, a teraz zaczął też jeździć na rolkach i biegać z przeszkodami. W końcu trzy lata temu znajomy zaprosił go do Berlina na mistrzostwa świata w tenisie stołowym. Pomyśl wydał mu się szalony, bo w ping-ponga ostatni raz grał w szkole, ale później pomyślał, że to może być jedyna okazja, żeby spotkać się ze znajomym z Azji. Kupił stół, paletki i przez prawie rok ćwiczył w swoim garażu.

Czuł, jak podczas gry jego ciało zapomina o chorobie. W końcu tak się wyćwiczył, że zakwalifikował się do startu w międzynarodowej imprezie jako jedna z pięciu osób z Polski. Medalu nie zdobył, ale wciąż trenuje. Niedawno dostał zaproszenie na kolejne mistrzostwa świata, tym razem na Kretę, 5 października.

W walce z chorobą pomaga mu też boks (na warsztatach w Dobrym Mieście poznał Tomasza Adamka, którego kolega prowadzi w Stanach zajęcia dla osób z parkinsonem) i malowanie obrazów (w ciągu roku namalował ich ok. 60, miał wystawę w Centrum Kulturalno-Bibliotecznym w Dobrym Mieście). – *Czasem sobie myślę, że Bóg dał mi chorobę, żebym mógł robić to, na co wcześniej nie miałem czasu* – zauważa Krzysiek.

Zakład renowacji mebli zamknął sześć lat temu, później pracował chwilę przy produkcji mebli tapicerowanych. Dziś jest – jak to nazywa – rencistą amatorem z zapomogą w wysokości 2,5 tys. zł miesięcznie, z czego jakiś tysiąc przeznaczają na leki (domowy budżet próbuje ratować sprzedawaniem swoich obrazów).

Jego dzień wygląda tak: wstaje wcześnie rano, żeby zdążyć przed pierwszym atakiem. Później musi pobudzić mięśnie, więc zabiera psa, słuchawki i idzie na spacer. Atak zaczyna się zwykle kilometr od domu, koło kościoła. Najpierw

lekkie napięcie twarzy, które przenosi się na całą prawą stronę ciała. Później ściąganie rąk, w końcu pojawia się ból podobny do skurczów mięśni. Prawa noga odmawia posłuszeństwa, ciągnie się po ziemi, ale Krzysiek wie, że nie może się zatrzymać, bo wtedy złapie go na amen. Dlatego włącza szybszą muzykę i defiladowym krokiem wraca do domu.

Tam zakłada kombinezon Mollii. To taki strój z 58 elektrodami rozmieszczonymi na całym ciele, który rozluźnia i aktywuje osłabione mięśnie. Krzysiek leży w nim przez godzinę ze słuchawkami na uszach, czekając na ukojenie. Czasami tak się rozluźnia, że zapada w głęboki sen, na tyle głęboki, że trudno go z niego wybudzić.

Po kuracji w kombinezonie ma z głowy ataki na cały dzień (wcześniej miewał ich nawet kilka dziennie). Wreszcie może wsiąść na rower albo potrenować. Jak się dobrze rozrusza, wieczorem zdoła nawet pomóc trochę w domu – skosić trawnik albo zamieść taras. Wcześniej stosował olej z konopi i medyczną marihuanę, które też pomagały, ale po nich nie mógł prowadzić żadnego pojazdu. A w planach miał przecież rowerowy rajd przez Polskę.

Górki i dołki

Wymyślił to sobie tak: ruszy z Krakowa, to do morza będzie miał z górki. Nie przewidział, że pod Krakowem czeka go wiele gór, a na domiar złego tuż za miastem rozładował się telefon z nawigacją. Miejscowi z rozbawieniem reagowali na rowerzystę z przyczepką elektryczną, pytającego pod Krakowem o trasę na Gdańsk.

Jakby tego było mało, 5 km przed pierwszym przystankiem przewrócił się, wjeżdżając na krawężnik, a przyczepa przeciągnęła go po asfalcie. Do pensjonatu dotarł zakrwawiony i poobijany, ale się nie poddał.

Wstał o trzeciej w nocy, żeby rozruszać obolałe mięśnie, i ćwiczył tak do szóstej. Potem zjadł śniadanie i ruszył w dalszą drogę. 15 km jazdy i rower się zatrzymał. Miejscowy elektryk orzekł przepalenie akumulatora, czyli koniec rajdu.

Do domu wrócił zawiedziony, ale nie zrezygnowany. Gdy tylko odzyska rower, wznowi trening, a później powróci na trasę. Tylko może najpierw spróbuje na płaskim terenie, np. wzdłuż wybrzeża.

– *Zdarza się, że łapię doła i myślę: Krzysiek, tak bardzo wybiegasz w przyszłość, a przecież twoja choroba się pogłębia* – mówi. – *Ale szybko przypominam sobie, że jeszcze kilka lat temu chciałem zamienić rower na wózek inwalidzki i nawet nie marzyłem, że będę robił to, co dziś robię.* ■

Cud przy pompie

ADAM GRZESZAK

Ropa drożeje, złoty słabnie, a Orlen sprzedaje paliwa najtaniej w Europie. Ten wyborczy prezent będzie kosztował kilka miliardów złotych.



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

Szaleństwo! Oszczędź 60 centów na litrze: tankuj przez 14 dni po okazjonalnej cenie” – zachęcał czytelników do odwiedzenia polskich stacji Orlenu „Berliner Kurier”. Reporter radził: „Jeśli przejedziesz tutaj przez granicę na krótko, zaoszczędzisz aż 30 euro na 50-litrowym zbiorniku, a jeśli napełnisz dozwolony 20-litrowy kanister, zaoszczędzisz kolejne 12 euro. Warto przyjechać nawet z Berlina”.

W ostatnich tygodniach kwitnie turystyka paliwowa. Przyjeżdżają do nas kupować tanie paliwo również Czesi i Słowacy, więc na stacjach ruch jest ogromny. Zagraniczne media uprzedzają, że 15 października odbędą się u nas wybory, więc żeby nie odkładać wycieczki, bo potem ceny wrócą do dawnych poziomów. Paliwową promocję w Polsce dostrzegł nawet czeski rząd, dlatego wystąpił z pretensjami do Orlenu, dlaczego koncern, do którego należą czeskie rafinerie i sieć stacji Benzina, nie sprzedaje tak tanio paliwa także w Czechach. Nacisk był na tyle silny (doszedł konflikt o wykorzystanie rosyjskiej ropy, z której Orlen nie zamierza rezygnować), że polski koncern był zmuszony i czeskim kierowcom obniżyć ceny. Choć oni się przy urnach nie odwdzięczą.

Żarty wysokooktanowe

Paliwowej promocji oczywiście nie zamierzają przegapić polscy kierowcy, dlatego zdarza się, że na stacjach pojawiają się kartki z napisami: „Awaria dystrybutora. Przepraszamy za utrudnienia”. Do mediów wyciekła instrukcja rozesłana przez centralę Orlenu, w której stacjom zakazano informowania klientów o brakach paliw. Zamiast tego mają dowiadywać się o awarii dystrybutora. A już zamykanie stacji z powodu braku paliwa jest surowo zakazane. Sądząc po zdjęciach pojawiających się w mediach społecznościowych orlenowskie dystrybutory trapi dziś zmorem awarii. Koncern przyznał, że wydał taką instrukcję, bo wprowadzie paliwa mu nie brakuje, ale nie nadąża z dowożeniem go do stacji. A jak mówił poseł Hożała z PiS, jeśli nie ma paliwa, to dystrybutor nie działa, czyli jest awaria.

– *Popyt znacznie wzrósł, więc logistyka kuleje. Zwłaszcza jeśli jakaś stacja leży w większej odległości od terminala. A potem z tego robi się wielka afera tak jak w Sokółce, na Podlasiu* – mówi pracownik centrali Orlenu, oczywiście anonimowo, bo sprawa zaopatrzenia w paliwo jest wyjątkowo drażliwa. Jednocześnie ubolewa, że klienci czasem robią sobie żarty i po zatankowaniu paliwa wieszają kartkę o awarii dystrybutora.

Najwyraźniej do żartownisów dołączył Shell, który na swoich polskich stacjach zaczął wieszać kartki o limicie sprzedaży paliw. Wywołało to niepokój, a ponieważ stacje Shell są zaopatrywane przez hurtownię Orlenu, polski koncern zażądał zaprzestania reglamentacji i przeprosin za sugerowanie, że mogą być kłopoty z dostępnością paliw. Sam Orlen ogranicza się na razie do apeli do kierowców, by nie robili sobie w domach zapasów paliw. Mimo to coraz częściej można zauważyć, że paliwo trafia do kanistrów i beczek.

Pod korek

Kierowcy tankują pod korek, bo tak tanio dawno nie było. Ceny benzyny i oleju napędowego zbliżyły się do 6 zł, a można znaleźć stacje, gdzie zeszły nawet poniżej. I kto by pomyślał: dziś, gdy cena ropy oscyluje wokół 90 dol. za baryłkę, a dolar wart jest 4,40 zł, Polska jest krajem z najtańszym paliwem w Europie. Nigdy czegoś takiego nie było. Jak to możliwe?

Koncern wyjaśnia dość enigmatycznie, że „w miarę możliwości, jakie wyznacza rynek, Orlen stara się, aby ceny oferowanego paliwa

były jak najbardziej atrakcyjne dla klientów. Ponadto Orlen działa w kierunku stabilizacji cen, aby uniknąć gwałtownych wahań kosztów paliwa ponoszonych przez odbiorców”. Politycy PiS mają własne teorie. Zwłaszcza Jacek Sasin, który raz zapewnia, że obniżka to decyzja rynkowa, innym razem, że to efekty fuzji Orlenu i Lotosu: „duży może kupować taniej, bo kupuje większe wolumeny”. A tak w ogóle to „tania benzyna w Polsce jest od dawna, właściwie od czasu, kiedy Orlen uzyskał możliwość pozyskiwania ropy naftowej z innych kierunków, kiedy wzmocnił się poprzez fuzję z Lotosem, PGNiG i potem z Energa, stał się poważnym graczem na rynku paliw”. Przy okazji Sasin obiecał, że jeśli PiS wygra wybory, to ceny nie ulegną radykalnej zmianie. Wytknął politykom opozycji, że niedawno zarzucali, że Orlen zawyża ceny, a „kiedy dzisiaj paliwo jest tanie, znowu krytykują, tym razem, że jest tanie”. Tym samym potwierdził, że ceny paliw są ustalane politycznie.

Tymczasem politycy opozycji z lekkim przerażeniem patrzą, jak Orlen napycha partyjną kielbasę wyborczą PiS tysiącami ton paliwa sprzedawanego poniżej kosztów. W normalnych warunkach cena zbliżałaby się do 8 zł, ale dziś nie ma normalnych warunków, jest kampania, w której każdy sposób zdobycia poparcia jest dobry. Przecież gdyby paliwo drożało zgodnie z rynkowym trendem, ludzie byłiby zirytowani na władzę, a inflacja wysoka. A tak, dzięki Orlenowi, prezes NBP mógł ogłosić, że inflacja została pokonana, a RPP obniżyła stopy procentowe. Analitycy Polityki Insight policzyli, że gdyby nie przedwyborcze subsydiowanie paliw, a także energii elektrycznej i darmowych leków, to inflacja we wrześniu wynosiłaby nie 8,2 proc., ale ponad 10 proc.

Spółki specjalnego przeznaczenia

To wyjątkowy przykład wykorzystania spółki giełdowej w politycznej kampanii. Analitycy rynkowi szacują, że przedwyborcza promocja cenowa w zależności od tego, ile potrwa, może Orlen kosztować od 2 do 5 mld zł. – *To nie jest koszt, którego Orlen nie udźwignie, ale odbije się na jego wynikach. Może to jest jakaś forma podatku od zysków nadzwyczajnych windfall tax, którego Orlen dotychczas zdołał uniknąć?* – ironicznie konstatuje dr Maciej Bukowski, prezes think tanku WiseEuropa, przyznając, że trudno ekonomistom komentować działania stricte polityczne.

– *Takiego rozjazdu pomiędzy cenami paliw a cenami ropy to ja nie pamiętam* – przyznaje dr Jakub Bogucki, analityk rynku paliw z firmy e-petrol. Ceny ropy od czerwca wzrosły o 40 proc. I na tym nie koniec. Zdaniem Grzegorza Drózdza, analityka Conotoxia Ltd, zwiększony popyt oraz uzgodnione cięcia w produkcji kartelu producentów ropy, czyli OPEC, doprowadzą do wzrostu cen ropy naftowej. – *Przekroczenie poziomu 100 dol. będzie kwestią czasu* – uważa ekspert.

Drożeją też gotowe paliwa na światowych rynkach. Nie tylko z powodu wzrostu cen ropy, ale też decyzji Kremla o wprowadzeniu zakazu eksportu paliw. Oficjalna wersja jest taka, że Rosję dopadł kryzys energetyczny i zaczyna brakować paliw na rynku wewnętrznym. To efekt wojny w Ukrainie, sankcji i polityki tamtejszych kompanii naftowych, które za wszelką cenę szukały odbiorców zagranicznych, bo na rynku krajowym muszą sprzedawać po nakazanych niskich cenach. Unia Europejska wprowadziła wprawdzie embargo na rosyjskie paliwa, ale odbiorcy rosyjskiego diesla i benzyny (m.in. Turcja, Brazylia, kraje afrykańskie) będą musieli poszukiwać innych dostawców. Także tych, z których korzysta Europa, co zdestabilizuje sytuację rynkową. I zdaje się, na tej destabilizacji Rosji zależało.

Nic więc dziwnego, że niezależnym firmom działającym na polskim rynku paliwowym trudno zachować spokój. Orlen może sobie pozwolić na nierynkowe zachowania, stać go, a oni już nie. Koncern dotychczas zaspokajał 65 proc. zapotrzebowania ►

► polskiego rynku na paliwa płynne, resztę trzeba importować. Zależni jesteśmy zwłaszcza od importu oleju napędowego, kłuczego paliwa w transporcie. Miesięcznie polskie zużycie paliwa dieslowskiego wynosi ok. 1,6 mln ton, z czego 0,4 mln ton pochodzi z importu. Tyle że dziś firmom działającym na zasadach rynkowych i niemających takich warstw tłuszczu do spalania, jak Orlen, import się nie opłaca. Nie będą w stanie sprzedawać taniej niż kupili, a oferowanie po cenie rynkowej sprawi, że nabywcy nie pojawią się u nich, póki w zbiornikach Orlenu nie zobaczą dna.

Największy niezależny importer produktów ropopochodnych Unimot deklaruje, że znacznie ograniczył import paliw i cieszy się, że ma też inne źródła zarobku. Sprowadza więc tylko tyle, ile wynika z długoterminowych kontraktów, których nie może zerwać. – *Mamy obecnie do czynienia z dwoma rynkami paliw – światowym i krajowym* – komentuje Adam Sikorski, prezes spółki Unimot. – *Ceny na światowym rynku rosną, ponadto osłabia*

– *Z moich informacji wynika, że to była od dawna zaplanowana operacja. Od wielu miesięcy Orlen gromadził zapasy paliw z myślą o sprzedaży w okresie przedwyborczym. Dlatego zwiększył import paliw, importuje m.in. z USA, Holandii, Belgii. Zajmuje się tym nowo powstała i dość tajemnicza spółka Orlen Trading Switzerland GmbH, zarejestrowana w szwajcarskim kantonie Zug. Orlen musi importować coraz więcej paliw także dlatego, że od wielu miesięcy zmagają się z problemami technicznymi w głównym zakładzie, czyli płockiej petrochemii. Produkcja Płocka w tym roku zmalała* – wyjaśnia Tomaszewski.

Operacja paliwowa Wybory 2023 spowodowała już spore perturbacje gospodarcze. Dotknęły one szczególnie firmy transportowe, zwłaszcza duże, które mają własne bazy paliwowe i zaopatrzenie czerpią bezpośrednio z Orlenu lub od innych hurtowników. – *Firmy transportowe zawierają kontrakty długoterminowe, dzięki którym kupują duże ilości paliwa po cenie hurtowej lub zbliżonej do tej, którą hurtownikom zapewniają producenci. Pierwsze sygnały o problemach z zaopatrzeniem pojawiły się już kilka miesięcy temu. A dziś przewoźnicy skarżą się, że bieżące dostawy paliwa są często redukowane, co zmusza ich do zakupu oleju napędowego po cenie wyższej niż hurtowa* – wyjaśnia Maciej Wroński, prezes organizacji pracodawców Transport i Logistyka Polska.

Na tym problemy transportowców się nie kończą, bo większość firm współpracuje ze swoimi klientami w oparciu o kontrakty długoterminowe, które indeksowane są według bieżących cen paliw w hurcie. – *Jeśli przewoźnik kupuje paliwo po cenie wyższej niż ta, która obowiązuje oficjalnie, to zmuszony jest do realizowania kontraktu ze stratą.*

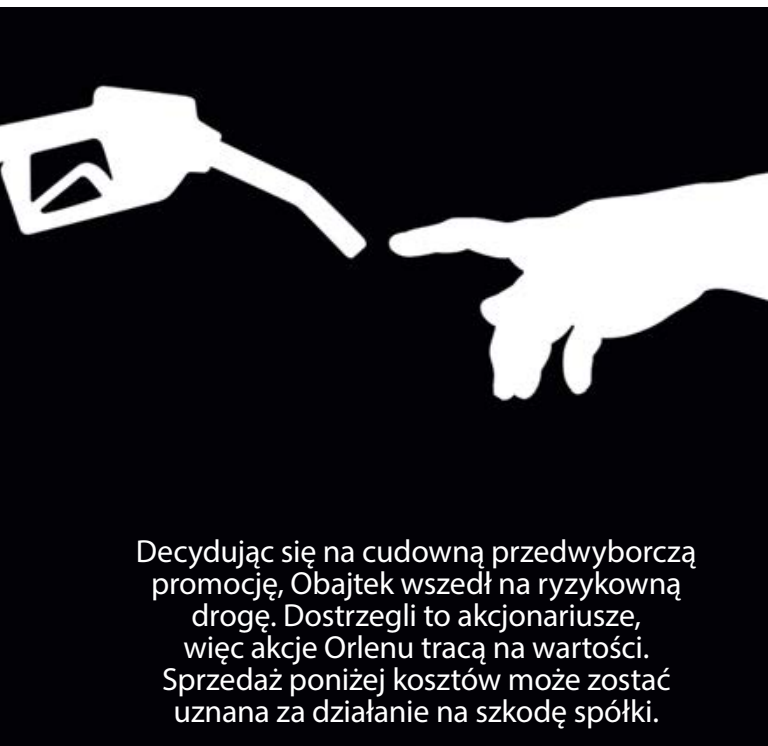
Budapeszt w Warszawie

Polscy kierowcy są pod wrażeniem wyborczej operacji, bo Orlen ich dotychczas nie rozpieszczał. Kiedy Viktor Orbán przed wyborami na Węgrzech narzucił koncernowi MOL (dziś partnerowi biznesowemu Orlenu) limity cen, doprowadzając do kryzysu paliwowego i kolejek na stacjach, prezes Orlenu Daniel Obajtek komentował na Twitterze: „Katastrofa paliwowa na Węgrzech to efekt zbyt inżynierii w zasady wolnego rynku. Teraz brakuje tam paliw i jest drożej niż na polskich stacjach. Ostrzegalem przed takim scenariuszem, kiedy politycy opozycji nawoływali, by ceny paliwa sztucznie obniżyć”. Pewnie dziś by tak nie napisał, gdyby wiedział, że przyjdzie mu zrealizować węgierski scenariusz. Choć oczywiście są pewne różnice, bo tam wprowadzono urzędowe ceny maksymalne, a u nas jest udawanie mechanizmu rynkowego, tyle że rynek jest ręcznie sterowany i zmonopolizowany.

Ostatnio we Francji pani premier Élisabeth Borne postanowiła zwalczać inflację, wymuszając obniżkę cen paliw. Miała temu służyć ustawa zezwalająca na sprzedaż paliwa ze stratą. Wywołało to sprzeciw prezydenta Macrona i bunt firm, bo sprzedaż poniżej kosztów jest formą drapieżnictwa cenowego, czyli najostrzejszej formy nieuczciwej konkurencji. Pomysł z ustawą upadł i ostatecznie stanęło na tym, że sieci Carrefour i Leclerc zgodziły się sprzedawać paliwo na swoich stacjach hipermarketowych po kosztach, czyli bez marży. Inne sieci zapowiedziały weekendowe promocje.

Godząc się na przedwyborczą paliwową promocję, Daniel Obajtek wszedł na ryzykowną drogę. Dostrzegli to akcjonariusze, więc akcje Orlenu od sierpnia konsekwentnie tracą na wartości. Sprzedaż poniżej kosztów może zostać uznana za działanie na szkodę spółki, a to jest jedno z najpoważniejszych przestępstw menedżerskich. Zwłaszcza że PiS wprowadził właśnie do zaostrzonego Kodeksu karnego „zbrodnię niegospodarności”. Jeśli szkoda wyniesie więcej niż 5 mln zł, sprawcy grozi kara pozbawienia wolności od 3 do 20 lat. A jeśli 5 miliardów?

ADAM GRZESZAK



Decydując się na cudowną przedwyborczą promocję, Obajtek wszedł na ryzykowną drogę. Dostrzegli to akcjonariusze, więc akcje Orlenu tracą na wartości. Sprzedaż poniżej kosztów może zostać uznana za działanie na szkodę spółki.

się pozycja złotego w stosunku do dolara. Tymczasem kalendarz wyborczy sprawia, że skłonność do podnoszenia cen na polskim rynku, zgodnie z parytetem importowym, czyli różnicą między ceną produktu na krajowym rynku hurtowym a kosztem sprowadzenia go z zagranicy, jest niewielka.

Operacja Wybory 2023

Jeśli niezależni importerzy nie dają rady, skąd zatem Orlen czerpie paliwo, skoro krajowe rafinerie nie pokrywają popytu? A przecież to Orlen musi dziś wypełnić całą powstałą lukę w podaży i to w sytuacji sztucznie nakręconego popytu. – *Ratujemy się paliwem z naszej rafinerii w litewskich Możejkach. Nie pierwszy zresztą już raz* – wyjaśnia nasz rozmówca z centrali Orlenu. Czy wsparcie Możejek wystarczy? Robert Tomaszewski, szef działu energetycznego Polityki Insight, jako pierwszy ujawnił, że Orlen co najmniej od kilku tygodni uzupełnia lukę zapasami interwencyjnymi paliw. To rezerwy na czas kryzysu.



POLITYKA
INSIGHT

A large, stylized number '16' is the central focus. The '1' is dark blue and the '6' is light blue. To the left of the '1' is a white envelope with a blue 'X' on it. To the right of the '6' is a smaller white envelope with a blue 'X' and a white envelope with a red '15' on it. The background is a solid blue color.

Dzień po wyborach

Podcast

Co przyniosą wybory parlamentarne?
Czym się skończą i do czego doprowadzą?
Wspólnie kreślimy scenariusze powyborczej rzeczywistości.

Waloryzacja: czy groźba czy dramatyczny zwrot?

BANKI WCIAŻ NIE DAJĄ ZA WYGRANĄ. CHOCIAŻ PRZEGRYWAJĄ ZDECYDOWANĄ WIĘKSZOŚĆ PROCESÓW Z FRANKOWICZAMI, NIE REZYGNUJĄ Z PRÓB OGRANICZANIA SWOICH STRAT. WŁAŚNIE PRÓBUJĄ NOWEJ DROGI.

Serial frankowy wydaje się nie mieć końca. Gdy tylko mamy wrażenie, że poznaliśmy już ostatni wątek, pojawia się kolejny zwrot akcji. 15 czerwca Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) wypowiedział się w sprawie kontrpозwów składanych przez banki wobec kredytobiorców walutowych. Zdaniem Trybunału banki nie mogą ubiegać się o rekompensatę czy odszkodowanie za bezumowne korzystanie z kapitału. Mówiąc prościej, instytucje finansowe nie mają – zgodnie z prawem unijnym – możliwości, aby w ten sposób nieco zmniejszyć swoje straty z powodu unieważnienia umowy kredytowej.

Jednak w ostatnich miesiącach pojawiło się kilka wyroków pierwszej instancji (czyli nieprawomocnych), w których polscy sędziowie orzekli, że bankom należy się waloryzacja kapitału kredytu. W jednym z takich postanowień uznano na przykład, że kredytobiorca musi po unieważnieniu umowy zwrócić bankowi pożyczony kapitał (to oczywiście nie ulegało i nie ulega wątpliwości), ale także odsetki od niego na poziomie aż 34 proc. pożyczonej kwoty. Zdaniem sędziego ma to bankowi zrekompensować inflację. Takie wyroki wzbudziły duże zaskoczenie i emocje. Część kredytobiorców znów nabrała wątpliwości, czy warto pozywać bank, inni boją się o los swoich spraw. Z kolei dla banków pojawiła się nadzieja na ograniczenie swoich – co raz przecież większych – strat.

Jak zatem ocenić temat tzw. waloryzacji? – *Warto podkreślić, że takich spraw wytaczanych przez banki frankowiczom w praktyce nie ma. Wydaje się, że banki po ostatniej przegranej przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej podejmują się jedynie prób odstraszenia swoich klientów od ścieżki sądowej. Nie mam wątpliwości, że rzeczona waloryzacja ma być tym samym, czym wcześniej było tzw. wynagrodzenie za korzystanie z kapitału, tyle że tym razem pod inną nazwą. Klientom zalecam przede wszystkim brak pochopnych decyzji. Banki mają nadzieję, że w ten sposób skłonią klientów do zawierania ugód. Na warunkach nieco lepszych niż wcześniej, ale wciąż wyraźnie gorszych niż te, które wynikają z unieważnienia umowy przed sądem* – zauważa dr Jędrzej Jachira, adwokat i wspólnik w Kancelarii Prawnej Sobota Jachira.

Nastrój klientów może również poprawić fakt, że po ich stronie stoją niektóre instytucje publiczne. Zwłaszcza Rzecznik Finansowy, który od dawna wspiera frankowiczów. – *Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej postępuje się szerokim pojęciem „rekompensaty”, nie wyróżniając odrębnie roszczenia o waloryzację świadczenia. W ocenie Rzecznika Finansowego odpowiedź TSUE należy uznać za kompleksową, a tym samym przyjąć, że w pojęciu*

„rekompensaty” mieszczą się wszelkie roszczenia zawarte w treści pytania prejudycjalnego, które mogą być dochodzone w związku z nieważnością umowy – w tym także żądanie sądowej waloryzacji świadczenia – mówi Maciej Sawa, rzecznik prasowy Biura Rzecznika Finansowego.

Argumenty przedstawione przez TSUE można zastosować w przypadku żądania waloryzacyjnego. – *Trybunał podkreślił, że uznanie umowy kredytu za nieważną jest skutkiem stosowania nieuczciwych warunków przez bank. W związku z tym nie można dopuścić ani do tego, by czerpał on korzyści gospodarcze ze swojego niezgodnego z prawem zachowania, ani do tego, by otrzymał odszkodowanie za niedogodności nim wywołane. Za taką niedogodność można uznać spadek siły nabywczej pieniądza. W ocenie TSUE przyznanie bankowi takiego prawa przyczyniłoby się do wyeliminowania efektu odstraszącego wywieranego na przedsiębiorców – uzupełnia Maciej Sawa z Biura Rzecznika Finansowego. Aby jednak rozwiązać wszelkie wątpliwości, jeden z polskich sędziów zapytał niedawno Trybunał o to, jak potraktować roszczenia banków o waloryzację.*

Kredytobiorcy muszą zatem znów uzbroić się w cierpliwość, czekając na kolejne wytyczne z Luksemburga, który już od kilku lat okazuje się ich wiernym sojusznikiem. Jednak to czekanie nie musi być bierne. Trybunał bowiem w swoim czerwcowym wyroku podkreślił, że klienci banków mogą próbować walczyć o rekompensatę za to, że banki używały ich środków, czyli niejako korzystały przez lata z ich kapitału.

Dziś jeszcze takich pozwów jest bardzo niewiele, ale ich liczba z pewnością będzie rosła. Banki, żądając wcześniej rekompensaty, a teraz waloryzacji, mogą popełnić poważny błąd. Zwłaszcza gdy same takie sprawy będą przegrywać, ale do analogicznych żądań niejako zachęcą frankowiczów. Mamy bowiem do czynienia z bronią obosieczną i nie wiemy, jaka linia orzecznictwa ukształtuje się w tej kwestii. Przed nami zatem jeszcze zapewne wiele odcinków frankowej sagi. I nie zmienią tego wybory, bo politycy wybrali w tym temacie najbezpieczniejszą dla siebie, za to najgorszą dla polskiego systemu gospodarczego, finansowego i prawnego drogę: umyli ręce.

PIOTR CYMERMAN

Raport w sprawach Frankowiczów przed wyborami

Niektóрым wiadomości o sprawach Frankowiczów zaczynają przypominać niekończącą się sagę, w której już naprawdę niewiele się zmienia, oprócz kolejnych nagłaśnianych sukcesów. W praktyce jednak ten problem w ważny sposób rezonuje na kondycję finansową przynajmniej części z banków, ukazując również szerszy problem związany z kryzysem całego sektora bankowego. Lawinowe wygrane kolejnych kredytobiorców są co raz bardziej nie po myśli banków, które na zapleczu areny politycznej mogą szukać ewentualnego wsparcia w ustawodawcy. W jaki sposób się przed nią zabezpieczyć

i na co można aktualnie liczyć będąc frankowiczem lub posiadaczem innego kredytu pseudowalutowego?

NIE dla ustawy KNF

Dopóki w grze była sprawa o wynagrodzenie za korzystanie z kapitału, dopóty o ustawowym zakończeniu problemu nie było mowy. Jak okazało się jednak, Trybunał Sprawiedliwości UE rozwiązał wszelkie wątpliwości i wskazał, że bankom nie należą się żadnego tego rodzaju roszczenia. Od tego momentu banki przestały zaklinać rzeczywistość i rozpoczęły „grę na zapleczu”, czyli lobbowanie za ustawą. Nagle pojawił się pomysł z udziałem KNF, która nota bene nie posiada

inicjatywy legislacyjnej, aby opodatkować korzyści z wygranych. Następnie zaczęto rozważać pomysł na ustawę narzucającą wszystkim z góry określony kształt ugody. Ze względu jednak na wybory, postanowiono nie poruszać tego zagadnienia do czasu wyłonienia zwycięzców, a *de facto* najwyraźniej utrzymać przy władzy obecnej siły. Byłoby to przecież sprzeczne z wcześniejszymi komunikatami władzy o możliwości sprawiedliwego rozstrzygnięcia przed sądami, dostępnego dla wszystkich zainteresowanych. Należy wyraźnie powiedzieć, że tego rodzaju ustawa byłaby nie tylko przejawem zakłamania wobec wyborców, ale wyraźnym naruszeniem porządku prawnego, w tym konstytucyjnego prawa do sądu. Rozwiązania tego rodzaju byłby niemożliwe i spóźnione o jakieś 15 lat.

TAK dla waloryzacji świadczenia kredytobiorcy

Wyrok Trybunału otworzył natomiast drogę do dodatkowych roszczeń, jeszcze do niedawna mało prawdopodobnych zdaniem niektórych, przysługujących Frankowiczom. Jak wynika z niego, o ile bankom nie należą się roszczenia wyprowadzane w ramach kontr-pozwów, o tyle już kredytobiorcom mogą przysługiwać dodatkowe rekompensaty, związane z waloryzacją kapitału. Można bowiem przyjąć, że nienależnie pobierane raty kredytowe w zawyżonej przez banki wysokości, mogły zostać przeznaczone na inny cel, a ich wartość pieniężna uległa

osłabieniu w okresie wielu lat spłaty kredytu. Czynniki, na których opierają się takie roszczenia dotyczą m.in. rentowności obligacji, oprocentowania depozytów, wskaźnika inflacji i odsetek ustawowych. Pierwszy tego rodzaju pozew z udziałem Kancelarii Sobota Jachira trafia właśnie na wokandę Sądu Okręgowego w Warszawie, a w kolejce jest kolejnych kilkuset klientów, którzy zakończyli już swoje sprawy prawomocnymi wygranymi. Opierając się na wyroku TSUE, tak samo istotnym jak ten wcześniejszy w sprawie Dziubak, który odmienił polskie orzecznictwo, szanse powodzenia są uzasadnione.

Wyroki zamiast ugód

Ponad 99% statystycznie wygranych przez klientów spraw powoduje, że większość oferowanych ugód nie jest adekwatna do korzyści wynikających z wyroku i jest najczęściej odrzucana przez klientów. Jednak agresywne praktyki bankowych sprzedawców wzbudzają wśród wielu niepokój, na szczęście jednak całkowicie nieuzasadniony. W wielu sprawach ponadto od razu dochodzi do zawieszenia spłaty kredytu, co niweluje dłuższy czas oczekiwania na wyrok. Dodatkowe odsetki doliczane na końcu zwiększają korzyść. Nie są one jednak dostępne w ugodzie. Wniosek jest oczywisty: dalej najbezpieczniejszym miejscem do rozwiązania tego problemu pozostaje sąd, do którego trafienie powinno ustrzec kredytobiorców dodatkowo przed niekorzystną ustawą.



© KAMIL SZYSZKA

dr Adam Sobota i dr Jędrzej Jachira



dr Jędrzej Jachira, adwokat, wspólnik w Kancelarii Prawnej SOBOTA JACHIRA
wieloletni ekspert w dziedzinie pomocy Frankowiczom i Złotówkoczom
bezpłatna analiza umów w CHF i PLN: biuro@sobotajachira.pl, www.sobotajachira.pl/

Rozwód z Rosją

Zabieranie obywatelstwa stało się dla Kremla narzędziem represji. Zaś dla wielu Rosjan rzucanie paszportem bywa ostatnią szansą na manifestację obywatelskiego sprzeciwu.

O

bywatelem Rosji można zostać nawet wbrew własnej woli. Przestać nim być – tak samo. Natomiast zrezygnować z obywatelstwa może każdy. Za zgodą państwa oczywiście.

Ilia Kołmanowski, przyrodnik, znany w Rosji popularyzator nauki, autor książek, a także opozycjonista, decyzję podjął 24 lutego 2022 r. – *Rankiem obudziła mnie żona. Powiedziała, że Putin bombarduje Ukrainę, że rozpoczęła*

się inwazja – wspomina naukowiec. – Uznałem wówczas: moje relacje z Rosją są zakończone. A projekt „obywatelstwo” uważam za zamknięty.

Do podobnego wniosku doszły tysiące innych Rosjan. Niektórzy na znak protestu przeciw wojnie palili rosyjskie paszporty, topili je w toaletach albo rwali na części (nagrania do dziś można znaleźć w internecie). Inni wyjeżdżali za granicę i tam – jako polityczni uchodźcy – ubiegali się o ochronę międzynarodową. Jeszcze inni – jak Kołmanowski – decydowali się przejść formalną procedurę zrzeczenia się rosyjskiego obywatelstwa.

Na taki krok w 2022 r. zdecydowało się dołącznie 4306 osób – jak wynika ze statystyki rosyjskiego MSW. Była to największa liczba od trzech lat. Rekord, ale wcale nie oszałamiający. Średnio, w czasie pokoju, z obywatelstwa rezygnowało i tak ok. 4 tys. Rosjan.

Tym razem nie były to jednak osoby przypadkowe. Ale najczęściej aktywni członkowie społeczeń-

stwa, którzy nie zgadzali się z tym, że Rosja napadła na Ukrainę. Wśród nich kilku dolarowych miliarderów.

Jeśli chodzi o bogaczy, to chyba najbardziej otwarcie o motywach rzucenia paszportem mówił Oleg Tińkow, założyciel Tinkoff Bank. „Mam nadzieję, że większa liczba biznesmenów pójdzie w moje ślady, porzuci obywatelstwo, interesy i przestanie pracować dla faszystów” – napisał na Instagramie.

Jednak szturm magnatów finansowych na konsulaty nie było – paszporty zwrócili Nikołaj Storonski (założyciel Revolut – platformy świadczącej usługi bankowe m.in. związane z kryptowalutami), Jurij Milner (grupa inwestycyjna DST Global), a także Timur Turłow (założyciel Freedom Finance).

Niektórzy członkowie biznesowej elity krytykowali poczynania Kremla w wywiadach albo wzywali do zakończenia działań zbrojnych. Jednak większość zachowała milczenie albo poparła rosyjskie władze. I – jak się zdaje – wyszło im to na dobre. Rosyjska edycja magazynu „Forbes” informowała, że w ciągu pierwszego roku inwazji liczba miliarderów w kraju wzrosła z 88 do 110, a ich majątek z 353 do 505 mld dol.

Procedura rozwodowa

Przyrodnik Kołmanowski rozstawał się z rosyjskim obywatelstwem metodycznie. W lutym 2022 r. odbyła się narada rodziny oraz bliższych i dalszych krewnych. Potem wymienianie rubli na twardą walutę. Pakowanie. Załatwianie klatek do transportu zwierząt domowych. Kupowanie biletów samolotowych. – *4 marca 33 członków rodziny [w tym żona Ilia i jego pięcioro dzieci – przyp. red.] wyleciało do pięciu różnych krajów – opowiada Kołmanowski. – Dlaczego tak pośpiesznie? Baliśmy się, że zamkną granice. A po drugie, byłem przecież na indeksie władz. Wiele razy mnie zatrzymywano za udział w mitingach. Obawiałem się kolejnego aresztowania i wyroku więzienia.*

Kołmanowscy osiedlili się w Gruzji. Po kilku miesiącach Ilia zaczął gromadzić dokumenty niezbędne do zrzeczenia się obywatelstwa. – *W życiu tak bywa. Spotykasz się z dziewczyną, ale nie od razu bierzecie ślub. Rozstajecie się, ale rozwód nie następuje automatycznie – tłumaczy.*

Na pewno rozwód z Rosją nie jest automatyczny. Tu obowiązuje sroga procedura i jest sporo papierkowej roboty. Kto zrzeka się obywatelstwa, musi udokumentować, że przeciwko niemu nie toczy się postępowanie karne. Lub też nie ciąży na nim prawomocny wyrok, który należy wykonać. Że nie ma zakazu wyjazdu za granicę. Składając podanie, należy też potwierdzić, że nie zalega się z podatkami i innymi daninami wobec państwa. Nie można też odejść donikąd – trzeba przedstawić obywatelstwo innego państwa lub obietnicę jego przyznania (np. Kołmanowski od 2014 r. ma też paszport Izraela). Ważny jest także uregulowany stosunek do służby wojskowej.

„Dlatego po ogłoszeniu mobilizacji niektórzy mężczyźni porzucali myśl o zrzeczeniu się obywatelstwa – mówiła Radiu Swoboda Olga Podoplietowa, prawniczka współpracująca z rosyjskimi organizacjami pozarządowymi. – Pojawienie się w rosyjskim konsulacie albo w organach migracyjnych MSW w Rosji oznaczało, że petent niejako z automatu dostaje bilet do wojska”.

Procedura wygląda na skomplikowaną, więc niektórzy kończą swój romans z Rosją na wystąpieniu o ochronę międzynarodową. – *Ja po prostu złożyłam wniosek o ochronę w Polsce.*

ПАСП
PASSPO



РОССИЙСКАЯ ФЕДЕРАЦИЯ RUSSIAN FEDERATION

Oddałam rosyjski paszport i nie myślałam o nim więcej – mówi Katia, rosyjska dziennikarka, która choć jest uchodźczynią, to formalnie pozostaje obywatelką Rosji.

Niektórzy, jak Oleg Jakowlew (opuścił Rosję w marcu 2022 r., obecnie mieszka w Tel Awiwie), uważają, że branie się za to nie ma sensu: – *Mógłbym zrzec się bez problemu. W Rosji nie mam ani majątku, ani długów. Mam za sobą 20-letni staż pracy w mediach i 20-letni staż walki z reżimem. Ale pomyślałem, że minie kolejnych 20 lat i rosyjski paszport może mi się przydać* – mówi Jakowlew.

Jego bliźniak Aleksiej, współpracownik Fundacji Walki z Korupcją Nawalnego, współautor słynnego filmu „On wam nie Dimon” o majątku byłego prezydenta i premiera Dmitrija Miedwediewa, w obawie przed represjami wyemigrował do Polski. I podobnie jak brat chce zachować rosyjski paszport.

W zawieszeniu

Tymczasem rodzina Kołmanowskich zdążyła już zapuścić korzenie w Gruzji: – *To niewiarygodnie piękny kraj. Jestem biologiem, każdego dnia odnajduję jakieś ciekawe zwierzę albo roślinę – zachwyca się Ilia. – Mimo że Rosja okupuje część ich kraju, Gruzini są wobec nas bardzo przyjacielscy. Jeśli złapiesz gumę, cała ulica wyjdzie, żeby ci pomóc zmienić koło.*

Najtrudniej było zdobyć kwit od służb podatkowych: – *Wysłała się zwykłą pocztą prośbę do izby skarbowej. Oni sprawdzają we wszystkich oddziałach regionalnych, czy nie zalega się z podatkami. Potem przysyłają odpowiedź. Ten dokument zamyka finansowy aspekt naszych stosunków. Oznacza, że nie jesteśmy sobie nic winni.*

W połowie roku Kołmanowski zebrał wszystkie potrzebne dokumenty. Potem umówił wizytę w rosyjskim konsulacie. Pamięta, że pracownik był uprzejmy. – *Dobrze rozumieliśmy, że jesteśmy wrogami. Więc on starał się być maksymalnie poprawny, zachowując poczucie własnej godności* – wspomina Kołmanowski.

W jego ocenie opowieści o tym, że zrzeczeniu obywatelstwa towarzyszy skomplikowana procedura, to legenda: – *Jak się nie chce czegoś zrobić, to wymyśla się różne wymówki. Ktoś mówił, że w poselstwie byli niemili. Inny, że nie przyjęli mu dokumentów. Tymczasem zrzeczenie się obywatelstwa jest procedurą bardzo bezbolesną i dobrze zorganizowaną.*

Problem w tym, że Kołmanowski ciągle jest obywatelem Rosji. Zostawił komplet dokumentów i czeka na decyzję. Jak długo? Zgodnie z prawem nawet i rok. W dodatku, jak podkreśla Dmitrij Zachwatow, adwokat, obrońca w procesach politycznych, nigdy nie ma gwarancji, że proces zrzeczenia się obywatelstwa zakończy się sukcesem. Dlaczego? Czasami wystarczy jakiś pretekst – np. panińskie nazwisko w jednym z dokumentów – by ambasada odrzuciła wniosek.

Poza tym w Rosji trudno powiedzieć, czy państwo ma, czy też nie ma do kogoś pretensji. Sam Kołmanowski przyznaje, że katalizatorem jego działań był fakt, że wobec wielu przyjaciół zaangażowanych w działalność opozycyjną toczą się sprawy karne, a to blokuje cały proces pozbywania się obywatelstwa. On sam – choć przebywał na emigracji – został przez Rosję uznany za „zagranicznego agenta”. Tę etykietkę przyznaje się instytucjom lub osobom, które finansują swoją działalność publiczną ze środków z zagranicy. A to znaczy, że państwo miało go na oku.

Na tym nie koniec. Nawet jeśli ktoś przeszedł pomyślnie formalności i oficjalnie przestał być obywatelem Rosji, nie może być pewny, że sprawa została załatwiona na zawsze. Niedawno MSW otworzyło sobie nową możliwość ingerowania w proces.



Jeśli odpowiednie organa dojdą do wniosku, że podczas procedury popełniono błędy, nie uwzględniono ważnych okoliczności, to decyzję można cofnąć, co oznacza przymusowe przywrócenie obywatelstwa.

Dla tych, którzy wyjechali za granicę i nie chcą mieć z Rosją nic wspólnego, nie ma to większego znaczenia. Ale dla tych, którzy zostawili tu jakiś majątek, bliskich, chcieliby odwiedzić kraj np. w sprawach rodzinnych – już tak. „Wracasz i jesteś obywatelem Rosji. Masz obowiązki obywatela i odpowiadasz za wszystko jak obywatel. To wygodny mechanizm nacisku na opozycjonistów czy biznesmenów, którzy wypowiadali się przeciwko operacji wojskowej w Ukrainie” – uważa mecenas Podoplielowa.

Można więc powiedzieć, że niezależnie od tego, jaka zapadnie decyzja, Ilia Kołmanowski pozostanie w zawieszeniu.

Rosja daje

W sumie wszystko powinno być proste, rosyjska konstytucja jest w tej sprawie jasna. Art. 6 mówi, że: „Obywatel Federacji Rosyjskiej nie może zostać pozbawiony swego obywatelstwa lub prawa do jego zmiany”. To próba zerwania ze spuścizną ZSRR, gdzie pozbawianie obywatelstwa było formą represji wobec dysydentów i przeciwników politycznych. Dotykała ona polityków (Lew Trocki), pisarzy (Aleksander Sołżenicyn) czy artystów (Mściśław Rostropowicz).

Tyle że 30 lat temu, gdy przyjmowano aktualną konstytucję, Rosja była innym, zafascynowanym demokracją krajem. Z czasem ustawa zasadnicza zmieniała się w nieprzyjemnie za ciasny gorset. Także w sprawach związanych z przyznawaniem i odbieraniem obywatelstwa, które od zawsze były doskonałym orężem w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. ►

► Rosja na przykład chętnie wydawała paszporty mieszkańcom nieznanym republik Abchazji, Osetii Południowej i Naddniestrza. To dawało jej możliwość interwencji w obronie „swoich obywateli”. Ten sam manewr zastosowano potem w separatystycznych Ługańskiej i Donieckiej Republice Ludowej, a wcześniej na Krymie (jeszcze przed aneksją nadano obywatelstwo funkcjonariuszom Berkutu, ukraińskiej formacji, która otworzyła ogień do demonstrantów na Majdanie Niezależności).

Teraz Rosja nadaje obywatelstwa Ukraińcom, mieszkańcom terytoriów, które znalazły się pod okupacją w wyniku inwazji rozpoczętej w lutym 2022 r. „Ludzie ci mają obywatelstwo innego kraju. Tymczasem Rosja stara się przymusowo wręczać im swoje paszporty. To niedopuszczalna praktyka” – mówił mecenas Zachwatow w rozmowie z Radiem Swoboda. Podobnie dzieje się z dziećmi wywiezionymi z Ukrainy, których nikt nie pyta o zdanie, czy mają ochotę zostać Rosjanami. Według prawników takie działanie jest ewidentnym złamaniem prawa międzynarodowego.

Wchodząca właśnie w życie nowelizacja prawa o obywatelstwie, przyjęta z inicjatywy prezydenta, ułatwi takie działania. Pozwala ona na nadawanie w uproszczonej procedurze obywatelstwa „mieszkańcom byłego ZSRR”, a także tym, którzy znaleźli się na terytorium Rosji w wyniku zmiany granic państwowych.

Krew ostatnia

Inna ważna regulacja mówi o tym, że obywatelami Rosji mogą zostać ci, którzy podpisali przynajmniej roczny kontrakt na służbę w rosyjskiej armii. To jasna zachęta dla obywateli biedniejszych krajów Azji Środkowej, by przelewając krew w Ukrainie, otworzyli sobie prawo do życia w Rosji. Zresztą coraz częściej okazuje się, że emigrantów ekonomicznych nikt szczególnie nie pyta, czy mają ochotę walczyć. Rosyjska policja regularnie organizuje zatrzymania wśród gasterbeiterów. To nic nowego, ale wcześniej naloty kończyły się najczęściej deportacją. Obecnie zaś przymusową wizytą w komisji wojskowej i próbą zmuszenia do podpisania kontraktu.

Migranci to świetne źródło rekrutów dla potrzebnej armii. W 2022 r. do Rosji w poszukiwaniu pracy przyjechała rekordowa liczba osób – 5,8 mln Uzbeków, 3,5 mln Tadżyków i blisko milion Kirgizów. O nich armia oczywiście też może się upomnieć. 28 sierpnia deputowany do Dumy Michaił Matwiejew z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej wniósł nawet projekt ustawy pozwalającej pozbawiać obywatelstwa naturalizowanych Rosjan, którzy uchylają się od służby wojskowej.



Ilia Kołmanowski, opozycjonista i znany w Rosji popularyzator nauki; poniżej: miliarder Oleg Tińkow, założyciel Tinkoff Bank. Obaj rzucili rosyjskim paszportem.

do działań terrorystycznych i ekstremistycznych przeciwko Rosjanom”. Chodziło o ich wpisy w mediach społecznościowych.

Nowe życie

Ilia Kołmanowski podkreśla, że przez blisko 50 lat życia rzadko wyjeżdżał z Moskwy, najwyżej na kilka tygodni. Teraz, choć mieszka w Gruzji, mnóstwo czasu zabiera ją mu podróże z wykładami przyrodniczymi po całym świecie: – *Kto by przypuszczał, że w moim wieku zdążę zobaczyć jeszcze tyle różnych krajów, poznać tylu ciekawych ludzi. To bezcenne doświadczenie.*

Jednym słowem, nie żałuje decyzji o rozwodzie z Rosją. Zamierza nawet wydać „przewodnik” dla rodaków – jak krok po kroku zrzec się rosyjskiego obywatelstwa.

EUGENE MEDVEDEV, PAWEŁ RESZKA

Nożem po mapie

JĘDRZEJ WINIECKI

Chiny w przewracaniu światowego porządku coraz częściej stosują ekspansjonizm kartograficzny – powiększanie imperium zaczynają od map.

Chińskie ministerstwo zasobów naturalnych opublikowało niedawno nowy zbiór oficjalnych map ChRL. Niby nic nadzwyczajnego, od 2016 r. resort co roku dokonuje „przeglądu”, aktualizuje i wprowadza korekty błędów z poprzednich edycji. Jednak tym razem publikacji towarzyszył spory szum propagandy i już w pierwszych godzinach ze stolic sąsiednich państw popłynęły głosy oburzenia i żądania natychmiastowych poprawek. ▶



► Powód? Zasięg granic ChRL wykreślono trochę bardziej zamasyście niż zwykle i trudno podejrzewać, że to jedynie efekt omsknięcia ołówków kartografów. Na wschodzie autorzy zagarnęli Tajwan i – to pewna nowość – szmat morza za wyspą. Na południu tradycyjnie zarezerwowano 90 proc. powierzchni Morza Południowochińskiego i obszar, o który od dekad idzie spór z Indiami, w tym stan Arunachal Pradesh i Aksai Chin, część Wyżyny Tybetańskiej. Na północnym wschodzie – to nowość druga – schińszczeniu uległa całość położonej na granicy z Rosją rzecznej wyspy Bolszoj Ussuryjski, która jeszcze niedawno częściowo była rosyjska.

Plaster w małej skali

Najmniej wyrzutów Pekinowi czynili właśnie Rosjanie. Z kim innym handryczyliby się o każdą piędź, ale w kontekście wojennego osamotnienia nie potrzebują zwady z Chinami. Stąd rosyjski MSZ przypomniał jedynie, że oba państwa już jakiś czas temu wytyczyły swoje granice, potwierdzeniem ustaleń są stosowne umowy.

Bez większych emocji Moskwa przyjmuje także zmiany w chińskiej toponimii – ostatnio przyjmowane regularnie i polegające na powrocie do tradycyjnych nazw tych miejsc i miejscowości, które w XIX w. Rosja siłą odebrała cesarskim Chinom. Po to, by np. zamiast „Chabarowska” chińscy urzędnicy i obywatele mówili „Boli”. Rosyjska postawa jest o tyle intrygująca, że dotąd przecież to Rosja realizowała żarcik opowiadany czasem przez prezydenta Władimira Putina: „Z kim graniczy Rosja? Z kim chce”.

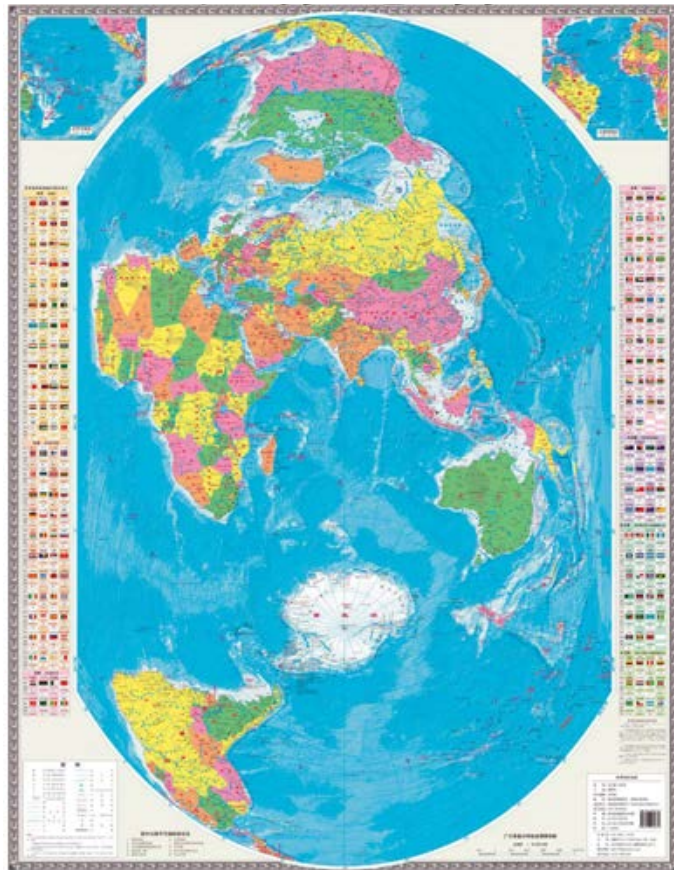
Za to szczerym oburzeniem na nowe mapy ChRL zareagowały rządy pozostałych krajów. Istotny był m.in. termin pokazania map – ogłoszono je tuż przed szczytem klubu G20 w Nowym Delhi, ważnego dla Indii i jej premiera Narendry Modiego. Indiom i Chinom jest ostatnio coraz mniej po drodze. Przywódca ChRL Xi Jinping na szczyt nie pojechał, za pretekst posłużyła właśnie indyjska reakcja na publikację.

Mogło też chodzić o plaster na kiepskie chińskie nastroje, pogarszające się w ślad za słabnącą gospodarką. Skoro zwykli Chińczycy nie widzą nadziei, że poprawią swoje osobiste finanse, to władza daje im powody do zadowolenia z innych porządków, np. wzrost znaczenia (choćby kartograficznego) na świecie. Takie mocarstwowe napuszenie doskonale działa w putinowskiej Rosji.

Tyle że Filipiny nie rezygnują przecież ze Scarborough Shoal, rafy Morza Południowochińskiego. Swoich roszczeń do wysp Spratly na tym samym akwenie nie wycofały Malesja, Filipiny i Wietnam, który przy każdej okazji przypomina, że do niego należą także Wyspy Paracelskie. Razem z Brunei i Indonezją powyższe kraje twierdzą, że Pekin swoją mapą wspomnianego morza zamachnął się na ich suwerenność. Przypominają, że w 2016 r. trybunał arbitrażowy, funkcjonujący z mocy oenzetowskiej konwencji o prawach morza, uznał, że chińska tzw. linia dziewięciu kresek bądź „krowiego języka” nie ma żadnego skutku prawnego.

W praktyce Chiny nie respektują określonych w konwencji sposobów wyznaczania zasięgu morskich stref państwowych. Linia dziewięciu kresek od 1946 r. wyznaczają zasięg tego, co na Morzu Południowochińskim uważają za swoje, powołując się tutaj na „prawa historyczne”. W tym roku zresztą kresek jest dziesięć – ta dodatkowa pojawiła się za Tajwanem.

Chiny zdecydowanie bronią swoich uzurpacji. W przeszłości nie dopuściły do poszukiwań geologicznych na wodach Wietnamu i Malesji. Powstrzymały indonezyjską straż przybrzeżną, która nie zdołała złapać chińskich rybaków łowiących w strefie Indonezji. Wiosną chiński statek badawczy, eskortowany przez piętkę okrętów, pojawił się w wietnamskiej wyłącznej strefie



ekonomicznej, w pobliżu platform wiertniczych. Chińskie okręty pojawiły się również w części morza, gdzie Wietnam rozwiązał swe spory z Indonezją.

Mniejsi próbują się bronić, np. Malesja i Indonezja wysłały w sporne rejony swoje statki badawcze. Na lądzie włączył się Nepal: nowa mapa z Indii uznała tereny objęte nepalskimi roszczeniami, więc pod koniec lata w akcji protestu i niezgody burmistrz Katmandu odwołał swoją wizytę w Pekinie.

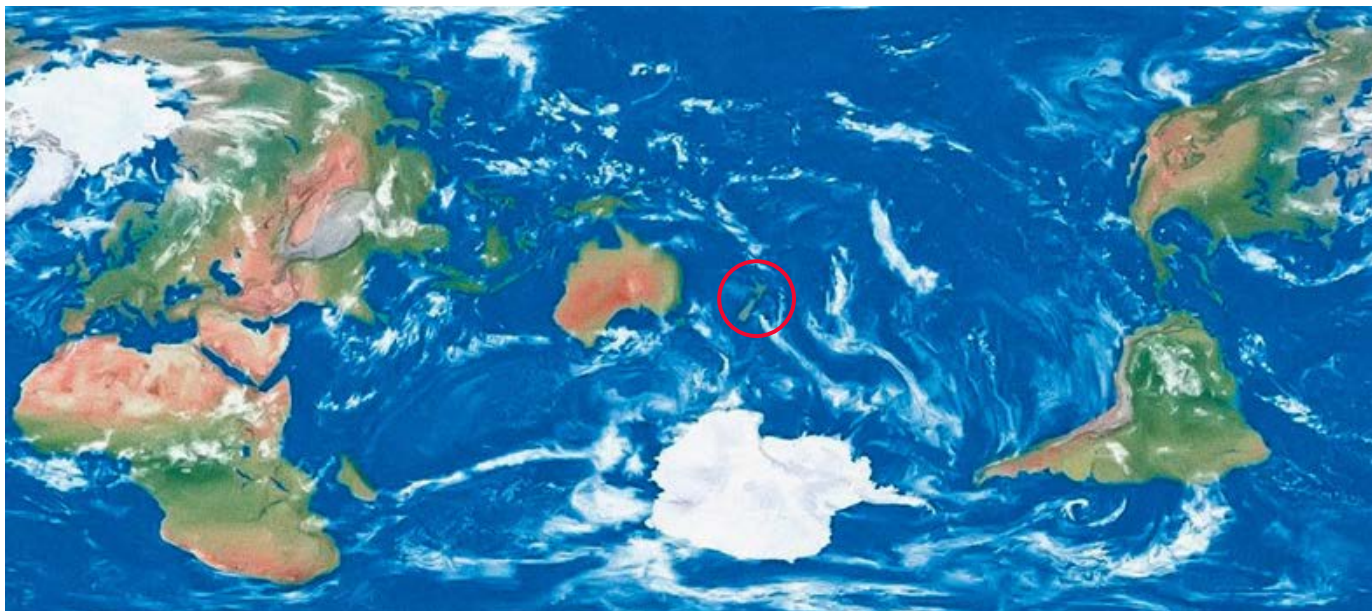
Xi nie odpuści

Obecnie najgoręcej jest jednak na odcinku filipińskim. Chiny przy wejściu na wody wokół Scarborough Shoal postawiły pływającą barierę. We wrześniu nurek filipińskiej marynarki odciął nożem długą linę łączącą kotwicę z jeszcze dłuższą siecią. Bariera była nielegalna, sprzeczna z prawem międzynarodowym, stanowiła niebezpieczeństwo dla żeglugi i odcinała rybaków od łowisk.

Urzędujący od niedawna filipiński prezydent Ferdinand Marcos jr. z antychińskiej retoryki zrobił znak rozpoznawczy swojej prezydentury i nakazał usunięcie blokady. Argument był taki: jej pozostawienie zachęciłoby Chiny do dalszych zaborczych kroków. Po odcięciu kotwicy Chiny sieć zwinęły, a filipińscy marynarze zabrali kotwicę. Pozostanie trofeum z udanej akcji. Chiny apelują jednak do rządu Filipin, by nie tworzył politycznego dramatu na podstawie fikcji. Z chińskiego MSZ popłynęły głosy, że pora, by Filipiny zakończyły swoje prowokacje...

Filipiny zrobiły się więc asertywne. Pytanie jednak, jak się zachowają Chiny, które rozbudowały atole koralowe Wysp Paracelskich i Spratly do sztucznych wysp, a kilka z nich ufortyfikowały i obsadziły wojskiem. Przy operacjach podobnych do likwidacji sieci pozostaje ryzyko eskalacji. A filipińskim sprzymierzeńcem są przecież Stany Zjednoczone.

Gdyby doszło do walk chińsko-amerykańskich, wtedy musieliby się ruszyć także inni bliscy partnerzy Ameryki – Japonia, Korea i Australia. Są więc eksperci, którzy sugerują, by traktować rzecz śmiertelnie serio, nawet bardziej niż kwestię wokół Tajwanu.



Świat widziany z Nowej Zelandii, z wyspiarskim państwem w centrum. Po lewej: chińska mapa pionowa, z zaznaczonym na różowo Państwem Śródka oraz Antarktydą (zaznaczoną na białą), która zamiast na krańcu świata znalazła się w jego centrum.

W jego przypadku Xi zapowiada, że nie odpuści, otwarcie grożąc niezależnej wyspie jakąś formą interwencji zbrojnej, inwazją bądź blokadą morską, jeśli Tajwańczycy nie zechcą się dobrowolnie połączyć z państwem chińskich komunistów.

Z kolei na Morzu Południowochińskim możliwy jest scenariusz o ukraińskim przebiegu, ale o większej skali i w morskim wydaniu. Tu stawka jest o tyle wyższa, że wojna dotknęłaby akwen, przez który przechodzi jeden z najważniejszych szlaków żeglugi morskiej, łącząc wschód Azji z jej południem, Afryką i Europą. Tędy przechodzi jedna trzecia towarów będących w globalnym obrocie handlowym. I jeszcze niedawno w tym miejscu dominowała marynarka wojenna USA, teraz wypychana przez chińską.

Chiny na sporne wody wysyłają swoją straż przybrzeżną i flotę tzw. milicji morskiej, zorganizowanej z trawlerów rybackich. Przez ich działalność filipińscy rybacy nie mogą łowić tam, gdzie robili to od pokoleń. Nie ma też mowy o wydobywaniu ropy i gazu. Chiny będą też blokowały atol Second Thomas Shoal, część Spratly – siedzą tam filipińscy żołnierze, jest kłopot z zaopatrywaniem ich w żywność, łodzie płynące tam są celem chińskich szykan.

Chińczycy regularnie przepływają tuż obok mniejszych jednostek, co jest niezgodne z zasadami zachowania na morzu, bo naraża mniejszych na niebezpieczeństwo. W użyciu są sygnały dźwiękowe, także wysyłane ze specjalnych działek akustycznych. W nocy w grę wchodzi oślepienie silnym światłem, a nawet ostrzał z działek wodnych i taranowanie. Na Morzu Południowochińskim dochodziło już do zatopień cywilnych łodzi. Do tego w powietrzu są chińskie samoloty, które niebezpiecznie podlatują do maszyn amerykańskich w spornej przestrzeni, którą Chiny już zajęły. Przynajmniej w kartograficznej teorii.

Tyrania dystansu

Mapy są politycznym amuletem. W przestrzeni publicznej przybywa ich, gdy państwo ma nierozstrzygnięte spory terytorialne. Rosja podkreśla tak zawłaszczenie Krymu i republik wykrójonych z terenów okupowanych na wschodzie Ukrainy. W Azerbejdżanie nie zaznaczano jako osobnego bytu Górskiego Karabachu, kontrolowanego przez Armenię przez ponad trzy dekady. Teraz w Armenii pewnie nie będzie się zdejmować map z wydzielonym Arcachem, separatystycznym państwkiem karabachskich Ormian.

Na Węgrzech w budynkach ministerialnych wiszą ogromne mapy z czasów c.k. monarchii, z węgierskim Siedmiogrodem

i z dostępem do morza. W Białorusi popularne są mapy z okresu drugiej wojny światowej, gdy sowiecka Białoruś sięgała do Ostrowi Mazowieckiej, 100 km od Warszawy.

Poza tym np. chińskie mapy świata, także te wiszące w szkołach, pokazują inny rzut niż ten, do którego jesteśmy przywiązani w Europie. Tam pośrodku map są Chiny i Pacyfik. Reszta świata prezentowana jest jako peryferie. W tej optyce Europa staje się ledwie półwyspem Eurazji, który za sprawą zagięć wynikających z odwzorowania sferyczności Ziemi niknie gdzieś po lewej. Zrazem widać, jak wielki – stąd amerykańscy geostratedzy mówią o „tyraniu dystansu” – jest Ocean Spokojny, w naszych atlasach szkolnych zazwyczaj rozciąty na pół.

W takim ujęciu wreszcie na honorowym miejscu ląduje Oceania, która ma swoje porachunki z wydawnictwami kartograficznymi biorącymi za punkt wyjścia atlantyckocentryczny rzut Merkatora. Ich twórcom, pewnie przez nieuwagę, zdarza się nie uwzględnić zwłaszcza Nowej Zelandii. Nie ma jej na logo ONZ przed biurem organizacji w Genewie, bywa pomijana na mapach firm prowadzących globalną działalność, zabrakło jej też na mapie promującej mistrzostwa świata w rugby, w czasie gdy akurat drużyna All Blacks była mistrzem. Niejako w odwecie w Nowej Zelandii tworzy się mapy, gdzie na środku ląduje biegun południowy. Wtedy miejsce Nowej Zelandii, w dalekim kącie mapy, zajmuje Europa.

Nie jest jednak żadną zabawą, jeśli do podobnych operacji zabierają się urzędy mocarstw. W czasie gdy w 2014 r. Chiny umacniały swoją obecność na Morzu Południowochińskim, pokazano jeszcze jedną mapę, sygnowaną przez Krajową Administrację Geodezji, Kartografii i Geoinformacji. O tyle osobliwą, że rozłożono ją nie w poziomie, a w pionie. Odcięta Ameryka Płn. wylądowała u góry nad Eurazją, Ameryka Południowa na dole.

W środku oczywiście znalazły się Chiny, a po sąsiedzku także oba bieguny. Antarktyda i Arktyka zamiast na krańcach świata, zostały umieszczone w jego centrum. Na dodatek w takim ujęciu znacznie lepiej widać krótsze o kilka tysięcy kilometrów od tradycyjnych trasy żeglugi wokół biegunów, zwłaszcza północnego, przez topniejące coraz szybciej lody Arktyki.

Mapę tę wykorzystywała już wcześniej Armia Ludowo-Wyzwoleńcza, czyli chińskie wojsko. Upubliczniono ją prawie dekadę temu, by wesprzeć chińskie roszczenia do regionów polarnych i ugruntować status Chin jako państwa „bliskoarktycznego”. Ekspansja trwa więc we wszystkich kierunkach.

JĘDRZEJ WINIECKI

Kijów, wystawa zniszczonego rosyjskiego sprzętu. W tle pomnik księżnej Olgi z symbolicznie nałożoną kamizelką kuloodporną.



Na zgliszczach imperium

Rozmowa z ukraińskim historykiem Serhijem Plokhy o tym, dlaczego Ukraina osiągnęła już najważniejszy cel w wojnie z Rosją i co będzie z polsko-ukraińskim pojednaniem.

TOMASZ TARGAŃSKI: – **Gdzie pan był 24 lutego 2022 r., w dniu ataku Rosji?**

SERHII PLOKHY: – W Wiedniu. Wczesnie rano obudził mnie mail od kolegi. Kiedy zobaczyłem wiadomości, poczułem, że serce zaczyna mi mocniej walić. Do końca się łudziłem, że Władimir Putin nie zdecyduje się na atak.

Co pana zaskoczyło w pierwszych dniach wojny?

Jej skala. Fakt, że była to prawdziwa inwazja w stylu drugiej wojny światowej, a nie chirurgiczna operacja, do których przyzwyczaił nas XXI w. Skontaktowałem się z rodziną i przyjaciółmi mieszkającymi w Zaporżu oraz Dnieprze. Później zacząłem zastanawiać się, jaka będzie skala oporu.

W swojej najnowszej książce „The Russo-Ukrainian War” napisał pan, że już po miesiącu inwazji jej ostateczny rezultat był dla pana oczywisty.

Jeśli przyjmiemy, że celem Putina było zniszczenie ukraińskiej państwowości

oraz udowodnienie, że Ukraińcy nie istnieją jako odrębny naród, to już pod koniec marca 2022 r. było jasne, że poniósł klęskę. Kijów się obronił, ukraiński opór tężał, a Rosjanie zaczęli ponosić dotkliwe straty. Wiele zależy od tego, jak zdefiniujemy cele obu stron. Dla Ukraińców od początku była nim obrona niepodległości. Kolejne miesiące utwierdzały mnie w przekonaniu, że bez względu na to, jak długo jeszcze potrwa wojna oraz jaki będzie ostateczny przebieg granic, Ukraina przetrwa. Pod tym względem Putin już przegrał.

Dla Ukrainy jest to zatem wojna o niepodległość. A dla Rosji?

To kolejna z serii wojen rozpętaných w wyniku dezintegracji imperium. Początkiem tego procesu były pierwsza wojna światowa i rewolucja bolszewicka, w wyniku których Rosja utraciła kontrolę nad Polską i Finlandią. Stalin w latach 40. XX w. zdołał odzyskać część tych terenów, ale na przełomie lat 80. i 90. doszło

do kolejnego załamania. Imperium zaczęło się kruszyć, a kluczowym elementem tego etapu było uzyskanie niepodległości przez Ukrainę i Białoruś. Putin chciał te zmiany wymazać. Dlatego rozpoczął wojnę przeciwko Czeczenom w 1999 r., Gruzji w 2008 r., a w 2014 r. zaatakował Ukrainę, odbierając jej Krym.

Pisze pan, że dla Ukrainy jest to wojna „narodowowyzwoleńcza”.

Punktem wyjścia były dla mnie wojny toczone przez kolonialne mocarstwa – szczególnie po 1945 r. – przeciw narodom dążącym do niepodległości. Niemal wszystkie kończyły się klęską imperialnych potęg: czy to w przypadku Francuzów w Algierii, Amerykanów w Wietnamie czy Rosjan w Afganistanie. Każda z tych wojen była w pewnym sensie wojną antykolonialną, a ich celem było narodo-we samostanowienie.

Te terminy wydają się dziś przestarzałe.

Ale nie powinniśmy od nich uciekać. Opisują one bowiem kluczowe procesy,

które stworzyły świat, w jakim żyjemy, a jest to rzeczywistość postimperialna. Aby ją zrozumieć, musimy zdawać sobie sprawę z długofalowych skutków zawalenia się mocarstw, które organizowały życie w naszej części świata przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

W jakim sensie?

Zazwyczaj mówi się o „upadku” mocarstwa, co wskazuje, że jest to wydarzenie nagłe i niespodziewane. W rzeczywistości jest to raczej długotrwała agonía, w trakcie której każda postimperialna przestrzeń szuka nowych form organizacyjnych. Skutkiem tych konwulsji są zaś kolejne wojny. W tym sensie wojny na Bałkanach w latach 90. i polityczną niestabilność całego regionu można rozpatrywać jako wstrząsy wtórne po rozpadzie Imperium Osmańskiego. Powstanie tzw. Państwa Islamskiego jawi się z kolei jako długofalowy efekt dezintegracji mocarstw brytyjskiego i francuskiego na Bliskim Wschodzie.

I wojny Putina wpisują się w ten schemat?

Tak, jako próba tchnięcia nowego życia w rosyjski projekt mocarstwowy. Kształt naszego świata wciąż się wykuwa – w Europie zwycięskim modelem okazały się państwa narodowe i łącząca je Unia Europejska. Dla Putina ten model jest uosobieniem całego zła. Wojna przeciw Ukrainie w 2014 r. rozpoczęła się właśnie dlatego, że Kijów podpisał umowę stowarzyszeniową z Unią.

Czy z tej perspektywy dekolonizacja Rosji jest w ogóle możliwa?

Ten proces w pewnym sensie już się rozpoczął. Gdy rozmawiamy, Rosja nie kontroluje w pełni swojego konstytucyjnego terytorium. Przypomnę, że jesienią ubiegłego roku formalnie anektowała m.in. obwód zaporoski i chersoński, gdzie wciąż toczą się walki. Do tego dochodzi kwestia takich republik jak Czeczenia, która ma bogatą tradycję niezależności. W innych regionach, jak Buriacja, również narasta niezadowolony, przede wszystkim z powodu nadmiernego poboru tamtejszych mężczyzn do armii oraz wykorzystywania ich na froncie jako mięsa armatniego.

Czy wojna przeciw Ukrainie może oznaczać zakończenie rosyjskich wpływów w Europie?

To ważny punkt zwrotny w tym kierunku. Rosyjskie wahadło historyczne co jakiś czas wychyla się to na wschód, to na zachód. Okresy agresywnego zaangażowania w sprawy europejskie przeplatają się z epizodami izolacji i wycofania. Tak stało się po przegranej wojnie krymskiej w połowie XIX w., kiedy carowie zwrócili się ku Azji Środkowej. Również bolszewicy

po nieudanym marszu na Europę i porażce w wojnie z Polską w 1920 r. na jakiś czas odwrócili się od Zachodu. Ten wzorec może więc wskazywać, że w najbliższym czasie nastąpi zwrot na Wschód. Wyjątkowość obecnej sytuacji polega jednak na tym, że Rosja nie zajmie tam pozycji hegemonu, lecz klienta o wiele silniejszych Chin.

Jaka rolę w dalszym przebiegu wojny może odegrać Krym?

Ma wielkie znaczenie militarne i symboliczne. Ale nie jestem pewny, czy jego utrata przez Rosję musi np. oznaczać automatyczny koniec wojny. Kreml ma pełną kontrolę nad rosyjskimi mediami, dzięki czemu Putin jest w stanie „sprzedać” Rosjanom dowolną historię, a każdą klęskę zmienić w zwycięstwo. Skoro kremlowska propaganda była w stanie przekonać Rosjan, że Ukraińcy to naziści, rządzeni przez żydowskiego prezydenta, to nie trudno mi wyobrazić sobie scenariusz, w którym utrata Krymu zostanie przestawiona jako konieczny odwrót.

W takim razie jak skończy się ta wojna?

Wspomniałem na początku, że kwestia istnienia Ukrainy jako niezależnego narodu została na szczęście rozstrzygnięta. Natomiast kwestia przebiegu granic zdecydowanie się na polu bitwy. Jeśli Ukraina chce odzyskać swoje ziemie, musi wyrzucić z nich rosyjską armię siłą, bo przy stole negocjacyjnym nikt nie da jej nic za darmo.

Czy możliwe jest „zamrożenie” tego konfliktu, co zapewne zablokowałoby Ukrainie drogę do zachodnich instytucji?

Nie można tego wykluczyć, ale... Niemcy zachodnie w czasie zimnej wojny zostały przecież przyjęte do NATO, mimo że były państwem podzielonym i nie sprawowały kontroli nad terytorium, do którego rościły sobie prawa. Sięgam po ten przykład, aby pokazać, że Ukraina może znaleźć się w położeniu zimnowojennych Niemiec. Może być państwem mocno prozachodnim, częścią zachodnich struktur, znajdując się jednocześnie na granicy stref wpływów.



Serhii Plokhyy – czołowy historyk ukraiński, rocznik 1957. Dyrektor Harvardzkiego Instytutu Badań Ukraińskich (Harvard Ukrainian Research Institute); autor wielu prac poświęconych historii Ukrainy. Niedawno w języku angielskim ukazała się jego książka „The Russo-Ukrainian War” (Wojna rosyjsko-ukraińska).

Miejmy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jeśli bowiem jakieś terytorium ukraińskie znajdzie się na trwałe pod kontrolą Rosji, ta bez wątpienia przeprowadzi jego „deukrainizację”. Zniszczy wszelkie ślady ukraińskiej państwowości, a mieszkańców deportuje. W tej sytuacji nie byłoby już dwóch Ukrain, które mogłyby się połączyć.

Czy ta wojna może być przełomowym wydarzeniem w stosunkach polsko-ukraińskich?

Mam szczerą nadzieję, że tak będzie. Pomoc i otwartość, z jaką spotkali się moi rodacy w Polsce, przerosła wszelkie oczekiwania. Ukraińcy nie zapomną, kto jako pierwszy wyciągnął do nich pomocną dłoń, otworzył granice dla uchodźców, dał dach nad głową. To wyjątkowe wydarzenie w dziejach naszych narodów.

Tym bardziej że gdy przyjrzymy się, jak przebiegały procesy pojednania między narodami w drugiej połowie XX w., inicjatywa zawsze przychodziła z góry. Pojednanie niemiecko-francuskie rozpoczęli de Gaulle i Adenauer. Za próbę pojednania z Niemcami odpowiedzialni byli hierarchowie polskiego Kościoła.

W przypadku Polaków i Ukraińców jest inaczej. Tu mamy do czynienia z procesem oddolnym, rozumianym jako autentyczne pojednanie między ludźmi. Co więcej, istnieje szansa, że stanie się ono fundamentem specjalnych relacji między naszymi państwami na wzór sojuszu anglo-amerykańskiego z czasów drugiej wojny światowej. Bazował on na trzech elementach: kulturowej bliskości, poczuciu historycznej więzi oraz politycznej konieczności. Polacy i Ukraińcy również je współdzielą.

Czy jednak bieżąca polityka, jak np. niedawny spór o ukraińskie zboże, nie zaprzępaści tego procesu? Czy nie ożywi historycznych resentymentów?

Po ukraińskiej stronie z pewnością nie. Ukraińskie media zarzucały raczej Zielonemu brak wyczucia w stosunku do Polski i niezważanie na niuanse waszej polityki wewnętrznej. Część opinii publicznej od dawna krytycznie odnosi się do jego nieprzemyślanych wypowiedzi na arenie międzynarodowej. Poza tym wskazywano, że prezydent ulega lobby rolniczych oligarchów. Duża część głosów krytyki dobiegała z obozu Petra Poroszenki, który sam jest właścicielem dużego holdingu rolniczego. Obecne zadrażnienia w stosunkach z Polską Ukraińcy traktują zatem jako sprawę, której podłożem jest bieżąca polityka, nie zaś konflikt na tle historycznym. ■

Kocie ruchy

Kim jest **Robert Fico**?

Spełnieniem dowolnych oczekiwań wyborców.
Dlatego znów wygrał wybory i być może
po raz trzeci zostanie premierem Słowacji.

TOMASZ MAĆKOWIAK



© CAMILLA MORANDI/GETTY

nich rządu nie stworzy. Jak na razie jeden z nich – Peter Pellegrini – powiedział, że zgodzi się wejść do rządu tylko wtedy, jeśli sam zostanie premierem.

Zwycięstwo Ficy, który był już premierem w latach 2006–10 i 2012–18, zachodnia opinia publiczna przyjęła z obawami. BBC pisało o nim „prorosyjski populistą” i nie ma w tych słowach przesady. W kampanii wyborczej Fico postawił przede wszystkim na antyukraińską kartę. „Nie wyślemy już ani jednego naboju!” – grzmiał na wiecach do swoich wyborców. Rządzący krajem elity oskarżył o to, że są agentami USA, i zapowiedział, że po wygranej postawi ich przed sądem za zdradę.

Słowacja wyraźnie pod tym względem różni się od Polski czy Czech. Tamtejsze społeczeństwo jest mniej entuzjastycznie nastawione do Zachodu, wobec USA dominuje nieufność, sympatie prorosyjskie też są silne. A Fico ma znakomite wyczucie nastrojów społecznych. I po wymuszonym odejściu z polityki cztery lata temu, po rozpadzie jego rodzinnej partii, nie miał wyboru i musiał sięgnąć po elektorat antysystemowy.

Fico nie może sobie oczywiście pozwolić na otwarte wsparcie Moskwy. Aż tak prorosyjscy Słowacy nie są.

Nie są też jednak przekonani, że raczej mają Ukraińcy i Zachód. Fico trafia właśnie w ten brak pewności. Nie twierdzi, że Władimir Putin miał rację, napadając na Ukrainę. Nie rozgrzesza napaści, tylko sięga po dość łatwy i miły wielu Słowakom pacyfizm. „Już widać, że tej wojny nikt nie wygra, nie da się jej rozstrzygnąć siłą. Prędzej czy później obie strony będą musiały zasiąść do negocjacji. Im szybciej, tym lepiej, bo tym mniej ludzi zginie” – wywodzi.

Dociskany, nie udziela odpowiedzi na pytanie, kto wojnę wywołał. Twierdzi za to, że trwa ona tak długo z winy Zachodu i USA, które zbroją Ukrainę i w ten sposób „podsycają” konflikt. Zapytany o napaść z lutego 2022 r. odpowiada: „Wojna nie zaczęła się wtedy. Wojna zaczęła się w roku 2014, kiedy ukraińscy faszyci zaczęli w Donbasie mordować rosyjskich cywilów”. A tuż po aneksji Krymu powiedział: „Dla każdego rozsądnego człowieka jest oczywiste, że Rosjanie nigdy nie oddadzą Krymu. Trzeba to przyjąć jako fakt i od tego miejsca rozpocząć negocjacje”.

Słowackie doświadczenia z Rosją są nieporównywalne z polskimi, bo wspólna historia była zupełnie inna. Polacy dobrze wiedzą, że ustępstwa wobec

To nieważne, czy kot jest biały czy czarny. Ważne, żeby łapał myszy. Tym powiedzonkiem przed ponad 20 laty Robert Fico rozpoczynał karierę polityczną. Miało oznaczać, że nieważne są nazwy i sztandary partyjne – liczy się skuteczność. Kariera 59-letniego Ficy dowodzi, że wciąż trzyma się tej zasady.

Robi i mówi to, co mu się w danym momencie opłaca.

Partia Ficy – SMER – wyraźnie wygrała w słowackich wyborach parlamentarnych 30 września. Prezydentka Zuzana Čaputová już powierzyła mu misję tworzenia rządu. Lekko nie będzie, bo nowy parlament jest rozdrobniony. A potencjalni koalicjanci wiedzą, że Fico bez

Moskwy oznaczają święty spokój może na kilka lat, a potem pojawiają się następne żądania i groźby. Słowacy pamiętają sowiecką agresję z 1968 r., ale poza tym na Rosję patrzą – od czasu odrodzenia narodowego w XIX w. – jako na wielkiego słowiańskiego brata, który był dla nich nadzieją i wsparciem w walce z ich wrogiem numer jeden – Węgrami.

Uważają się sami za naród mały i słaby, chwielej się cały czas na granicy niebytu. Za jedyną szansę na przetrwanie uważają coś, co można określić nawet nie jako „stanie pośrodku”, ale „trzymanie się na uboczu”. Polacy mówią o takiej postawie „moja chata z kraja”. Stąd dystans i do Rosji, która – mimo sympatii – jednak jest groźna, ale też daleka. Stąd też dystans do Zachodu, postrzeganego także jako potęga, która takiego małego pionka jak kraj pod Tatrami używa do swoich rozgrywek, i nie sposób mu zaufać.

Nieufność do USA to w dużej mierze dziedzictwo komunizmu. – *Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak u nas wyglądały lata 80. W kółko braliśmy udział w jakichś pogadankach czy akademiach, na których straszono nas rakietami Reagana i tym, że Amerykanie chcą na nas testować broń nuklearną* – mówiła mi kilka lat temu moja rówieśniczka z Bratysławy (matura w roku 1986).

Symboliczna jest tu wolta, jaką wykonał jeden z najbardziej znanych słowackich polityków Ján Čarnogurský. Za komunizmu więzień sumienia, związany z katolickim skrzydłem opozycji, współpracownik Václava Havla, uczestnik spotkań opozycjonistów na Śnieżce. Po upadku komunizmu przez chwilę premier, potem obrońca zasad demokratycznych, pluralizmu i praworządności. Z czasem jednak coraz głośniej sprzeciwiał się wejściu Słowacji do NATO, domagał się neutralności.

Kiedyś w luźnej rozmowie powiedziałem mu, że między Niemcami i Rosją nie ma miejsca na neutralność. – *Ja wiem, że Polacy tak myślą. I ja to szanuję. Ale Słowacy widzą to inaczej* – odpowiedział. Później zaczął odpływać w stronę Moskwy, stopniowo tracąc prestiż i znaczenie. Podobne postawy są w słowackim społeczeństwie tak rozpowszechnione, że wśród prozachodniej części elit rodzą przerażenie – stąd głębokie podziały.

Od ataku Rosji na Ukrainę Słowacja była jednym z krajów najenergiczniej wspierających Kijów, rzecz jasna, na miarę możliwości tak małego państwa. Głośne było przekazanie Ukraincom systemu obrony przeciw-

rakietowej S300 – bardzo drogiego i skutecznego. Fico właśnie wtedy zaczął grzmieć o tym, że prezydent Čaputová to amerykańska agentka, która rujnuje potencjał obronny kraju. Ponieważ wyborcy na te hasła mocno reagowali, powoli się radykalizował, aż doszedł do słynnego: „Nie wysłamy im już ani jednego naboju”.

Takie hasła, chcąc nie chcąc, wspierają eksperci od wojskowości, którzy twierdzą, że Słowacja, co mogła, to już dała Ukrainie. Teraz co najwyżej może brać udział w jakichś międzynarodowych akcjach wsparcia, które finansują bogate kraje Zachodu. Tu już Fico nie ma żadnych oporów – takie pomysły popiera. I nagle z rzekomego pacyfisty wychodzi cwany pragmatyk, który pieniędzmi zarobionymi na wojnie nie pogardzi. I to też się podoba jego wyborcom. Chcą, aby wszyscy dali im święty spokój, ale też żeby dali zarobić.

Fico zdobył sławę pod koniec lat 90., gdy po serii brutalnych mordów kryminalnych wezwał do przywrócenia kary śmierci.

Prozachodni liberałowie zareagowali oburzeniem. Zapytałem go wtedy, czy takie pomysły nie stoją w sprzeczności z aspiracjami kraju do Unii Europejskiej: – *Ależ ja wcale nie proponuję przywrócenia kary śmierci! Ja tylko proponuję, żeby tę możliwość dokładnie rozważyć!* – zagrzmał w odpowiedzi. Swoim wyborcom mówił jednak coś innego. Ale zawsze tak, żeby mógł się z tego wycofać.

Podobnie w polityce międzynarodowej. Po rosyjskiej aneksji Krymu przekonywał jako premier, że to trzeba zaakceptować i nie drażnić Rosji. Ale kiedy jeździł na Zachód, bez wahań popierał wszystkie sankcje nakładane na Rosję przez UE i NATO. A potem wracał do kraju i jakoś to wszystko zawsze umiał wyjaśnić ludziom, którzy na niego głosowali. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

Po ostatnim zwycięstwie wyborczym pierwszy z gratulacjami do Fico pospieszył Viktor Orbán, zapewniając, że cieszy się z triumfu „prawdziwego patrioty”. Choć obaj panowie parę razy w przeszłości starli się w sprawie węgierskiej mniejszości na Słowacji, potrafią się też świetnie dogadać. Dotąd Fico był od Orbána znacznie ostrożniejszy, dużo bardziej zależało mu na opinii Zachodu. Ale to też może się zmienić – tym bardziej że opinię i tak ma już zszarganą.

Warto przypomnieć, że Fico stracił stanowisko premiera w 2018 r. w atmosferze skandalu wywołanego zabój-

stwem dziennikarza śledczego Jana Kuciaka (jako przypadkowa ofiara zginęła także jego naręczona). Opinia publiczna nie ma wątpliwości, że to korupcyjna atmosfera wytworzona przez ówczesne władze doprowadziła do tragedii. Kuciak deptał po piętach kilku bogatym biznesmenom, którzy dorabiali się milionów na styku państwowego z prywatnym, a przy tym towarzysko kręcili się wokół premiera i jego ludzi. Fico wtedy stracił wycucie: kiedy prasa pisała o państwie mafijnym, on sam, próbując pokazać, że jest niewinny, na konferencji prasowej pozował do zdjęć przy walizce z milionem euro w gotówce – to miała być nagroda dla osoby, która wskaże sprawców zbrodni.

Rok temu on i jego kolega z partii i rządu Robert Kaliniak zostali obwinieni przez prokuraturę o zorganizowanie grupy przestępczej, która miała m.in. naruszać tajemnice bankowe i podatkowe – chodziło o gromadzenie haków na polityczną konkurencję. Kaliniak nawet trafił do aresztu, ale po trzech tygodniach sąd kazał go wypuścić. Fico miał immunitet poselski, a parlament nie zgodził się na jego aresztowanie. Ale śledztwo trwa.

Od jakiegoś czasu trudno zobaczyć Ficę w eleganckim garniturze, przestał też chwalić się obyciem w Europie.

Jeździ na żniwa, w kraciestej koszuli klepie po plecach kombajnistów. „Aleście się, chłopaki, narobili jak konie!” – chwali. Na wybory poszedł z żoną, profesorką prawa, z którą jest od 35 lat. Ale jeśli wierzyć plotkarskiej prasie, w rzeczywistości żyje z inną prawniczką – niespełna 30-letnią piękną z Bratysławy.

Jeśli uda mu się stworzyć rząd i kolejny raz zostanie premierem – co jednak wcale nie jest pewne – będzie musiał wykazać się wszystkimi talentami do lawirowania. Odchodzący rząd techniczny opublikował raport, z którego wynika, że kasa publiczna jest pusta, i albo nowa władza zdecyduje się na radykalne cięcia i podwyżki podatków, albo zmuszą ją do tego rynki finansowe. Dziennikarze już obliczyli, że niezbędne cięcia pozabawią pracy nawet 130 tys. ludzi.

W 5-milionowym kraju to byłby nokaut, którego raczej nie przetrzyma żaden rząd, wszystko jedno, kto będzie premierem. Trudno się spodziewać, żeby zdesperowani ludzie chcieli nadal słuchać opowieści o kocie łapiącym myszy. Choć z drugiej strony Fico już nie z takich tarapatów wychodził. ■



Garma Festival, na którym Aborygeni prezentują swoje tańce, sztukę i kuchnię. W pierwszym rzędzie premier Anthony Albanese.

© TAMATI SMITH/GETTY IMAGES

Głos kokosów

W sobotnim referendum Australijczycy zadecydują, czy wpisać rdzennych mieszkańców do konstytucji. Ale wielu Aborygenów chce, aby w końcu zostawić ich w spokoju.

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdy spotkasz białego Australijczyka, powiedz „Aborygeni”, a czekają cię emocje, wykład z historii i chwytliwe hasła zamykające dyskusje. Na koniec zazwyczaj niepokój zmiesza się z zakłopotaniem. Czasem pojawi się nawet wstyd za to, w jakiej fatalnej sytuacji są dziś „Aborygeni” w bogatej Australii.

Z pewnymi wyjątkami białych Australijczyków można podzielić na dwie grupy (Uwaga! Uproszczenia!). Pierwsza jest bardziej agresywna, przekonana, że rdzenni mieszkańcy ich kraju „sami sobie są winni”. Z kolei druga jest przepełniona dobrymi intencjami i współczuciem, przez co jednak często wpada w protekcjonalizm – że rdzenni są niesamodzielnymi i Australia musi im jakoś pomóc. Żadna ze stron nie widzi winy w sobie.

1 W najbliższą sobotę Australijczycy zdecydują w referendum o losie rządowej propozycji, aby dać „Głos” („The Voice”) rdzennym mieszkańcom kraju, czyli Aborygenom i Wyspiarzom

z Cieśniny Torresa (to uznana przez rząd odrębna grupa etniczna). Ów „Głos” to konstytucyjnie umocowana komisja składająca się z przedstawicieli rdzennych mieszkańców, która pełniłaby rolę doradczą przy parlamencie federalnym. Jej opinia nie będzie wiążąca, nie wiadomo też, w jaki sposób mieliby być wylaniani jej członkowie.

Lewicowy rząd premiera Anthony’ego Albanese nazywa swoją propozycję „najważniejszą od pokolenia okazją, aby poprawić życie Aborygenów”. Przekonuje, że to tylko „skromna, ale niezbędna próba uleczenia traum z przeszłości i zjednoczenia narodu”. Za rządową propozycją opowiedziało się wielu australijskich celebrytów, sportowców, najlepsze uniwersytety i wielki biznes – linie lotnicze Qantas wymalowały nawet na samolotach wielkie „Yes 2023”.

Ale zmienić australijską konstytucję nie jest łatwo. – *Od 1901 r., gdy z połączenia brytyjskich kolonii powstała współczesna Australia, udało się to tylko ośmiokrotnie na 44 głosowania* – mówi Kate Galloway,

konstytucjonalistka z Griffith University w Queensland. – *Potrzebna jest większość w ogólnokrajowym referendum i zgoda co najmniej czterech z sześciu stanów, a na to się nie zanosi.*

Jeszcze wiosną przewaga zwolenników zmiany była wyraźna – prawie 20 pkt proc. Później trend się odwrócił. Obie opcje zrównały się pod koniec sierpnia, a najnowsze sondaże zapowiadają zwycięstwo przeciwników dania „Głosu” rdzennym w stosunku 49 do 43 proc. W dodatku prawdopodobnie tylko jeden stan (Tasmania) opowie się za zmianą konstytucji.

Sprawa jest tym trudniejsza, że w Australii głosowanie – zarówno to referendalne, jak i w wyborach do parlamentu – jest obowiązkowe. Skutkiem tego jest tzw. odruch konserwatywny: ci, którzy normalnie nie byłiby zainteresowani, jeśli już muszą zagłosować, w ogromnej większości są przeciw wszystkiemu, co poddawane jest głosowaniu. Stąd zwolennicy zmiany mają do pokonania nie tylko jej przeciwników, ale również tych, którym jest wszystko jedno.

2 Rdzennym mieszkańcom Australii z pewnością nie jest wszystko jedno. To jedna z najstarszych kultur świata, jej pierwsze ślady sięgają nawet 70 tys. lat w przeszłość. Sami Aborygeni nie uważają się za naród czy wspólnotę etniczną, tylko za rasę składającą się z kilkuset odrębnych grup posiadających odrębne tradycje i języki. Pod koniec XVIII w. na ich ziemi pojawili się brytyjscy kolonizatorzy, i uznając Australię za *terra nullius* – ziemię niczyją, odebrali im praktycznie wszystko, zarażając europejskimi chorobami, zmuszając do niewolniczej pracy i mordując.

Przez wiele dekad rdzenni byli marginalizowani; do lat 60. XX w. nie mieli nawet australijskiego obywatelstwa. Dziś stanowią ok. 3,2 proc. w 26-milionowym społeczeństwie i są jego najbardziej sponiewieraną częścią. Dołączają we wszystkich socjoekonomicznych wskaźnikach, takich jak poziom edukacji, przestępczość, przemoc domowa, samobójstwa, średnia długość życia. Są w końcu wyraźnie „nad-reprezentowani” w więzieniach.

Australia, w odróżnieniu od innych dawnych brytyjskich kolonii, nigdy też nie zawarła żadnego „paktu” ze swoimi rdzennymi ludami. Nowa Zelandia uwzględniła Maorysów już w dokumencie założycielskim – Traktacie z Waitangi (1840 r.). Ma też dla nich oddzielne miejsca w parlamencie, a maoryski ma status języka urzędowego. Od lat 70. XX w. kolejne umowy z rdzennymi ludami podpisuje Kanada.

W Australii coś drgnęło dopiero w 1967 r., gdy po udanym referendum przyznano rdzennym obywatelstwo. W 2008 r. premier Kevin Rudd po raz pierwszy przeprosił też za tzw. skradzione pokolenie – chodzi o praktykę odbierania przez państwo dzieci rdzennym rodzinom i przekazywania ich do wychowania w „normalnych” rodzinach, co trwało praktycznie do lat 70.

W takim społeczno-politycznym klimacie powstał specyficzny dla rdzennych model. Wygnani z własnej ziemi zaczęli zakładać obozowiska wokół „białych” osad w interiorze. Są one zorganizowane podług starych struktur plemiennych i często funkcjonują w równoległej rzeczywistości – rzadko docierają tam policjanci, według rządowych raportów szerzą się przemoc domowa, przestępczość i alkoholizm. Państwo tu w zasadzie abdykowało, działając ad hoc, zgodnie z wahaniami opinii publicznej.

I tak np. w 2007 r. władze zleciły wojsku interwencje w kilkunastu takich obozowiskach. Wyłapano kilku rabusiów, odebrano nieprzykładnym rodzicom sporo

dzieci i zakończono interwencję. Ostatnio na popularności zyskuje też czasowa prohibicja. Otóż rządowi wyszło, że rdzenni wydają sporą część pomocy państwowej na alkohol. Uznano więc, że zakaz jego sprzedaży przez kilka tygodni pomoże im „otrzeźwieć” (w podwójnym znaczeniu) i „poukładać swoje sprawy” (cytaty z oficjalnych dokumentów).

3 Przeciwnicy zmian w konstytucji uznają takie prohibicje za absurdalne i domagają się, aby państwo w końcu zostawiło rdzennych w spokoju. Szczególnie że – jak argumentuje główne ugrupowanie opozycyjne, konserwatywna Partia Liberalna – danie im „Głosu” to tylko wstęp do kolejnych przeprosin, a być może nawet reparacji. Peter Dutton, szef Partii Liberalnej, twierdzi nawet, że zwycięstwo kampanii na „Tak” oznaczałoby wyodrębnienie ze społeczeństwa grupy o wyjątkowych prawach. A wręcz „rerasyzację” (*re-racialise*) konstytucji.

Sama kampania referendalna kipi natomiast od teorii spiskowych. W australijskich mediach społecznościowych popularność zyskała np. teza, według której tak naprawdę chodzi o weryfikację aktów własności gruntów, które mają być odbierane obecnym właścicielom i oddawane rdzennym. Pojawiły się nawet ostrzeżenia, że głos na „Tak” doprowadzi do wydzielenia z Australii odrębnego państwa, wyłącznie dla rdzennych.

Premier Albanese poniekąd sam jest za to odpowiedzialny. Jednych musiał przekonywać, że zaproponowana przez niego komisja rdzennych nie stanie się trzecią izbą parlamentu i nie będzie współdecydować o nowych prawach Australii. A drugich, że jej utworzenie będzie gamechangerem nie tylko dla rdzennych, ale również dla całego kraju.

Po stronie przeciwników „Głosu” warto jednak zwrócić uwagę na Jacintę Nampijinpa Price, 42-letnią matkę czwórki dzieci, konserwatywną posłankę, jedną z 11 rdzennych deputowanych w parlamencie federalnym. Odrzuca ona tezę, że za wszystkie bolączki rdzennych odpowiada systemowy rasizm państwa i że jedyną odpowiedzią jest publiczna pomoc. Dla Price sobotnie referendum będzie tylko „nic nieznaczącym symbolizmem”, który zresztą kryje się również za innymi pomysłami premiera Albanese. Wskazuje choćby rządowy pomysł skasowania Dnia Australii, 26 stycznia, który upamiętnia datę przybycia na antypody tzw. Pierwszej Floty z Wielkiej Brytanii w 1788 r.

Zamiast tego pani Price proponuje swoim aborygeńskim rodakom

samosdoskonalenie się i silną etykę pracy, a z drugiej strony ograniczenie roli państwa w odgórnym naprawianiu społecznych bolączek. Wpisuje się tym samym w szerszy nurt odrzucający nie tylko historyczną opowieść o rdzennych jako ofiarach brytyjskiej kolonizacji, ale również odrzuca dotychczasowe świętości swojego środowiska, czyli przede wszystkim państwowy system wsparcia rdzennych, oparty głównie na zapomogach. Zdaniem posłanki ten system, zapoczątkowany jeszcze w latach 70., już kosztował państwo ogromne pieniądze i w zasadzie nie przyniósł żadnych rezultatów w wymiarze społecznym.

Przeciwnicy dania „Głosu” osobom pokroju Price są zdania, że byłby to de facto kolejny krok w stronę separacji rdzennych od reszty społeczeństwa, co tylko napędzi konflikty. A według nich integracja działa samorzutnie. Dziś większość rdzennych żyje już w miastach, coraz częściej w mieszanych rodzinach – sama Price ma męża Szkota – a ich status finansowy zasadniczo nie różni się od średniej australijskiej. „Mówiąc wciąż Aborygenom, że są ofiarami systemu, odbieramy im sprawczość, wpajamy im, że to ktoś inny jest odpowiedzialny za ich życie” – mówiła Price podczas kończącej się kampanii, za co została wyzwwana od kokosów (czarna na zewnątrz, biała w środku).

4 – *Temat referendum zdeterminował specyfikę tej dziwacznej kampanii. Głosów na „Nie” w zasadzie nie widać, w oknach domów pojawiają się tylko plakaty „Yes 2023” – zauważa politolożka z Uniwersytetu Sydneyjskiego Anne Twomey. – Bo też trudno jest prowadzić aktywną kampanię na „Nie”, skoro cała dyskusja została ustawiona w rejestrach godnościowych na zasadzie: jeśli szanujesz rdzennych, musisz zagłosować na „Tak”. Mając nawet racjonalne wątpliwości w sprawie referendalnej propozycji, można łatwo trafić do worka z plakietką „rasiści”.*

Ale prawdziwa pułapka, zdaniem Twomey, czeka dopiero na końcu. Przewidywana w sondażach przegrana rządowej propozycji może się okazać porażką całej Australii – zarówno zwolenników, jak i przeciwników przyznania „Głosu” rdzennym. Przy tym godnościowym napięciu zwycięstwo „Nie” zostanie odebrane po prostu jako odrzucenie rdzennych przez większość społeczeństwa. I w ten sposób z dobrych intencji – poszukiwania społecznej zgody i wsparcia dla upośledzonych ofiar kolonializmu – wyniknie coś zupełnie odwrotnego. ■



Planszówki na ratunek

W ŚWIECIE, W KTÓRYM NASZĄ UWAGĘ I WOLNY CZAS W CORAZ WIĘKSZYM STOPNIU POCHŁANIAJĄ MEDIA I ROZRYWKI CYFROWE, SZANSĄ NA PIELĘGNACJĘ RELACJI Z INNYMI SĄ NOWOCZESNE GRY PLANSZOWE.

Chyba mało kto, poza zdeklarowanymi pasjonatami gier planszowych, spodziewał się, że pomoc przybędzie właśnie z tego kierunku. Ekspansja kultury cyfrowej ma wiele zalet, ale wiąże się z nią też zjawiska silnie negatywne. Jednym z głównych problemów społecznych, za które odpowiada, jest narastająca alienacja. Dzieci, które kiedyś niemal cały wolny czas spędzały razem, bawiąc się na podwórkach i boiskach, dziś utrzymują znajomości głównie w mediach społecznościowych lub sieciowych grach wideo. Dorosłym, nie zawsze odnajdującym się na TikToku czy Snapchacie, coraz trudniej znajdować z nimi płaszczyznę porozumienia i wspólnych aktywności. Sami dorośli zresztą coraz częściej skarżą się na wynikającą z dzisiejszego stylu życia samotność i brak okazji na nawiązywanie oraz pielęgnowanie przyjaźni.

Po podsumowaniu tej listy problemów łatwiej zrozumieć, dlaczego od pewnego czasu coraz bardziej zyskują na popularności gry planszowe – rozrywka, która okazała się doskonałym panaceum na wszystkie powyższe bolączki naszych czasów.

Czym są nowoczesne planszówki i dlaczego warto dać im szansę? Zacznijmy od demontażu dwóch największych stereotypów. Po pierwsze, gry planszowe to nie jest rozrywka dla dzieci – a przynajmniej nie wyłącznie dla dzieci. Często bywają opisywane przez producentów jako zabawa dla osób „w wieku 10–110 lat”, co trafnie podkreśla ich uniwersalność, ponieważ w rzeczywistości głównymi ich odbiorcami są dziś osoby dojrzałe. W Polsce to przede wszystkim klienci w wieku 20–50 lat, z wykształceniem średnim i wyższym („Badanie komercyjnych

wydawców i producentów gier planszowych w Polsce”, Narodowe Centrum Kultury, 2021). Jednak w odbiorze społecznym planszówki są wciąż, niestety, na tym samym etapie, na jakim gry wideo były jeszcze kilka lat temu. Tymczasem spędzanie czasu przy grach planszowych nie jest niczym infantylnym ani tym bardziej wstydliwym dla osoby dorosłej.

Po drugie, „gry planszowe” to określenie w języku polskim dość niefortunne, przywołujące skojarzenia z takimi klasykami, jak „Chińczyk” czy „Monopoly”. Tymczasem współczesne gry zaliczane w Polsce do tej kategorii, bywa, w ogóle nie wykorzystują plansz, a na przykład specjalne karty. Bardziej oddaje stan rzeczy anglojęzyczny termin „tabletop games”, czyli „gry, w które gramy na stoliku”. Są to często bardzo rozbudowane zestawy, oferujące niezwykle wyrafinowaną i angażującą

– choć nie zawsze trudną do opanowania – rozgrywkę. W skład zestawu mogą wchodzić najrozmaitsze figurki, i to w liczbie niejednokrotnie oszałamiającej, nawet trzyścifrowej, kości o różnej liczbie ścianek, którymi rzucają gracze, karty postaci, karty akcji, rozmaite plansze itd., itp. Wspólnym mianownikiem jest niecyfrowy, staromodnie „analogowy” charakter zabawy i rodzaj doświadczenia – jednoczącego, wspólnego dla połączonej w rozgrywkę grupy ludzi.

Współczesne planszówki wciąż stale zyskują na popularności już od początku XXI w., ale prawdziwy przełom przyniósł czas wymuszonej społecznej izolacji spowodowanej epidemią Covid-19. Wiele osób odkryło wtedy, że to znakomity, pasjonujący sposób na spędzanie czasu w zamknięciu. Okazało się przy okazji,

że właśnie planszówki mogą pełnić funkcję płaszczyzny wspólnych aktywności dzieci i rodziców. I to nawet lepiej niż wspólne wypadki do kina, na lody lub mecze w przeszłości. Znaczące, że w Polsce najlepiej się sprzedają właśnie gry rodzinne, przy których dobrze mogą się bawić różne pokolenia. I choć zdarza się, że dorosły kupuje taką grę z myślą o tym, by odciągnąć dzieci od ekranu, ale sam nie planuje dołączania do zabawy, to znacznie częściej nabywcy planują wspólne spędzanie czasu ze swymi pociechami. I jest to, jak wynika z obserwacji, strategia bardzo skuteczna – właściwie trudno dziś wskazać rozwiązanie, które sprawdza się w tym wyzwaniu lepiej.

Wiele gier jest niezwykle atrakcyjnych samych w sobie, łatwo złapać bakcylią. Zdarzają się przeboje sezonowe, ale nie brak też klasyków niestracających na popularności od wielu lat, wciąż z łatwością uwodzących błyskotliwie zaprojektowaną

rozgrywką kolejne pokolenia. Przykładem „Osadnicy z Catanu” autorstwa Klausa Teubera, wydani w Niemczech w 1995 r., a w Polsce dekadę później. Ciekawe, że ta planszówka doczekała się nawet bazującej na niej gry komputerowej. Bywa i tak, że to gra wideo staje się inspiracją dla gry planszowej. Przykładem choćby znakomita – w obu wersjach – „Darkest Dungeon”. To oczywiście kolejny wabik, pozwalający nakłonić młode pokolenie do odejścia od monitora – i są rodzice, którzy potrafią to wykorzystać, organizując wspólne spędzanie czasu.

Polska jest jednym z najbardziej liczących się w Europie producentów gier planszowych, ale także jednym z ważniejszych ich odbiorców. Mamy zdolnych projektantów, jednak wciąż najbezpieczniej jest zdecydować się wydawcom na uznany, światowy przebój. Gry nie są bowiem tanie – kosztują nierzadko

powyżej stu złotych – a rynek mimo wszystko nie jest aż tak dojrzały jak we Francji czy w Niemczech, by można było liczyć na masową sprzedaż. Ktoś, kto chciałby się przekonać, czym gry planszowe właściwie są i czy warto spędzać przy nich czas, może na początek spróbować produkcji o przystępniejszej cenie, nie aż tak rozbudowanych jak niektóre szlagiery, a mimo to cieszących się uznaniem krytyków i graczy. Przykładem gra dostępna w polskich edycjach „Jekyll i Hyde”, uznana przez jury TerreDice Games (USA, 2022 r.) za Najlepszą Grę Dwuosobową czy „Gejsze”, wybrana przez jury festiwalu gier planszowych na Tajwanie (2017 r.) za Najpiękniejszą Grę, do czego niewątpliwie przyczyniły się śliczne ilustracje artystki Maisherly Chan. Obie gry to wydatek kilkudziesięciu złotych, a zapewniają rozrywkę na wiele godzin.

Gry planszowe są już od lat tak silnie osadzonym

w kulturze fenomenem, że wokół nich tworzą się osobne subkultury i aktywności. Nie brak pasjonatów malowania dołączanych do gier figurek, a także kolekcjonerów tych figurek, z których niektóre to unikaty, a wiele innych – to małe dzieła sztuki. Kolekcjonuje się też poszczególne gry. Jako że nierzadko są wypuszczane na rynek w niewielkich nakładach, bo wydawca chce zminimalizować straty w przypadku nietrafienia w gust, zdarza się, że błyskawicznie zyskują bardzo wysokie ceny na rynku wtórnym. Kwoty, które kolekcjonerzy są gotowi zapłacić za poszczególne wydania, potrafią przyprawić o zawroty głowy.

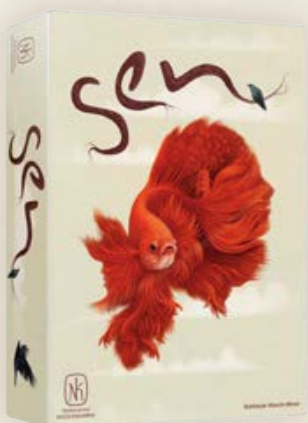
Jeśli zatem zaryzykujemy kupno gry planszowej, to nawet w przypadku, gdyby nam nie przypadła do gustu, istnieje szansa, że zakup był całkiem udany. Wystarczy za jakiś czas sprawdzić ceny na portalach aukcyjnych.

OLAF SZEWCZYK

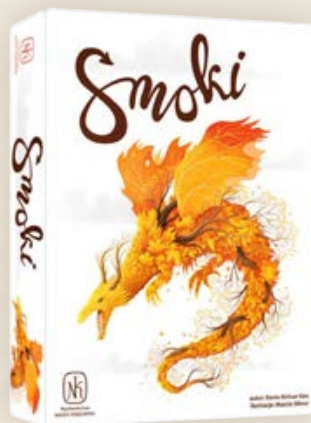
REKLAMA

Najładniejsza seria gier planszowych!

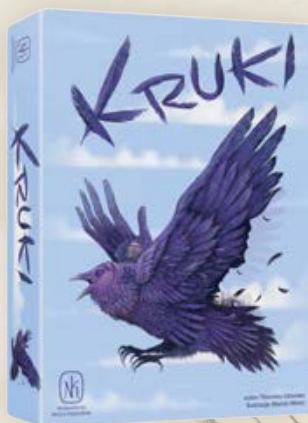
Każda gra ma inne zasady • Proste reguły gier • Piękne ilustracje



wiek: 8-108 lat



wiek: 8-108 lat



wiek: 8-108 lat



wiek: 10-110 lat



NK Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

Skuteczne szczepionki, przełomowe metody badania cząstek, atomów i molekuł, nowe technologie kwantowe – tak dorobek naukowy tegorocznych noblistów i noblistek przekłada się na konkretne, praktyczne zastosowania. Ale wyróżnioną ósemkę łączy co innego. Nauką zajmowali się z czystej pasji, niepohamowanej ciekawości mechanizmów funkcjonowania świata. Nierzadko mimo ogromnych trudności, a czasem wręcz niechęci środowiska.

Robisz rzeczy, których nigdy nie robiłeś

KAROL JAŁOCHOWSKI, PAWEŁ WALEWSKI



Za wkład w opracowanie szczepionek mRNA przeciwko Covid-19: Katalin Karikó i Drew Weissman

„Kiedy coś mnie powali, wiem jak się podnieść” – tak brzmi życiowe motto prof. Katalin Karikó, która wraz z prof. Drew Weissmanem (jej wieloletnim naukowym druhem) pomogła światu wyjść z pandemii Covid-19. Szczepionki wyprodukowane dzięki odkrytej przez nich technologii wykorzystania mRNA uodparniają przed koronawirusami SARS-Cov-2 lub chronią przed ciężkim przebiegiem infekcji.

Nadzieja pokładana w terapeutycznym potencjale mRNA (to skrót od ang. *messenger RNA*, czyli informacyjnego RNA) przez długie lata była niewielka, a badacze, którzy próbowali

się nim zajmować, mieli poczucie beznadziei. Ale nie Karikó, która zwykła mówić, że nauka to w 99 proc. wyzwanie: „Robisz rzeczy, których nigdy nie robiłeś lub nikt nigdy nie zrobił, i nawet nie wiesz, czy to możliwe”. Przebieg jej kariery potwierdza tę wrodzoną determinację, bo przez prawie 50 lat pracowała w zapomnieniu.

Wykształcenie biochemiczne zdobyła na Węgrzech (urodziła się równo 10 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, w rodzinie rzeźnika i księgowej, którzy zakończyli edukację na szkole podstawowej). Kiedy wstrzymano finansowanie jej laboratorium w Centrum Badań Biologicznych Węgierskiej Akademii Nauk, wraz z mężem i 2-letnią córką wyemigrowała w 1985 r. do Stanów Zjednoczonych. Po przybyciu do Filadelfii dość szybko okazało się, że fundusze na Temple University, które miały wystarczyć na kontynuację badań, również zostały przycięte, więc uczelnia podziękowała jej za pracę. Nie było łatwo znaleźć nową, bo jedna z koleżanek, która dostrzegła w niej konkurentkę, sabotowała jej poszukiwania stabilnego zatrudnienia, kwestionując status imigracyjny. Kiedy w końcu Karikó trafiła do prestiżowej Perelman School of Medicine University of Pennsylvania, wciąż nie mówiła perfekcyjnie po angielsku i traktowano ją jak naukowca drugiej kategorii, a jej wnioski o granty na badania nad terapeutycznym mRNA były regularnie odrzucane.

Wszystkie te przykre fakty ze swojego życiorysu opisała we własnie wydanej książce „Breaking Through: My Life in Science”, ale już wcześniej zwróciła na nie uwagę w rysunkowej książeczce dla dzieci „Never Give Up. Dr Katalin Karikó and the Race for the Future of Vaccines” („Nigdy się nie poddawaj. Dr Katalin Karikó i wyścig o przyszłość szczepionek”). To stąd zaczerpnęliśmy życiowe maksymy, które badaczka lubi przekazywać najmłodszemu pokoleniu i młodszym naukowczyniom: „Kiedy poza mężem Bělą i córką Susan [dwukrotną złotą medalistką olimpijską w wioślarstwie – przyp. red.] nikt we mnie nie wierzył, ja uwierzyłam w siebie. Kiedy szemrali, że moje badania są ślepym zaułkiem, ja byłam przekonana o ich potencjale. Ciężka praca jest częścią życia, a kiedy to zaakceptujesz, czeka cię nagroda”.

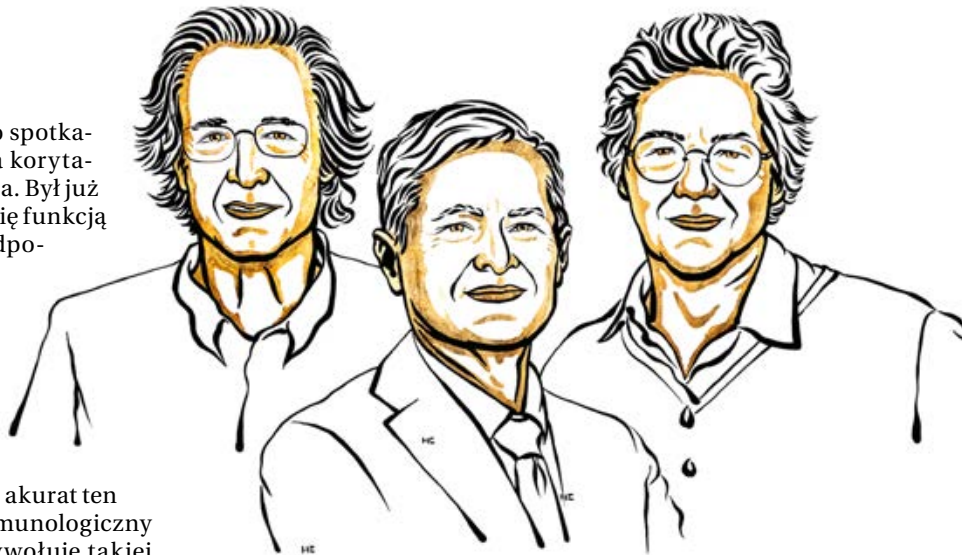
Dzielnym sprzyja też przypadek. Takim było spotkanie na University of Pennsylvania – ponoć na korytarzu, przy kserokopiarce – prof. Drew Weissman. Był już wtedy uznanym immunologiem i interesował się funkcją tzw. komórek dendrytycznych w aktywacji odpowiedzi odpornościowej po podaniu różnych szczepionek. Współpraca z Karikó przyniosła doskonały wynik: zauważyli, że komórki dendrytyczne rozpoznają laboratoryjne mRNA jako substancję obcą, co prowadzi do ich aktywacji i uwolnienia zapalnych cząsteczek sygnałowych (mRNA bez hodowli komórkowej nauczono się wytwarzać już w 1980 r.). Zagadką pozostało, dlaczego akurat ten rodzaj mRNA jest traktowany przez układ immunologiczny w taki sposób, skoro naturalne mRNA nie wywołuje takiej reakcji?

„Uczyliśmy się od siebie nawzajem” – wspominają Karikó i Weissman początek wspólnych badań. Ich największym osiągnięciem było odkrycie niewielkiej modyfikacji jednej z zasad nukleotydowych budujących nić mRNA, która sprawiła, że po wprowadzeniu go do żywego organizmu przestał być odrzucany przez układ odpornościowy. Mógł nienaruszony prześlizgnąć się przez naturalną obronę immunologiczną, ponieważ opakowali go lipidową otoczką chroniącą przed unicestwieniem – o czym donieśli w pierwszym wspólnym artykule, na łamach „Immunity” w 2005 r. Trzy i pięć lat później opublikowali kolejne przełomowe prace, udowadniając, że dostarczanie mRNA wygenerowanego ze zmianami nukleotydów zwiększa produkcję białek. Droga do rozpoczęcia badań klinicznych z wykorzystaniem tej technologii została w ten sposób przetarta.

Prof. Jacek Jemielity z Centrum Nowych Technologii, który również zajmuje się badaniami mRNA (za co w 2008 r. zdobył Nagrodę Naukową POLITYKI), już dwa lata temu przepowiedział na naszych łamach, że ponieważ cząsteczkę tę można nazwać przepisem na wytwarzanie w komórce różnych białek, wkrótce zrewolucjonizuje ona leczenie chorób, z którymi nie potrafimy sobie poradzić. Dzięki dostarczeniu mRNA z zewnątrz – w formie szczepionki, jak w przypadku Covid-19, lub leku – organizm otrzymuje informację, przed jakim białkiem (np. wirusa lub innego patogenu) musi się bronić lub jakiego mu brakuje. Wtedy komórki zabierają się do pracy: mobilizują układ odpornościowy do wytwarzania przeciwciał lub same produkują białko, które zniweluje objawy jakiejś przewlekłej choroby.

Dodatkową zaletą jest to, że takie leki mogą być produkowane szybko i stosunkowo tanio. Prof. Sarah Gilbert z Jenner Institute w Oxfordzie, współtwórczyni konkurencyjnej w stosunku do mRNA szczepionki wektorowej przeciwko koronawirusom, przyrównała wytwarzanie nowych mRNA do wypieku ciast z owocami. W przypadku starszych technologii, wytwórcy za każdym razem musieli zaczynać wszystko od zera, a więc od surowców: mąki, cukru, jajek i masła. Teraz podstawa jest już gotowa, wystarczy wymienić same owoce.

Platformy technologiczne mRNA – jak nazywają ciasto biotechnolodzy – zostały już wykorzystane do produkcji wakcyn przeciwko wścieklicznie, Eboli, Zika, MERS (w kolejce czekają kolejne patogeny). Są wszechstronne i elastyczne, ale clou sukcesu przy tak różnych celach terapeutycznych tkwić będzie w odpowiedniej dawce mRNA – trzeba umieć przy jak najmniejszej jego ilości uzyskać jak najlepszy i najdłuższy efekt. To jest wyzwaniem na najbliższe lata.



Za pionierskie badania z fizyki attosekundowej:

Pierre Agostini, Ferenc Krausz i Anne L'Huillier

Rzeczywistość nie została skrojona na ludzką miarę. Procesy fundamentalne rozgrywają się w skalach niedostępnych dla ludzkich zmysłów. Głównymi aktorami na tej scenie są elektrony – obdarzone ładunkiem elektrycznym cząstki elementarne, które wchodzą w skład (prawie) każdego atomu i każdej cząsteczki. To od ich zachowania, położenia, energii zależy przebieg reakcji chemicznych, a także elektryczne, optyczne i mechaniczne właściwości materii. W zasadzie zależy od nich wszystko. Rzeczywistość jest skrojona właśnie na ich miarę. Zjawiska, w których biorą udział, zachodzą z prędkością attosekund, czyli trylionowych ułamków sekundy. Jak mówił Mats Larsson, szef komitetu noblowskiego z fizyki: mają się one do naszych, ludzkich skal czasowych tak jak wiek wszechświata do jednego uderzenia serca. To zakresy niebywale trudno dostępne także dla nauki.

Granice są wyznaczane przez – fundamentalne jak się wydaje – prawa mechaniki kwantowej, sformułowane wiek temu. Werner Heisenberg, jeden z ojców tej nowej nauki, autor zasady nieoznaczoności, zauważał w 1925 r., że jej reguły niejako odcinają fizyków od precyzyjnej wiedzy na temat położenia czy pędów pojedynczych elektronów i innych mikroobiektów. Skazują ich na obcowanie z tzw. obserwabłami, wielkościami mierzalnymi, ale uśrednionymi. Na wiedzę zapośredniczoną. L'Huillier, Agostini i Krausz nie pokonali owego ograniczenia w ścisłym znaczeniu, ale opracowali metodę „postrzegania” dynamiki elektronów w atomach, molekułach i ciałach stałych. I za to właśnie – skonstruowanie próbnika czy kamery do podglądania życia intymnego mikroświata – zostali wyróżnieni.

Urodzona w 1958 r. Francuzka Anne L'Huillier (dziś pracująca w szwedzkim Lund University) wykonała pionierskie kroki w fizyce attosekundowej jeszcze w latach 80. Wyjaśniła przyczyny zagadkowych zjawisk zachodzących w gazach szlachetnych oświetlanych promieniami lasera i zaproponowała, jak można je wykorzystać do generowania ultrakrótkich impulsów światła ultrafioletowego. Dwa kolejne kroki wykonali urodzony w 1941 r. w Tunisie (wówczas protektoracie francuskim) Pierre Agostini oraz Węgier Ferenc Krausz, urodzony w 1962 r. Pierwszy nauczył się wytwarzać całe serie impulsów o określonej długości i częstotliwości. Drugi znalazł sposób na wyodrębnianie pojedynczych błysków. „To był niewiarygodny moment, którego nigdy nie zapomnę” – mówił Krausz w pierwszej, telefonicznej reakcji na Nobla. Doszło do niego także dzięki udziałowi dziesiątków innych badaczy na całym świecie – Węgier pięknie im za to podziękował. ►

► Umiejętność śledzenia poczyniań pojedynczych elektronów wewnątrz atomów i cząsteczek może mieć fantastyczne implikacje. Może doprowadzić do powstania nowych półprzewodników, poprawienia efektywności wytwarzania i przesyłu energii, podniesienia wydajności fotosyntezy, opracowania superczułych metod diagnostycznych w medycynie (tym zresztą zajmuje się teraz Krausz). Na tym skupiły się media. Pytana o to przez przedstawiciela komitetu noblowskiego L’Huillier jest jednak powściągliwa. Wyjaśniała, że zafascynowała się tą tematyką nie z powodów praktycznych, a fundamentalnych. „Całe lata zajęło nam zrozumienie tych zjawisk. I minie czas, zanim dojdziemy do konkretnych zastosowań”. Kontrolowanie reakcji chemicznych? „To na razie marzenie”. Agostini wyznał szczerze (i nie całkiem serio): „Dlaczego komitet noblowski zdecydował się nagrodzić te właśnie badania, pozostaje tajemnicą. Choć właściwie czemu nie... To dla mnie długi czas – dwadzieścia lat od chwili, gdy wykonaliśmy ten eksperyment dający początek attosekundowej zabawie. Ale OK, lepij późno niż wcale”.

Poza tym jednak nie było zaskoczeń. L’Huillier, Agostini i Krausz pojawiali się na listach „kandydatów” do szwedzkiej nagrody już od lat. Ich nazwiska przewijały się w oknie konwersacji na YouTube przed rozpoczęciem transmisji ze Sztokholmu. Zaprzyjaźnieni fizycy z Uniwersytetu Warszawskiego przesłali nam zdjęcie tablicy, na której, czekając na werdykt, spisali swoje przypuszczenia – dwa z nich okazały się trafne.

Tę decyzję komitetu noblowskiego będziemy pamiętać z jeszcze jednego powodu. Maria Skłodowska-Curie otrzymała nagrodę w 1903 r. (za badania radioaktywności), Maria Goeppert Mayer – w 1963 r. (za odkrycia dotyczące struktury jądra atomowego). Później była przerwa, zakończona w roku 2018 wyróżnieniem dla Kanadyjki Donny Strickland (za osiągnięcia w otrzymywaniu krótkich laserowych impulsów w wysokiej mocy) i – dwa lata później – dla Amerykanki Andrei Ghez (za odkrycie supermasywnej struktury w centrum Galaktyki). L’Huillier jest dopiero piątą kobietą wyróżnioną w dziedzinie fizyki. A Nagroda Nobla liczy sobie już 122 lata. „To dla mnie coś bardzo, bardzo specjalnego” – mówiła wzruszona Francuzka.

Za odkrycie i syntezę kropek kwantowych: Mouni G. Bawendi, Louis E. Brus i Alexei I. Ekimov

Tegoroczna Nagroda Nobla z chemii dowodzi, jak splecione są ze sobą dziedziny wiedzy, mocą tradycji postrzegane jako rozdzielne. Otrzymali ją chemicy – Francuz z Massachusetts Institute of Technology (ur. 1961), Amerykanin z Columbia University (ur. 1943) oraz fizyk – Rosjanin z Nanocrystals Technology Inc (ur. 1945).

Kropki kwantowe, które odkryli i które nauczyli się syntetyzować, to obiekty półprzewodnikowe o rozmiarach rzędu miliardowych części metra (nm). Stąd ich ogólniejsza i poprawniejsza nazwa: nanocząsteczki. W tym roku komisja noblowska zadbała o przemawiające do wyobraźni analogie, które pomagają zrozumieć wagę osiągnięć nagrodzonych badaczy:

porównała kropkę kwantową do piłki futbolowej, a tę do kuli ziemskiej. Proporcje są jednakowe.

Dominującą funkcję w kształtowaniu właściwości takiej kropki pełnią efekty kwantowe, związane z przeskokami elektronów między orbitami. Zmieniając jeden tylko parametr takich kropek – rozmiar – można wpływać na przeróżne ich właściwości. Na przykład na to, jakiego koloru światło generują, kiedy zostają poddane wpływowi promieniowania ultrafioletowego. „To zupełnie tak, jakby układ okresowy pierwiastków zyskał trzeci wymiar” – zgrabnie tę ich cechę ujeli David Keyton i Mike Corder w magazynie Phys.org. Już nie tylko liczba powłok elektronowych i elektronów determinuje cechy cząsteczki pierwiastka.

I ten właśnie wymiar badali nagrodzeni. Pierwsze sukcesy zaczęli odnosić czterdzieści lat temu, kiedy nikt nie wierzył, że otrzymanie takich kropek w laboratorium jest możliwe. Sama ogólna idea mówiąca, że cechy materiału zależą od (makroskopowych) rozmiarów cząsteczek, nie jest jednak nowa. Już w latach 30. ubiegłego wieku Herbert Fröhlich przebadał konsekwencje słynnego równania Schrödingera i dowiódł teoretycznie jej prawdziwość dla cząsteczek metalu – ziemnych i mniejszych niż 10 nm. Tyle że przez pół wieku metody doświadczalne nie były w stanie doścignąć idei tego urodzonego w Niemczech fizyka. Czekala na Ekimova. On we wczesnych latach 80. świadomie stworzył kropki kwantowe z chlorku miedzi, „zamrożone” w szkle. Czekala też na Brusa – który parę lat później, nie mając pojęcia o osiągnięciach ukrytego za żelazną kurtyną Rosjanina, zdołał stworzyć nanocząsteczki w układzie koloidalnym (zawiesinie). Czekala wreszcie na Bawendiego – który opracował precyzyjną metodę ich syntezy o przewidywalnym, pożądanym rozmiarze i jakości. Fabryka kropek ruszyła.

„Kolorowe” kropki są elementem składowym wyświetlaczy o intensywnych barwach i źródeł światła o dobrze zdefiniowanej charakterystyce. Wykłada się nimi matryce telewizorów. A biochemikom pomagają choćby w mapowaniu tkanek. Produkowane są na masową skalę, metodami współczesnej chemii. Kiedyś przydadzą się w produkcji cieńszych niż współczesne ogniw fotowoltaicznych. Będą wędrować w organizmach, wskazując chirurgom drogę do zmian nowotworowych. Lista zastosowań jest wciąż otwarta.

Wszystkie te użycia są w pewien sposób przedłużeniem nanotechnologii, które stosujemy od czasów starożytnych – zauważa prof. Heiner Linke z Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk.

Skuteczność używanego przez Greków i Rzymian czernidla do włosów oparta była na kwantowych efektach zachodzących w nonokryształkach siarczku ołowiu (5 nm). A Ekimov nie bez przyczyny badał szkło, którego barwa zależy nie tylko od rodzaju domieszek, ale i od sekwencji ogrzewania i schładzania przy jego wytwarzaniu. Dziś wiemy, że tajemniczą (przechodzącą w zieleń przy zmianie oświetlenia) czerwień pucharu Likurga z IV w. generowały uwięzione w nim cząsteczki złota (5–60 nm).

Intuicyjna, podbudowana doświadczeniem wiedza dawnych mistrzów zyskała naukowe wytłumaczenie. O to też chodziło nagrodzonym. W rozmowie ze Szwedami z komisji noblowskiej Mouni G. Bawendi rymował się z Anne L’Huillier: „Motywacją do działania była tak naprawdę nauka fundamentalna. Podstawowe zrozumienie. Ciekawość, jak działa świat”.

KAROL JAŁOCHOWSKI, PAWEŁ WALEWSKI

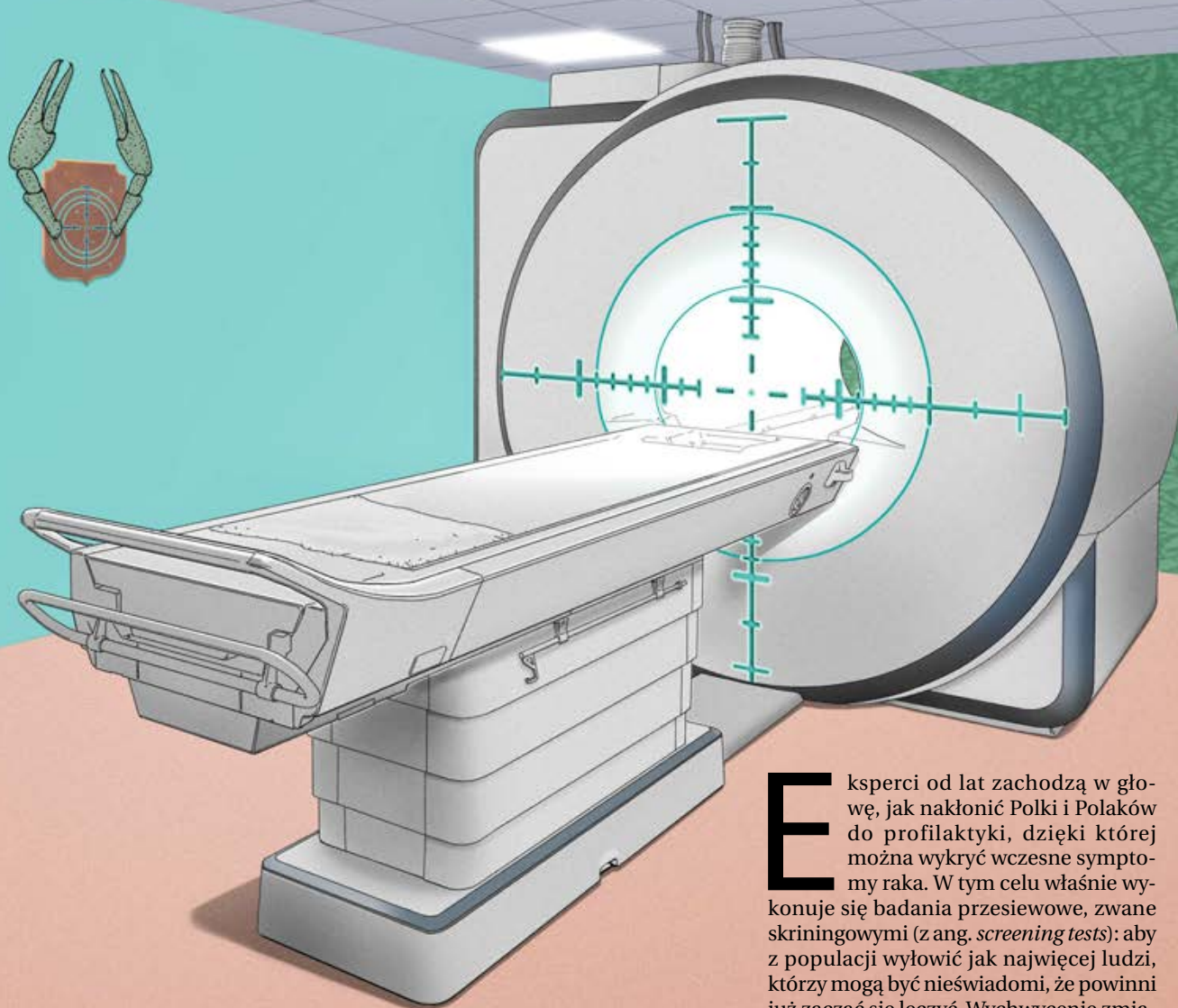


Badania do przesiania

Masowe badania w onkologii nie wydłużają życia – taki wniosek można wysnuć z niedawno opublikowanych szeroko zakrojonych badań.

Jak to rozumieć i nie stracić zaufania do profilaktyki?

PAWEŁ WALEWSKI



Eksperci od lat zachodzą w głowę, jak nakłonić Polki i Polaków do profilaktyki, dzięki której można wykryć wczesne symptomy raka. W tym celu właśnie wykonuje się badania przesiewowe, zwane skринingowymi (z ang. *screening tests*): aby z populacji wyłowić jak najwięcej ludzi, którzy mogą być nieświadomi, że powinni już zacząć się leczyć. Wychwycenie zmiany mogącej przekształcić się w nowotwór nie jest możliwe w każdym przypadku, ale mammografia podpowiada, czy w piersiach rozwija się guzek, kolonoskopia wykrywa polipy w jelicie grubym, a test PSA (oznaczający poziom białka sygnalizującego zapalenie lub rozrost komórek) z grubsza określa stan prostaty. ▶

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

► – *Ze względu na różny charakter tych badań nie możemy między nimi stawiać znaku równości* – zastrzeżę prof. Michała F. Kamińskiego z Centrum Profilaktyki Nowotworów przy Narodowym Instytucie Onkologii w Warszawie. Dlatego dzieli się je na dwie grupy. Pierwsza to *cancer detection tests*, do której należą mammografia i PSA. Prowadzą one do wcześniejszego wykrycia raka, a mniej zaawansowany nowotwór łatwiej usunąć i wyleczyć. Druga to „*cancer detection*” i „*prevention tests*”, gdzie obok rozpoznania pojawia się element zapobiegawczy. Tutaj przykładem jest kolonoskopia i cytologia, ponieważ wykryte zmiany przednowotworowe (np. polipy) natychmiast można usunąć, dzięki czemu pacjenci na raka jelita lub szyjki macicy nie zachorują i nie umrą z ich powodu.

Prof. Kamiński i tak zgłasza jednak zastrzeżenia do treści ulotek i haseł, w których uczestnikom skriningów obiecuje się długowieczność (jak na rządowej stronie pacjent.gov.pl: „Kolonoskopia – badanie, które uratuje ci życie”). – *Nasza metaanaliza wyraźnie temu zaprzecza* – oświadcza stanowczo i odsyła do niedawnego artykułu w „JAMA Internal Medicine”.

Międzynarodowy zespół pod kierunkiem prof. Michaela Bretthauera z Oslo University (Polskę reprezentowało dwóch badaczy: obok prof. Kamińskiego, laureata Nagrody Naukowej POLITYKI sprzed 9 lat, również dr Paulina Wieszczy z Narodowego Instytutu Onkologii) ocenił w nim 18 ponad 10-letnich (dobrych losowo) skriningów onkologicznych z wykorzystaniem mammografii, testów PSA, tomografii komputerowej wykrywającej raka płuc u palaczy papierosów oraz testów na krew utajoną w kale i sigmoidoskopii (odmiany kolonoskopii, obejmującej zasięgiem endoskopu krótki odcinek jelita grubego).

Celem pracy było oszacowanie używanej dzięki tym badaniom długości życia. Do kalkulacji wykorzystano skomplikowaną metodologię, w którą nie będziemy się tu wgłębiać. Ostateczne wyniki stanowią różnicę w obserwowanym czasie życia między grupami pacjentów poddawanych skriningom a tymi, które w nich nie uczestniczyły (razem było to 2 111 958 osób w różnym wieku). I okazały się mało optymistyczne – jedynie w przypadku badań przesiewowych w kierunku raka jelita grubego za pomocą sigmoidoskopii wyliczono średnie wydłużenie życia o 110 dni. – *Ze statystycznego*

punktu widzenia to i tak niewiele – twierdzi prof. Kamiński. – *W przypadku kolonoskopii uzysk okazał się zerowy, również mammografia i badanie krwi utajonej w kale nie przyniosły żadnych korzyści.*

Już kilka godzin po ukazaniu się artykułu w „JAMA” dyrektor naukowy American Cancer Society dr William Dahut oświadczył w CNN, że konkluzje jego autorów nie wpłyną na aktualne wytyczne, bo badania przesiewowe w onkologii nigdy nie miały na celu zwiększenia długowieczności: „Nikt nie mówi, że jeśli je wykonasz, dożyjesz 100 lat. Ale rak jest drugą co do częstości przyczyną śmierci przed 85 rokiem życia, więc zapobieganie jego objawom może mieć znaczenie w ograniczeniu przedwczesnych zgonów” – powiedział. Odwołał się przy tym do przykładu osoby, której oczekiwana długość życia wynosi 80 lat: „Badania przesiewowe w kierunku raka mogą zapobiec jej przedwczesnej śmierci w wieku 65 lat. Nie oznacza to jednak, że przedłużyłyby one jej życie do 90 lat”.

Prof. Kamiński przyznaje, że wynik zademonstrowanej pracy może się wydawać kontrowersyjny: – *Dowiedliśmy, że głównym powodem, dla którego skriningi w onkologii nie przedłużają życia, jest to, że ludzie umierają z innych przyczyn w podobnym czasie, w którym umarliby z powodu raka. Tymczasem przekaz, jaki kierowany jest do społeczeństwa, wyraźnie odzwierciedla nadzieję, że wczesne wykrycie raka przedłuża życie. I to kwestionujemy.*

Dwie perspektywy

Nie pierwszy raz w środowisku medycznym pojawiają się skrajne opinie na temat wartości skriningów. Gdy rok temu ten sam zespół norwesko-polskich autorów opublikował w czasopiśmie „The New England Journal of Medicine” wyniki badania NORDIC, które wykazały brak statystycznego wpływu kolonoskopii na zmniejszenie umieralności, do ataku jako pierwsi przystąpili amerykańscy gastrologi. – *To nas wcale nie zdziwiło* – wspomina prof. Kamiński. – *W Stanach Zjednoczonych gastrologi są jedną z najlepiej zarabiających grup lekarzy, a istotnym źródłem przychodu są dla nich właśnie profilaktyczne badania kolonoskopowe jelita grubego.*

Choć można w tej wypowiedzi wyczuć złośliwą sugestię, że za promowaniem skriningów stoją prywatne interesy, a nie dowody naukowe – wiele osób wypowiadających się na ten temat rzeczywiście woli przyjmować na wiarę hipotezę o bezwzględnej przydatności

tego rodzaju badań, bo to im się opłaca. Od 50 lat systemy ochrony zdrowia inwestują w programy przesiewowe ogromne pieniądze, zapewniając byt placówkom medycznym, producentom sprzętu i odczynników, a także rzeszy szeregowych pracowników, którzy zatrudniani są przy ich organizacji. – *Dlatego widzę w tym konflikt interesów* – podsumowuje prof. Kamiński.

Prof. Jacek Jassem z Kliniki Onkologii i Radioterapii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, który jest długoletnim onkologiem praktykiem, zna te kontrowersje od lat: – *Jedni uważają, że dopóki nie udowodni się zmniejszenia umieralności w wyniku skriningu, trudno mówić o korzyściach. Drugich nazwałbym fanatykami tych badań – uważają, że wcześniejsze wykrycie nowotworu (co jest efektem oczywistym) musi się przełożyć na zwiększenie szansy wyleczenia, a więc ewidentną korzyść dla chorego. To są dwa skrajne, nawet wrogie w stosunku do siebie obozy.*

Zdaniem profesora prawdziwym źródłem polemiki jest rozbieżne pojmowanie umieralności: – *Jeśli chodzi o umieralność z powodu nowotworu, który jest przedmiotem skriningu, to większość badań z randomizacją rzeczywiście udowodniła jej zmniejszenie. Jeśli jednak wziąć pod uwagę ogólną umieralność, a więc wszystkie przyczyny zgonu, takiej korzyści nie ma. Artykuł w „JAMA” uwzględnił tę właśnie umieralność całkowitą.*

Burzliwa dyskusja, który ze wskaźników należy brać pod uwagę, wciąż się toczy. Bierze ona pod uwagę także pewne bardzo konkretne, indywidualne ryzyka związane z poddawaniem się badaniom przesiewowym.

Trzy efekty uboczne

Prof. Kamiński uważa, że każdy, kto w dobrej wierze zachęca zdrowych ludzi do poddania się skriningom w kierunku raka, ponosi ogromną odpowiedzialność etyczną: – *Większość osób nie jest świadoma, że takie badanie (w tym wypadku wykonywane u osoby zdrowej) wiąże się z możliwością nieprzewidzianych komplikacji. Na przykład podczas kolonoskopii lub sigmoidoskopii u jednego na tysiąc pacjentów dochodzi do przebiccia ściany jelita, a przy usuwaniu polipów ryzyko krwotoku wynosi 1–5 proc. Na niewielką efektywność skriningów ma wpływ też to, że celują w określone populacje z potencjalnym zagrożeniem raka, np. kobiety w wieku 50+, choć w tak dużej grupie ryzyko zachorowania jest niewielkie. W raku*

jelita grubego wynosi ono w Polsce nie więcej niż 4 proc.

Przy okazji warto zmierzyć się z innym dogmatem, że każda zmiana wykryta na bardzo wczesnym etapie grozi rozwojem nowotworu. Są guzki w piersiach znajdowane podczas przesiewowej mammografii, które można by zostawić w spokoju, bo nie powiększą się lub zanikną. Onkolodzy często przyznają nieoficjalnie, że wśród kobiet po mastektomii, nazywanych *cancer survivors* (ozdrowieńczyniami), ogłaszających z dumą, że badanie przesiewowe uratowało im życie, są też takie, które piersz straciły niepotrzebnie. Zostały oszukane – przez system, a właściwie przez naturę, która lekarzowi analizującemu wynik mammografii nie podpowiada, kogo oszczędzi, a kogo uczyni chorym.

Podobnie jest z prostatą. Ostatnie szacunki z USA mówią o 1,5 do 1,9 mln mężczyzn, którym po teście PSA postawiono na wyrost diagnozę raka. Każdy taki przypadek to nieuzasadniony stres, a wdrożone radykalne leczenie wiąże się z ryzykiem nietrzymania moczu i impotencji. – *U niewielu mężczyzn po 50. roku życia gruczoł krokowy jest wolny od patologii, która w teście przesiewowym nie podwyższałaby wskaźnika PSA* – zwraca uwagę prof. Kamiński. – *Większość nie przekształca się jednak w nowotwór przed śmiercią z powodów naturalnych lub innych, zupełnie z nim niezwiązanych.*

Wykrywanie znacznie większej liczby zmian w piersiach lub prostatie, nieistotnych z klinicznego punktu widzenia, to kolejny już efekt uboczny badań przesiewowych. – *W wielu krajach upowszechnienie oznaczania PSA spowodowało lawinowy wzrost rozpoznań raka gruczołu krokowego przy stabilnej umieralności. A niektórzy uważają, że wykrytych zmian w ogóle nie powinno się nazywać rakami* – przyznaje prof. Jassem. Z tego powodu w większości państw, także w Unii Europejskiej, nie zaleca się już prowadzenia populacyjnego skriningu w tym nowotworze, pozostawiając indywidualną decyzję w tej sprawie lekarzowi i świadomemu pacjentowi.

Cztery drogowskazy

Chodzi o tzw. czujność onkologiczną. Kiedy kobieta wykrywa w piersi guzek i mammografia go potwierdza, ma ona uzasadnienie (w odróżnieniu od poszukiwania zmian w piersiach tysięcy zdrowych kobiet). – *Nie lekceważmy wczesnych objawów* – apeluje prof. Kamiński. – *Gdy się pojawiają, szybko zgłaszajmy się na badania*



Pod presją społecznych lęków przed rakiem oraz interesów firm medycznych mamy za dużo niepotrzebnych badań i niepotrzebnie rozpoczętych terapii.

diagnostyczne. Na przykład na kolonoskopię, jeśli zauważymy krew w kale lub smolisty stolec.

Anna Andrzejczak z Fundacji Onkologia 2025 zwraca uwagę, że w Szwajcarii zrezygnowano z finansowania badań przesiewowych. Wcześniej wykonano jednak mnóstwo pracy, edukując społeczeństwo, na jakie symptomy nowotworów zwracać uwagę. Poza tym każdy, kto go u siebie podejrzewa, szybko zostaje skierowany na właściwą ścieżkę diagnostyczną. Gdybyśmy mieli w Polsce sprawnie działający system wychwytywania objawów raka na wczesnym etapie, łatwiej byłoby się obejść bez badań przesiewowych (które przypominają poszukiwanie igły w stogu siana). Sama czujność onkologiczna nie wystarczy, jeśli świadomy pacjent, który chce szybko skonsultować się z onkologiem, musi kilka tygodni czekać w kolejce. Dlatego prof. Jassem uważa, że skriningi w takich krajach jak Polska nie tracą w najbliższym czasie na znaczeniu. – *Choć trzeba usunąć przyczyny ich porażek* – podkreśla.

Po pierwsze, im lepszy będzie dobór osób poddawanych skriningowi, a więc

szczegółowiej określona zostanie grupa ryzyka, tym większy będzie „zysk” z wykrytych raków i mniejszy odsetek zbędnych badań diagnostycznych oraz niepotrzebnie rozpoczętych terapii. Często politycy, licząc na przychylność wyborców, wmawiają im, że lepiej zadbają o ich zdrowie, kiedy doprowadzą do obniżenia wieku kwalifikującego do bezpłatnych badań profilaktycznych, który w Polsce wynosi zazwyczaj 50 lat. Przed październikowymi wyborami nowa minister zdrowia Katarzyna Sójka zadeklarowała np., że od 1 listopada bezpłatne badania mammograficzne w ramach programu profilaktyki raka piersi będą mogły wykonać zdrowe kobiety już od 45 lat. – *Mam wątpliwości, czy ma to sens* – mówi prof. Jassem. Zdaniem wielu ekspertów rozszerzenie programów na młodsze roczniki nie przynosi żadnych korzyści.

Po drugie, należałoby poprawić dokładność metod diagnostycznych. Dziś bywa, że pacjenci otrzymują wyniki fałszywie dodatnie lub ujemne (kiedy na podstawie nieprecyzyjnego obrazu lekarz rozpoznaje raka, którego w rzeczywistości nie ma, lub przeciwnie, przegapia go). Tę ułomność stara się pokonać sztuczna inteligencja, precyzyjniej niż ludzkie oko weryfikująca nieprawidłowości na skanach komputerowych. Do praktyki wchodzi też nowe metody – np. tradycyjną cytologię zaczyna się zastępować molekularnym testem DNA wirusów HPV wywołujących raka szyjki macicy.

I wreszcie po trzecie – osoby, które otrzymają zaproszenie na ukierunkowane badanie, np. mammografię lub kolonoskopię zaadresowane do precyzyjnie wskazanej grupy z największym ryzykiem, powinny z niego skorzystać. Epidemiolodzy dowodzą, że przy frekwencji poniżej 70 proc. nigdy nie uda się osiągnąć populacyjnych korzyści z tego rodzaju badań. – *Kluczem jest to, aby uswiadomić pacjentom i decydencom, że każdy skrining to interwencja społeczna, a nie indywidualna. I wbrew powszechnej opinii granica między zyskami a stratami jest wyjątkowo wąska* – zauważa prof. Kamiński.

Jest jeszcze czwarty warunek: państwo – wykorzystując rzetelne naukowe dane – powinno komunikować się ze społeczeństwem we właściwy sposób i mądrze gospodarować pieniędzmi w ochronie zdrowia. Ogromne inwestycje w badania przesiewowe wymagają poważnej refleksji i rewizji.

PAWEŁ WALEWSKI

Inwazja stawonogów

Wielka Brytania i Francja zmagają się z plagą pluskiew domowych. Sprzyja jej pora roku i brak działań rządowych. Czy nas czeka ten sam problem?

MARTA ALICJA TRZECIAK

Pluskwy stanowią obciążenie finansowe i obniżają jakość życia wielu mieszkańców państwa” – napisała w swoim lipcowym raporcie ANSES, czyli Francuska Agencja ds. Żywności, Środowiska oraz Bezpieczeństwa i Higieny Pracy. Podaje, że ok. 11 proc. francuskich gospodarstw domowych ma problem z tymi stawonogami. Szacowane roczne koszty walki z nimi to 230 mln euro, czyli ponad 1 mld zł. A przybywa relacji o inwazji pluskiew na paryskie kina, środki transportu publicznego, a nawet lotniska. Reuters donosi o panice w stolicy, która w przyszłym roku ma gościć letnie igrzyska olimpijskie. Eksperti uspokajają, że wczesnojesienny wzrost występowania pluskwiaków jest w Europie, nie tylko we Francji,

zjawiskiem typowym. Jednak z każdym kolejnym rokiem ten sezonowy skok liczebności zdaje się większy.

Identyfikacja

Pluskwy są niewielkimi (mierzącymi ok. 5 mm) owadami, które przez cały swój cykl życiowy żywią się wyłącznie krwią, najchętniej ludzką. Dorosłe osobniki są brązowe i przypominają spłaszczoną pestkę jabłka. Niewprawne oko może je pomylić z pchłami, ale te są od pluskwiaków znacznie mniejsze. Poza tym pluskwy nie skaczą – przemieszczają się w sposób zaskakująco podobny do mrówek.

Mimo że są pasożytami obligatoryjnymi (nie potrafią przeżyć bez żywiciela), ich kontakt z gospodarzem – dostarczycielem posiłków – nie jest ścisły. To zresztą jedna z przyczyn ich sukcesu, bo poza żerowaniem pozostają w ukryciu, a nie na ciele ofiary. Inaczej niż na przykład

pchły, odwiedzają więc człowieka jedynie wtedy, gdy poczują głód. Dzieje się to najczęściej w nocy. Opuszczają wtedy swoje schronienie: zazwyczaj jest to jakaś trudno dostępna szpara w meblach, boazerii lub spód materaca, tapczanu czy dywanu. Bezbłędnie rozpoznają wydychany przez człowieka dwutlenek węgla, kwas mlekowy obecny w pocie i inne związki chemiczne, takie jak feromony. Wyczuwają również ciepłotę ciała. Z artykułu opublikowanego w 2019 r. w „Journal of Medical Entomology” wynika, że potrafią bardzo sprawnie odszukać swojego żywiciela nawet w całkowitej ciemności.

Cykl życiowy pluskiew jest dość skomplikowany, chociażby dlatego, że pomiędzy etapem jaja a dorosłym owadem występuje kilka pośrednich form rozwojowych, tzw. nimf. Istotne jest to, że pluskwa w każdym wieku i na każdym etapie życia musi spożyć przynajmniej jeden posiłek

z krwi, by posunąć się dalej w rozwoju. Ta ogromna zależność od żywiciela mogłaby sugerować dużą podatność na przerwanie cyklu życiowego. Tak się jednak składa, że w parze z tą zależnością od krwi idzie ogromna wytrzymałość na głód. Stawonogi te na każdym etapie swojego cyklu rozwojowego są w stanie przeżyć ponad 2 miesiące bez posiłku, a w przypadku dorosłych osobników czas ten wydłuża się prawie do roku.

To pierwsza przyczyna, z powodu której pluskiew trudno jest się pozbyć. Drugą jest procedura rozrodu: syta samica może złożyć do 10 jaj na dobę. A jeśli posiłki są codzienne i regularne, potrafi to kontynuować przez kilka miesięcy.

Poszukiwanie

Ponieważ pluskwy wiodą skryty tryb życia, stwierdzenie ich obecności w pomieszczeniu nie jest łatwe, dopóki nie dojdzie do masowego zasiedlenia. Tym bardziej że pogryzienia prowadzą do powstania niespecyficznych zmian skórnych, które łatwo pomylić np. ze śladem po ukłuciu komara czy innego owada żywiącego się krwią. W nielicznych przypadkach ukąszenia mogą być wręcz bezobjawowe.

Można się spotkać z opinią, że pluskwy da się wykryć po zapachu, ponieważ podobnie jak wielu przedstawicieli swojej rodziny potrafią wydzielać oleistą substancję o charakterystycznej woni, zwykle porównywanej do zapachu gnijących malin. Jednak należy się go spodziewać wtedy, gdy owadów jest już dużo, a nie na wczesnym etapie inwazji. Dlatego wykrywanie ich obecności opiera się zwykle na rozpoznaniu objawów klinicznych u żywicieli (ugryzienia, swędzenie, niespokojny sen itp.) i na odnalezieniu owadów w niedostępnych miejscach domu.

Istnieją specjalne pułapki diagnostyczne, wysycone substancjami wydzielanymi normalnie przez żywiciela, np. wspomnianym kwasem mlekowym. Do wykrywania tych owadów używa się również psów tropiących, choć, jak wynika z badań opublikowanych w 2012 r. na łamach „Clinical Microbiology Reviews”, ich średnia skuteczność wynosi ok. 43 proc.

Pożegnanie

Jeśli pluskwy pojawią się w budynku, są bardzo trudne do wytopienia. Posiadają cały zestaw genów kodujących oporność na chemiczne środki owadobójcze, np. na pyretroidy, którymi powszechnie zabija się inne niepożądane stawonogi. W przeszłości, w latach 60. i 70. XX w., eliminowano je za pomocą pestycydów,

ale skuteczny był w zasadzie tylko DDT – środek bardzo szkodliwy dla całych łańcuchów pokarmowych, nie tylko dla docelowych organizmów. Do tego wykazano, że może być ludzkim kancerogenem i kumuluje się na kolejnych piętrach łańcucha troficznego, czyli tym wyższe jego stężenie w ciałach zwierząt, im wyżej stoją one w sieci powiązań ekologicznych. W związku z tym DDT został w Europie wycofany z użycia. Dla środowiska to lepiej. Dla pluskiew też.

Rekomendowane metody eliminacji tych owadów to np. stosowanie wysokiej temperatury, polegające na praniu materiałów w co najmniej 60 st. C i ogrzewaniu pomieszczeń do 50 st. przez 90 min. Takie procedury przeprowadzane są tylko przez wyspecjalizowane podmioty. Pewną skuteczność ma też mrożenie oraz mechaniczne usuwanie owadów, np. odkurzaczem. Ani jeden, ani drugi sposób nie zadziała jednak, jeśli użyje się nieodpowiednich sprzętów.

Zwykła domowa zamrażarka może wytwarzać temperaturę niewystarczającą do zabicia pluskiew (giną dopiero przy -20 stopniach). Z kolei typowy odkurzacz stanie się po prostu ich nową kryjówką, z której z dużym prawdopodobieństwem dadzą radę wyjść. Konieczny jest tu aparat ze specjalnymi szczelnymi workami, które po odkurzeniu poddaje się utylizacji. Wszystkie te działania muszą być przeprowadzone na szeroką skalę, najlepiej w całym budynku, a nie jednym lokalu, i to wielokrotnie.

Niebezpieczeństwo

Pluskwy są zatem wytrzymałe, prawie niezniszczalne, wszędziebyłskie, a ich tępienie wymaga dość radykalnych działań i rygorystycznego planu postępowania. W większości przypadków nie stanowią jednak dużego zagrożenia dla zdrowia człowieka, choć nauka definitywnie tego nie rozstrzyga.

Na przykład amerykańskie Centers for Disease Control and Prevention podaje, że owady te nie przenoszą chorób zakaźnych. Taki sam wniosek wybrzmiewa z analizy opublikowanej w 2009 r. w uznanym czasopiśmie „JAMA” czy z pracy przeglądowej, która ukazała się w 2016 r. w „Archives of Dermatological Research”. Europejskie organizacje zajmujące się zdrowiem publicznym nie zabierają w tej sprawie głosu, ale w polskiej literaturze naukowej można się spotkać z tezą, że pluskwy przenoszą groźne patogeny, w tym bakterie odporne na antybiotyki. Takie informacje podano np. w 2016 r. w „Przeglądzie Dermatologicznym”.

Jednak nie dostarczono dowodów na możliwą transmisję.

Niezależnie od tych wątpliwości, uciążliwość pluskiew to nie tylko kwestia chorób zakaźnych. Sama świadomość bycia kąsanym w czasie snu i bliskiej obecności owadów, a do tego uporczywe swędzenie skutkują dyskomfortem, a niekiedy także zaburzeniami snu czy reakcjami lękowymi. A ugryzienia pluskiew są często traktowane jako powód do wstydu (niesłusznie, bo nie potwierdzono np. korelacji pomiędzy obecnością tych owadów a poziomem czystości pomieszczeń).

Sama transmisja pluskiew również nie ma nic wspólnego z higieną. Stawonogi te najchętniej przemieszczają się nie na żywiciela (w tym również nie na zwierzętach domowych, które zresztą gryzą mniej chętnie niż ludzi), lecz na ubraniach, w walizkach, używanych meblach. Pluskwami można się więc „zarazić” w hotelu, kinie, u znajomych czy w środkach transportu publicznego.

Obecność

Niestety, trudno jest dokładnie ocenić, jaka jest skala problemu w naszym kraju. Nie brakuje pojedynczych doniesień o pojawieniu się ognisk tych owadów, jednak dane te są niereprezentatywne. Nie wszystkie przypadki są zgłaszane czy nagłaśniane medialnie. Nie istnieje również scentralizowany system raportowania obecności pluskiew w budynkach. Można powiadamiać sanepid (najlepiej stację powiatową), ale instytucja ta nie zajmuje się zwalczaniem bezkręgowców – może jedynie ocenić stan higieniczny nieruchomości. A ten – przypominajmy – nie musi być zły; pluskwy bytują również w czystych pomieszczeniach.

Pewne wnioski można wyciągać na podstawie informacji od tych podmiotów, które są przez sanepid skrupulatnie i regularnie kontrolowane. Z raportu „Stan Sanitarny Kraju” wynika, że w 2022 r. zgłoszenia pluskiew stanowiły 0,21 proc. wszystkich niepowiązanych z koronawirusem czynników alarmowych w polskich szpitalach. Przekłada się to mniej więcej na dwie raportujące placówki. Dla porównania, zgłoszenia świerzbowca ludzkiego w roku 2022 to 0,32 proc. przypadków, co odpowiadało ok. 3 placówkom medycznym.

Z jednej strony dwa zgłoszone ogniska pluskiew w polskich szpitalach to nieduża wartość. Z drugiej we wcześniejszych raportach (za 2021 czy 2020 r.) nie ma w ogóle zgłoszeń tych owadów. Nie ma ich również w raporcie przedpandemicznym, np. z 2018 r. Próba jest więc mała, ale tendencja wydaje się wzrostowa. ■

Izoluje i produkuje

NA POKRYCIE DACHOWE ZWRACAMY DZISIAJ OGROMNĄ UWAGĘ – NIE TYLKO Z POWODÓW TECHNICZNYCH, ALE I ESTETYCZNYCH. A DO TEGO CORAZ CZĘŚCIEJ STAJE SIĘ ONO NASZĄ PRYWATNĄ ELEKTROWNIĄ.

Wymagania wobec dachu nieustannie rosną. Ma nie tylko chronić dom przed działaniem czynników atmosferycznych, ale też zabezpieczać go przed wychładzaniem i nadmiernym nagrzewaniem, a przy tym pełnić istotne funkcje estetyczne. – *Na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI w. zaczęły pojawiać się trendy dotyczące prostoty, a tym samym dachy dwuspadowe bez okapu z pokryciem w kolorze grafitowym i czarnym. Odpowiadając na te oczekiwania, wprowadziliśmy na rynek opatentowany system rynnowy Galeco BEZOKAPOWY z kwadratową rynną i rurą schowaną w elewacji budynku. Z kolei początek trzeciej dekady to trendy idące w kierunku łączenia dachów skośnych z dachami płaskimi. Pojawiła się również próba wysunięcia okapu dachu bez konieczności pokazywania instalacji odwadniającej. Wpisując się w te trendy, zaprezentowaliśmy najnowszy dach zintegrowany z systemem odwadniającym w postaci Dachrywny. System ten można zastosować zarówno do dachów*

bez okapu, jak i z okapem – wyjaśnia Szczepan Buryło, prezes zarządu Galeco.

To właśnie wymagania estetyczne, zarówno ze strony inwestorów, jak i architektów, mają dziś ogromny wpływ na wybór pokrycia dachowego. Inspiracja zachodnią czy skandynawską architekturą zastąpiła tak powszechne wcześniej eksperymenty, będące niejako odregowaniem po czasie PRL. Szybko jednak okazało się, że zbyt wymyślne konstrukcje nie tylko źle się starzeją, ale też pogarszają bilans energetyczny budynku. Im więcej kosztuje nas ogrzewanie zimą (z powodu drastycznego wzrostu cen energii) i chłodzenie latem (spowodowane postępującym ociepleniem klimatu), tym większą uwagę zwracamy także na jak najbardziej spójną bryłę budynku.

Systemy dachowe w postaci blachodachówek modułowych to rozwiązanie, które zapewnia wygodę układania nawet na konstrukcjach o nieregularnych kształtach. Ten typ pokrycia dachowego jest łatwy w montażu, trwały i estetyczny. Wybór odpowiedniego

producenta i rodzaju takiej blachodachówki modułowej ma kluczowe znaczenie dla jakości i trwałości pokrycia. Co ważne, taka technologia doskonale pasuje zarówno do nowoczesnych, jak i starszych budynków, więc można ją stosować także podczas remontów domów i dachów. Dwa najpopularniejsze i najbardziej uniwersalne kolory to ciemny grafit i czerń, idealnie wpisujące się w aktualne trendy architektoniczne.

Warto również zwracać uwagę na kwestie ochrony środowiska. Na rynku są już pokrycia, do produkcji których wykorzystuje się stal z organiczną powłoką opartą na biotechnologii. Olej rzepakowy jest używany zamiast składników ropopochodnych, co pozwala zmniejszyć ślad węglowy (czyli emisję dwutlenku węgla, powstającą w procesie produkcyjnym). Producent udziela aż 40 lat gwarancji technicznej na korozję perforacyjną oraz 15 lat gwarancji estetycznej. Kolejnym atutem blachodachówki może być jej łatwa instalacja. Symetryczny kształt pozwala na rozpoczęcie montażu zarówno od prawej,

jak i od lewej strony pokrycia, co jest szczególnie przydatne przy dachach o nieregularnych kształtach, na przykład dachach kopertowych.

W ostatnich latach dach zaczął pełnić jeszcze jedną funkcję – energetyczną. Pojawienie się na dużą skalę paneli fotowoltaicznych to element rewolucji technologicznej, ale też wyzwanie architektoniczne i użytkowe. Najpowszechniejsze rozwiązanie to instalacja paneli na istniejącym pokryciu dachowym (nowym czy też wyremontowanym). Takie rozwiązanie budzi jednak wątpliwości – zarówno estetyczne, jak i techniczne. Nie da się ukryć, że panele w istotny sposób ingerują wizualnie w bryłę budynku. Istnieje również ryzyko uszkodzeń dachówki podczas ich montażu. Z drugiej strony fotowoltaika staje się rozwiązaniem standardowym.

Niektórzy zatem proponują inne rozwiązanie niż zwykłe panele. – *Dach solarny to produkt, który łączy trzy funkcje: solidny dach, ponadczasowy design oraz własną elektrownię. Wizualna przewaga modułów solarnych zintegrowanych z powierzchnią dachu jest widoczna gołym okiem. Tradycyjna, nadachowa fotowoltaika nie ma w sobie nic urzekającego, gdyż najczęściej są to panele z widocznymi ramkami, o różnych barwach i kształtach, co tworzy na dachu mało atrakcyjny efekt szachownicy. Wybierając zintegrowany dach solarny, eliminujemy ryzyko wiercenia w poszyciu, co jest nieuniknione w przypadku montowania fotowoltaiki nadachowej.*

Warto zwrócić uwagę na fakt, że ingerencja w poszycie zwiększa ryzyko utraty szczelności dachu. Dachy solarne to z pewnością przyszłość rynku. To kolejny etap ewolucji w wykorzystywaniu





Plaska blachodachówka modułowa



Ekologia i troska
o środowisko



Nowoczesność
i elegancja



Modułowość
i dostępność



Łatwość transportu
i montażu



RIGA



BROSA



bezemisyjnej energii, a jednocześnie deklaracja wartości: odpowiedzialnego życia z poszanowaniem otoczenia i wykorzystaniem nowoczesnych technologii – przekonuje Wojciech Kruczkowski, Product Manager MyRoof.

Przyjęta przez Parlament Europejski dyrektywa dotycząca budynków (EPBD) to jeden z konkretnych kroków prowadzących do zmniejszenia emisji dwutlenku węgla w sektorze budownictwa. Od 2028 r. wszystkie nowe budynki w Unii Europejskiej mają być wyposażone w instalacje fotowoltaiczne, jeżeli będzie to wykonalne pod względem technicznym i uzasadnione ekonomicznie. Unia stawia na fotowoltaikę, gdyż wymóg jej stosowania nie tylko zmniejszy emisję gazów cieplarnianych (budynki we Wspólnocie odpowiadają za 40 proc. zużycia energii oraz 36 proc. emisji gazów cieplarnianych), ale też zwiększy nasze bezpieczeństwo energetyczne. A do tego przyniesie duże oszczędności w czasach szalejących podwyżek cen prądu – energia odnawialna stała się już najtańszym rozwiązaniem! W przypadku dachu solarnego cała powierzchnia może być wykorzystywana do pozyskiwania energii słonecznej, gdyż panele fotowoltaiczne wbudowane zostały w konstrukcję dachu, stając się jego integralną częścią. Wybierając taki produkt, warto jednak zwrócić uwagę na to, aby firma, która go dostarcza, posiadała odpowiednie doświadczenie w branży dekarzkiej.

A jak wyglądają rozwiązania techniczne takiej wciąż nowatorskiej konstrukcji? Dach solarny składa się z części aktywnej wykonanej z paneli oraz z części pasywnej, która może być pokryta materiałem niemal dowolnie wybranym przez inwestora. W takim dachu nie zastosowano drewna, lecz specjalną, aluminiową konstrukcję wsporczą. Co więcej, dziesięciocentymetrowa dylatacja pomiędzy panelem fotowoltaicznym a poszyciem dachu umożliwi chłodzenie panelu (to odległość zalecana



przez większość wiodących producentów paneli). Okablowanie poprowadzone jest dedykowanymi trasami kablowymi, tak aby nie było w bezpośrednim kontakcie z elementami potencjalnie palnymi. Inną ważną kwestią jest zastosowanie przez producenta na całej powierzchni dachu unikalnej membrany. Cechuje ją zarówno obniżona palność, jak i podwyższona odporność temperaturowa, wynosząca 100 st. Celsjusza, a przy krótkotrwałej ekspozycji nawet 120 st. Zawsze bowiem obowiązuje zasada: po pierwsze bezpieczeństwo.

Kto zdecyduje się na instalację fotowoltaiczną – zarówno odrębną, jak i zintegrowaną z dachem – musi jeszcze ją odpowiednio zaprojektować. Jak to zrobić optymalnie, aby inwestycja była jak najbardziej opłacalna? – W pierwszym okresie rozwoju fotowoltaiki w Polsce obowiązywał system opustów, tzw. Net-meteringu, czyli potocznie mówiąc, magazynowania nadwyżek energii w sieci. Od 1 kwietnia 2022 r. obowiązuje system net-billingu, zatem zamiast magazynu mamy wirtualny portfel, do którego trafiają przychody ze sprzedanej, niezuczytej na bieżąco energii wyprodukowanej z paneli fotowoltaicznych. System, ciągle ekonomicznie uzasadniony, wymaga jednak zupełnie innego projektowania instalacji fotowoltaicznej:

takiej, by zużywać maksymalnie dużo energii w momencie jej produkcji. Wynika to z faktu, że najtańsza energia to ta, której nie musimy kupować. W związku z tym program Mój Prąd też się zmienił i możemy otrzymać konkretne wsparcie na systemy magazynowania energii i zarządzania energią – nawet do 58 tys. zł – mówi Maciej Borowiak, prezes Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej Polska PV.

Zdaniem eksperta trzeba pamiętać o polityce energetycznej Unii Europejskiej, która wspiera elektryfikację transportu i ciepłownictwa. Przystępując do budowy domu, należy zacząć rozglądać się za urządzeniami, które będą pracowały z naszym falownikiem, który jest mózgiem systemu energetycznego domu. Coraz częściej urządzenia AGD, takie jak pralka czy zmywarka, mogą się włączać właśnie wtedy, gdy mamy darmowy prąd z paneli. Wybierając pompę ciepła, należy sprawdzić, czy ma funkcję SG Ready, czyli można ustawić odpowiedni priorytet, by załączyła się, gdy promienie słoneczne uruchamiają fotowoltaikę. Oczywiście pompę ciepła głównie wykorzystujemy w zimie, ale przeciętne system ciepłej wody użytkowej wykorzystujemy przez 365 dni w roku. Każdy system powinien posiadać zbiornik buforowy dla celów centralnego ogrzewania i zbiornik na ciepłą wodę użytkową – są

to pierwsze magazyny ciepła, które mamy w domu.

Także elektryfikacja transportu nabiera rozpędu. – Przeciętny samochód osobowy ma baterię o pojemności 70–80 kWh, a instalacja o mocy 10 kWp wyprodukuje w ciągu dnia nawet 65 kWh energii elektrycznej. Reasumując, jedna słoneczna sobota zapewni nam możliwość darmowego poruszania się praktycznie przez cały tydzień, stąd należy przygotować już miejsce w garażu czy przed domem dla odpowiedniej stacji ładowania pojazdów. Warto doprowadzić właściwy przewód, a może nawet podjąć decyzję o zakupie stacji ładowania – przekonuje Maciej Borowiak ze Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej Polska PV.

Ostatnim, coraz bardziej popularnym, elementem systemu jest magazyn energii. Na przykład w Niemczech aż trzy czwarte instalacji montowanych jest już łącznie z magazynem energii. Tymczasem w Polsce ten proces dopiero się zaczyna. – Magazyn zwiększa autokonsumpcję o 25–30 proc., a poza tym w okresach zimowych w systemie rozliczenia godzinowego jest świetnym narzędziem arbitrażu cenowego. Kupujemy prąd, gdy jest tani (na przykład o godz. 4 rano), a odbieramy go z magazynu o godz. 18, gdy jego cena jest zdecydowanie wyższa. Różnica między tymi kosztami to nasz zysk. Oczywiście w okresach letnich ładujemy magazyn z paneli. Nie każdy wie, że magazyn może stanowić formę zabezpieczenia, czyli zasilania rezerwowego w momencie, gdy nie ma prądu w sieci. Trzeba jednak pamiętać o dołożeniu dodatkowych zabezpieczeń, aby nasz system on-grid zamienił się w system wyspowy, odcięty od sieci. Jeżeli natomiast nie planujemy żadnych magazynów energii, to warto wybudować instalację mniejszą o 20 proc. w stosunku do naszego rocznego zużycia. Wtedy autokonsumpcja będzie odpowiednio wyższa – uzupełnia Maciej Borowiak.

CEZARY KOWANDA

MY ROOF

DACHY SOLARNE

DACH SOLARNY
IDEALNIE
DOPASOWANY
DO **TWOJEGO**
STYLU

3 W 1

SOLIDNY DACH

PONADczasowy DESIGN

WŁASNA ELEKTROWNIA



designerski dach
z efektem „lustra”



wydajne źródło
darmowej energii



30 lat gwarancji
efektywności



lżejsza
konstrukcja



system montażu
Montellano



ponad 200 punktów
sprzedaży i serwisu



dostawa
w 14 dni



profesjonalny
projekt



dobre praktyki
dekarские



wsparcie w uzyskaniu
pozwoleń

WWW.MYROOF.PL

Widok na przyszłość

NOWOCZESNE OKNA NIE TYLKO CHRONIĄ PRZED UTRATĄ CIEPŁA, ALE SĄ TEŻ WYKONANE Z MATERIAŁÓW PRZYJAZNYCH ŚRODOWISKU. ENERGOOSZCZĘDNOŚĆ WCALE NIE OZNACZA KONIECZNOŚCI REZYGNACJI Z WIZUALNEJ EKSTRAWAGANCJI.

Wyjątkowo ciepły wrzesień nie powinien uspić naszej czujności. Nawet jeśli ocieplenie klimatu nie budzi żadnych wątpliwości, wciąż nie możemy lekceważyć zimą. Bo mimo coraz rzadszych fal silnych mrozów nasze rachunki za ogrzewanie wcale nie spadają. Przeciwnie, nieustannie rosną z powodu drastyczne-

nawet kilkadziesiąt lat, dlatego dobrze, by ta inwestycja się zwróciła. Dobrym rozwiązaniem będzie posiadające wyjątkowo wysoki wskaźnik izolacji termicznej okno PAVA, które pozwoli znacznie zaoszczędzić na rachunkach za ogrzewanie. Część kosztów zakupu i montażu można pokryć, korzystając z programu Czyste Powietrze 2023, a dodatkowo uzyskać zwrot w ramach ulgi

części albo nawet całości kosztów innych inwestycji, takich jak wymiana drzwi czy okien. Poziom dofinansowania zależy od dwóch głównych czynników: zakresu termomodernizacji oraz dochodów gospodarstwa domowego. W ramach Czystego Powietrza przewidziano trzy poziomy wsparcia. Pierwszy dotyczy osób z dochodem rocznym do 135 tys. zł. Wystarczy, że tej

o uzyskanie odpowiedniego efektu oszczędności energii przy ogrzewaniu budynków. Dzięki Czystemu Powietrzu można uzyskać zwrot od 40 (najniższy poziom wsparcia) przez 70 (poziom średni) po nawet 100 proc. kosztów (poziom najwyższy) netto wymiany okien. Nie zostanie natomiast zwrócony podatek VAT. Nie ma żadnych limitów kwotowych dla samej wymiany stolarki okiennej, ale obowiązują maksymalne wartości wsparcia dla całej termomodernizacji. One są z kolei zależne zarówno od dochodów właścicieli, jak i od zakresu inwestycji. Chodzi o to, czy obejmuje ona także wymianę źródeł ogrzewania, czy też tylko prace takie jak wymiana okien i drzwi. W tym pierwszym przypadku maksymalne wsparcie sięga łącznie nawet 135 tys. zł.



go rozregulowania cen ropy, gazu i węgla, a w konsekwencji również prądu. Bez względu na wybrany system grzewczy musimy być przygotowani na dalszy wzrost kosztów. Najważniejszym zadaniem jest i pozostanie oszczędzanie energii cieplnej, a w tym pomagają wysokiej jakości okna.

Znaczenie tego elementu rośnie, bo też rośnie powierzchnia przeszkleń, które stały się wyróżnikiem nowoczesnej architektury. – *Okna stanowią od 5 do nawet 10 proc. kosztów budowy domu. Przy podejmowaniu tak ważnej decyzji należy zwracać uwagę na cenę i jakość. Trzeba także wziąć pod uwagę fakt, że nowe okna będą służyć nam kilkanaście lub*

termomodernizacyjnej. Nasi partnerzy handlowi znają te rozwiązania, chętnie przedstawiają szczegóły i pomogą w skorzystaniu z rządowych dofinansowań – radzi Tomasz Radecki, dyrektor handlowy Grupy OKNOPLAST.

To właśnie program Czyste Powietrze, rozpisany na lata 2018–30, z imponującym budżetem wynoszącym 103 mld zł, stał się najważniejszą formą wsparcia dla wszystkich, którzy modernizują swoje domy. Najczęściej kojarzy się on z wymianą starych pieców węglowych na nowe gazowe, a ostatnio również na pompy ciepła. Warto jednak pamiętać, że można uzyskać też zwrot

graniczy nie przekracza jeden ze współwłaścicieli. Drugi, wyższy poziom wsparcia obejmuje gospodarstwa domowe, w których dochód miesięczny na osobę nie przekracza 1894 zł (gospodarstwo wieloosobowe) lub 2651 zł (jednoosobowe). Wreszcie w przypadku trzeciego, najwyższego poziomu wsparcia dochód nie może przekraczać odpowiednio 1090 lub 1526 zł.

Przy wymianie okien trzeba pamiętać o wyborze produktu o odpowiednich parametrach. Maksymalne wartości współczynnika przenikania ciepła nie mogą przekroczyć dla okien pionowych 0,9 W/(m²·K), a dla okien połączonych 1,1 W/(m²·K). Chodzi

Jednak sam zwrot części lub całości kosztów to nie wszystko. Istnieje bowiem wciąż ulga termomodernizacyjna, niejako uzupełniająca Czyste Powietrze. Ta część poniesionych wydatków, której nie udało się odzyskać, może pomniejszyć płacony podatek dochodowy. Jak rozlicza się ulgę termomodernizacyjną? Można to zrobić w ramach rocznego zeznania podatkowego. Limit odliczeń wynosi 53 tys. zł na podatnika, który jest właścicielem lub współwłaścicielem mieszkalnego budynku jednorodzinnego. Dobra wiadomość: na przykład każdy małżonek będący współwłaścicielem domu ma dla siebie osobny limit, czyli w sumie wynosi on aż 106 tys. zł. Trzeba tylko zwrócić uwagę na to, aby w ramach ulgi nie rozliczyć tej części wydatków, które zostały już zrefundowane dzięki programowi Czyste Powietrze. A co w przypadku, gdy nie



OKNO PAVA.

STWORZONE DLA ENERGII

Geometryczny i stabilny profil PAVA kryje w sobie ewolucyjne rozwiązania technologiczne. Dzięki innowacyjnej metodzie suchego wklejania szyby STV, okno PAVA zyskuje o wiele lepszą statykę i sztywność. Środkowa uszczelka gwarantuje jeszcze większą izolację cieplną, a obniżony o 10%* profil skrzydła to więcej naturalnego światła we wnętrzu. Wprowadź energetyczną fuzję rozwiązań do swojej codzienności.

* Dla okna 1-skrzydłowego o wymiarze 800 x 800 mm



uda się od razu wykorzystać ulgi z powodu zbyt niskich dochodów, a w konsekwencji niskich płaconych podatków? To żaden problem, bo niewykorzystana kwota odliczenia przechodzi na kolejne lata – maksymalnie takie rozliczenie jednej inwestycji może potrwać nawet sześć lat.

Pamiętając o kwestiach racjonalizacji kosztów, nie możemy oczywiście też zapominać o innych oczekiwaniach. Nowoczesne budownictwo musi spełniać trzy główne kryteria: to oszczędność, funkcjonalność i ciekawy design. Wszystkie są równie ważne, ale też w żadnej mierze się nie wykluczają. Przeciwnie, raczej się uzupełniają. Na przykład materiały wysokiej jakości pozwalają zarówno na energooszczędność, jak i wygodę użytkownika oraz bezpieczeństwo, a do tego elegancko się prezentują. Przykładem mogą być duże przeszklenia, które są coraz częściej spotykanym elementem na elewacjach domów jednorodzinnych, występując w roli łącznika między salonem a ogrodem. Pozwalają na uzyskanie panoramicznego widoku i zacierają podział między wnętrzem domu a krajobrazem za oknem. Dają też poczucie niczym nieograniczonej przestrzeni.

Coraz bardziej estetyczne rozwiązania są możliwe dzięki zaawansowanym rozwiązaniom. – Istnieje wiele nowoczesnych technologii stosowanych w oknach, które pomagają zmniejszyć wychładzanie zimą

i nagrzewanie latem budynków. Należy pamiętać, że technologie nowoczesnych okien dostosowane do standardów i trendów energooszczędnego budownictwa muszą spełniać wymagania prawa budowlanego w zakresie bezpieczeństwa użytkownika czy termoizolacyjności. Nowoczesne okna powinna charakteryzować dobra izolacja termiczna. Współczynnik przenikania ciepła (U) okna określa, jak dobrze izoluje ono przed stratami ciepła. Im niższa wartość U, tym lepsza izolacja. Okna z podwójnym lub potrójnym pakietem szybowym, z niską emisyjną powłoką na szybach i wykonane z izolacyjnych materiałów, zapewniają lepszą izolację termiczną – wyjaśnia Augustyn Ziolo, doradca w Związku Polskie Okna i Drzwi.

Aluminium jest nowoczesnym materiałem, który znakomicie wpisuje się w obecne trendy budownictwa ekonomicznego i ekologicznego. – *Spektakularne, panoramiczne przeszklenia możemy uzyskać dzięki drzwiom tarasowym na bazie systemu MB-SKYLINE Type R. To nowoczesny system przesuwnych drzwi wielkogabarytowych, charakteryzujący się lekkością oraz wyjątkową estetyką. Skrzydło jest całkowicie ukryte w ościeżnicach dolnych i górnych, a w przypadku wybrania napędu automatycznego lub ryglowania na słupku również niewidoczne na bokach. Wiodącą szerokość słupka to zaledwie 25 mm. Całość stanowi więc niemal jednolitą taflę*

szkła z delikatnymi liniami podziatu. Tak wykonane drzwi nadają budynkowi wyjątkowego stylu, idealnie wpisują się w trendy luksusowego budownictwa i tym samym podnoszą rangę całej inwestycji. Nasz system pozwala na wykonanie skrzydeł o wysokości nawet czterech metrów, co daje wiele możliwości projektantom – mówi Bożena Ryszka, dyrektor marketingu i PR Aluprof.

Takie imponujące drzwi tarasowe można wyposażyć w zdalnie sterowane siłowniki, które umożliwią otwieranie i zamykanie z użyciem pilota lub smartfona. Okna i drzwi skonstruowane na podstawie tego systemu są wykonane z nowoczesnego materiału izolacyjnego o wysokich parametrach termicznych, odporności na obciążenia wiatrem i wodoszczelności. Aluminium stolarka do nowoczesnych domów energooszczędnych znacznie ogranicza straty ciepła i jednocześnie pozwala na maksymalne doświetlenie wnętrza światłem naturalnym. Aby uniknąć nadmiernego nasłonecznienia i nagrzania pomieszczeń, można zamontować rolety lub żaluzje zewnętrzne, które również pozytywnie wpływają na temperaturę w domu. Warto też pamiętać o innych rozwiązaniach. – *Obecnie dostępne są zaawansowane systemy wentylacyjne, które umożliwiają kontrolowanie przepływu powietrza przez okna. Dzięki temu można dostosować wentylację do indywidualnych*

preferencji i zapobiec nadmiernemu nagrzewaniu się pomieszczeń latem. Nawiewniki z odzyskiem ciepła to systemy wentylacyjne, które pozwalają na utrzymanie odpowiedniej jakości powietrza w pomieszczeniach, jednocześnie minimalizując straty energii – dodaje Augustyn Ziolo, ekspert Związku Polskie Okna i Drzwi.

Z pomocą w maksymalnym wykorzystaniu możliwości okien przychodzą systemy inteligentnego domu. Dzięki nim nie trzeba pamiętać o otwieraniu i zamykaniu okien w najbardziej optymalnych porach. – *Na przykład wietrzenie można automatycznie przeprowadzać w odpowiednich momentach dnia, aby zminimalizować straty ciepła lub optymalnie wykorzystać naturalne chłodzenie w letnie dni. Taki system można zintegrować z osłonami słonecznymi, takimi jak rolety zewnętrzne, które zapewniają dodatkową izolację termiczną latem, blokując nagrzewanie promieniowania słonecznego. Chronią też przed utratą ciepła zimą, tworząc dodatkową barierę termiczną. W połączeniu z systemami smart dają jeszcze większe możliwości wykorzystania energii słonecznej – uzupełnia Augustyn Ziolo ze Związku Polskie Okna i Drzwi.*

Skala inwestycji okiennych, zwłaszcza w przypadku większych domów, może często dezorientować czy wręcz onieśmielać inwestora. Warto zatem przed podjęciem decyzji porozmawiać z różnymi doradcami i wyszukać opinie innych klientów. Zwłaszcza takich, którzy instalowali okna w podobnej do naszej nieruchomości. Najcenniejsze są bowiem rzeczywiste obserwacje, zwłaszcza te dotyczące zużycia energii. Poza tym równie ważny jak parametry jest ich profesjonalny montaż. Ceny usług w naszym kraju oczywiście znacznie się zwiększyły w ostatnich latach. Jednak na tym elemencie z pewnością nie warto oszczędzać. Dobre okno potrzebuje dobrego fachowca.

CEZARY KOWANDA

PANORAMICZNY
MB-SKYLINE TYPE R

DRZWI PRZESUWNE z ukrytą ramą



TWÓJ DOM Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ





Córki wielkich ojców

Szare eminencje, dyplomatkę czy ochroniarce? O roli, jaką podczas konferencji w Jałcie w 1945 r. odegrały Anna Roosevelt i Sarah Churchill, opowiada Catherine Grace Katz, autorka książki „Córki Jałty”.

TOMASZ TARGAŃSKI: – Roosevelt, Churchill i Stalin to dla nas wielcy przywódcy, ale zapominamy przy tym, że każdy z nich miał dzieci i był ojcem. Jakie były ich relacje z córkami?

CATHERINE GRACE KATZ: – Każda z nich wyglądała inaczej. Sarah Churchill była trzecim z czterech dzieci Winstona. Z ojcem, którego nazywała „papą”, łączyła ją bardzo mocna więź. Poszukując emocjonalnego wsparcia albo rady, Sarah najczęściej zwracała się do niego, a nie do matki Clementine. Cechowała ją przenikliwość i dyskrecja. Nawet kiedy córka się nie odzywała, Churchill czuł, że w milczeniu dotrzymuje mu kroku.

Związek Anny Roosevelt z ojcem miał inny charakter. Wciąż poszukiwała akceptacji w oczach ojca i szczerze go podziwiała. Jako dziecko była oczkiem w jego głowie, ale z wiekiem dystans między nimi się powiększał. Anna próbowała odzyskać poczucie bliskości na wszelkie sposoby. W 1945 r. była dojrzałą kobietą, miała 38 lat i troje dzieci, lecz przy ojcu wciąż zmieniała się w małą dziewczynkę zabiegającą o aprobatę. Roosevelt zdawał sobie sprawę z wpływu, jaki ma na córkę, i wiedział, że zrobi ona wszystko, o co ją poprosi. Właśnie dlatego zabrał ją do Jałty.

Co do Stalina oraz jego córki Swietłany, ich związek był bardziej skomplikowany i naznaczony nieufnością. Wydaje się, że zagadkowa śmierć w 1932 r. matki Swietłany – Nadieżdy Allilujewej – wykopała między nimi przepaść. Swietłana nie pojechała do Jałty. W czasie konferencji miała dopiero 19 lat. Stalin chował ją przed światem i raczej nie przyszłoby mu do głowy, że córka może mu w jakikolwiek sposób pomóc.

Dlaczego Roosevelt i Churchill do Jałty zabrali córki? Obaj mieli starszych synów i żony obeznane z rzemiosłem politycznym.

Z kilku powodów. Żona Roosevelta Eleanor była zaangażowana w życie polityczne i towarzyskie w Waszyngtonie, nie miała czasu odbyć tak długiej podróży na Krym. Żona Churchilla Clementine panicznie bała się latać. Co zaś się tyczy synów obu przywódców, to ich relacje z ojcami były skomplikowane. Randolph Churchill służył w brytyjskiej armii w randze majora, był tak samo błyskotliwy jak Winston i czasami towarzyszył ojcu, ale pod wpływem alkoholu stawał się arogancki i nieokrzesany. Nie nadawał się do odgrywania delikatnej roli pomocnika w zakulisowych rozgrywkach.



Anna Roosevelt z ojcem i matką Eleanor, 1932 r.

Starsi synowie Roosevelta – Elliott i Franklin Jr – wcześniej jeździli z nim na konferencje m.in. do Casablanki w 1943 r. Służyli mu nie tyle jako doradcy, ile jako wsparcie fizyczne. Po tym jak zachorował na polio, Roosevelt stracił władzę w nogach i potrzebował pomocy przy wsiadaniu do samochodu czy kładzeniu się do łóżka.

W takim razie dlaczego zamiast nich do Jałty pojechała Anna?

Wydaje się, że tylko w obecności córki Roosevelt mógł się całkowicie zrelaksować. W przeciwieństwie do braci nie zbijała ona politycznego kapitału na obracaniu się w towarzystwie ojca. Chyba instynktownie wyczuwał, że synowie dbali o swoje kariery, nawiązując znajomości, które mogły zaprocementować w przyszłości. Natomiast Anna w pojęciu Roosevelta istniała po to, by służyć rodzinie – w domyśle jej męskim członkom – dbać o ich spokój i zadowolenie. Tak naprawdę zarówno Churchill, jak i Roosevelt potrzebowali u swego boku kogoś, kto pomógłby im dźwigać brzemień, nie prosząc o nic w zamian. Sarah i Anna świetnie wywiązywały się z tej roli.

A czy Roosevelt albo Churchill polegali w jakimś stopniu na opinii córek w kwestiach politycznych? Obaj mieli postępowe poglądy na kwestię emancypacji kobiet, ale mimo wszystko były to lata 40. i wydaje się to dość mało prawdopodobne.

Publicznie Roosevelt dał się poznać jako zwolennik równouprawnienia. W zaciszu domowym wołał jednak, aby jego córki ładnie wyglądały i umiały poprowadzić rozmowę w towarzystwie. „Robienie polityki” było w jego rozumieniu zajęciem męskim. Churchill bardzo doceniał inteligencję zarówno córki, jak i żony. Ze względu na wrodzoną energię i ekspresyjny sposób bycia potrzebował kogoś, kto tamowałby potoki jego wymowy, nadała kierunek czasem chaotycznym przemyśleniom. Taką rolę w domu pełniła Clementine, a w Jałcie przejęła ją Sara.

Wyjątkiem na tym tle jest Averell Harriman, ambasador USA w Związku Radzieckim. Jego córka Kathy jest trzecią – obok Sary i Anny – bohaterką mojej książki. Dzięki 15 miesiącom spędzonym u boku ojca w Moskwie Kathy zabrała duże polityczne doświadczenie. Kiedy Harriman wracał z oficjalnych narad na Kremlu, które często kończyły się nad ranem, nieraz siadał z córką, grali w karty i rozmawiali o meandrach polityki. Gdy w sierpniu 1944 r. w Warszawie wybuchło powstanie, a Rosjanie nie zrobili nic, by pomóc Polakom, Harriman nabrał przekonania, że Stalin zamierza podporządkować sobie Polskę i sąsiednie kraje. Właśnie w tych pełnych napięcia sierpniowych dniach opowiadał córce o swoich obawach wobec Stalina.

Sara, Anna i Kathy nie pełniły w Jałcie żadnej oficjalnej funkcji, ale nie przyjechały tam przecież w roli turystek. Na czym polegała ich rola?

Nie były szarymi eminencjami, nie pociągały za sznurki. Ale dzięki temu, że nie zwracały na siebie tyle uwagi, co ministrowie czy generałowie, widziały więcej, spotykały się i rozmawiały z członkami innych delegacji. Były oczami i uszami swoich potężnych ojców. Ich władza pochodziła bezpośrednio z zaufania, jakim je obdarzali, i z faktu, że miały do nich bezpośredni dostęp. Jednocześnie były kimś w rodzaju ochroniarek broniących Roosevelta, Churchilla i Harrimana przed ludźmi, z którymi nie chcieli się spotykać.

Uwaga bohaterek pani książki skupia się na ojcach. Czego dzięki nim dowiadujemy się o stanie Churchilla czy Roosevelta podczas konferencji w Jałcie?

Sara, Anna i Kathy baczenie obserwowały swoich ojców oraz wszystko, co się wokół nich działo. Instynktownie wyczuwały zmianę nastrojów. Kilka miesięcy przed konferencją Anna zauważyła, że Roosevelt ma coraz mniej energii i czasami zastęga na dłuższą chwilę, jakby był nieobecny. Po jej namowach przebadał go kardiolog. Diagnoza była miazdząca: zastoinowa niewydolność serca. Lekarze zalecili skrócenie czasu pracy i ścisłą dietę, ale była to tylko gra na zwłokę. Anna była pierwszą osobą, która poznała prawdę. Poza nią nikt nie mógł wiedzieć, że prezydent USA jest umierający. Zmianę w zachowaniu Roosevelta wyłowiła także Sara. Podczas spotkania na Malcie, gdzie Amerykanie i Brytyjczycy zatrzymali się przed wylotem do Jałty, córka Churchilla zauważyła, że emanujący wigorem Roosevelt, jakiego widziała jeszcze kilka miesięcy wcześniej, zniknął bez śladu. Wychudł, jego skóra była szara, policzki zapadnięte. Innym niepokojącym sygnałem wychwyconym przez Sarę i opisanym później w pamiętnikach, był fakt, że zamiast spotkać się na Malcie z delegacją brytyjską – czego oczekiwał Churchill – Roosevelt wybrał się na wycieczkę po wyspie. ▶



Catherine Grace Katz – amerykańska historyczka. Studiowała historię najnowszą na Uniwersytetach w Cambridge i Harvarda. „Córki Jałty” są jej pierwszą książką.

► Co z tego wynikało?

Sara miała wrodzony instynkt polityczny. Ostrzegła Churchilla, że Roosevelt się od nich oddalił, a stanowisko Amerykanów oraz Brytyjczyków względem ZSRR zaczyna się różnić. Dziś wiemy, że Roosevelt unikał wcześniejszych narad z Churchillem, aby nie wzbudzać podejrzeń Stalina, że sojusznicy ustalają coś za jego plecami. Inny ciekawy niuans polityczny wychwyła Anna: będąc na Malcie, Roosevelt nie zaprosił Averella Harrimana na służbowy lunch ze swoimi doradcami. Był to sygnał, że prezydent nie chce słuchać nalegań swojego ambasadora, by Stany Zjednoczone uszykowały stanowisko wobec Związku Radzieckiego.

Wydaje się, że o konferencji w Jałcie trudno powiedzieć coś nowego. Czy pracując nad książką, dostrzegła pani tamto historyczne spotkanie z nowej perspektywy?

Z pewnością. Po pierwsze, dzięki Sarze, Annie i Kathy obserwujemy konferencję od kuchni. Widzimy zarówno pełne napięcia rozmowy za kulisami, jak i zupełnie absurdalne sytuacje, jak chaos związany z brakiem łazienek. Pałac Liwadyjski, gdzie zakwaterowano liczącą ponad sto osób delegację amerykańską, miał do dyspozycji zaledwie dziewięć toalet i cztery wanny. Prywatna łazienka znajdowała się tylko w apartamencie Roosevelta. A zatem codziennie rano szefowie sztabu i trzygwiazdkowi generałowie wystawali pokornie „w ogonku” do toalety. Ci, którzy chcieli zachować resztki godności, wysyłali adiutantów, by ci zajęli dla nich miejsce w kolejce, która każdego dnia ustawiała się coraz wcześniej. Również kwestia prywatności podczas korzystania z łazienek ujawniła różnice kulturowe między gospodarzami a gośćmi z Zachodu. Radziecka obsługa zazwyczaj bez pukania wchodziła do łazienek, ku przerażeniu niejednego generała, który akurat siedział w wannie.

Inna sytuacja, która wydała mi się zabawna, to moment, kiedy po szczególnie długiej rundzie rozmów Stalin dosłownie wybiegł z sali konferencyjnej w poszukiwaniu toalety. Problem w tym, że w najbliższej był już Churchill. Jeden z członków amerykańskiej delegacji zaoferował więc, że zaprowadzi Stalina do łazienki. Po chwili na korytarzu uwijało się kilku zdezorientowanych funkcjonariuszy NKWD, zastanawiając się, gdzie jest Stalin, czy nie został porwany. Minęło kilka długich minut, zanim całe zamieszanie się wyjaśniło. Ta i podobne historie sprawiają, że wydarzenie znane z podręczników zyskuje ludzki wymiar, dzięki czemu staje się bliższe i bardziej prawdziwe.

W jakim sensie?

Pod pewnym względem takie właśnie ludzkie spojrzenie na rozmowy między Rooseveltem, Churchillem i Stalinem pozwala zrozumieć więcej niż bezosobowy wykład o geopolityce, strefach wpływów i układzie sił między mocarstwami. Wielka polityka jest przecież dziełem ludzi, ich decyzje nie zawsze są efektem racjonalnej oceny sytuacji. Często wpływają na nie kwestie trudno uchwytnie dla historyków.

Ma pani na myśli chorobę Roosevelta?

Nie tylko. Mówię o zasadniczej różnicy między tym, jak członkowie wielkiej trójki postrzegali „robienie polityki”. Dla Churchilla, ale przede wszystkim dla Roosevelta, polityka polegała na nawiązywaniu osobistych relacji. Nie sądzę, aby wierzyli, że decydują o kształcie geopolityki, ale obaj byli przekonani, że prywatne stosunki mają na nią wpływ. Na tym przecież zasał się sojusz anglo-amerykański. Fundamentem „specjalnych relacji” między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi były przyjaźń, zaufanie między Churchillem i Rooseveltem. Przyjeżdżając do Jałty, prezydent USA był przekonany, że jest w stanie

przekonać Stalina do ustępstw – m.in. w kwestii niezależności Polski – ponieważ Stalin go lubił, a dla polityków darzących się sympatią wykazywanie się gestem dobrej woli na rzecz drugiej strony było równoznaczne z gromadzeniem kapitału na przyszłość. Tak właśnie „robili politykę” członkowie zachodnich liberalnych elit w pierwszej połowie XX w. Roosevelt był świadom swego uroku osobistego i korzystał z niego w sposób wyrachowany. Wierzył w swoją więź ze Stalinem oraz w to, że jej pogłębianiu najlepiej służyły nieformalne spotkania, w które nie ingerowali eksperci ani biurokraci.

Alianci, w szczególności Amerykanie, chyba nie zdawali sobie sprawy, że bolszewicy są ludźmi ulepionymi z innej gliny.

Podstawowa różnica polegała na tym, że w świecie Roosevelta i Churchilla z przeciwnikami politycznymi wciąż można było się dogadać. W świecie Stalina trzeba było ich zniszczyć. Chyba najbardziej trafnego

komentarza udzielił George Kennan, pierwszy zastępca ambasadora USA w Moskwie. W liście wysłanym do Departamentu Stanu przed rozpoczęciem konferencji starał się uświadomić swoich rodaków, że przejawy wzajemnego zainteresowania czy gesty życzliwości nie mają dla bolszewików znaczenia. Nie da się nawiązać relacji z kimś, dla kogo prywatne opinie nie istnieją, a liczy się tylko linia partii. W Jałcie Roosevelt „ludził się”, że różnice między zachodnimi aliantami a ZSRR sprowadzają się do semantyki. Że wystarczy wygumkować drażliwe określenia, zastąpić je bardziej ogólnymi stwierdzeniami i porozumienie da się osiągnąć. Nie wziął pod uwagę, że Stalin był mistrzem w interpretacji takich okrągłych sformułowań na własną korzyść.

Przejmujący jest przedstawiony w książce obraz Roosevelta. Z jednej strony przywódca światowego mocarstwa, w którego rękach spoczywał powojenny ład. Z drugiej – człowiek, który zdawał sobie sprawę, że nie zostało mu wiele czasu, i chciał wykorzystać resztkę sił, aby zawrzeć porozumienie gwarantujące pokój w przyszłości.

Na początek uczciwie powiedzmy: nie wiemy, czy Roosevelt zdawał sobie sprawę, na ile poważny był jego stan. Nie wypytywał lekarzy o diagnozę, ale musiał czuć, że dzieje się coś złego. Czytając relacje z Jałty, trudno oprzeć się wrażeniu, że podczas negocjacji myślał o tym, jakie dziedzictwo zostawi. Dlatego tak bardzo zależało mu, aby ZSRR wszedł w skład Organizacji Narodów Zjednoczonych. Cały swój wysiłek przeznaczył na przekonanie Stalina do tej idei. Uważał, że ONZ będzie forum współpracy zwyciężczych mocarstw, a zarazem ciałem, które upora się ze wszystkimi powojennymi problemami. Dlatego nie chciał drażnić Stalina sprawą niezależności Polski. Jego zdaniem była to kwestia mniejszej rangi, którą w przyszłości da się pokojowo rozstrzygnąć na forum ONZ. Dla Stalina była to oczywiście mrzonka, ale wydaje się, że Roosevelt naprawdę w to wierzył i wydawało mu się, że dopiął swego. W protokole końcowym z konferencji Stalin zapewnił, że ZSRR wejdzie w skład ONZ. Zapisy w sprawie Polski były ogólnikowe i mówiły o przeprowadzeniu demokratycznych wyborów oraz powołaniu rządu tymczasowego, w którego skład mieli wejść polscy komuniści i członkowie rządu londyńskiego. W dniu zakończenia konferencji bliski współpracownik Roosevelta powiedział mu szczerze, że niektóre zapisy są tak elastyczne, że Stalin może rozciągnąć je od Jałty do Waszyngtonu, a i tak formalnie ich nie zerwie. Roosevelt odparł, że wie, ale nie może zrobić nic więcej. Jak wiadomo zmarł w kwietniu 1945 r., równo dwa miesiące po wyjeździe z Jałty.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI



Szczepienie przeciw polio
w warszawskiej szkole,
1968 r.

Monopol na polio

Dlaczego uznani twórcy szczepionek
– Hilary Koprowski, Jonasz Salek i Albert Sabin
– nie dostali Nagrody Nobla?

ANDRZEJ HENNEL

Byla jesień 1959 r., miałem 10 lat i siedziałem w ławce piątej klasy szkoły podstawowej. Nagle otworzyły się drzwi, weszła szkolna pielęgniarka i oświadczyła: „Klasa idzie na szczepienie”. Była to atrakcyjna przerwa. Niektórzy zapowiedzieli, że zemdleją na widok strzykawki, inni pytali, która ręka... Po zejściu do gabinetu lekarskiego ze zdziwieniem

zobaczyliśmy, że zamiast przygotowanych strzykawek pielęgniarka ma mały statyw z próbkami z niewielką ilością cieczy w kolorze herbaty. Powiedziała, że to nowa szczepionka na chorobę Heinego-Medina. Choroba była nam znana – jeden z kolegów chodził o kulach. Każdy szybko wziął próbkę i wypił. Po pięciu minutach było po wszystkim i musieliśmy wrócić na lekcję.

Jako dziesięciolatki nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak ważny był to moment historyczny. W 1958 r. na chorobę Heinego-Medina nazwaną później polio zachorowało w Polsce ponad 6 tys. dzieci, z czego 348 zmarło. Najbardziej typowym objawem był paraliż kończyn dolnych, który czasem po rehabilitacji ustępował. Często jednak zostawał w formie pełnej lub częściowej.

Pozytywnymi przykładami osób wyleczonych byli mistrzowie olimpijscy – sprinterka amerykańska Wilma Rudolph, potrójna złota medalistka z olimpiady w Rzymie w 1960 r., oraz pływak amerykański Johnny Weissmuller – pięciokrotny złoty medalista olimpiad w latach 1924 i 1928, późniejszy filmowy Tarzan. W Polsce najbardziej znaną ofiarą polio jest Janina Ochojska.

Szczepionkę, którą do Polski przysłała firma Wyeth, zawdzięczamy Hilaremu Koprowskiemu, wybitnemu profesorowi medycyny, absolwentowi Uniwersytetu Warszawskiego. Do Polski trafiło 9 mln dawek szczepionki wynalezionej przez Polaka. Szczepienia wszystkich polskich dzieci prowadzone od jesieni 1959 r. do wiosny 1960 r. zakończyły epidemię polio w Polsce. Ostatnie dwa przypadki tej choroby wśród dzieci nieszczepionych w Polsce wystąpiły w 2002 r.

Choroba znana od starożytności została opisana przez lekarzy Jakuba Heinego i Karla Medina w XIX w. Poważne epidemie zaczęły się w Stanach Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej. Najgorszy był rok 1952 – zachorowało ponad 58 tys. osób, pozostało sparaliżowanych ponad 22 tys., zmarło 3145 osób. Amerykanie bali się polio bardziej niż bomby atomowej. Najstraszniejsze było zaskoczenie: dziecko wieczorem szło spać zdrowe, rano nie było w stanie wstać z łóżka.

Szczęściem w nieszczęściu było to, że na polio zachorował również prezydent USA Franklin Delano Roosevelt. Miał wówczas 39 lat i było to starannie ukrywane, poruszał się wyłącznie na wózku inwalidzkim. Można zobaczyć filmy, na których przemawia, stojąc, ale zawsze gestykuluje jedną ręką, a drugą trzyma się mównicy. Prezydent założył w 1938 r. Narodową Fundację Paraliżu Dziecięcego. Jej celem była opieka nad chorymi oraz finansowanie badań. Fundacja początkowo szukała darczyńców wśród osób zamożnych, później zdecydowała się na zbiórki publiczne, które były wielkim sukcesem. Fundacja zmieniła też nazwę na March of Dimes (Marsz dziesięciocentówek) ►

► i działa do dziś, zajmując się chorobami niemowląt.

Pierwszą w świecie szczepionkę przeciw polio opracował w 1948 r. Hilary Koprowski w Lederle Laboratories. Po wielu próbach znalazł gospodarza, który sam nie zakaża się polio i z którego wirus wychodzi osłabiony – był to żyjący na kontynencie amerykańskim szczur bawełniany. Koprowski pobierał wycinki mózgu szczura i wstrzykiwał je następnemu szczurowi. Otrzymywano osłabionego wirusa. Sprawdzono to na małpach. Zaszczepione osłabionym wirusem zwierzęta wytwarzały antyciała i były odporne na najbardziej zjadliwe szczepy polio. W 1948 r. Koprowski zaszczepił się sam wraz z asystentem.

Po raz pierwszy szczepionkę Koprowskiego podano większej liczbie osób w 1950 r.

Oto jego opis w wywiadzie książkowym z Agatą Tuszyńską „Wygrać każdy dzień”: „Zaraz obok zakładu farmaceutycznego, gdzie pracowałem, mieścił się zakład dla niedorozwiniętych dzieci. Jego dyrektor zgłosił się do nas. Wiedział, że pracujemy nad szczepionką, a bardzo się obawiał infekcji. Bał się, że te dzieciaki mogą obrzucać się kałem, a ponieważ w kale są zarazki polio, łatwo przenieść zarazę na całą grupę. 27 lutego 1950 r. pierwszy dzieciak dostał szczepionkę. Codziennie badaliśmy mu pracę serca, płuc, temperaturę. Wszystko było w porządku, a we krwi znaleźliśmy przeciwciała. Potem zaszczepiono pozostałe dzieci, wszystkie zostały uodpornione”.

Po przedstawieniu wyników na spotkaniu zorganizowanym przez Narodową Fundację został bardzo mocno zaatakowany, zarzucono mu brak zgody rodziców chorych dzieci. Szczepionka Koprowskiego nigdy nie została dopuszczona na rynek amerykański. Pierwsze masowe szczepienie szczepionką Koprowskiego miało miejsce w 1958 r. w Kongu. Doustną szczepionkę podano 250 tys. dzieci i niemowląt, później ta liczba wzrosła do miliona. Potem było 9 mln szczepień w Polsce.

Poważnym problemem przy produkcji szczepionki było znalezienie tkanki, na której można hodować wirusy polio. Początkowo udawało się to robić wyłącznie na tkankach nerwowych małp, ale te wywoływały u ludzi zapalenie mózgu. Wielkim przełomem dokonany w 1949 r. przez Johna Endersa i jego dwóch doktorantów Thomasa Wellera i Fredericka Robbinsa na Uniwersytecie Harvarda (Cambridge, USA) był dowód, że wirusy polio można hodować na tkankach skóry,

mięśni i nerek. Otworzyło to drogę do masowej produkcji szczepionek.

Kolejne szczepionki opracowywali Jonasz Salk (potomek emigrantów z ziem polskich) z uniwersytetu w Pittsburghu i Alfred Sabin (urodzony w Białymstoku) z uniwersytetu w Cincinnati. Była między nimi zasadnicza różnica. Salk zdecydował się na wirusy inaktywowane (IPV), które za pomocą formaldehydu były całkowicie pozabawione możliwości reprodukcji (niektórzy mówili „martwe” wirusy). Taką szczepionkę podaje się w zastrzyku. Natomiast Sabin zdecydował się pójść drogą Koprowskiego i stosować wirusy osłabione (OPV) w szczepionce doustnej (niektórzy mówili „żywe”). Obydwie szczepionki powstały w latach 50. XX w.

Mimo wspólnych korzeni trzej badacze ostro rywalizowali ze sobą. Każdy twierdził, że jego szczepionka jest zdecydowanie lepsza od konkurencyjnych.

Narodowa Fundacja była ostrożna i wybrała bezpieczniejszą szczepionkę Salka. Problemem były oczywiście testy na ludziach. Salk najpierw zaszczepił siebie, żonę i trzech synów. W 1952 r. wykonał eksperymentalne szczepienia w dwóch ośrodkach dla dzieci niepełnosprawnych. Przy czym naukowcy uzyskali zgody rodziców i władz. Szczepienia przyniosły sukces – nikt nie zachorował i wszystkie dzieci zostały uodpornione.

Wtedy Fundacja postanowiła wykonać badania masowe. Do szczepień wybrano 211 powiatów w 42 stanach. Udział wzięło ok. 20 tys. lekarzy i pielęgniarek, blisko 64 tys. pracowników szkół oraz ok. 220 tys. wolontariuszy. Wybrano do szczepień uczniów klas pierwszych, drugich i trzecich szkół podstawowych. Szczepienia rozpoczęto 26 kwietnia 1954 r. Dzieci dostawały zastrzyk w lewą rękę. Do końca roku szkolnego szczepienie powtarzano dwukrotnie. Nikt nie wiedział, które szczepionki były prawdziwe, a które placebo. Archiwum objęło 1 349 135 kart.

Analiza wyników zajęła wiele czasu. Ostatecznie 12 kwietnia 1955 r. ogłoszono sukces, który Amerykanie porównywali z dniem zwycięstwa nad Japonią. Salk stał się bohaterem narodowym, a jego szczepionka weszła natychmiast do użytku w USA i Kanadzie, a później w wielu innych krajach.

W tym samym okresie Albert Sabin przygotował swoją szczepionkę. Zaszczepił siebie, rodzinę i współpracowników. Pierwsze próby kliniczne przeprowadzono pod koniec 1954 r. Nie mogąc stosować szczepionki w USA, Sabin zwrócił się do przywódcy ZSRR Nikity Chruszczowa. W latach 1955–61 zaszczepiono

szczepionką doustną Sabina co najmniej 100 mln ludzi w ZSRR, niektórych częściach Europy Wschodniej, Singapurze, Meksyku i Holandii.

Ostatecznie w latach 1961–62 Sabin zarejestrował swoją szczepionkę w USA i przez kolejne 30 lat jako łatwiejsza w użyciu dominowała ona na rynku. Okazało się jednak, że wywołuje niewielką (kilka przypadków na milion szczepień) liczbę zachorowań i powrócono do szczepionki Salka.

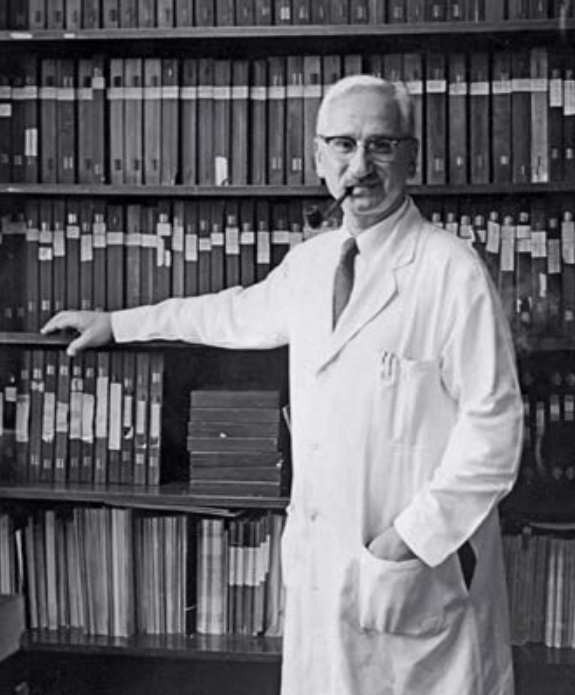
W Polsce jeszcze w 2015 r. stosowano schemat szczepień: trzy dawki szczepionki Salka w 3–4., 5–6. oraz 16–18. miesiącu życia oraz czwarta dawka przypominająca szczepionką Sabina podawana w 6. roku życia. Obecnie czwarta dawka jest również szczepionką Salka.

Nie ulegało wątpliwości, że sukces szczepionki na polio i uratowanie życia i zdrowia milionów osób w wielu krajach zasługiwały na Nagrodę Nobla z fizjologii i medycyny dla wszystkich trzech badaczy: Koprowskiego, Sabina i Salka. Pojawiły się informacje (mniej lub bardziej pewne) o nominacjach i nic się nie działo. Komitet Noblowski przyznawał w kolejnych latach nagrody innym. Można zapytać, czy np. enzymy utleniające lub pobudzanie ślimaka usznego były ważniejsze od szczepionki przeciw polio.

Wszystkie Komitety Noblowskie zgodnie z zasadą ujawniania nominacji po 50 latach

mniej lub bardziej regularnie publikują listy nominowanych. Najstarsza jest Akademia Szwedzka przyznająca nagrody z literatury – corocznie w styczniu ujawnia listę z kolejnego roku. Komitety przyznające nagrody z fizyki, chemii i pokojową nie są tak systematyczne, ale w chwili obecnej dysponujemy danymi do 1970 lub 1971 r. Natomiast Instytut Karolinska, przyznający nagrody z fizjologii i medycyny, jest fatalnie spóźniony. Od wielu lat dane kończą się na 1953 r. i nic się nie zmienia.

W 2013 r. zmarł Hilary Koprowski. Przeczytałem wszystko, co było w Polsce dostępne na jego temat, ale brakowało mi odpowiedzi na wiele pytań. Znalazłem wydaną w USA, uhonorowaną Nagrodą Pulitzera, znakomitą książkę napisaną przez historyka nauki profesora Davida M. Oshinsky'ego „POLIO An American Story”. Namówiłem wydawnictwo Prószyński i Ska do jej wydania po polsku, przetłumażyłem i ukazała się w 2015 r. pod tytułem „POLIO Historia pokonania choroby Heinego-Medina”. Wiele kwestii dzięki tej książce zrozumiałem, jednak nadal nie otrzymałem odpowiedzi na podstawowe



Od lewej: **Albert Sabin,**
Hilary Koprowski
i **Jonasz Salek.**



pytanie – dlaczego twórcy szczepionek nie dostali Nobla.

Zacząłem pisać do Komitetu Noblowskiego z pytaniem o brakujące informacje o nominacjach, ale przez kilka lat otrzymywałem odpowiedzi wymijające. Byłem uparty i szukałem kontaktu merytorycznego. W końcu po kolejnym wymianie maili w 2023 r. skierowano mnie do profesora Erlinga Norrby'ego, urodzonego w 1937 r. szwedzkiego lekarza i wirusologa, profesora w Instytucie Karolinska w latach 1972–97, członka Komitetu Noblowskiego tego Instytutu w latach 1975–80. Byłem mile zaskoczony, gdy już po godzinie odpowiedział na mój mail. Wyraził głębokie ubolewanie z powodu opieszałości swojego instytutu, natomiast zapytany bezpośrednio o polio przyznał, że napisał na ten temat artykuł i potem rozdzielał w jednej ze swoich licznych książek.

Po zapoznaniu się z opracowaniem Norrby'ego można zrozumieć mechanizm, który doprowadził do zablokowania nagród dla trzech badaczy. Kluczową rolę odgrywał w nim szef Norrby'ego – Sven Gard (1905–98), profesor bakteriologii i wirusologii w Instytucie Karolinska w latach 1947–72. Gard prowadził ważne badania wirusów polio i kierował szwedzką produkcją szczepionki przeciw tej chorobie. W 1961 r. został członkiem Komitetu Noblowskiego Instytutu Karolinska, a w 1968 r. wybrano go na członka Szwedzkiej Akademii Nauk.

Przyjrzyjmy się teraz sposobowi selekcji kandydatów i przyznawania nagród. Nagrodę z fizjologii i medycyny przyznaje 50-osobowe Zgromadzenie Noblowskie złożone z profesorów Instytutu Karolinska. Zgromadzenie powołuje 5-osobowy Komitet Noblowski, który przeprowadza

procedurę selekcji i oceny kandydatów. Komitet powołuje ekspertów, którzy piszą szczegółowe raporty i referują swoje oceny na posiedzeniach Komitetu i Zgromadzenia.

Pierwsza kontrowersja dotycząca polio wystąpiła przy przyznawaniu nagrody w 1954 r. Komitet Noblowski zarekomendował wtedy do nagrody Amerykanina Vincenta du Vigneaud za badania hormonów. Dwaj profesorowie Sven Gard i chirurg John Hellstrom byli przeciwni i zaproponowali wyróżnienie wspomnianej powyżej pracy poświęconej hodowli wirusa polio na różnych tkankach opublikowanej przez Johna Endersa (otrzymał 12 nominacji) z jego dwójką doktorantów, którzy mieli po dwie nominacje.

Protestujący przekonali Zgromadzenie Noblowskie Instytutu Karolinska, które przegłosowało nagrodę w 1954 r. dla Endersa, Wellera i Robbinsa. Ekspertem merytorycznym był oczywiście Sven Gard. On też wygłosił płomienną mowę na temat znaczenia ich odkrycia podczas ceremonii wręczania nagród. Warto zdawać sobie sprawę, że w momencie, w którym Gard forsował nagrodę dla Endersa z uczniami, już były wykonane przez Salka masowe szczepienia w USA i trwało opracowywanie wyników.

Jak należało się spodziewać, w 1955 r. pojawiła się pierwsza nominacja Salka. Gard napisał, że sprawa jest zbyt świeża. W 1956 r. pojawiły się trzy kolejne nominacje. Gard napisał dłuższy tekst krytyczny wobec Salka. Obwinił go o problemy ze szczepionkami (jedna z sześciu firm amerykańskich produkujących szczepionki popełniła błędy i kilkadziesiąt zaszczepionych dzieci zachorowało).

W 1958 r. Salk miał 10 nominacji i pojawiły się nominacje dla Koprowskiego i Sabina. Gard, który badał ich szczepionki, znów napisał o nich krytyczny raport.

Na koniec Norrby przytocza dość zdumiewającą historię. Otóż w połowie lat 60. Rune Grubb, profesor uniwersytetu w Lund, wystąpił z propozycją wspólnej nagrody dla Koprowskiego, Salka, Sabina i Gard. Wniosek miało podpisać wielu naukowców ze Szwecji i innych krajów. Gdy sprawa dotarła do Gard, miał on kategorię sprzeciwu. Twierdził, że nagroda musi dotyczyć odkrycia, a nie zastosowań odkrycia. Dokument ostatecznie nie został złożony w Komitecie Noblowskim. Historię tę opowiadano mi wcześniej w USA. Wyglądała nieprawdopodobnie i uznawałem ją za plotkę. Najdziwniejsza jest początkowa nominacja niezgodna z wolą Alfreda Nobla i regulaminem nagród.

Trójka amerykańskich badaczy była wielokrotnie nominowana. Jeden człowiek, Sven Gard, skutecznie blokował te nominacje. Niewątpliwie sposób wyboru kandydatów i ich oceny w Instytucie Karolinska spowodował swoistą monopolizację tematu polio przez jedną osobę. Dodatkowym problemem jest fakt, że Norrby jako uczeń Garda w swojej relacji może łagodzić lub cenzurować pewne fakty. Nie jestem w stanie ostatecznie zrozumieć postępowania Svena Garda w tej sprawie. Można tylko żałować straconej szansy trójki wybitnych badaczy.

Na zakończenie przytoczę tytułem żartu wypowiedź Jonasza Salka. Pytany, czy żałuje, że nie został laureatem Nagrody Nobla, odpowiedział: „Tak, ale wszyscy i tak są przekonani, że nim jestem”.

ANDRZEJ HENNEL

na ekranie

Stan zawieszenia 5/6

Poprzednie życie (Past Lives), reż. Celine Song, prod. USA, Korea Płd, 106 min

Delikatny niczym poetycka strofa debiut fabularny Celine Song składa hołd uczuciu, które w naszej kulturze nazywamy romantycznym. W istocie jednak jest to bardziej złożona historia osnuta wokół przeznaczenia i podświadomości, snów, marzeń, ambicji poddanych próbie czasu. Para bohaterów zna się od wczesnego dzieciństwa. Natomiast relacja, o której opowiada młoda reżyserka, rozciągnięta jest na przeszło dwie dekady i różne kulturowo przestrzenie. Rzecz dotyczy dwójga Koreańczyków rozdzielonych w wieku 12 lat. Dziewczynka (w dorosłości gra ją **Greta Lee**) emigruje wraz z rodzicami do Toronto, po studiach na nowojorskim uniwersytecie wychodzi za mąż za Amerykanina, chce zostać pisarką piszącą po angielsku. Chłopak (**Teo Yoo**) zostaje w Seulu, odbywa służbę wojskową, zostaje inżynierem. Po wielu latach dzięki mediom społecznościowym udaje im się ponownie nawiązać kontakt. Niezwykle w tej ulotnej opowieści o przyjaźni przeistaczającej się pod wpływem tęsknoty w głęboką duchową więź, która powinna spełnić



się w miłości, lecz z powodu narastających różnic doświadczeń nie może, jest to, że brakuje słów, by ją opisać. Koreańczycy mają na to określenie: In-Yun odnoszące się do relacji między dwójgiem ludzi, niekoniecznie przeciwnej płci, opartej na ich powiązaniach z poprzednich wcieleń. W czasie rzeczywistym osoby te czują wzajemne przyciąganie, jednak to, jak te emocje się ułożą, zależy od wielu okoliczności, na które nie mają w zasadzie wpływu. „Poprzednie życie” również dobrze mogłoby nosić tytuł „w zawieszeniu”, gdyż w takim samym stopniu dotyczy nigdy niegasnącego miłostnego głodu, jak i niepewnej tożsamości.

Być może odpowiadając na pytanie, kim się jest, należałoby wziąć pod uwagę również alternatywne wersje – faktów, które mogłyby się wydarzyć, wizji spotkań, wyznań, uczuć pozostających czymś w rodzaju otwartej furtyki do nieosiągalnych światów. Film subtelnie daje do zrozumienia, że zmieniając miejsce zamieszkania, pokonując granice obcych państw, języków, obyczajów itd., nie zamyka się nieodwołanie tego, od czego się odeszło. W skromnym, zrealizowanym z mistrzowską pewnością ręki filmie Song odbija się echem znana nam doskonale „Zimna wojna”, a oscarowe nominacje nie będą zaskoczeniem.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

W trójkącie 5/6

Chłopi, reż. DK Welchman, Hugh Welchman, prod. Polska, Litwa, Serbia, 114 min

Druga animacja malarska małżeńskiego duetu DK i Hugh Welchmanów zaskakuje o wiele bardziej niż „Twój Vincent”, i to na wielu poziomach. Podziw budzi przede wszystkim rozmach inscenizacyjny, trudno się nie zachwycić walorami plastycznymi, ale sukces został osiągnięty także za sprawą kunsztu dramaturgicznego, dzięki któremu udało się zachować ducha powieści Reymonta, a jednocześnie nadać filmowej wersji „Chłopów” współcześnie brzmiące, uniwersalne przesłanie. Sporo mówią o tym sami twórcy w wywiadzie publikowanym w tym numerze (s. 92). Podkreślić natomiast warto niesamowitą temperaturę emocjonalną filmu, osiągniętą w równym stopniu unikalną techniką ręcznego malowania, wyrazistymi kreacjami aktorskimi **Kamili Urzędowskiej** (Jagna), **Roberta Gulaczyka** (Antek Boryna), Mirosława Baki (Maciej Boryna), jak i zjawiskową muzyką L.U.C-a, dzięki której dynamiczne sceny urastają do rozmiarów szekspirowskiego niemal dramatu o wielkiej sile napiętności. Świeża, nasycona erotyzmem, przepiękna opowieść oparta na nagrodzonej Noblem książce, jednym z najwybitniejszych osiągnięć polskiej sztuki prozatorskiej, walczyć będzie o nominacje oscarowe w kilku kategoriach, i oby na nominacjach się nie skończyło. JW





w telewizji

Zagłada rodu Sacklerów 3/6

Zagłada domu Usherów (The Fall of the House of Usher), twórca serii: Mike Flanagan, 8 odc., Netflix, od 12 października

Najnowsze dzieło specja od historii z dreszczykiem na małym i dużym ekranie, Mike'a Flanagana to produkcja inspirowana twórczością Edgara Allana Poe. Nie tylko tytułowym opowiadaniem, z którego pochodzi główny bohater, Roderick Usher (i jego siostra Madeline), narrator opowieści o swoim rodzie, której kolejne rozdziały odnoszą się do innych znanych dzieł klasyka literatury grozy, jak „Maska Czerwonego Moru”, „Zabójstwo przy Rue Morgue” czy „Serce oskarżycielem”. Motywem przewodnim jest spowiedź/zeznanie, składane przez Rodericka (**Bruce Greenwood**) w nawiedzonym domu o północy przed prokuratorem (Carl Lumbly), który przez dekady tropił niecne czyny rodu Usherów, a w nowym procesie wyciągnął asa z rękawa: tajemniczego informatora. W serialu Usherowie są odpowiedzialni Sacklerów, rodziny, która zabiła fortunę na sprzedaży silnie uzależniającego oxycontin (w USA przyczynił się do uzależnienia i śmierci setek tysięcy ludzi, powstało na ten temat kilka dokumentów i seriali fabularnych) i dotąd nie poniosła odpowiedniej kary. Flanagan naprawia ten błąd, racząc widzów aktami krwawej zemsty w rozmaitych wcieleniach i z detalami. Hołd dla Poe'go łączy się tu więc ze społecznym przesłaniem, a także z historią w typie „Sukcesji”, z jej mieszkanką satyry i dramatyzmu w portretowaniu stosunków rodzinnych bogaczy (tu mamy szóstkę dorosłych dzieci zabiegających o aprobatę surowego ojca). Efekt jest niestety dość przeciętny. AK



na scenie

Po końcu Wersalu 4/6

Jarosław Murawski, **Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć**, reż. Marcin Liber, Teatr im. Słowackiego w Krakowie

W musicalowym hicie „1989” Teatr Słowackiego przyglądał się polskiej drodze do pokojowej transformacji ustrojowej, skupiając się na budowie „pozytywnego mity”. „Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć” pokazuje – w formie zgrzebnego musicalu, z piosenkami duetu Nagrobki i scenografią inspirowaną biało-czerwonymi krawatami Samoobrony – dlaczego o pozytywne mity u nas tak trudno. Lepper (grany przez wszystkich aktorów) jest symbolem stosunków lud-elity, ale też wykluczeni-beneficjenci, od czasów pańszczyzny przez reformy Balcerowicza i wspólne rządy Samoobrony z PiS i LPR, po współczesną politykę, z nadchodzącymi wyborami jako kontekstem. Refrenem jest piosenka: „Ja cię, kurwa, nienawidzę, ja się ciebie, kurwa, boję, ja się tobą, kurwa, brzydzę, ja cię, kurwa, zapierdołę”. Jak zapowiedział Lepper: „Wersal się skończył”. Ale profetyczna była także „seksafera w Samoobronie”, długo przed ruchem #MeToo, który dowiódł, że molestowanie i mobbing zdarzały się w różnych środowiskach. „Na szczęście jestem przeciw Balcerowiczowi, więc młoda polska lewica szybko zapomni i wybaczy. O, już” – ironizuje spektaklowy Lepper, a twórcy starają się dystansować i od chłopomanii, i od chłopofobii. Jest to wszystko brawurowo pokazane, ale też niezbyt odkrywcze i momentami nużące. Jak scena czytania konstytucji przez chłopów do wtóru Chopina odgrywanego na stojakach w pendolino, symbolu Polski liberalnej, tylko dla bogatych.

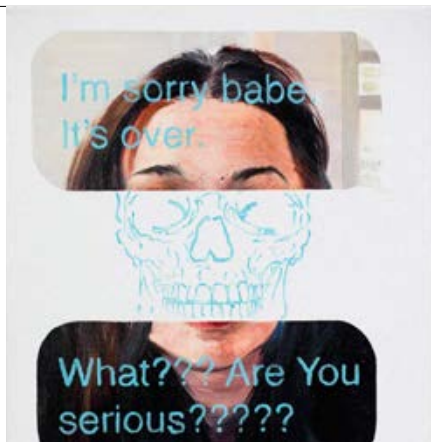
ANETA KYZIOŁ

w galerii

Zielona granica sztuki 5/6

Refugees Welcome, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, do 10 grudnia

Przez wiele lat za najważniejszą charytatywną aukcją w Polsce stało Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta. I oto znak czasów: dziś najbardziej spektakularna wydaje się coroczna aukcja na rzecz przybywających do Polski uchodźców, organizowana przez Towarzystwo Przyjaciół MSN oraz Fundację Ocalenie. Co ważne, pod młotek trafiają dzieła będące świetnymi artystycznymi wizytówkami twórców. W zeszłym roku licytacja przyniosła

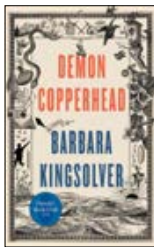


Agata Kus, „Delivered”, 2023 r.

dochód ponad miliona złotych i wszystko wskazuje na to, że tym razem (aukcja odbędzie się 5 listopada) będzie podobnie. Zaważyć bowiem można o ponad 80, często

bardzo dobrych prac. Od klasyki polskiego malarstwa (Rajmund Ziemiński, Edward Dwurnik), przez mistrzów ostatnich dekad (Wilhelm Sasnal, Jakub Julian Ziółkowski) po najgorętsze nazwiska na młodej scenie artystycznej, jak Karol Palczak czy Agata Kus. I – co trzeba odnotować z satysfakcją – spora grupa laureatów Paszportów POLITYKI: Katarzyna Kozyra, Weronika Gęsicka, Aneta Grzeszykowska i Jakub Woynarowski. Co jednak najciekawsze, z tego artystycznego pospolitego ruszenia, kurator wystawy Szymon Maliborski potrafił przygotować wystawę, która jest nie tylko zbiorem darów na aukcję, ale też ciekawą ekspozycją, budującą narrację i tworzącą intrygujące interakcje między poszczególnymi pracami. Nie każdego zapewne stać będzie na zakup (choć ceny wywoławcze niekiedy zaczynają się już od 500 zł), ale każdy może doświadczyć ciekawej, różnorodnej i ważnej wystawy.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Tak było, nie ściemniam 6/6

Barbara Kingsolver, **Demon Copperhead**, przeł. Kaja Guccio, Wydawnictwo Fila, s. 608

Demon Copperhead, jak go nazywają, przyszedł na świat cudem w obскурnej przyczepie. Jego młoda matka miała inne problemy na głowie. „Najsampierw wziąłem i się urodziłem. Na miejscu zebrało się akurat sporo gapiów i potem zawsze mi powtarzali, że co jak co, ale to ja odwaliłem najgorszą robotę, bo moja matka, jak by to powiedzieć, nie bardzo jarzyła, co się dzieje” – to sam początek powieści, zwiastun dalszych wydarzeń, już świetnie oddający charakter całości. Demon wychował się pod okiem sąsiadki, tu zaznał pierwszej troski i przyjaźni, i uodparniał się na podłości, których życie mu nie skąpiło. Już jako dziesięcioletek znał na pamięć kroki wychodzenia z nałogu, bo matka regularnie trafiała na odwyk. Razem przerabiali jej kolejnych partnerów. Aż trafił się tyran, który sponiewierał



oboje. Barbara Kingsolver, laureatka Pulitzera, wprost nawiązuje do Dickensa i „Davida Copperfielda”, kanonicznej, najintymniejszej powieści Brytyjczyka, która w równej mierze jest podróżą przez niełatwe dzieciństwo, co diagnozą społeczną i obrazem Londynu. Kingsolver podobnie portretuje współczesną Amerykę: z jej uzależnieniem od opioidów, rozwarstwieniem, przemocą, nędzą „niższych sfer” i fariarzami, którzy chodzą „po innej trawie”, nie oglądając się na resztę. Tu też, jak u Dickensa, czuć wrażliwość, choć Demon chyba mniej się łudzi, że da się odmienić los, który już na starcie nas nazaczył. O to też Kingsolver pyta. A równie istotny jest tutaj język: gęsty, żywy, slangujący (świetnie przetłumaczony). Dickensowski „remiks” ma potężną moc, porusza i otwiera.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Kurs: dorosłość 5/6

Radek Rak, **Agla**, Aurora, Wydawnictwo Powergraph, Warszawa 2023, s. 784

Fantastyczne realia, brawurowo poprowadzona akcja i para bohaterów, których losy, choć opowiadane oddzielnie, spletają się nierozdzielnie. Tymian, syn ubeka i domorosły rewolucjonista wciągnięty w tryby historii, oraz Sofja Kluk, zbuntowana nastolatka szukająca śladów po zaginionym ojcu, aktualnie zesłana

do łagru za spiskowanie przeciwko Carowi. Oboje na przyspieszonym i brutalnym kursie wchodzenia w dorosłość. Najłatwiej byłoby wrzucić nową powieść Radka Raka do szuflady z literaturą *young adult*. Lecz to proza, która rozsadza gatunkowe ramy. Powieściowy świat, misternie skonstruowany ze ścinków fantastycznej klasyki, europejskiej historii, mistycyzmu i steampunkowej technologii, jest skomplikowany, okrutny, a przede wszystkim bardzo plastyczny. Rak prowadzi czytelników przez skryte w mroku ulice miast i bezlitosną tajgę z równą swobodą i pozorną lekkością, która może być efektem jedynie godzin wytężonej pracy nad tekstem. Snuje opowieść o opresji, gniewie i upragnionej rewolucji, o młodości i wierze w to, że nigdy nie jest za późno, by zmienić świat, a przynajmniej za całej siły trzeba próbować. A jeśli już postawimy „Agłę” na półce z literaturą młodzieżową, to ze świadomością, że to książka na czasy burzy i przełomu. Pisana w mroku, lecz z nadzieją.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Lalki z własnymi twarzami 5/6

Piotr Paziński, **Przebierańcy w nicości. Rzecz o malarstwie Witolda Wojtkiewicza**, Nisza, Warszawa 2023, s. 180

Piotr Paziński, laureat Paszportu POLITYKI za „Pensjonat”, przyzwyczał czytelników do swojej znakomitej eseistyki w książkach „Atrapy rzeczywistości” i „Rzeczywistość poprzecierana”, w których zajmował się twórczością m.in. Leśmiana, Rotha, Schulza, Ficowskiego, Kantora i w których powracał motyw manekina, lalki. Teraz Paziński proponuje nam podróż przez obrazy Witolda Wojtkiewicza, malarza, którego tajemnica poraziła kiedyś Szymborską, „przebierańcy nicości” – nazwała bohaterów jego obrazów. Podróż z Pazińskim jest niezwykła, prowadzi nas przez świat baśni Wojtkiewicza, który jest kaleki, jego postaci przypominają lalki gotowe do występów w „teatryku życia”. Na jego obrazach często w lalkach jest więcej życia niż w ludziach. „Magia, powiada Wojtkiewicz, jest tam, gdzie rej wodzą karmin makowy i karmin pomidorowy, srebrzysta biel, jajecznicowa żółć i głęboki granat obsypany kropeczkami złota, jak rozgwieżdżone niebo”. Paziński pokazuje, jak odbywa się u Wojtkiewicza wyjście z baśni, marionetki są w pułapce, zależne od woli człowieka. Lalki w teatryku uświadamiają sobie nagle swoją kondycję. W stosunku człowieka do lalki na tych obrazach kryje się przemota. Wyjątkowe jest u Wojtkiewicza to, że jego lalki, arlekiny i koniki na biegunach są istotami, które mają własne życie, w świecie, który się rozpada. Każda lalka tutaj ma własną twarz. Opowieść Pazińskiego sprawia, że możemy patrzeć na obrazy z różnych stron, zresztą nie tylko na obrazy, ale na wszystkich, którzy przeglądali się w tym malarstwie, i wreszcie na nas samych.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Czarna księga Glińskiego 4/6

Dialog Puzyry. Przejęte,
praca zbiorowa, Fundacja „Dialogu”
im. Konstantego Puzyry,
Warszawa 2023, s. 334



Jak zapewnijają autorki i autorzy tej publikacji – zespół „Dialogu” niezgadający się na pracę z nowym naczelnym tego tytułu powołanym wbrew redakcji przez ministra kultury Piotra Glińskiego – zrodziła się ona z „protestu przeciw aroganckiej dezynwolturze władzy”. To rzecz o tym, jak zawłaszczane były instytucje kultury przez ostatnie osiem lat oraz co z tego wynikało. Pod lupę wzięto 15 takich miejsc: od mediów, przez placówki wystawiennicze, po narodowe instytucje. W większości przypadków proces zawłaszczania opisują ci, którzy przyglądali mu się z bliska; byli już pracownicy owych instytucji. Dzięki temu mamy opis sytuacji z tzw. pierwszej ręki, niekiedy analityczny, kiedy indziej emocjonalny. Obraz, jaki się wyłania z tych narracji, jest przygnębiający, a niekiedy wręcz przerażający. Jak w jednym z esejów zauważył Witold Mrozek, władza na dwa sposoby przejmowała instytucje: „na rympał” lub „na gotowanie żaby”. W pierwszym przypadku często w atmosferze protestów, tyleż głośnych, co bezskutecznych. Zawsze jednak w sposób arogancki, w przekonaniu, że władza wie lepiej i że zgoda na jakiegokolwiek negocjacje to wyraz słabości. W ten sposób wybrani nowi namiestnicy mogli działać w poczuciu bezkarności, pogardy dla wypracowanych przez lata zasad współżycia i w przekonaniu, „wiem lepiej”. Niekiedy nie stroniąc od brutalnego mobbingu, czego najbardziej drastycznym przykładem jest sytuacja w Instytucie Literatury. Ta publikacja uświadamia, jak łatwo i szybko można zniszczyć budowaną przez dziesięciolecia renomę (radiowa Trójka, Muzeum Sztuki, Zachęta, IAM). Ile z tego da się jeszcze uratować? – to pytanie dręczy podczas lektury, ale na razie nie ma na nie odpowiedzi.

PIOTR SARZYŃSKI

na płycie Z rejsu 5/6

Natalia Przybysz, **Tam**, Kayax



Wzasadzie ta płyta jest efektem i reminiscencją oceanicznego rejsu, jaki Natalia Przybysz odbyła w roli uczestniczki TVN-owskiego programu „Przez Atlantyk”. Stąd mamy w tekstach metafory wodnego żywiołu, oddalenia, tęsknoty, powrotu – także powrotu „do siebie” (piosenka „Japonia”). Natalia pracowała nad płytą wraz z zespołem na greckiej wyspie Hydra i to też miało swoje znaczenie, udało się bowiem osiągnąć (co słychać w nagraniach) rzadki rodzaj skupienia, który towarzyszy medytacji albo szczególnie aktom twórczym (np. zenistycznemu malarstwu zengy czy pisaniu prawosławnych ikon). Stąd obecny na tej płycie spokój, nawet wtedy, gdy jak w piosenkach „Morze jest najlepsze” czy „Zenit” wchodzą do uszu mocne funkowe riffy elektrycznej gitary. Natalia stara się śpiewać oszczędnie, nie nadużywa ekspresji, z całą pewnością udało się jej pięknie spożytkować żeglarsko-telewizyjną przygodę, a fani otrzymali jedną z najlepszych płyt w jej dorobku.

MIROSŁAW PĘCZAK

Lepiej niż na żywo 5/6

Tomasz Ritter, **Fantasies** (Lessel, Haydn, Voříšek,
Beethoven, Chopin), NIFC



Zwycięzca I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych (właśnie rozpoczyna się jego druga edycja) wypada o wiele efektywniej w nagraniach niż na żywo: fortepiany historyczne, na których gra, mają dźwięk raczej nikły i nie w każdym wnętrzu dobrze brzmią, zwłaszcza kopia instrumentu marki Graf z 1819 r., na której pianista nagrał tę płytę. Jest to jednak instrument odpowiedni do wykonywania muzyki późnego klasycyzmu i początków romantyzmu: na grafie grywał zarówno Beethoven, jak młody Chopin. Płyta jest w większości poświęcona fantazjom: Franciszka Lessla, Josepha Haydna, Sonacie quasi una fantasia czeskiego kompozytora czasów Beethovena – Jana Václava Hugona Voříška, wreszcie efektywnym 32 Wariacjom c-moll Beethovena – Ritter gra te dzieła z prawdziwą fantazją. Do nich dołączył trzy utwory Chopina; dwa młodzieńcze nokturny brzmią mniej efektywnie, za to o parę lat późniejsze Scherzo h-moll znów porывa emocjami. Ta płyta świadczy o tym, że mimo kontrowersyjności werdyktu konkursu z 2018 r. przynajmniej laur dla Rittera był w pełni zasłużony.

DOROTA SZWARCMAN

REKLAMA

NAJNOWSZA POWIEŚĆ COLSONA WHITEHEADA, DWUKROTNEGO ZDOBYWCY NAGRODY PULITZERA, LAUREATA NATIONAL BOOK AWARD.

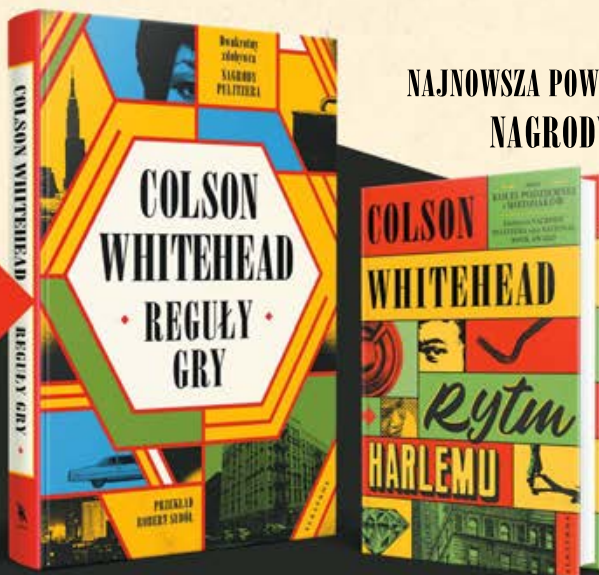
Mroczna, a jednocześnie bardzo dowcipna
opowieść o obłożonym mieście.

Barwny portret Harlemu w burzliwych czasach.

I opowieść o rodzinie – o tym, czym jest
i co ją kształtuje.

Kontynuacja brawurowej powieści
lotrzykowskiej „Rytm Harlemu”.

PREMIERA
11.10.



WYDAWNICTWO ALBATROS



Myszka zmieniła się w smoka

Wytwórnia założona przez Walta Disneya obchodzi w tym roku stulecie. Żaden inny koncern medialny nie wywarł tak wielkiego wpływu na masową wyobraźnię i globalną popkulturę.

W

JAKUB DEMIAŃCZUK

W satyrycznym serialu „South Park” Myszka Miki staje się szefem korporacji Disneya i jednym z największych łotrów: symbolem kapitalistycznej chciwości, sadystą terroryzującym wszystkich, którzy próbują uszczknąć coś dla siebie z multimedialnego imperium. Nerwowy śmiech Mikięgo – swoją drogą niezłe parodiujący jego oryginalny głos, należący do samego Walta Disneya – to chichot kogoś o krok od wybuchu. I kogoś, z kim się nie zadziera.

The Walt Disney Company przypomina baśniowego smoka, który sukcesywnie gromadzi w swojej jaskini kosztowności. Dziś w smoczym skarbcu – czyli portfolio firmy – znajdują się całe zastępy superbohaterów, „Gwiezdne wojny”, Indiana Jones, „Avatar”, Predator, Obcy, Simpsonowie, „National Geographic” i „Toy Story”. Jeszcze kilkanaście lat temu żadna z tych marek nie należała do Disneya. Założone 100 lat temu studio zamieniło się z czasem w medialnego behemota rzucającego cień na całą globalną popkulturę.

„Walt Disney dla animacji jest tym, kim Zygmunt Freud dla psychoanalizy, święty Paweł dla chrześcijaństwa, Adam Mickiewicz dla polskiego romantyzmu, a Włodzimierz Lenin dla komunizmu. Można go nie lubić, można buntować się przeciwko jego hegemonii, ale nie da się zrozumieć historii filmu animowanego, albo nawet całej popkultury, nie znając jego zasług i grzechów” – pisał Paweł Sitkiewicz w książce „Miki i myszy. Walt Disney i film rysunkowy w przedwojennej Polsce”. Bo założyciel dzisiejszego koncernu konsekwentnie meblował wyobraźnię setek milionów ludzi na całym świecie, zamieniając swoje nazwisko w synonim familijnej rozrywki o bardzo konkretnym profilu.

Walt, papież i król

Stulecie mija 16 października. Tego dnia w 1923 r. Walt Disney wraz z bratem Royem założył The Disney Brothers Studio, by wyprodukować serię filmów o przygodach dziewczynki o imieniu Alicja, w nowatorski sposób łączących animację ze zdjęciami aktorskimi. Walt, który miał wtedy niespełna 23 lata, nie był na polu animacji debiutantem. Jego poprzednia firma Laugh-O-Gram Studio zbankrutowała kilka miesięcy wcześniej, jednak zdążyła się zapisać w historii serią filmów produkowanych na zamówienie jednego z kin w Kansas City.



Skromne The Disney Brothers Studio nie tylko miało po latach przekształcić się w Walt Disney Animation Studios, lecz w znacznej mierze przyczyniło się do tego, że przemysł animacyjny przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Jego amerykańskim sercem był w tamtym czasie Nowy Jork, lecz Waltowi zależało na tym, by studio założyć w Hollywood, bo Roy leczył się tam z gruźlicy. Do Los Angeles ściągnął swojego przyjaciela, wybitnego rysownika i animatora Uba Iwerksa i wspólnie



rozpoczęli pracę nad filmami o Alicji. Walt szybko znudził się formułą łączącą kreskówkę z filmem aktorskim, postanowił zająć się wyłącznie animacją: najpierw na ekrany trafił królik Oswald, potem Myszka Miki. Na tym fundamencie bracia Disneyowie zaczęli budować swoje imperium.

Disney nie był pierwszym twórcą krótkometrażowych animacji pokazywanych na ekranach, ale – jak pisze amerykański historyk Norman M. Klein w książce „7 Minutes” – jego praca dała początek nowej epoce. „Jak wyjaśnić gigantyczny wpływ Miki i »Silly Symphonies«? Po części to zasługa nowości, jaką był dźwięk. Gdy tylko muzyka i piski zostały podłożone pod lot Miki w »Plane Crazy«, kreskówka ożyła w sposób nieosiągalny dla jakiegokolwiek filmu aktorskiego nakręconego w Ameryce w 1928 r.”

Gdy w listopadzie 1932 r. po raz pierwszy wręczano Oscary za najlepszy krótkometrażowy film animowany, statuetkę odebrał Walt Disney. Podobnie było przez sześć kolejnych lat. Po sukcesie „Trzech małych świnek” (Oscar w 1933 r.) Disney mógł rozbudować swoje niewielkie biuro, przenosząc je do bardziej prestiżowej dzielnicy Hollywood, a lokalny deweloper zbudował w pobliżu osiedle domków wzorowanych na tych z popularnej animacji.

Stany Zjednoczone wciąż borykały się z efektami wielkiego kryzysu, lecz Disney rósł w siłę. Także dlatego, że jego sława dawno przekroczyła geograficzne ograniczenia. „Podczas gdy największe studia filmowe stawały w obliczu bankructwa, Disney znalazł światową publiczność, która okazała się odporna na kryzys” – pisał Klein.

Świat szybko zakochał się w Mikim. Spójrzmy choćby na rodzime poletko. Filmy z wytwórni Disneya trafiły do Polski po raz pierwszy na początku lat 30., komiksy i opowiadania z bohaterami animacji drukowały różne pisma, zaś w 1938 r. zaczęła swój krótki żywot humorystyczna „Gazetka Miki”, w której obok przygód tytułowego bohatera publikowano historyjki z Kaczorkiem Zadziorkiem i Hipolitem Warkotem (czyli Donaldem i Goofym). W tym samym roku na ekrany polskich kin trafiła również „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków”, pierwsza pełnometrażowa animacja w dorobku Disneya.

Z podziwem o jego animacjach wypowiadali się m.in. Witkacy i Bruno Schulz.

„W Europie filmy Disneya paradoksalnie cieszyły się większym uznaniem niż w Ameryce. Ceniono je na równi z produkcjami pełnometrażowymi Hollywoodu – a może nawet bardziej” – notuje Paweł Sitkiewicz w „Mikim i myszach”. Sam

Walt Disney mógł się o tym przekonać: gdy w latach 30. przyjechał do Europy na wakacje, podejmowano go z honorami. Spotkał się m.in. z królem Jerzym

V, papieżem Piusem XI oraz z Benito Mussolinim. Lecz co najważniejsze – przywiózł z Europy kilkadziesiąt popularnych, ilustrowanych książek, z których czerpał inspirację.

Prawo Myszkki Miki

W czym tkwi siła jego dzieł? Disney nie był kryształową postacią (zarzucano mu rasizm, antysemityzm), ale wiedział jak robić kino, które spodoba się niemal wszystkim i będzie unikać kontrowersyjnych treści. Teraz bez trudu dostrzegamy w starych disneyowskich kreskówkach elementy nieetyczne i moralnie wątpliwe, są one jednak raczej odbiciem stanu debaty publicznej tamtych lat niż celową dyskryminacją mniejszości. A dziś produkcje ze studia Disneya należą do nurtu progresywnego – może nazbyt bezpiecznego i często zachowawczego, lecz ►

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWIA
ZAPRASZA

EDYCJA JESIENNA
z okazji
World Opera Day

OPERA
RARA KRAKÓW
2023

25.10.	ICE Kraków 19:00
	L'Arpeggiata Christina Pluhar
29.10.	Teatr Słowackiego 19:00
	Ian Bostridge Saskia Giorgini
01.11.	kościół św. Katarzyny 19:30
	Capella Cracoviensis Christina Pluhar
09.11.	Teatr Słowackiego 19:00
	Philippe Jaroussky Le Concert de la Loge Julien Chauvin

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy
Instytut
Muzyki
i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”,
realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca



capella
cracoviensis



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie



► jednak inkluzywnego. Ponadto na dekady przed inżynierem Mamonem Disney odkrył, że najbardziej lubimy te melodie, które dobrze znamy. Gdy zaczynał karierę, kręcąc Laugh-O-Grams, scenariusze opierał na bajkach Ezopa. Disneyowskie krótkometrażówki były nierzadko popisem twórczej kreatywności, lecz równie często czerpały z baśni i mitów, odwoływały się mniej lub bardziej wprost do poważnych (lub nie) dzieł literackich, scenicznych albo filmowych. Czasami dość zaskakujących: film z Mikim w roli czarownika próbującego okiełznać niesforne miotły, włączony potem do pełnometrażowej „Fantazji”, jest przecież bardzo luźną adaptacją „Ucznia czarnoksiężnika” Goethego – trudno oczekiwać, by wiedza ta była dana większości widzów oglądających film w kinie, zwłaszcza podczas jego premiery w 1940 r.

W przytłaczającej większości pełnometrażowe animacje studia Disneya były adaptacjami baśni i książek, szczególnie europejskich. Mistrzowsko wykonane, umiejętnie grające na emocjach filmy zapadały głęboko w pamięć widzów, usuwając stamtąd wspomnienie oryginałów. Mało kogo obchodził oryginalny „Bambi” Saltena (o zapomnianym autorze pisaliśmy w POLITYCE 21/22), „Mała syrenka” Andersena czy nawet „Piotruś Pan” Barriego i „Pinokio” Collodiego. W masowej wyobraźni bohaterowie i bohaterki tych książek i tak mają oblicza wymyślone przez disneyowskich animatorów. Na podobnej zasadzie studio Disneya wymyślało filmy aktorskie, najczęściej będące albo adaptacjami popularnej literatury dla młodzieży – od „Wyspy skarbów” po „Mary Poppins” – albo opowieściami o legendarnych postaciach mitycznych i historycznych, względnie barwnymi komediami młodzieżowymi (filmy dla dorosłych produkowało specjalnie do tego celu powołane studio Touchstone Pictures, dla którego kręcili m.in. Martin Scorsese i Barry Levinson).

Skarby pod ochroną

Nie bez powodu w ostatnich latach studio decyduje się na aktorskie remaki dawnych przebojów: nie chodzi jedynie o odcinanie kuponów i zarabianie na kolejnym pokoleniu widzów (chętnie kupujących także związane z filmami gadżety), lecz również o utrwalanie disneyowskiego wizerunku postaci. I o kontrolę nad prawami do konkretnych postaci i opowieści.

Korporacja Disneya pilnie strzeże swych skarbów, karząc tych, którzy prawo łamią. I ingerencje Disneya bywały brutalne: od przymusowego zamalowania „nielegalnego” muralu z Myszka Minnie w ośrodku opiekuńczym dla dzieci na Florydzie, poprzez karę 250 dol. za nieautoryzowane wyświetlenie „Króla Lwa” w jednej ze szkół (Bob Iger, szef Disneya, przeproszał później za nadgorliwość swojej firmy), po zakaz użycia filmowego wizerunku Kubusia Puchatka na nagrobku zmarłego dziecka.

Studio Disneya od dawna jest zaangażowane w prace nad prawami dotyczącymi ochrony własności intelektualnej i praw autorskich, domagało się m.in. wydłużenia czasu ochronnego dla dzieł sztuki. Naciski ze strony Disneya były tak silne, że ustawa o przedłużeniu okresu obowiązywania praw autorskich nazywana jest złośliwie „Ustawą o ochronie Myszkę Miki”.

Obecnie w Stanach Zjednoczonych dzieło sztuki trafia do domeny publicznej 95 lat po roku publikacji, co oznacza, że w 2024 r. wygasną prawa ochronne m.in. do pierwszych filmów z Myszka Miki, m.in. „Parowca Williego”. Nie oznacza to, że nagle cały świat będzie mógł zarabiać na Mikim. Prawo wciąż będzie strzegło późniejszych zmian wizerunku Myszkę (białe rękawiczki, bardziej okrągłe kształty, czerwone spodenki), na dodatek jego interpretacja jest znacznie bardziej skomplikowana, bo Miki jest także zarejestrowanym znakiem towarowym Disneya. A znaki towarowe nigdy nie wygasają, dopóki firma dostarcza odpowiednie

dokumenty. Jak tłumaczyła na łamach „The New York Times” specjalistka od prawa własności intelektualnej Jane C. Ginsburg, oznacza to tyle, że ewentualne wykorzystanie wizerunku Mikiego nie może wprowadzać konsumentów w błąd, czyli sugerować, że mamy do czynienia z produktem autoryzowanym przez Disneya. A to mocno ogranicza możliwości ewentualnego zarobku na wizerunku animowanej Myszkę. „Od kiedy Miki pojawił się po raz pierwszy w 1928 r. w „Parowcu Williego”, ludzie skojarzyli tę postać z historiami, doświadczeniami i produktami Disneya. To się nie zmieni, gdy wygasną prawa autorskie do filmu” – głosiło wydane przez studio oświadczenie.

Disneyland na Marsie

Stulecie Disneya to bez wątpienia stulecie globalnego sukcesu. Popularność, jaką cieszyły się filmy, pozwalała na poszerzenie pola walki: ukazywało się coraz więcej komiksów (dziś spora ich część jest tworzona w Europie – potęgami disneyowskich historyjek są Włochy i Skandynawia), gadżetów z wizerunkami bohaterów, wreszcie w 1955 r. powstał Disneyland, pierwszy z wielkich parków rozrywki studia i spełnienie marzeń Walta, który podobno lubił incognito prowadzić jedną z parkowych kolejek. Cały świat musiał się dostosować do reguł Disneya. Korporacja nieraz wpadała w finansowe kłopoty, by zawsze znaleźć z nich wyjście, które ją wzmacniało. Z dołka lat 80. wyrzebała się serią wybitnych animacji zapoczątkowanych „Małą syrenką” oraz „Piękną i Bestią”, wkraczając tym samym w okres prosperity nazywany później renesansem Disneya. Gdy później zaczęły się problemy, Disney poszedł na zakupy – największe w dziejach korporacji. Od Steve’a Jobsa odkupił studio animacji Pixar. Później częścią The Walt Disney Company stawały się wydawnictwo komiksowe Marvel, LucasFilm, wreszcie studio 20th Century Fox.

Jak cała branża rozrywkowa Disney nie jest wolny od kłopotów, z którymi walczy na wszelkie sposoby: multimilioner Bob Iger, gdy wrócił po krótkiej przerwie na stanowisko szefa The Walt Disney Company, zapowiedział cięcia wydatków o co najmniej 5,5 mld dol., później narzekał na przedłużający się strajk scenarzystów i aktorów, dając popis korporacyjnej hipokryzji. Lecz jednocześnie pozostaje na szczycie. Dziś jest drugą co do wielkości korporacją medialną świata o wartości rynkowej przekraczającej 180 mld dol. – na liście sporządzonej przez magazyn „Forbes” w tej kategorii wyprzedza ją jedynie Comcast, właściciel studiów filmowych Universal i DreamWorks oraz kilkunastu stacji telewizyjnych. Osiem spośród dziesięciu najbardziej kasowych filmów w historii kina znajduje się dziś w katalogu Disneya (choć „Titanic” i „Avatar” powstawały jeszcze poza jego strukturami). Serwis streamingowy Disney+ jest pod względem liczby subskrybentów (ponad 145 mln) trzeci na świecie, wyprzedzają go jedynie Netflix i Prime Video. Za swoje filmy studio zdobyło do tej pory ponad 140 Oscarów, z czego 22 statuetki otrzymał sam Walt.

Gdy umierał w 1966 r., stworzone przez niego imperium nie miało sobie równych. Żadna inna korporacja nie ukształtowała tak mocno globalnej wyobraźni: disneyowski sposób opowiadania świata jest punktem odniesienia nawet dla tych, którzy szczerze go nienawidzą. Nie wiadomo, na jak długo wystarczą zgromadzone skarby. Ale po zakupie 20th Century Fox przez Disneya użytkownik Twittera/X ukrywający się pod pseudonimem @TripnoticMusic przewidywał dalszy rozwój wydarzeń, wróżąc m.in. że w 2050 r. korporacja wykupi Stany Zjednoczone (i przemianuje je na Disneyowskie Stany Ameryki), w 2061 r. inkorporuje do DSA Unię, w 2080 r. otworzy pierwszy Disneyland na Marsie, a w 2091 r. wreszcie rozpocznie budowę Gwiazdy Śmierci. Niby żart, ale na wszelki wypadek warto śledzić wiadomości.

JAKUB DEMIAŃCZUK



TEATR WIELKI
OPERA
NARODOWA

MEYER | LIBERA
ŚLEPY TOR
BOROWICZ | WEISS | JANICKA

PREMIERA: 14/10/2023 | SPEKTAKLE: 15, 27, 28/10/2023

Mecenasi Teatru
Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Patroni medialni

Partner medialny

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



sisley

Perlage



ams

wyborcza

Presto



Wszystko zrobiliśmy uczciwie



Powiedzieć, że posłużyliśmy się sztuczną inteligencją i „Chłopi” nie są filmem w stu procentach ręcznie malowanym, mogą tylko ludzie nieznający się na rzeczy. To kłamstwo – mówią DK i Hugh Welchmanowie, autorzy animacji „Chłopi”, polskiego kandydata do Oscara.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – Po wielkim sukcesie „Twojego Vincenta”, pierwszej raz malowanej pełnometrażowej animacji, znów sięgnęliście po tę samą technikę. Niektórzy uznają, że się powtarzacie.

DK WELCHMAN: – „Chłopi” są niesłychanie malarską książką. Oprócz naturalistycznych scen napisanych gwarą można tam znaleźć mnóstwo impresjonistycznych opisów tańca i przyrody. Wyobrażając je sobie, widziałam portrety Malczewskiego, „Orkę” Chełmońskiego, „Ziemie” Ruszczyca, „Kopanie buraków” Wyczółkowskiego. Dlaczego więc nie adaptować jej w stylu młodopolskiego malarstwa?

HUGH WELCHMAN: – Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to niesamowita poetyckość tej prozy, nasycona religijnym mistycyzmem. Spodobały mi się pełne życia postaci, buzujące w nich namiętności. Żadna nie jest płaska, jednoznacznie zła albo dobra. Reymont nie patrzył z góry na wiejską społeczność, nie podkreślał

nędry, obrzydliwości czy okrucieństwa – powiedzmy jak Zola w „Ziemii”. Opisy rytmu życia, wiejskich obyczajów, wesela, spożywanego jedzenia natychmiast dawały mi przyjemność uczestnictwa w lipieckiej wspólnotce. Nigdy nie przepadałem za kapustą albo ziemniakami okraszonymi smalcem, a po przeczytaniu scen niedzielnego ucztowania miałem na nie wielką ochotę. Pisząc scenariusz, staraliśmy się oddać tę zmysłowość, zrozumieć przywiązanie mieszkańców wsi do ziemi, przede wszystkim jednak uzyskać odpowiednią temperaturę dramatu, wydobyć jego symbolikę, a dopiero potem zastanawialiśmy się, jak przełożyć to na animację.

Dla pana skojarzenia z kulturą i estetyką Młodej Polski nie były oczywiste?

HW: W przeciwieństwie do DK, która studiowała siedem lat malarstwo, moja znajomość epoki była dość powierzchowna. Dzięki „Twojemu Vincentowi” mogłem gruntownie poznać świat impresjonizmu i postimpresjonizmu. „Chłopi” to była dla

mnie podróż w głąb realistycznego malarstwa europejskiego i amerykańskiego XIX w. Polscy twórcy nie działali w próżni, stanowili część światowego obiegu kultury. Chełmoński, dobrze znany w ówczesnym Paryżu, po powrocie do ojczyzny, malując najbardziej kontemplacyjne obrazy, był pod wielkim wpływem Jeana-François Milleta czy Honoré Daumiera – francuskich realistów. Myśląc o muzyce, też kierowaliśmy się ideą połączenia różnych stylów słowiańskiego folklu.

„Chłopi” są hybrydą łączącą kino aktorskie z malarską animacją. Wybudowaliście scenografię, zdjęcia były kręcone w kostiumach. Potem do pracy zabrali się artyści. Dlaczego nie poprzestaliście na czysto aktorskiej wersji?

DKW: Powieść Reymonta jest na tyle głęboka i skomplikowana, że zasługuje na wiele różnych spojrzeń. Jest przecież serial Jana Rybkowskiego, którego nie widziałam. Możliwe, że kiedyś zostanie nakręcone kolejne widowisko kostiumowe na jej podstawie. My uznaliśmy, że wersja



DK Welchman (Dorota Kobiela, ur. 1978 r.) – absolwentka ASP w Warszawie i Warszawskiej Szkoły Filmowej. Pomysłodawczyni, współautorka scenariusza, reżyserka i montażystka filmu „Twój Vincent” – pierwszej pełnometrażowej animacji malarskiej na świecie nagrodzonej m.in. Europejską Nagrodą Filmową i nominowanej do Oscara.



Hugh Welchman (ur. 1975 r.) – producent filmowy i reżyser, absolwent brytyjskiej National Film and Television School. Wyprodukował 16 krótkich metraży i dwa filmy pełnometrażowe dla studia BreakThru Films, w tym nagrodzonego Oscarem „Piotrusia i wilka”.

z malowanymi ręcznie obrazami tworzonymi farbą olejną odpowiada naszej wrażliwości, wykształceniu i pozwoli wypromować polskie malarstwo na świecie.

HW: Problemy pojawiły się na poziomie wdrażania założeń. „Chłopi” to zupełnie inna skala przedsięwzięcia. Przy „Twoim Vincencie” wydawało nam się, że kręciliśmy w najwolniejszym tempie na świecie. Żeby pomalować jedną klatkę filmową, artyści musieli na to poświęcić średnio dwie i pół godziny. Przy „Chłopach” okazało się, że potrzebujemy na to pięciu godzin, a dochodziło nawet do 10. W sumie przy filmie pracowało 42 polskich malarzy, 15 w Belgradzie, reszta w Wilnie i Kijowie. To podniosło budżet, wydłużyło czas realizacji do trzech lat.

Po premierze jeden z krytyków oskarżył was, że część prac wykonała za malarzy sztuczna inteligencja.

HW: Robiliśmy próby ze sztuczną inteligencją (AI), ale wszystkie okazały się

nieudane. Algorytm nie był w stanie wykreować takich obrazów, jakich oczekiwaliśmy. Ostatecznie więc żaden nie został wygenerowany bez udziału człowieka. Powiedzieć, że posłużyliśmy się AI i „Chłopi” nie są filmem w stu procentach ręcznie malowanym, mogą tylko osoby nieznające się na rzeczy. To kłamstwo. Wątpliwości mogą brać się stąd, że film miał spory rozmach inscenizacyjny, aktorzy się nie oszczędzali, grali jak w prawdziwej fabule, a my chcieliśmy podążać za ich emocjami. Nie dokonaliśmy nawet wstępnej selekcji pod kątem konkretnych dzieł, które miałyby się ostatecznie znaleźć w filmie. Dopiero po powstaniu adaptacji szukaliśmy różnych inspiracji wizualnych pasujących do skomplikowanej fabuły, gdzie czasami w kadrze znajduje się nawet 20 postaci wirujących w tańcu. By zachować wrażenie płynności i naturalności, artyści malowali kluczowe klatki za pomocą farb olejnych na płótnie, a grupa animatorów tworzyła

klatki pośrednie. Detale wymagały delikatniejszych ruchów pędzla, czasami o średnicy jednego włosa. Malarz malował pierwszą klatkę, fotografował, a potem na tym samym podobrazie malował następną klatkę kluczową, i tak dalej do końca ujęcia. Potem ujęcie przekazywaliśmy do zespołu malarzy cyfrowych, zajmujących się tzw. inbetweeningiem. Animatorzy uzupełniali klatki animacyjne pomiędzy klatkami kluczowymi. Nic, co widzimy ostatecznie na ekranie, nie zostało wygenerowane automatycznie przez komputer.

Dla jednych ten film to drapieżny opis złożonej wiejskiej mentalności, dla drugich – przewodnik po polskiej duszy. Co dla was było najistotniejsze?

DKW: Na pewno nie bohater zbiorowy. W dwugodzinnym filmie nie byłibyśmy w stanie zawrzeć tylu wątków. Nasz wybór polegał na tym, aby przyjrzeć się bliżej jednej postaci – Jagnie – i połączyć ►



Festiwal Nowe Oświecenie

21-28 października 2023

KIM JEST CZŁOWIEK?

Marian Turski | Adam Michnik | Adam Rotfeld
ks. Wojciech Lemański i inni

Fisz Emade Tworzywo
RGG & Robert Więckiewicz *Planet Lem*
Grażyna Szapołowska *Wistawie – Grażyna*
Teatr Polski w Bydgoszczy *Beksińscy*

Ursynowskie Centrum Kultury „Alternatywy”
ul. Indiry Gandhi 9, Warszawa (metro Imielin)
www.festiwalnoweoswiecenie.art



▶ ją z moimi doświadczeniami. Moim zdaniem to warunek tworzenia sztuki. Przepraszam, jeśli komuś tak osobista ekranizacja wyda się nie do końca wierna Reymontowi.

Kim jest filmowa Jagna?

DKW: Młodą atrakcyjną dziewczyną mającą odwagę konstruować świat po swojemu. Pożąda, buntuje się, nie pasuje do patriarchalnego systemu, jest inna w zderzeniu z władzą większości i nie odnajduje się w konserwatywnej tradycji. Współczesne kobiety też muszą walczyć o swoje prawa. W Polsce aranżowanych małżeństw już nie ma, lecz w wielu krajach są zawierane. Po pokazach w Toronto podszedł do mnie chłopak z Libii, mówiąc, że to powszechna praktyka w jego kraju.

Jagna była utożsamiana z symbolem rozwiązłości.

DKW: W powieści pozostaje zagadkową białą kartą. Reymont koncentruje się na przeżyciach wewnętrznych. Nie ocenia jej osobowości, nie szufladkuje. Ja chciałam, żeby Jagna miała duszę artystki. Sama maluje, ona dla odmiany robi wycinanki, które są jej pamiętnikiem. I podobnie jak ja charakteryzuje się silną emocjonalnością. Nazwałabym ją prefe-ministką i na pewno ofiarą systemu.

HW: Zanim siedliśmy do scenariusza, rozpisałem całą powieść, wszystkie sytuacje i sceny z punktu widzenia Jagny. Bez tego nie zrozumiałbym jej motywacji. W filmie pokazujemy również kilka innych mocnych postaci kobiecych. One wszystkie starają się znaleźć dla siebie przestrzeń w nieprzyjaznej dla nich rzeczywistości. Pragną niezależności, nie chcą czuć się winne. Jagna próbuje rozsądzić patriarchat od środka. Nie akceptuje podwójnych standardów. Inne kobiety działają w sposób niewidoczny, a ona poprzez zjawiskową urodę, sposób, w jaki się ubiera, dobór biżuterii, bardzo się wyróżnia. Dlatego m.in. wspólnota obraca się przeciwko niej. Zjawisko stygmatyzowania kobiet jest powszechne. W środowisku reżyserów także występuje. W Skandynawii czy Wielkiej Brytanii nadal słyszy się o mobbingu, zachowanie kobiet ocenia się surowiej niż mężczyzn. One częściej narażone są na hejt i przemoc. Mam 48 lat. Większość młodszych ode mnie koleżanek była molestowana seksualnie. Gdy to upubliczniały, spotykały się z potępieniem.

DKW: Nie mówiłam tego jeszcze w żadnym wywiadzie, ale panu powiem. Będąc jeszcze studentką, ja też doznałam fizycznej i psychicznej przemocy. Na dzień przed rozpoczęciem zdjęć do „Chłopów” poroniłam. Byłam w czwartym miesiącu ciąży. Wiele lat starał się o dziecko

metodą in vitro. Nie miałam czasu przeżyć żałoby. Pustkę zapełniałam nowym dzieckiem, jakim stali się dla mnie „Chłopi”. Dlatego jestem tak uczuciowo związana z tym projektem.

#MeToo nie sprawiło, że żyjemy w trochę innym świecie?

HW: Oczywiście, co nie znaczy, że problem patriarchy zniknął. Seksualna eksploatacja kobiet ma się nieźle. Mobbing i przemoc wciąż istnieją. Ruchy feministyczne mają jeszcze wiele do zrobienia. Nie uważam, że nastąpiło przegięcie w drugą stronę, że #MeToo poszło o krok za daleko i teraz to mężczyźni są dyskryminowani i prześladowani. Każdy widzi, jak jest. Trzeba o tym rozmawiać, bo równolegle uchwycił Ruben Östlund w „W trójkącie”. U Reymonta podobało mi się to właśnie, że nawet ta mała, opresyjna społeczność wsi ma swoje racje. Stoją za nią określone wartości, wielowiekowa walka o zrzućenia jarzma pańszczyzny, o posiadanie ziemi na własność. Do tego dochodzi lęk o przyszłość, równie silny w dzisiejszych czasach.

Powiedzieliście, że Jagna jest postacią tragiczną. Dla mnie jest klasycznym kozłem ofiarnym. Scena jej wygnania wygląda na pogrom.

HW: Obcy wyzwała strach i agresję. Odwet jest reakcją obronną. W ludziach tkwi głęboko zakorzeniona potrzeba bezpieczeństwa i każdy, kto ją zakłóca, budzi frustrację, postrzegany jest jak potencjalne zagrożenie.

DKW: Żydzi, nieposłuszne kobiety, źli sąsiedzi, słabsi – na nich w pierwszej kolejności zrzućano się odpowiedzialność. Jagna przyciąga seksualnie mężczyzn i ich odrzuca. Jej zachowanie wyłamuje się ze schematów. Zostaje obwiniona o zło, którego nie popełniła. Pojawia się presja i trzeba znaleźć winnego. Przy filmie pracowali Bośniacy, Serbowie, Chorwaci. Rozmawialiśmy z nimi o tym, co ją spotyka. Doskonale rozumieli to doświadczenie znane im m.in. z wojny domowej.

Kwintesencją filmu jest dla mnie scena tańca, gdy Jagna przechodzi z rąk do rąk najważniejszych mężczyzn ze wsi.

HW: W książce tańczy z dziesięcioma, u nas tylko z trzema. Popychana niczym marionetka od jednego do drugiego. To scena kluczowa. Rośnie napięcie seksualne, przemoc fizyczna, czuje się pragnienie kobiecej niezależności i męską dominację. Chcieliśmy to jeszcze wyostrzyć, ale z uwagi na to, że film będzie oglądała młodzież szkolna, musieliśmy się lekko hamować.

Wasze pochodzenie wpłynęło na to, że wiejskie realia nie stanowią dla was tajemnicy?

DKW: Ja się urodziłam na Górnym Śląsku w Bytomiu. W miejscu bez zieleni, bez przyrody, za to z silnie rozwiniętym przemysłem wydobywczym.

HW: Pierwsze 12 lat spędziłem na farmie mamy pod Londynem w Bracknell. Część mojej rodziny, dwóch wujków i dwie ciotki, prowadziła gospodarstwa rolne. Jedni hodowali bydło, drudzy zwierzęta domowe. Jakiś krewny był właścicielem sklepu ogrodniczego. Ciekawą historię miał dziadek od strony ojca, zegarmistrz. Pewnego dnia poszedł do rzeźni, by naprawić wiszący tam zegar. Gdy ujrzał warunki, w jakich zabija się zwierzęta, to został wegetarianinem. W czasie pierwszej wojny światowej znalazł się z tego powodu w więzieniu, ale obiecano, że zostanie wypuszczony, jeśli wesprze armię, zajmując się np. hodowlą bydła. Na co się, o ironio, zgodził.

Otrzymaliście polską nominację do Oscara. Konkurencją była „Zielona granica”. Jak się z tym czujecie?

DKW: Dobrze i źle. Źle, bo ja również kibicuję Agnieszce Holland. „Zielona granica” to ważny film. Ale z drugiej strony cieszymy się, bo uważamy, że „Chłopi” świetnie nadają się, by reprezentować nasz kraj. Walczymy też o nominację w kategorii pełnometrażowy film animowany i najlepsza muzyka

HW: Nie śledzę dyskusji politycznych w Polsce. Moja perspektywa jest taka, że trzeba robić filmy najlepiej, jak się potrafi. „Chłopi” znaleźli się na liście 16 najlepszych produkcji wybranych przez „Indiewire” łącznie z selekcji festiwalu w Wenecji i Toronto. „ScreenDaily” umieścił ją w dwudziestce najgorętszych tytułów z Toronto. To pokazuje potencjał.

W Polsce żyjemy teraz wyborami, więc na koniec pozwólcie, że zapytam o wasze poglądy polityczne.

DKW: Jestem artystką niezaangażowaną politycznie, ale wierzę, że cały czas istnieją problemy społeczne, które należy naprawić. Jeśli mój film choć w małym ułamku, sprawi, że ktoś zada sobie jakieś ważne pytanie – to już jest to dla mnie sukces.

HW: Zawsze było mi blisko do liberałów. Ale duchowo jestem anarchista. Studio wałem nauki polityczne, filozofię i ekonomię na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wtedy sympatyzowałem z lewicą, ale odrzucała mnie agresywność młodych działaczy. Liczy się jednostka, wrażliwość, indywidualność, poszanowanie odmienności. Zawsze będę stał po stronie słabych, uciskanych i tych, którzy cierpią.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

26. FESTIWAL JAZZ JANTAR

JESIEŃ • KLUB ŻAK • GDAŃSK

20.10.2023 / G.20.00

I THINK YOU'RE AWESOME
JAZZPOSPOLITA

21.10.2023 / G.20.00

KIM MYHR
RONNIE N

27.10.2023 / G.20.00

LIUN + THE SCIENCE FICTION BAND - LIVE ORCHESTRA
SHAY HAZAN

28.10.2023 / G.20.00

ALEXA NAVA TRIO
IKARUS

29.10.2023 / G.19.00

SŁAWEK PEZDA QUARTET
THE LOVECRAFT SEXTET

7.11.2023 / G.19.00

IRREVERSIBLE ENTANGLEMENTS

9.11.2023 / G.19.00

POIL UEDA
THE NECKS

10.11.2023 / G.20.00

FESTEN
KRYSZYNA STAŃKO

11.11.2023 / G.20.00

KUBA WIĘCEK HOSHII
BUKOWSKI, JACASZEK, KISIEL, ZEMLER

18.11.2023 / G.20.00

JOANNA DUDA TRIO
MYRA MELFORD'S FIRE AND WATER QUINTET

JAZZJANTAR.PL

KLUBZAK.COM.PL   /JAZZJANTAR

KLUB ŻAK, 80-266 GDAŃSK, UL. GRUNWALDZKA 195/197, KASA@KLUBZAK.COM.PL

DO ŻAKA NAJLEPIEJ...    
KOLEJKA TORWARZA KOLEJKA Taksy



Życia trochę złowić

Raper Łona, wytrwały obserwator polskiej rzeczywistości, zmienia punkt siedzenia. Płytę „Taxi” – opowieść o taksówkarzach – nagrał z młodymi jazzmanami.

JACEK ŚWIĄDER

To może być odcięty od świata hotel poza sezonem, jak w „Lśnieniu” Stanleya Kubricka, albo wiejska chata, jak w „Weselu” Wyspiańskiego. Miejsce akcji da się nawet zamknąć w aucie: Tom Hardy spędza w nim cały film „Locke”. Bohater czterokołowy może dorównać ludzkiemu, jak biały Dodge Challenger kierowcy Kowalskiemu w „Znikającym punkcie”. W aucie jest się w ruchu, ale w zamknięciu. Samotność robi różnicę. Obecność nieznanego – podwójną.

Gdy dodać do tego czarną noc, można się osunąć w szaleństwo, co przydarzyło się w „Taksówkarzu” Robertowi De Niro (jak bohater „Znikającego punktu” był weteranem wojny w Wietnamie) albo w inny sposób Roberto Benigniemu w „Nocy na ziemi” Jarmuscha. Ten ostatni film jest ważny, bo oparty na próbach porozumienia się z innymi. Podobnie „Taxi Teheran” Dżafara Panahiego, powstały, gdy irański sąd na 20 lat zakazał reżyserowi pracy filmowej. Panahi został wtedy kierowcą i filmował swoje rozmowy z aktorami i naturszczykami, głównie w Iranie.

Raper Łona (Adam Zieliński) łowienie fraz zasłyszanych na ulicy, w tramwaju czy taksówce ma w małym palcu. To biegły językowo tekściarz, a ostatnio także muzyczny autor historii, który trzyma się rodzinnego Szczecina. To tam podróżuje „z punktu a do punktu b przez punkt ą”. Od pierwszej płyty jego producentem jest Webber (ostatnio znany też

Od lewej: **Andrzej Konieczny, Kacper Krupa i Łona** w „Projekcie TAXI”.

ze spektaklu „1989” – red.), na koncertach wspiera ich zespół The Pimps. Ale płyta „Taxi” zmienia ten układ.

Trzeba się powyginać

Zaczął się od warsztatów „Projekt TAXI” w ramach poznańskiego festiwalu OFF Opera w czerwcu 2020 r. Dyrektorka programowa Zuzanna Głowacka zaprosiła na nie Łonę i inną znakomitość ze Szczecina – Jacka „Budynia” Szymkiewicza (zmarł w kwietniu 2022 r.). Razem odwiedzili najstarsze zrzeszenie dryndziarzy (jak mówi się na nich w Poznaniu), ich ulubione miejsca, jak bar U Gosi, przede wszystkim zaś rozmawiali – i ze starymi kierowcami, i z młodymi uberowcami.

Dlaczego z nimi? Bo choć schowani za aplikacjami, muzyką z radia, narzekający, nierozumni, to mają wyjątkowy wgląd w sprawy pasażerów. Oglądają Polaków z niedostępnego dla innych miejsca. – *To było po lockdownie, wszyscy byli zlaknieni kontaktu* – wspomina Głowacka. – *Na początku chciałam skupić się na historiach o pasażerach, ale Adam szybko to odwrócił i to był świetny pomysł.*

We wrześniu 2020 r. „Projekt TAXI” zamknął się koncertem. Program stanowiły trzy piosenki Budynia i jedna Łony. Jacek Szymkiewicz nie mógł jednak wystąpić, a 48 godzin przed koncertem dołączyli do Łony: wokalistka Iza Polit oraz Kacper Krupa i Andrzej Konieczny z jazzowego kwartetu Siema Ziemia. Świeża sceniczna energia sprawiła, że Adam Zieliński zaproponował

przedłużenie projektu. Nie tylko on zauważył w nim potencjał. – *Kiedy w domu słuchałem beatu do „Pana Darka”, moja żona zastrzygła uszami i powiedziała: to jest tak dobre, że naprawdę musisz się postarać* – opowiada. – *Długo mierzyłem się z presją, żeby nie spieprzyć muzyki, którą panowie mi dostarczyli.*

Równoległe z pracą nad piosenkami trwały rozmowy z taksówkarzami. Zaczęło się zanosić na płytę. Trzyosobowy skład zagrał parę koncertów w barze U Gosi, fragmenty jednego z nich złożyły się na wideoklip do „Biegnij!”. Widać tam Mieczysława Hryniwicza, odtwórcę roli Jacka w serialu Stanisława Barei „Zmiennicy”. – *To dla mnie casus belli, że pan Mieczysław nie jest wożony za darmo* – zaznacza Łona.

– *Andrzej i Kacper łączą talent, empatię wobec drugiego człowieka i otwartość na to, co ten drugi czy w tym wypadku trzeci człowiek wnosi* – chwali raper. – *Ślą otwarcia w sposób, którego nie znałem. Musiałem się trochę powyginać, ale doskonale się przy tym bawiłem.* Ostatni tekst powstał 31 grudnia 2022 r. Rzadko entuzjazmu wystarcza na trzy lata pracy. Można było się obawiać, że „Taxi” będzie przenoszone, przyciężkie albo na odwrót – zbyt eksperymentalne, by je przyswoić. Nic z tych rzeczy.

Jak to z Łoną bywa, „Taxi” jest kopalnią skrzydlatych słów, ale nie tylko – na równych prawach błyszczą melodie fletów, saksofonów, klawiszy oraz rytmy,



od których kręci się w głowie. Z wierzchu album skleja ekspresja Łony, ale pod względem muzycznej różnorodności „Taxi” nie ustępuje starszej o miesiąc brawurowej płycie „Second” Siema Ziemia. Z okołohiphopowych podkładów muzyki przechodzą w lekką, pozytywną piosenkę z idiomu Łony, wskakują w cięższy klubowy przebój, zanurzają się w melancholii. W każdym z 11 utworów regułą są skoki dynamiki i nastroju.

– *Lubimy z Andrzejem te momenty za-trzymania, nieoczekiwane sytuacje, które wynikają z improwizacji, z jakiejś chwili albo nawet z przypadku* – tłumaczy saksofonista Kacper Krupa. – *Dobrze się czuję w momentach onirycznych, jestem w nich wolny, mogę się skupić na brzmieniu.*

– *To chyba Adam nadał naszej metodzie nazwę* – mówi perkusista Andrzej Konieczny. – *Raczej Roman Wilhelm: przypier... ić i odpuścić* – prostuje Kacper. – *Nie mieliśmy jednej metody pracy. Na przykład „Kocyr” nagraliśmy w studiu razem. Czasem nagrywałem saksofony, flety czy inne instrumenty w domu. Ważne jest dla niego to, że część partii nagrał w Warszawie, w mieszkaniu po dziadkach. Przy dysponującym niezwykle wyobraźnią rytmiczną i brzmieniową Koniecznym Krupa jawi się jako malarz, liryczny.*

Metoda Wilhelmięgo

– *Możliwe, że nie ma przypadków. Szukałem innego sposobu na opowiedzenie o rzeczywistości i napatoczyli się taksówkarze* – twierdzi Adam Zieliński. – *Szukałem nieco innej energii muzycznej i trafiłem na Andrzeja i Kacpra. A Konieczny wtóruje: – Myślisz sobie, kogo tak najbardziej szanujesz ze sceny muzycznej, i nagle przytrafia ci się pracować z tą osobą.*

Opowieść Łony bywa dramatyczna, jak w „10 pytaniach”. Tekst opiera się na rozmowie z ukraińskim kierowcą, który wiozł go wkrótce po ataku Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r.: „No ja byłem gotowy, brat też, jeśli już chcesz wiedzieć / a mama, że obu nie puszczę, nie ma mowy, sami wybierzcie, który z was jedzie”.

Czasem jest krytyczna wobec nostalgii: „Godzina w szczycie, człowiek kafla uzbierał / kiedyś było życie, nie to co ta wegetacja teraz / ludzie byli jakby milsi bardziej / mniejsze były niżki, większe były marże” („Kiedyś to było”). Bywa wreszcie krzepiąca, jak rapy z „Kocyka” i „Kimaj”, gdzie kierowca jawi się jak Matka Boska Opiekuńcza czuwająca nad niechcianym w innych autach robotniku w brudnym stroju lub nad zwożonym z imprezy śpiochem.

– *Teraz, jak z perspektywy przyglądam się „Kimaj”, to dostrzegam ten sam motyw,*

który niosę od lat, czyli mglistą myśl o dia-logu jako rzadkiej odmianie od samotności – potwierdza Łona. – *W tym temacie taksówkarska perspektywa wydaje mi się intrygująca.*

– *Adam od nowa poukładał taksówkar-ski świat i w tym uniwersum opowiedział własną historię o człowieczeństwie, o tym, z czym się mierzymy. Zmieścił w tekstach dużo intymności, czułości* – uważa Głowacka. A oprócz rozmów w arkana zawodu wprowadzali Łonę kolega taksówkarz ze Szczecina oraz wuj Maciej, przyjaciel ojca, który jeździł w Poznaniu jeszcze w latach 80. Dwa dni Łona sam spędził jako kierowca w aplikacji. Uświadomiło mu to, że taksówkarz widzi wszystko, pozostając niewidzialny – pasażer widzi tylko parę oczu w lusterku. To kolejna warstwa ochronna po gburowatości, milczeniu czy small talku. Cały ten kamuflaż upewnił Łonę w tym, żeby głębiej szukać „jasnych i dobrych rzeczy”. Żywi taksówkarze zawsze są ciekawsi niż stereotypy na ich temat.

Adam Zieliński powtarza, że nigdy dotąd nie odsonił się tak jak w piosence „Jedziesz”. Taksówkarz, który dostaje kurs za kursem, wozi bez wytchnienia, nagle wpada w półgodzinną próżnię. Nie przychodzą zlecenia, jakby apka go omijała. Czuje się niepotrzebny. W drugiej zwrotce, jak w nowym rozdaniu, pada na artystę. On również, niczym kierowca, próbuje „życia trochę złowić”, by przerobić je na tekst. On również po ciężkiej pracy doświadcza flauty. Przychodzi strach, pytania o życiowy bilans. Można je zawiesić, gdy znowu „jedziesz, jedziesz / 24/7 mordo, przez ten ciąg czwartków, niedziel i wtorków / co się tam napatoczy bierz na korpus / po co więcej wiedzieć”. To brzmi jak domyślny sposób życia w Polsce.

– *Wychowałem się na opowieściach snutych ezopowym językiem, i stąd pewnie starałem się wszystko podawać w metaforze* – tłumaczy Łona. – *A na tej płycie zdarza mi się mówić niemal wprost. O swoim strachu przed zatrzymaniem, przed tym, bo ja wiem... postojem. Ten lęk jest wprawdzie uniwersalny, ale strasznie chciałem o tym powiedzieć z mojego punktu widzenia. A okazję podsunęli mi właśnie taksówkarze.*

Przypomina się tekst z 2011 r. „Nie pytaj nas”: „nie pytaj o pustkę, nie pytaj o strach gdzieś w nas ukryty / widzisz, od tych pytań jest nasz psychoanalityk (...) nie pytaj, co w nas siedzi / to raczej nie jest pokolenie odpowiedzi”. Nawiasem mówiąc, bohaterem wideoklipu do „Nie pytaj nas” był taksówkarz grany przez Webbera (– *Słynny*

złotowa bez wąsów. Znakomity kierowca – komentuje Łona).

Lęk przed postojem

Większość tekstów Zielińskiego dobrze się starzeje. Konieczny ma rację, piosenka „Nie słuchać przed 2050” Łony i Webbera jest tak samo aktualna jak w 2002 r., gdy powstała. Zmienia się za to sam Łona. Z biegiem lat z pozycji zgryźliwego obserwatora sfery publicznej przeniósł się w miejsce, z którego ma pełniejszy obraz: piętnuje nierówności społeczne, samozadowolenie klasy średniej, brak troski o słabszych. Celnie opowiedział o tym w tekście „Co tak wyje?”, dyskutowanym też na łamach POLITYKI. – *Allah lubi różnorodność* – powtarza. Na ostatniej płycie z Webberem, „Śpiewnik domowy”, sporo miejsca poświęcił ksenofobii, choćby w piosence „Echo”, językowym majstersztyku o Marcu '68 i o tym, co wraz z wymuszoną emigracją Żydów straciła nasza kultura.

Ośmioletni syn Adama Zielińskiego powiedział mu ostatnio: „Jak byłem mały, to było świetnie”. Brzmi jak refren taksówkarzy: kiedyś to było, dzisiaj to nie ma. Łona też dostrzega pracę pamięci, jak mówi, „zdarza mu się patrzeć na PRL w kolorach z »Czterdziestolatka« Jerzego Gruzy”, ale odwrotnie niż starzy taryfciarze stara się żyć w terażniejszości: – *Ostatnio rozejrzałem się po swoim życiu i myślę, że to bardzo możliwe, że za 20 lat będę wspominał ten czas jako najlepszy. Pierwszy raz w życiu miałem taką konstatację.*

Czy nie przestał lubić taksówek? – *Wsiadłem ostatnio w Szczecinie i choć nie słuchałem uważnie od początku, w pewnym momencie złapałem się na tym, że leci trzecia piosenka Świetlików z rządu. Pytam taksówkarza, dotąd raczej ponurego, czy to nie jest płyta „Ogród koncentracyjny”, a on się odwraca i mówi: „I za to masz 5 proc. rabatu”. Cudowne uczucie.* ■

REKLAMA



Z okazji 30-lecia współpracy z Atelier Versace oferujemy rabat o wartości 30% dokonanych zakupów w dniach 9-16/10/2023*.

*szczegóły na: www.rosenthal.pl

Kocham wolność

MIROŚLAW PĘCZAK

Piosenka Chłopców z Placu Broni stała się w ciągu ostatnich ośmiu lat nieodzownym elementem antypisowskich manifestacji. A z czasem politycznym hymnem.

Kiedy 1 października w finale Marszu Miliona Serc ze sceny ustawionej na warszawskim rondzie Radosława zaproszeni piosenkarze i aktorzy (wraz z namówionym do tego Donaldem Tuskiem) odśpiewali najśłynniejszą dziś piosenkę Bogdana Łyszkiewicza, dopełnił się rytuał największego w ostatnich dekadach ulicznego protestu. Piosenka „Kocham wolność” po latach stała się de facto politycznym hymnem. Trochę tak jak w ostatniej dekadzie PRL „Mury” Jacka Kaczmarskiego były hymnem zwalczanej przez władzę solidarnościowej opozycji. W obu przypadkach stało się tak niezależnie od pierwotnej intencji twórców.

Napisany przez Kaczmarskiego do melodii katalońskiego pieśniarza Lluísa Llach’a tekst „Murów” oryginalnie miał zupełnie inną wymowę niż pieśń protestu wykonywana w więzieniach, ośrodkach internowania i na ulicznych demonstracjach w czasie stanu wojennego. Po latach Kaczmarski mówił: „»Mury« napisałem w 1978 r. jako utwór o nieufności do wszelkich ruchów masowych. Usłyszałem nagranie Lluísa Llach’a i śpiewający, wielotysięczny tłum i wyobraziłem sobie sytuację – jako egoista i człowiek, który ceni sobie indywidualizm w życiu – że ktoś tworzy coś bardzo pięknego, bo jest to przepiękna muzyka, przepiękna piosenka, a potem zostaje pozbawiony tego swojego dzieła, bo ludzie to przechwytyją. Dzieło po prostu przestaje być własnością artysty i o tym są »Mury«. I balada ta sama siebie wywróżyła, bo z nią się to samo stało. Stała się hymnem, pieśnią ludzi i przestała być moja”.

Harcerska szczerość

Piosenka Bogdana Łyszkiewicza powstała u samego schyłku komuny, niedługo przed rozpoczęciem obrad



Koncert w katowickim Spodku, Chłopcy z Placu Broni i Bogdan Łyszkiewicz, 1994 r.

© MIROŚLAW NOWORTA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Okrągłego Stołu. Zaś na początku nowej epoki, w czerwcu 1990 r., w wywiadzie udzielonym „Magazynowi Muzycznemu” lider Chłopców z Placu Broni mówił o niej tak: „Nie jestem człowiekiem zaangażowanym politycznie, nie mam też misjonarskich zapędów. Owszem, śpiewam »Kocham wolność«, ale nie jest to piosenka polityczna. Sprowadzenie pojęcia wolności do kategorii politycznej słyca jej istotność”.

Łyszkiewicz zginął w wypadku drogowym w 2000 r. i zapewne do końca swojego niedługiego życia był przekonany, że „Kocham wolność” już zawsze będzie tym, czym według niego miała być: bezpretensjonalną wariacją na temat motywu wolności osobistej, poprawioną odrobiną autoironii. Z pewnością niczym, co nadałoby się na pieśń masową.

Paweł Nazimek, dziś basista T.Love, który brał udział w nagraniu płytowej, „kanonicznej” wersji piosenki zamieszczonej na debiutanckim albumie „O! Ela” zespołu Chłopcy z Placu Broni wydanym w 1990 r., od początku miał wrażenie, że ten powszechnie znany przebój w toku produkcji muzycznej rozminął się ze swoim potencjałem: – *Świetna kompozycja,*

fajne słowa, ale wykonanie pozbawione emocji, zupełnie bez dynamiki. Nie wiem, czy była to wina nieodpowiedniej aranżacji, miksów czy po prostu Boguś tak chciał, w każdym razie powstał numer z obciętymi jajami.

Inne zdanie ma lider T.Love Muniek Staszczuk: – *Nazwałbym tę piosenkę przykładem muzyki naiwnej, przez analogię do malarstwa naiwnego. To było takie naiwne hipisowskie, ale szczerze, tak Bogusiowi w sercu grało. I dlatego czuję w tym prawdę. I pewnie dlatego ta piosenka tak dobrze działa na ludzi dzisiaj i robi dobrą robotę na rzecz słusznej idei.*

Muniek wspomina, że kiedy „Kocham wolność” pojawiło się w radiu, on i koledzy z T.Love trochę się z tego podśmiewali. – *Myśmy wyrastali z punkowych, postpunkowych korzeni, więc Chłopców z Placu Broni mieliśmy za taki bardziej harcerski band. W tym, co grali, nie było śladu rock'n'rolla, czyli lokowali się na antypodach tego, co nam się podobało.*

Jedna drobna uwaga: malarcy naiwiści, tacy jak Celnik Rousseau czy nasz Nikifor, nie mieli za sobą żadnych artystycznych szkół, zaś Łyszkiewicz, co w środowisku

rockowym nie było bynajmniej normą, skończył średnią szkołę muzyczną w klasie klarnetu.

Na rocznicę czerwca

Kiedy piosenka „Kocham wolność” trafiła na szczyt Listy Przebojów Marka Niedźwieckiego w radiowej Trójce, co stało się w czerwcu 1989 r., funkcjonowała już jako sztandarowe dzieło Krajowej Sceny Młodzieżowej, czyli nurtu estradowego silnie propagowanego w Trójce przez Pawła Siłę i Piotra Majewskiego w ich autorskiej audycji. Filarami KSM były oprócz Chłopców z Placu Broni także jeszcze zespoły, jak Szttywny Pal Azji, Róże Europy i Kobranocka. I faktycznie, tak jak przedstawia to Muniek, dla punkowej i postpunkowej publiczności piosenki w rodzaju „Kocham wolność” czy nawet „O! Ela” z daleka pachniały harcerskim ogniskiem. Podobnie jak „Wieża radości” Szttywnego Pala Azji, „Jedwab” Róż Europy czy „Kocham cię jak Irlandię” Kobranocki.

Przedmiotem żartów ze strony rockowych radykałów była też hipisowsko-lenonowska poza Łyszkiewicza, choć on sam autentycznie czuł się nie tylko fanem, ale i artystycznym dłużnikiem Johna ▶

REKLAMA



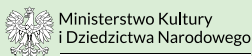
Twoje miejsce

NOSPR

OLŚNIENIA i POWROTY

SEZON 23/24

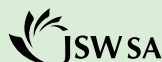
NOSPR współfinansują



Patroni medialni



Partner motoryzacyjny



Partner Główny koncertów
abonamentowych NOSPR
w sezonie 2023/2024

KUP BILET!
nospr.org.pl

► Lennona (vide: wybitnie lennonowska piosenka „Kocham cię”) i z tego powodu nosił się i wyglądał jak klon Lennona.

Tak czy inaczej piosenka „Kocham wolność” od początku pojawienia się w radiu i na debiutanckiej płycie Łyszkiewicza nigdy nie straciła statusu powszechnie rozpoznawalnego przeboju. Mówiąc inaczej – nigdy nie została zapomniana, jak to się zdarza z utworami odkrywzanymi z mniej lub bardziej odległej przeszłości, zyskującymi z nagłą nowe życie. Na festiwalu opolskim w 2014 r. fragment jej refrenu („wolność – kocham i rozumiem”) został wykorzystany jako tytuł okolicznościowego (25. rocznica wyborów z 4 czerwca 1989 r.) koncertu, a niedługo później znalazła się na szczycie Polskiego Topu



Marsz Miliona Serc, Warszawa, 2023 r.

Wszech Czasów w plebiscycie słuchaczy III Programu PR. To było jeszcze przed wyborami, w wyniku których władzę objęło Prawo i Sprawiedliwość, i radiowi słuchacze głosujący na „Kocham wolność” pewnie nie zastanawiali się nad ewentualnym politycznym sensem tej piosenki. To przyszło później, kiedy na demonstracjach Komitetu Obrony Demokracji zaczęto ją odtwarzać z głośników i śpiewać.

Maksimum przekazu

W 2019 r. powstała kolejna wersja „Kocham wolność” – zaśpiewana przez Bovską. Młoda artystkę zaprosił do współpracy stołeczny ratusz, a powodem była – znów – rocznica wyborów ’89. Bovska – prywatnie Magda Grabowska – potraktowała propozycję arcy poważnie: – *To było dla mnie duże wyzwanie, przecież ta piosenka to sztandar, ma w sobie ogromną siłę i trudno z czymś takim zmierzyć się bez obaw.* Grabowska zaśpiewała po swemu, choć ryzyko było spore. Razem z producentem Janem Smoczyńskim osadzili ten „utwór-sztandar” w klimatach tańecznych, z elektronicznym podkładem,

do czego świetnie pasował dziewczęcy głos wokalistki, a całość uzupełnił teledysk pokazujący różnorodność Warszawy i jej mieszkańców (pojawia się tam robotnik, pływaczka, kucharka, czarnoskóra joggerka). Chwyciło. Teledysk został zaprezentowany na Orange Festival – właśnie w czerwcu 2019 r. – i publiczność przyjęła go entuzjastycznie. Oczywiście nie obyło się bez uszczypliwości w internecie. Przede wszystkim ze strony tych dopatrujących się profanacji nowego świętego hymnu, chociaż na pewno nie brakowało i takich, dla których jego śpiewnie już wtedy było aktem antypisowskim.

O samej piosence Bogdana Łyszkiewicza Bovska mówi: – *Minimum słów, maksimum przekazu.* Pochwała brak monumentalizmu i urok prostoty. I podoba jej się, że piosenka równie dobrze przydaje się na wolnościowych protestach, jak w teledysku promującym społeczną tudzież kulturową wielobarwność.

Trudno było jednak nie przyjąć z zaskoczeniem tego, że po pierwszych protestacyjnych marszach KOD-u ten, jak się wydawało, kameralny utwór, stał się pieśnią masową. W oryginalnym wykonaniu Chłopców z Placu Broni piosenka nie kojarzyła się z protest songiem. Zbigniew Hołdys swego czasu ubolewał nad tym, że nie powstaje żadna nowa porwijąca tłumy pieśń i na potrzeby chwili wybrano „Kocham wolność” jak owego raka na bezrybiu. Dziś Hołdys widzi sprawę inaczej. Przypomina sobie, że i do niego zwracano się o zgodę na wykorzystywanie na protestach starych przebojów Perfectu, których, jak wiadomo, jest twórcą. Ciągłe na antypisowskich manifestacjach odtwarza się „Chcemy być sobą”, „Autobiografię”, choć bardzo dobrze się stało, że pojawił się też nowy song – „Jeszcze będzie pięknie” B.R.O – odtwarzany na spotkaniach Donalda Tuska z wyborcami.

– *Pamiętam, że Mateusz Kijowski prosił mnie, żebym na finał któregoś z protestów załatwił udział Maryli Rodowicz – wspomina Hołdys. – Albo kiedy odtworzono „Modlitwę o wschodzie słońca” w wykonaniu Gintrowskiego i rodzina Gintrowskiego zaprotestowała, bo przecież on, gdyby żył, na pewno nie wspomagałby KOD-u. Teraz też zdarza się, że dostaję propozycję, żeby coś napisać. Odpowiadam, że lepiej byłoby próbować trafić do młodych ludzi, dla których ja nie jestem autorytetem, i niech organizatorzy protestów zwracają się do Podsiadły, Brodki czy Maty. Ale to wszystko nie znaczy, że piosenka Bogusia Łyszkiewicza nie nadaje się do tych celów.*

Hołdys podkreśla niezaprzeczone walory „Kocham wolność”: piękna, spójna

harmonicznie kompozycja, hipisowski tekst, a do tego każdy może to zaśpiewać i wychodzi wspaniale. – *Mniej więcej w tym samym czasie – dodaje – w 1988 r. powstały dwa utwory, które dobrze korespondują z naszym tu i teraz: „Nie pytaj o Polskę” Grześka Ciechowskiego i właśnie „Kocham wolność”. Tyle że piosenka Grześka jest tekstowo zbyt skomplikowana, by podchwytowały ją tłumy...*

Trafić w czas

W 1988 r. powstała też jeszcze jedna piosenka, niekiedy również odtwarzana na współczesnych prodemokratycznych demonstracjach: „Runął już ostatni mur” Tomka Lipińskiego i jego zespołu Tilt, aczkolwiek akurat o niej mówiono, że najlepiej wpasowała się w historyczny moment burzenia muru berlińskiego w 1989 r.

Admiratorem „Kocham wolność” pozostaje też Walter Chelstowski, jeden z założycieli Komitetu Obrony Demokracji, a ponadto twórca festiwalu jarocińskiego jako imprezy ogólnopolskiej i jej wieloletni dyrektor. I to właśnie w Jarocinie w 1988 r. wystąpił zespół Chłopcy z Placu Broni, który zarekomendowała Kora. Chelstowski uważa, że piosenka Łyszkiewicza to fenomen przekraczający biografię twórcą autora i historię jego zespołu: – *Najpierw na hasło „Chłopcy z Placu Broni” odezwwały mi się emocje z młodości, no i przypomniała się postać Nemezcza, bohatera powieści Molnara. Uleciało z głowy, że akcja tej powieści toczy się 100 lat przed napisaniem piosenki „Kocham wolność”, a sama powieść powstała na początku XX w. Kiedy tę piosenkę pierwszy raz usłyszałem, podobnie wszyscy inni, do których dotarła, nie miałem pojęcia, co się z nią stanie po latach.*

Dlaczego więc stało się z nią to, co się stało? Według Chelstowskiego zadziałała magia, która powoduje, że artyście zdarza się intuicyjnie albo nawet mimowolnie wyprzedzić swój czas i zdarza się, że dzieło, które stworzył, zyskuje nieprzewidziany wcześniej sens i status. Tak było nawet z niektórymi hymnami narodowymi. No bo czy dziś zastanawiamy się nad epopeją napoleońską jako motywem tekstowym „Mazurka Dąbrowskiego”? Albo nad tym, że „Star Spangled Banner”, zanim stał się hymnem amerykańskim, był pieśnią wojenną o obronie fortu przed Anglikami?

Czy to oznacza, że „Kocham wolność” to utwór ponadczasowy? Tego akurat nie wiadomo, ale wiadomo, że teraz, po prawie 35 latach od swoich narodzin, celnie trafia w czas.

MIROSLAW PĘCZAK

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY

DWIE OKŁADKI DO WYBORU



WYDANIE KUPISZ TAKŻE Z KALENDARZYKIEM NA 2024 ROK



KSIĄŻKI WYDAWNICTWA ZWIERCIADŁO



ODWIEDŹ NAS

[zwierciadlo.pl](https://www.zwierciadlo.pl)

[zwierciadlo_miesiecznik](https://www.zwierciadlo_miesiecznik)

sklep.zwierciadlo.pl

Światło na Fossego

Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury – tym razem zgodnie z oczekiwaniami – otrzymał norweski pisarz i autor dramatów Jon Fosse.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Akademia wyróżniła Fossego za „nowatorskie dramaty i prozę, które dają wyraz niewysłowionemu” i rzeczywiście, jest to werdykt dla sztuki idącej wbrew modnym tematom, skupionej na duchowym wymiarze człowieka i dlatego imponującej. Do tego Fosse był od lat jednym z najpoważniejszych kandydatów i jest to pierwszy norweski Nobel od 1928 r. (i czwarty w historii tego kraju).

W Polsce ukazała się akurat książka „Drugie imię”, czyli pierwsza i druga część cyklu „Septologia” Fossego – nakładem ArtRage, w świetnym przekładzie Iwony Zimnickiej. Nobel jest więc zarazem jak wiatr w żagle dla małego, ambitnego wydawnictwa, które boryka się zazwyczaj z rynkowymi, finansowymi kłopotami. W Wielkiej Brytanii noblistę wydaje też małe, niezależne wydawnictwo Fitzcarrald, dla którego jest to już piąty (!) laureat nagrody w ostatnim czasie. Pierwszy tom „Septologii”, który ukazał się 2019 r. – otrzymał nominację do Międzynarodowego Bookera i National Book Critics Circle Award.

Jon Fosse w Polsce był wcześniej znany przede wszystkim jako dramaturg. W „Dialogu” ukazało się sześć jego sztuk, ostatnia w zeszłym roku – „W głębi czarnego lasu”. W 2005 r. wyszła antologia jego dramatów w wydawnictwie ADiT w przekładzie Haliny Thylwe. Wystawiał go lata temu m.in. Teatr na Woli w reżyserii Izabeli Cywińskiej, a teraz w Teatrze Baj można zobaczyć spektakl dla dzieci na podstawie jego sztuki „Dziewczynka ze skrzypcami”. W bibliotece ZAiKS-u znajdziemy kilka

jego utworów: „Ktoś przyjdzie”, „Ładny letni dzień”, „Sen”, „Sen o jesieni”, „Zima”. Po polsku ukazała się jeszcze w wydaniu książkowym jego sztuka „Suzannah” o żonie Ibsena (w przekładzie Ewy Partygi).

Fosse jest wszechstronnym twórcą, autorem nie tylko dramatów i powieści, ale też esejów, wierszy i książek dla dzieci. Urodził się w 1959 r. w miasteczku Haugesund i jako siedmiolatek uległ wypadkowi, który wraca echem w jego twórczości. Do literatury doszedł przez muzykę, pisał teksty piosenek, a potem opowiadania. Zadebiutował w 1983 r. powieścią „Raudt, svart” (Czerwony, czarny), ale zaczął być znany przede wszystkim jako autor dramatów w latach 90. Co było zaskoczeniem dla niego samego, bo – jak mówił – nie lubił nawet chodzić do teatru. W 2015 r. otrzymał nagrodę literacką Rady Nordyckiej, najbardziej prestiżową nagrodę literacką w Skandynawii.

Kluczem do jego dramatów i do literatury jest również – jak możemy sądzić z „Drugiego imienia” – malarstwo. Malarzem jest Asle, bohater powieści, skoncentrowany na tym, żeby jego obrazy emanowały światłem. „Życie i malowanie nabierają sensu, ponieważ są związane z takim światłem, tak, to co robię, malując, ma związek z niewidzialnym światłem” – mówi. Już na samym początku powieści pojawia się paradoks: szczęście w jaśniejącej pustce, puste światło – to wszystko odsyła nas do doświadczenia mistycznego, spotkania z Bogiem, które mistycy tacy jak Mistrz Eckhart opisywali właśnie językiem paradoksu. Mistyka jest

niewyraźalna w słowach, określenia, którym do niej najbliżej to właśnie paradoks: taki jak świetlista ciemność.

Na Mistrza Eckharta Fosse powołuje się często – przeszedł na katolicyzm, deklaruje się jako wierzący. A trzeba pamiętać, że nurt mistyczny w Kościele był często potępiany, sam Eckhart był oskarżony o herezję i musiał tłumaczyć się przed papieżem i trybunałem inkwizycji ze swoich kazań. Głosił m.in., że kontakt z Bogiem może odbywać się przez kontemplację własnej duszy, która jest boską cząstką w człowieku. Następuje wtedy mistyczne zespolenie, ekstaza duszy, wyjście poza siebie. Drogą może być odosobnienie, medytacja. Za takim doświadczeniem dusza tęskni. „Gdyby mnie nie było, nie istniałby Bóg” – myśli powieściowy Asle, cytując Eckharta. I takie doświadczenie zapisuje Fosse w sposób fascynujący. Całość jest jednym zdaniem, nie ma kropek, ale ten zabieg nie stawia oporu – szybko o tym zapominamy, uniesieni swobodnym nurtem języka.

Czy malarz Asle rzeczywiście spotyka drugiego Asle, którego zawozi do szpitala? Czy widzi młodą parę, która rozbiera się w piaskownicy na placu zabaw? W tej opowieści nie ma nic pewnego, wszystko może się okazać powidokiem przeszłości. Asle ogląda przeszłość drugiego Aslega, alkoholika. Ale to wszystko mogą być jego własne wspomnienia. Fosse pokazuje różne ścieżki, możliwości życia, wielu ludzi, którzy tworzą nas samych. To jest opowieść o samotności, krzywdzie, śmierci, a jednocześnie niesłuchanie istotna jest tu bliskość, obejmowanie się ludzi, tych, którzy nie żyją równieź. „Tak jak my się trzymamy za ręce, tak i domy trzymają się za ręce” – mówi siostra do brata. Asle czuje obecność zmarłej żony. Druga osoba jest tu ważna i odsyła do najważniejszej obecności lub nieobecności – Boga. Tylko jak on może dopuszczać do tych strasznych rzeczy na świecie? Zastanawiają się tutaj kolejne postaci. To niepojęte. O tej właśnie niepojętości pisze Fosse. Bóg jest ciemnością, nicością, która jaśnieje: „Z ciemności Boga bije światło, niewidzialne światło”.

Poprzez sztukę, jak mówi bohater powieści, patrzy na nas coś innego, nie tylko to, co przewidział artysta czy pisarz. „Tak też jest z literaturą, którą lubię czytać, ważne jest nie to, co mówi wprost o tym, czy o tamtym, chodzi o coś innego, o coś, co milcząc, przemawia między wierszami”. I to się udaje w „Drugim imieniu”. Warto czekać na kolejne części – już z pewnością, że się ukaza i znajdą niemało czytelników. ■



Efekt Elizy

Julia Fiedorcuk

O bcy” nigdy nie wzbudza takiego lęku i wrogości jak wtedy, kiedy jest prawie taki sam jak my. Zigmunt Freud określa to zjawisko mianem „narcyzmu małych różnic” (inspirując się pracami antropologa Ernesta Crowleya). W eseju „Kultura jako źródło cierpienia” (1930 r.) zauważa, że „właśnie wspólnoty sąsiadujące ze sobą, a poza tym i tak sobie bliskie, wojują ze sobą i szyczą z siebie”. Sąsiedzka wrogość ułatwia zjednoczenie danej społeczności; istnienie spójnego „my” jest możliwe dlatego, że jacyś „oni” zostali spośród nas wykluczeni. Z gorzką ironią autor dodaje, że „rozproszony po całym świecie naród żydowski położył (...) godne uznania zasługi na polu skonsolidowania kultur narodów” (przeł. Robert Reszke). Narcyzmem małych różnic można tłumaczyć skłonność do zbijania się w plemienne kliki; media społecznościowe, jak już to wiele razy powiedziano, podnoszą ten aspekt ludzkiej agresji na jeszcze wyższy poziom. Im większa de facto homogenizacja, tym pilniej strzeże się naskórkowych różnic.

Nowelę Philipa K. Dicka „Czy Androidy Marzą o Elektrycznych Owcach?” z 1968 r., zekranizowaną w 1982 r. przez Ridleya Scotta jako „Blade Runner” (Łowca androidów), da się odczytać przez pryzmat tego zjawiska. Główny bohater Rick Deckard ma za zadanie eliminować „replikantów”, czyli w zasadzie nieodróżnialne od ludzi roboty, zbiegłe z Marsa (gdzie są produkowane) na Ziemię. Aby rozpoznać replikanta lub replikantkę, podejrzaną istotę poddaje się testowi na empatię; robot, w przeciwieństwie do człowieka, powinien taki test oblać. A jednak zdarzają się wyjątki: empatyczne maszyny, nieempatyczni ludzie. Linia podziału staje się na tyle rozmyta, że jej utrzymanie wymaga użycia przemocy. Niektórzy replikanci mogą w istocie być niebezpieczni – podobnie jak niektórzy ludzie – ale groza, jaką wzbudzają, wynika raczej z faktu, że ich niesłychane podobieństwo do „naturalnych” osób zmusza do stawiania pytań o esencję człowieczeństwa. Czyżbyśmy nie byli tymi, za których się mamy? Czy Decker – „łowca androidów” – może okazać się replikantem? A może to pytanie nie ma żadnego sensu?

„Blade Runner” to oczywiście fikcja, dlatego replikantów można interpretować

metaforycznie. Stanowią ucieleśnienie obcości; kluczowy jest także fakt, że Dick obdarza ich pewnego rodzaju wewnętrzną wolnością, która umożliwia bunt. Jest to wizja ściśle antropomorficzna i jako taka mówi coś ciekawego o ludzkich relacjach z maszynami, choć nie o samych maszynach. Niepokój wynikający z podobieństwa, lub pozornego podobieństwa, między tym, co zrodzone, a wytworami cywilizacji to istotny element tej relacji – niezależnie od faktu, że rozwój technologii naprawdę stwarza nowe rodzaje zagrożeń.

Ludzką skłonność do antropomorfizowania maszyn określa się czasem mianem „efektu Elizy” – od nazwy pierwszej chat-bota (który z kolei zawdzięczał swoje imię Elizie Doolittle z „Pigmaliiona” George’a Bernarda Shawa). Eliza została stworzona w 1966 r., czyli dwa lata przed publikacją noweli Dicka, przez Josepha Weizenbauma. Chat-bot ogrywał rolę psychoterapeutki odpowiadającej na wstukane w klawiaturę zdania. Był to stosunkowo prosty program. Poddawał analizie wprowadzoną kwestię, po czym reagował według zadanych reguł. Eliza nawet w swoich czasach nie stanowiła cudu techniki, było o niej głośno właśnie dlatego, że wywoływała swego rodzaju egzystencjalny niepokój.



Julia Fiedorcuk – pisarka, poetka, tłumaczka, wykłada literaturę amerykańską i ekokrytykę w Instytucie Anglistyki UW i Szkole Ekopoetyki przy Instytucie Reportażu. Nominowana do nagrody Nike za powieść „Nieważkość” (2015), laureatka nagrody im. Wisławy Szymborskiej za tom „Psalmy” (2017). Ostatnio wydała powieść „Pod Słońcem” (2020).

Odpowiadała ciągami symboli, jednak użytkownicy przypisywali jej empatię, intencjonalność, wyobraźnię. Mówi się znowu o Elizie w kontekście ChatGPT, o wiele bardziej złożonego „modelu językowego”. Fakt, że pojawienie się tego czatu jest jednym z najgorętszych newsów ostatnich miesięcy, nie wynika jednak z wyjątkowego zaawansowania technicznego tej maszyny: chodzi raczej o to, że interakcje z modelem do tego stopnia przypominają interakcje międzyludzkie, że każą wyobrazić sobie jakiś rodzaj zwracającej się do nas podmiotowości. Co istnienie takiego dublera mówi o nas samych? Czy obawiamy się tej wiedzy? Bać się czy nie? A może tym razem inny naprawdę jest inny, a podobieństwo jest tylko naskórkowe?

Część naukowców uważa określenie „sztuczna inteligencja” za zbyt antropomorficzne i w związku z tym nieadekwatne. Pomimo tego, że naśladujące działanie ludzkiego mózgu nowoczesne systemy mogą się uczyć – także na własnych błędach – i że wolność od ludzkich ograniczeń (np. kulturowych czy emocjonalnych) oraz gigantyczna moc obliczeniowa sprawiają, że uczą się szybciej od nas, jest to tylko pewien bardzo ograniczony rodzaj inteligencji. Sęk w tym – jak zauważa Melanie Challenger, autorka książki „How to be Animal” (2021 r.) – że patriarchalna cywilizacja techniczna ceniła właśnie ten rodzaj inteligencji. To on miał odróżniać nas od niższych bytów, a także czynić niektórych ludzi (białych mężczyzn) bardziej wartościowymi od innych. Pojawienie się „sztucznej inteligencji”, która w tym, co ceniłszy w sobie najbardziej, bije nas na głowę, zaprasza do tyłkokich przewartościowań. Kim jesteśmy? Zachodnia kultura tradycyjnie broniła człowieczeństwa przed zwierzęcością, próbując wyznaczyć granicę jednoznacznie oddzielającą nas od innych ziemskich stworzeń. Czy odczuwając niepokój wobec własnych stworzeń – tak podobnych do nas i tak różnych – odważymy się szukać człowieka gdzie indziej?



Granica

Hejt wylewany na Agnieszkę Holland w związku z „Zieloną granicą” może wprawić w osłupienie swoim kalibrem i wściekłością. Pozostaje tylko żałować, że reżyserka nie poszła w filmie naprawdę na całość – wiedziałyby przynajmniej, za co państwo PiS odplaca się jej tak parszywą monetą. Zamiast oszczędzać naszą wrażliwość, tak jak to zrobiła, mogła pokazać więcej potworności wydarzających się po obu stronach polsko-białoruskiej granicy, mnożąc je przez skalę zjawiska. Mogła też nie powstrzymywać się, tak jak się powstrzymała, od prześwietlenia postaw lokalnej społeczności – rozpiętych między lękiem, podłością i wielkoduszością, z nieprzebytym trzęsawiskiem obojętności pośrodku. W filmie tymczasem widać tylko mundurowych i ich bliskich – środowisko specyficzne, często zdemoralizowane prawem do stosowania przemocy, niereprezentatywne. Postacie grane przez Maję Ostaszewską i Agatę Kuleszę są z kolei osadniczkami ze stolicy (trudno się dziwić: Grupę Granica tworzą osoby napływowe), więc zaznaczony w filmie przekaz pod adresem Kuleszy dotyczy „warszawki”, nie „terenu”. Pojawia się wprawdzie miejscowy rolnik, którego afgańska uchodźczyni prosi o wodę, jednak Holland nie dookreśla tej postaci – możemy zobaczyć w nim donosiciela albo ratownika, a przy okazji zastanowić się nad własnym stosunkiem do „ludu”.

Reżyserka wyłożyła swoje intencje w wywiadach: „Zieloną granicą” chciała „poruszyć serca”, zainterweniować. Zmobilizować moralnie opinię publiczną i sprawić, żeby na granicę Polski z Białorusią powróciły gwarantowane prawem międzynarodowym procedury wynikające z praw człowieka, a jeśli nie one, to przynajmniej elementarna wrażliwość na krzywdę. Żebyśmy w ludziach takich jak Baszir, Amina i Nur z jej filmu zobaczyli ofiary wojny w Syrii i wojny Putina przeciwko Unii Europejskiej, a nie „broń hybrydową”, którą niszczy się jak amunicję wroga. Żeby cała Polska była jak gmina Michałowo.

Dlatego Holland skupiła się na obrazie – możliwie prostym unaocznieniu rzeczywistości, którą władza przed nami ukrywa, co do której nas dezinformuje i której my sami czasem nie chcemy widzieć. Pokazała nam historię jednej rozszerzonej rodziny (opartej nie tylko na więzach pokrewieństwa), ucinając wątki, które mogłyby odwrócić uwagę od tego, co najważniejsze. Głębsza analiza ideologii, która napędza PiS-owski autorytaryzm i konserwuje naszą utopijną monokulturowość, musi zacheć na inny film. Trochę szkoda, ale też nie mogło być inaczej.

Plakat z Mają Ostaszewską tulącą uchodźcę budził we mnie obawy, że „Zielona granica” będzie obrazem przeschlachtetnym. Powtarzałam sobie jednak: „Ale to Holland, to Holland – niemożliwe”, i nie zawiodłam

się. Z filmu nie dowiedziałam się niczego, czego bym nie wiedziała – szczegóły, które mogą wydawać się dziwne lub naciągane, jak żyrafa, o których Nur mówi, że wchodził je w naszym wschodnioeuropejskim lesie, a które są tylko miarą jego traumy; złośliwie stłuczony przez pogranicznika termos czy przerzucanie uchodźczych zwłok na białoruską stronę, należą do faktografii, którą znałam. Mimo to „Zielona granica” trzymała mnie w napięciu do ostatniej minuty. Tak działa sztuka – dopiero dzięki niej rzeczy stają się naprawdę widoczne, wchodzi pod skórę. W sposobie filmowania nocnej wywózki na Białoruś, rewizji w przemysłowym dostawczaku czy popijawki mundurowych chlejących tak, jak zawsze robią to funkcjonariusze służb opresyjnych w miejscach kaźni, widać background w postaci całego dorobku reżyserki, zwłaszcza jej filmów społeczno-politycznych i historycznych. One wszystkie tu pracują. Dotkliwa cielesność push-backów, dziecko tonące w bagnie, któremu nie można pomóc, niewiadomy los przerzuconej na białoruską stronę Afganki – to wszystko rani do żywego, wywołuje krzyk.

W filmie nie ma fałszywej nuty, wzniosłość przełamują kontrapunkty ironii i humoru. Maja Ostaszewska wypada wspaniale, przekonująco – zwłaszcza w scenie rewizji osobistej, w której jej twarz wyraża tak wiele trudnych uczuć naraz. Fascynujący jest przekrój postaw ludzi w mundurach: proporcje i odcienie dobra, które przez swą rzadkość jest ciekawsze niż zło. Najdrobniejsze przejawy nieposłuszeństwa wobec zbrodniczych rozkazów z góry niosą ulgę i widz łaknie ich jak tlenu. Na państwie rządzone przez PiS nie zostaje sucha nitka, jednak ludziom Holland pokazuje, że mają wybór, a form oporu jest wiele – czasem wystarczy w odpowiedniej chwili przymknąć oko.

Frekwencja na seansach i reakcje publiczności dają nadzieję, że „Zielona granica” osiągnie swój cel, choć na razie rozpętana przez władzę nagonka przesłania los migrujących ludzi: solidaryzujemy się bardziej z reżyserką niż z nimi. Rzetelna debata na temat migracji, humanitarne i polityczne czyny – to wszystko jeszcze przed nami. Pośród szyderczego chrumkania umyka nam również to, że mechanizmy stanu wyjątkowego ze strefy przygranicznej to te same mechanizmy państwa PiS, które działają też gdzie indziej, tyle że w rozrzedzeniu – dały o sobie znać choćby przy rewizji Joanny z Krakowa czy zatrzymaniu posłanki Kingi Gajewskiej. Granica z filmu Holland to soczewka i zapowiedź tego bezprawia, które rozpleni się wszędzie, jeżeli populistyczna prawica po wyborach nie utraci władzy.

RENATA LIS

Od Peryklesa do Tuska



W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności. W życiu

prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się naszych współobywateli, nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli się zajmuje tym, co mu sprawia przyjemność (...). Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym; jesteśmy posłuszni każdoczesnej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisany, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę”. Nigdy nie przestałem się zdumiewać, że te wspaniałe w swej prostocie i ponadczasowe słowa złożono tak dawno temu. „Mowę pogrzebową Peryklesa” napisał w roku 404 p.n.e. Tukidydes, parafrazując przywódcę Aten, przemawiającego nad grobami współobywateli poległych w wojnie ze Spartanami.

Możecie się ze mnie śmiać, lecz gdy zadaję sobie pytanie, kto z naszych polityków – dawniejszych i współczesnych – mógłby przemówić właśnie w taki sposób, z takim serdecznym i prostolinijnym umiłowaniem wolności, z taką szczerą wiarą w człowieka i możliwość ludzkiej polityki, wiarą w państwo, które może być swoje i nasze, to przychodzi mi na myśl Donald Tusk. Ten sam, co pali te cygara, pije te drogie wina i sami wiecie, co jeszcze. Ten, który przez ponad trzy dekady w polityce tak bardzo się zmieniał i dojrzał, że aż stał się kimś w rodzaju męża stanu w czasach, które nie ufają żadnemu patosowi.

Perykles tak naprawdę nie był wielkim demokratą. Lubił, żeby było tak, jak on chce. Był twardy i waleczny. Tusk też nie uchodzi za baranka i żaden z niego brat łąta. Trzyma swoją partię co najmniej za kołnierze. A gdy rządził, niewiele było w tym rządzeniu czułości i społecznego słuchu. Ale to było dawno. Gdy słucham go dziś, to mam pewność, że wiele się nauczył na swoich błędach. Szczęście, że tak się stało. Szczęście, że w politycznej mizerii, która dotyka nie tylko nasz kraj, trafił się nam lider z charakterem i dorobkiem na miarę, którą mierzy się nie biurokratów, lecz przywódców demokratycznej wspólnoty narodów. Jest jaki jest – dobrze, że jest! Warto zdobyć się na to, aby zapomnieć dawne i niedawne urazy i pretensje. Bo sytuacja jest nadzwyczajna i każdy z nas powinien uruchomić to, co ma najlepszego, puścić przodem tę najlepszą wersję siebie. Tak jak stara się to robić sam Tusk.

Jeśli nie możemy w pełni uwierzyć politykowi, który kiedyś nas rozczarował, to zawsze jeszcze można uwierzyć jego dobrym intencjom i chęci poprawy. Warto mieć w sobie taką wielkoduszność, a nawet odrobinę naiwności, bez której nadzieja szybko więdnie. No i rozsądek – tę najprostszą mądrość, każdemu człowiekowi dostępną. I właśnie rozsądek przypomina nam, że polityka nigdy nie jest jak ze snu. To realny świat konfliktów i interesów, gdzie ideały i wartości muszą się przepychać z egoizmem, miernotą i głupotą. Dlatego wystrzegając się płaskiego i małosłownego cynizmu, trzeba być realistą i pragmatykiem.

Możliwie twardym. Bo inaczej się przegrywa. Przy czym nieraz trzeba iść na kompromis, bo radykalizm odbiera realny wpływ na rzeczywistość.

Perykles był wodzem i przywódcą niepozbanym wad. Nie brakowało mu wrogów. A jednak miał wizję (a nie było wtedy psychiatrów...). Była to wizja państwa przyjaznego i bezpiecznego, które opiera się na zaufaniu i przyjaźni, a także na wzajemnym szacunku obywateli, rozciągającym się na szacunek i zaufanie w relacjach między zwykłym człowiekiem i osobą urzędową. Szanując się wzajemnie, respektujemy autonomię swoją i każdego współobywatela, dzięki czemu możemy współpracować dla wspólnego dobra. Jednocześnie całkiem spontanicznie dbamy o warunki, dzięki którym ta oparta na wzajemnym zaufaniu i szacunku współpraca jest w ogóle możliwa. Ogół tych warunków to właśnie sprawiedliwy ustroj państwa. Ustroj będący odwrotnością tyranii, bo dający każdemu część odpowiedzialności za sprawy wspólne i gwarantujący, że będzie traktowany jak dojrzała, autonomiczna osoba, zdolna do podjęcia tej odpowiedzialności.

Te piękne idee nie narodziły się w wieku XVIII, u progu epoki liberalnej demokracji, lecz w antycznej Grecji, chociaż zostały na długo zapomniane. Nasze czasy dały im nowe, bujne życie, lecz wiemy z historii – dawnej i niedawnej – że nic nie jest dane raz na zawsze. Nie ma wolności, nie ma demokracji bez wolnych, dojrzałych obywateli. Jeśli zwyciężyć ma wspólnota oparta na rozumnej współpracy wolnych ludzi, zjednoczonych wokół konstytucji wolności, a nie wokół politycznego szamana, większość z nas przynajmniej czasami musi być jak Perykles. I właśnie nadchodzi taki moment, w którym wolni obywatele z wizji Peryklesa mają się policzyć. Bo wybory to coś więcej niż wskazanie na osobę i partię, które najlepiej reprezentują nasze poglądy i interesy. To również taki moment, w którym rozpozcona, niewidząca się na co dzień wspólnota obywatelska materializuje się w postaci głosów oddanych na polityków takich bądź innych, lecz należących do tej samej cywilizacji politycznej, którą jako pierwszy zdefiniował w swej nieśmiertelnej mowie Perykles/Tukidydes.

Wznieśmy się dzisiaj ponad swoje urazy, wybacmy krzywdy zadane nam niegdyś przez polityków, zadbajmy o siebie jako polityczną wspólnotę, którą mimo wszystko jesteśmy. Bo przecież Polska wciąż istnieje. Istnieje w sponiewieranej konstytucji, w prawach, w codziennej pracy tysięcy ludzi dobrej woli, starających się mimo wielkich przeciwności uczciwie i z godnością wypełniać swoje urzędowe powinności. Istnieje w nas i przez nas. Więc doładźmy ją z siebie i dajmy jej głos, aby mogła się obronić przed tymi, którzy ją zawłaszczyli, zdradzili i sponiewierali.

JAN HARTMAN

Jedna wielka tujoza



Od Chorzowa po Pszczółki w Niepodległej panuje moda na odgradzanie się tujami i szlabanami. Szlabanoza

na polskich osiedlach jest taka, że dostawcy sklepowi powinni przetrząść się na metody transportu, które widywałam w muzułmańskich kazbach – osioł, skuter. Wiemy z historii, że mury i ogrodzenia nie rozwiązują problemów, ale to jest silniejsze od nas, instynktowne.

W 1994 r., kiedy byłam na stypendium w Berlinie, mieszkałam u pewnej Niemki z Berlina Zachodniego, która od momentu, kiedy 10 listopada 1989 r. upadł mur berliński, nigdy nie poszła do Mitte ani na Prenzlauerberg. Bała się. Ten mur siedział w niej głęboko – tam, za murem, dla niej była już tylko dzika zona. Dziś dręczy nas zepchnięta w kąt psychiki wojna w Syrii. I Afganistan. Coś tym naszym sojusznikom, Amerykanom, chyba tam nie poszło? Uciekli, zostawiając te kobiety, którym obiecywali dostęp do nauki? Może właśnie któraś z bohaterek „Zielonej granicy” to ofiara naszych „best friends” z USA, którzy nie zabrali jej ze sobą do samolotów?

Aż tu nagle i my, Polacy, jesteśmy zmuszeni stawiać ogrodzenie, mamy „swoją strefę”, a strażnicy graniczni mierzą się z klasycznym konfliktem lojalności. Rozkaz ojczystej armii – nikogo nie wpuszczać przez granicę, wypychać, to przecież gwałciciele, naciągacze, „ciapaci”. Czy raczej postawa humanistyczna, lojalność wobec własnego sumienia, działanie na rzecz bezbronnym ofiar, które zostały wplątane w sieć przemytników? Budowa muru na Podlasiu to wydarzenie historyczne. Tragedia, kolejny półśrodek.

I wtedy wjeżdża ona, Agnieszka Holland z kamerą. Jest pierwsza i robi to, co powinna. I takie były prawie wszystkie jej filmy. W centrum uwagi stawia człowieka i jego słabości. Kobieta samotna, człowiek w ciemności, poeta wyklęty. „Zielona granica” to fabularny film wojenny inspirowany faktami, interwencyjny, oskarżycielski wobec przemysłu wojny, ale nie naiwne pacyfistyczny, choć mimo wszystko terapeutyczny.

Nie dziwi mnie, że po premierze „Zielonej granicy” znalazły się setki besserwisserów: a mogła zrobić to inaczej. A mogła bardziej pokazać brutalność Syryjczyków. A mogła pokazać dobrych Białorusinów. Owszem, można było zrobić inny film. Jakoś odważniejszych przed Agnieszką Holland nie było. A to „Potop”, a to „Krzyżacy”, a to „Operacja Samum”. A „Zielona granica” jest bez tętentu koni, szleszczenia husarii czy bajeranckich kasków w moro. W czasie, gdy w realu wiceminister ds. spraw bezpieczeństwa Polski chwali się nowymi HIMARS-ami, reżyserka pokazuje, że bronią jest też ciepła zupa, termos i powerbank. Nie ma tu kawalerzystów w hipiczych podskokach czy maszerujących męskich brygad. Batalistyczne sceny u Holland

pozbawione są muzyki marszowej. Są za to krzyki, warkot ciężarówek, nieustający płacz dzieci, modlitwy dziadka, który jako praktykujący muzułmanin podczas tej upiernej

„tułaczki” trzyma się dywanika. Niestety dywanik nie jest dywanem latającym. I za druty go nie przeniesie.

Wszystkie te odgłosy układają się w traumatyczny chór – coś między wiecznym krzykiem rozpaczyci a lamentem po śmierci. Żony i matki, które w tej hybrydowej wojnie nie zostały w mieszkaniach z dziećmi, są po obu stronach konfliktu. Są strażniczkami, policjantkami, lekarkami, aktywistkami i są pokazane bez retuszu. A mężczyźni? Widzimy podobny wachlarz postaw na tej wojnie hybrydowej. Jest ofiarny prawnik w garniturze, który mógłby zapewne zarabiać grube miliony na obsłudze spółek Skarbu Państwa, ale poświęca czas i wiedzę na podróże do strefy, przekazywanie know-how aktywistom. Żaden człowiek nie jest nielegalny – o tym pamięta nie tylko jeden prawnik, ale i zamożny „wykształciuch”, który zamiast leczyć się na drogim odwyku, decyduje się przyjąć uchodźców w domu. Co z nimi się stanie? I co będzie z nim, gdy nagle jego „goście” wyjadą?

Macierzyństwo pokazuje Holland bez znieczulenia z NFZ. Scena, której zapewne nigdy nie zapomnę, to ta, w której kilkuletnia córeczka ze strachu sika po nogach, a matka krzyczy: „przestań, nie mam tu w lesie przecież suchych rajstop”.

Nie interpretuję „Zielonej granicy” jako filmu przeciwko straży granicznej. Widziałam w nim strażników, którzy nie są robotami bez serc czy sadystami. Owszem, klną i mówią o ciapatych, ale ten język nie świadczy o rasizmie, to raczej ich forma samoobrony – wypychanie za drut musi być zadaniem tak potwornym, że dehumanizacja ofiar jest zrozumiała. Strażnicy to wystraszeni młodzi chłopcy. Jeden wrażliwy młody tatuś, inny to pocziwina z brzuszkami, który po robocie chętnie pojechałby na ryby. „To nie byłam ja” odpowiada główny bohater na zarzut, że w czasie push-backów wypychał uchodźców za drut. Interpretuję jego wyznanie nie jako kłamstwo, ale jako komentarz do wyparcia.

Same druty są u Holland filmowane na zbliżeniu, kamera niemal je liże. Przed oczami miałam wciąż najpotworniejsze z fotografii archiwalnych, które Marek Miller umieścił w książce „Wielka szpera”. Getto w Łodzi spacyfikowane, w kolejce ustawione są już odebrane rodzicom dzieci. Dziewczynki najbliższy drutu znajdują w nim dziury i całują się przez te druty, uśmiechają się do bliskich, którzy zostali po drugiej stronie. Nie chodzi mi o to, że stawiamy znak równości między tamtymi i tymi drutami. Chodzi o to, że wciąż są na nowo rozciągane. Wieczna tujoza.

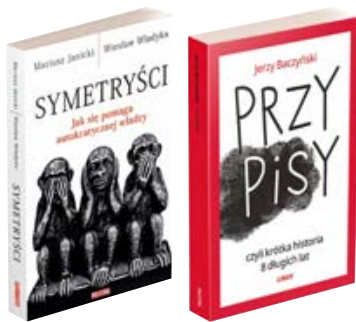
AGATA PASSENT



© ANNA REICHEL

Zapraszamy na kolejne spotkanie z autorami POLITYKI

W minioną środę odbyło się kolejne z cyklu spotkań z autorami POLITYKI: redaktorem naczelnym naszego tygodnika Jerzym Baczyńskim, jego pierwszym zastępcą Mariuszem Janickim oraz naszym publicystą prof. Wiesławem Władyką. Tym razem w Poznaniu, w siedzibie Fundacji Malta, wśród licznie przybyłych gości, nasi publicyści wraz z prof. Krzysztofem Podemskim z Wydziału Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza rozmawiali nie tylko o swoich książkach, ale i zbliżających się wyborach, towarzyszącej im kampanii oraz politycznych scenariuszach na najbliższe tygodnie.



Przyczynkiem do dyskusji były najnowsze książki, które ukazały się nakładem wydawnictwa POLITYKI: „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”, autorstwa Jerzego Baczyńskiego, oraz Symetryści. Jak się pomagają autokratycznej władzy”, duetu Janicki–Władyka. Obie te pozycje opisują rządy PiS i ich skutki, metodę polityczną Jarosława Kaczyńskiego, a także pokazują, dlaczego PiS-owi udało się przejąć władzę i utrzymać ją przez dwie pełne kadencje. W stacjonarnych punktach sprzedaży niestety nie można ich już kupić, ale „PrzyPiSy” i „Symetrystów” mogą Państwo zamówić w naszym sklepie internetowym: sklep.polityka.pl.

A już w tę środę zapraszamy Państwa do Lublina – 11 października o godz. 17 nasi autorzy będą gośćmi w Instytucie Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS przy ul. Głębokiej 45. Dyskusję z nimi poprowadzi prof. Iwona Hofman, dyrektor INoKSiM UMCS.

Wstęp jest wolny.

GALERIA POLITYKI / JANEK KOZA



© JANEK KOZA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;
Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA
Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:
Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE
RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSZ
Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemiński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władyka, Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY
Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,
Marcin Kołodziejczyk, Violetta Krasnowska,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY
Paweł Tarnowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY
Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki
współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY
Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Miroslaw Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL
Karol Jalochoowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY
Marian Turski (kier.), Tomasz Targajski

STALI FELIETONISCI
Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Zofia Lesniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI
Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Zelazińska (z-ca, media społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA
DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE
RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.)
Halina Cibor (gl. księgową)

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA
Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione. Przedruki: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagała@polityka.pl

Druk Quad

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND

www.izbaprasylp



Jak się w sobie nie zamykać

Odbudowa zaufania jest warunkiem niezbędnym do poprawy tego, co w świecie społecznym i politycznym poszło nie tak.

Psychotherapia bywa bardzo pomocna, ale nie każdy jej potrzebuje, żeby wystarczająco dobrze radzić sobie z wyzwaniami, budować satysfakcjonujące i długotrwałe związki czy mieć elementarne poczucie sensu istnienia.

Jaka jest zatem tajemnica dobrostanu psychicznego, którego nie trzeba wypracowywać latami w gabinecie, bo się go już poniekąd ma? Wiele wskazuje na to, że najistotniejszą rolę odgrywają sprzyjające środowisko na wczesnym etapie rozwoju i... zdolność do zaufania.

Pisząc o sprzyjającym środowisku, mam na myśli opiekunów dziecka, którzy odnoszą się do niego z troską i pokazują, jak obchodzić się ze światem. Ta umiejętność kształtuje się nie w wyniku pozyskiwania wiedzy intelektualnej, ale uczenia się, jak tworzyć relacje w różnych sytuacjach. Kiedy dochodzi do zaniedbań czy/i nadużyć ze strony dorosłych, zakłóceniu, a czasami trwałemu uszkodzeniu ulega



Cveta Dimitrova
– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

u dziecka podstawowe poczucie bezpieczeństwa, czyli ufność, że inni ludzie chcą dla nas dobrze, możemy się od nich uczyć.

Badaniem „zaufania epistemicznego” – bo tak określa się to podstawowe poczucie bezpieczeństwa – od lat zajmuje się Peter Fonagy, brytyjski psychoterapeuta i profesor psychologii na University College of London. Ten rodzaj zaufania to po prostu otwartość na inne umysły, przeświadczenie, że są wiarygodnym źródłem wiedzy. Zaburzenie tej otwartości przypomina reakcję na traumę – rodzaj zamrożenia czy utknięcia. To właśnie zaufanie, przywiązanie i umiejętność mentalizowania, czyli – w największym skrócie – odzwierciedlania własnych i cudzych stanów mentalnych, torują drogę do złożonego rozumienia rzeczywistości. Badacze sugerują wręcz, że u podłoża większości, o ile nie wszystkich, rodzajów zaburzeń psychicznych leży tymczasowe lub trwałe uszkodzenie „zaufania epistemicznego”.

Dlaczego? Dlatego, że takie uszkodzenie powoduje „zamykanie się” umysłu. Świat bywa niebezpieczny, więc pewna doza ostrożności czy nieufności jest uzasadniona. Ale gdy poczucie zagrożenia jest stałe, trudniej uzyskać wsparcie i ukojenie od innych – czyli realizować podstawowe potrzeby – a tym bardziej eksplorować rzeczywistość i się rozwijać.

Dobrze ilustruje to szkoła. Dzieci najczęściej uczą się od tych nauczycieli, którzy się nimi autentycznie interesują, widzą ich indywidualność i osobowość. Zainteresowanie konkretnie mną jako osobą, tym, jak myślę, co czuję, przeżywam, sprawia, że mój umysł otwiera się na innego, od którego mogę czerpać wiedzę. A jeśli mam za sobą krzywdzące lub traumatyczne doświadczenia, „zamknięcie” umysłu wprawdzie doraźnie mnie ochroni, ale jego konsekwencją będzie trudność w przyswajaniu każdej wiedzy. A więc coraz większa izolacja, nienadążanie za rówieśnikami i gorsza kondycja psychiczna. Troska i zainteresowanie – nauczyciela, kolegi, sąsiada, terapeuty – mogłyby przerwać tę spiralę.

Zaryzykuję eksperyment i zaaplikuję tę teorię do podmiotu zbiorowego – większej wspólnoty. Jak mówi niemiecki filozof i teoretyk kultury Byung-Chul Han, zaufanie jest praktyką społeczną i nie wynika z samego dostępu do informacji czy transparentności. Wystarczy pomyśleć o popularności, jaką zdobywają rozmaite teorie spiskowe i populistyczne hasła, o podziałach, szerzeniu się dezinformacji czy reakcjach na kryzys wywołany pandemią, aby bez wahania stwierdzić, że zaufania zdecydowanie nam dzisiaj brakuje. Tymczasem to ono może być kluczem do myślenia na nowo o „społeczeństwie otwartym”. Takim, które harmonijnie mieści w sobie wiele perspektyw i postaw.

Czerpiąc z odkryć na polu psychotherapii, można uznać, że odbudowa zaufania jest warunkiem niezbędnym do poprawy tego, co w świecie społecznym i politycznym poszło nie tak. Z kolei tym, co umożliwi odbudowę zaufania, są szczerze zainteresowanie i troska. Psychotherapia to jedno z miejsc, gdzie zaufanie można odbudować, niemniej wzajemne zainteresowanie i troska to nasza wspólna odpowiedzialność. Bo przecież zdecydowana większość naszego życia toczy się poza gabinetem. ■

Good bye, dubbing?

TECHNO

Facebook wprowadził nową funkcję, która pozwala przetłumaczyć wpisy i komentarze – zachwycały się na początku poprzedniej dekady branżowe media, a z nimi my. Bo za jednym kliknięciem mogliśmy dowiedzieć się, o czym pisze na fejsie nasz ulubiony muzyk z Brazylii, znana aktorka z Francji czy ubóstwiana grupa k-popowa. To samo udogodnienie wprowadzały kolejne serwisy: Twitter, Instagram, LinkedIn... Tak przywykliśmy do przycisku „przetłumacz wpis”, że dziś dziwi jego brak. A jeszcze więcej od nich oferuje Google Translate – po polsku równo od 15 lat.

Automatyczni tłumacze dotąd ograniczali się jednak właśnie do słowa (s)pisanego. Ale to się właśnie zmienia, o czym świadczą testy prowadzone przez Spotify. Ten największy muzyczny serwis streamingowy w ostatnich latach silnie inwestował w podcasty, głównie anglojęzyczne, ściągając gwiazdy gatunku. Teraz chce je uczynić zrozumiałymi na całym świecie, w czym pomóc ma sztuczna inteligencja firmy OpenAI. Zasilany nią tłumacz przełoży podcasty na inne



języki (początkowo m.in. hiszpański, francuski i niemiecki) już nie w formie tekstu, lecz z zachowaniem głosu twórcy. Spotify twierdzi, że technologia tak sprawnie imituje tembr i sposób wypowiedzania się podkasterów, że przekład będzie brzmieć całkiem naturalnie i o niebo lepiej niż nagrania z dubbingiem.

Dubbing kojarzy się głównie z filmami i serialami. Samo Spotify w kolejnym kroku może rozszerzyć swoje przekłady na muzykę, oferując piosenki w różnych wersjach językowych – bo dla sztucznej inteligencji wyizolowanie wokalu i zastąpienie angielskiego tym po polsku czy chińsku jest niewiele większym wyzwaniem niż przetłumaczenie podcastu – ale też ekspansja tłumaczy głosów na duże i małe ekrany wydaje się kwestią czasu. I tak modne serie z różnych zakątków świata będziemy mogli oglądać, jak gdyby grali w nich polscy aktorzy i aktorki. Pytanie, czy rzeczywiście zechcemy. „Winter is coming” brzmi w końcu o niebo dostojniej niż „idzie zima”.

MARIUSZ HERMA



Ryjce dobre i złe

SŁOWO

Dyskusja zesłała na świnie, więc przesunięcie jej w stronę ryja raczej nie grozi dalszą degradacją. Tym bardziej że „ryjec” to jednak nie to samo, a przy okazji można nadrobić świeżą lekturę – rozmowę, jaką Dominika Sitnicka przeprowadziła dla OKO.press z Patrycją Wiczorkiewicz, współautorką książki „Przegryw” (opisywanej w POLITYCE 37). Rzecznik mówi o młodych mężczyznach odregulowanych na internetowych forach brak szans na udane życie seksualne i uczuciowe. Niektóre z powodów tych niepowodzeń przypomina wywiad: „Polskość jest tam ukazywana głównie negatywnie. Jak masz na przykład »polacki ryjec« czy »polackie geny«, to it's over dla chłopca” – mówi Wiczorkiewicz. Ta ostatnia fraza, „it's over dla

chłopca” (chłop skończony), oznacza poczucie życiowej przegranej na starcie. Uczestnicy plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku kilka lat temu definiowali ją jako „beznadziejną sytuację na rynku matrymonialnym, w jakiej znajduje się anon poprzez przegraną na loterii genowej” („anon” to synonim przegrywa). A ów „ryjec” te genetyczne mankamenty doprecyzowuje. Nie jest to jednak jedyne skojarzenie. Poza męskimi forami słowo to, słownikowo (ale coraz rzadziej) oznaczające ryjące zwierzę, ma weselsze konotacje.

MÓWIĄ RYMY

Antysmogowa maska w moim carry-on baggage.

Wiesz, co to znaczy, mordo: lecę do Warszawy

Taco Hemingway, Antysmogowa maska w moim carry-on baggage, 2019 r.

mordo = kolego, druhu

Klocuch, osobowość polskiego YouTube i sprawca sukcesu słowa „dzban”, mówi o „ryjcu” jako twarzy postaci w grze wideo („Bardzo dobry ryjec jak na starą grę”), a w „Szkole życia”, pastiszowym songu o przemocy, rapuje: „Jak popisałeś ławkę, to się popisałeś głupotą/Wyniesiemy ciebie na trawkę i wsadzimy ci ryjec w błoto”. Cały czas jesteśmy tu jednak w świecie młodych mężczyzn – nawet określenie „ryj po tuning” w nim pozostaje. W definicji Miejski.pl to „opuchnięta twarz w wyniku pobicia”. A dwaj podkasterzy, którzy chcieli błysnąć dystansem do siebie, pisali na Twitterze: „Jak nie chcecie patrzeć na nasze ryjce, to jest już na Spotify i innych platformach, gdzie podobno się słucha podcastów, ale nikt nigdy tego nie zrobił”. Ryjec może być więc obelgą czy obciążeniem, ale niekoniecznie nim jest. Przynajmniej nie w kraju, gdzie najpopularniejszą formą zwracania się do dobrego kumpla jest „mordo”.

BARTEK CHACIŃSKI



D I Z A J N

Kosztowna nostalgia

W ostatnich latach mieszkanie w „co najmniej przedwojennej” wielkomiejskiej kamienicy stało się obiektem pożądania, aspiracji i powodem do inwestorskiej dumy.

Elewacja zdobiona rzeźbami, kute kraty, klatka schodowa wyłożona marmurem czy alabastrem, mosiężne kinkiety o dobitnych formach, klamki o konkretnym ciężarze i misternym cięciu, poręcze miękko umykające palcom, kryształowe żyrandole. Podobne opisy dekoracji historycznych kamienic rozpalają wyobrażenie o tym, co kryje miejsce z tak okazałym wejściem. W ostatnich latach mieszkanie w „co najmniej przedwojennej” wielkomiejskiej kamienicy stało się obiektem pożądania, aspiracji, powodem do inwestorskiej dumy lub satysfakcji z upolowania perełki poniżej ceny rynkowej. Ta waha się między 1,5 a 5 mln zł.



Lidia Pańków
– dziennikarka,
reporterka, autorka
książki „Błoki
w słońcu. Mała
historia Ursynowa
Północnego” (wyd.
Czarne), asystentka
społeczna osób
uchodźczych.

Jeśli brać pod uwagę, jak bardzo przesunęły się granice miast, kategoria „zabytkowej tkanki” staje się wyjątkowo wąska. Poluje się na lokal pełen splendoru, z jak najwyższym sufitem, wręcz pałacowym, czyli taflowym parkietem, skrzynkowymi oknami, dwuskrzydłowymi drzwiami i fragmentami układu amfiladowego. I choć słowa takie jak „rezydencja” czy „apartament” są chętniej używane przez copywriterów i agencje nieruchomości niż samych właścicieli, wskazują na przepaść, jaka dzieli taki lokal od zwykłego mieszkania w bloku z wielkiej płyty, kamienicy z lat 50. czy wielorodzinnych budynków deweloperskich.

W duchu komponowania ekskluzywnych, często mieszczących się w kategorii klasyków dizajnu mebli i akcesoriów, z przedmiotami osobistymi, przywiezionymi z podróży czy rodzinnymi pamiątkami, pracuje architektka Katarzyna Baumiller, prywatnie związana z warszawskim Żoliborzem. Jej klienti to grupa świadomych estetyki przedstawicieli mało opisanej w Polsce grupy: „upper classu” – lekarze specjaliści zainteresowani sztuką i wzornictwem, nomadzi chcący doświadczyć życia w różnych miejscach na ziemi, inwestorzy traktujący luksusowy apartament jak pewną inwestycję, przedstawiciele branż gwarantujących stały dochód na wysokim poziomie.

Sentyment do stylu życia wyobrażonej często elity „sprzed wojny” ma jednak pułapki. Bo dobry, projektujący „wnętrze na dekady” architekt nie może być bezmyślnym więźniem przeszłości. Podkreśla to Baumiller, deklarując, że równie dobrze czuje się w bliskiej jej smakowi stylistyce Bauhausu, co w estetyce „dzikich form”, inspirowanych jaskrawą paletą lat 80. i 90. Na przykład w brawurowym salonie jej projektu w zabytkowym mieszkaniu nad opływową w formie sofą firmy Amura w kolorze pudrowego różu zwieszają się podobne rzeźbom lampy katalońskiej marki Parachilna i włoskiej Foscarini, a zasłony mają deseń z sitodruku.

Otym, jak trudnym zadaniem jest „podrabianie” przeszłości i kreowanie oryginalności w wersji luksusowej, mówi fotograf mody i reklam Marcin Tyszka. Jedno ze swoich mieszkań na Żoliborzu nazywa „miksem prób designersko-estetycznych”. Inspiracje przyszły same: z podróży po Ameryce Południowej i Indonezji. Przerobił fascynację „stylem kolonialnym”, wszedł w etap oczarowania modernizmem w wydaniu Ludwiga Miesa van der Rohego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli stylu międzynarodowego, autora ikonicznych gmachów, m.in. Nowej Galerii w Berlinie i pawilonu wystawowego w Barcelonie. Tyszka krytykuje polski gust, mówiąc, że już choćby Instagram zdradza zachowawczość i brak indywidualizmu. Sam zamawia na przykład bajkowe i przykuwające wzrok ręcznie malowane tapety francuskiego producenta de Gournay, w których mieszają się motywy art déco i Chinoiserie. Zdradza, że podgląda wnętrza stworzone przez Morrisa Lapidusa, między innymi hotelu Fontainebleau w dzielnicy Gold Coast Miami Beach, które stały się scenografią tak ważnych dla popkultury filmów i klipów, jak „The Body Guard” czy „Bedtime Stories” Madonny. I żałuje, że inni nad Wisłą tego nie robią. ■

Jak śliwka w cukier

Dla jednych dodatek do ciasta, dla innych materiał do tworzenia słodkich dzieł sztuki. Kandyzowane owoce są atrakcją nie tylko dla podniebienia.

Chociaż w czasach globalnego handlu i spedycji można o dowolnej porze roku zjeść właściwie każdy sezonowy owoc i każde warzywo, dawne sztuki zachowania produktów nie odeszły całkowicie do lamusa. Można się było o tym przekonać podczas niedawnego przyjęcia wydanego przez firmę Loewe w Paryżu. Wcześniej na wybiegu tego luksusowego domu mody królowały ubrania i torby w stylu dużo-za-duże (fachowo: oversize), elegancki połysk tkanin, iluzje wzrokowe. Gdy przyszło do świętowania, marka zaproponowała równie atrakcyjne i zwodnicze dla oka dania. Jak notuje dziennikarka „New York Timesa” Alexa Brazilian, dla gości przygotowano m.in. coś pomiędzy deserem a instalacją artystyczną: do gałęzi zimówki zostały ręcznie doszyte kandyzowane owoce – gruszki, mandarynki i wiśnie, które należało odcinać specjalnymi nożyczkami służącymi głównie do strzyżenia drzewek bonsai.

Pomysł i wykonanie niecodziennego dania należy do Imogen Kwok, która w swojej działalności łączy sztukę, projektowanie i gastronomię. Opowiada, że przy zleceniu dla Loewe natchnienia dostarczyły jej prace holenderskiego malarza barokowego Adriaena Coorte, którego ulubionym motywem były szparagi, a w dalszej kolejności owoce. Niedoceniony za życia, zyskał szacunek prawie 300 lat po śmierci, co w dobie głodu natychmiastowej sławy jest nie do pomyślenia. Zestawienie prac Coorte i Kwok – przy zachowaniu oczywiście wszelkich proporcji – to ciekawy eksperyment myślowy. Holender malował zieleninę, starając się oddać jak najwięcej jej naturalnego piękna i życia. Z kolei Kwok wzięła na warsztat świeże owoce i tak długo poddawała je procesowi kandyzowania, aż zaczęły wyglądać jak... martwa natura. Jednocześnie chciała, aby gruszki czy wiśnie (przygotowywała je także na popołudniowe herbatki serwowane w domu mody Prada) wyglądały hiperrealistycznie.

Tu warto pewnie wyjaśnić, że kandyzowanie polega na zastępowaniu naturalnie występującej w owocach wody cukrem. A efekt zależy od długości i tempa procesu transformacji – najlepiej długo i wolno, nawet kilka tygodni codziennego gotowania w syropie cukrowym. „Kandyzowane owoce są takie błyszczące, jasne i eteryczne, gdy pada na nie światło” – zachwyca się w rozmowie z dziennikarką „New York Timesa” swoimi dziełami Kwok, nazywając je klejnotami. Jak wiele metod zachowania żywności i ta sięga czasów starożytnych i trudno przyszpilić, która kultura wynalazła kandyzowanie – podobnie jak nie sposób ustalić, gdzie leży ojczyzna humusu. Na początku raczej nie używano cukru, tylko miodu, bo ten pierwszy upowszechnił się, oczywiście na dworach królewskich, dopiero w średniowieczu.



T R E N D



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Cukier w tamtych czasach był uznawany za lekarstwo, a świeże owoce budziły nieufność medyków, czyli zupełnie odwrotnie niż dziś, w epoce aż nadto oświeconego rozumu. Być może wiedział o tym Melchior Wańkiewicz, gdy wymyślał jedno z najsłynniejszych polskich haseł reklamowych, czyli „Cukier krzepi”. Co ciekawe, przepisy na owoce duszone z cukrem, czyli dżemy – jak donosi badaczka gastronomii i pisarka Marie Josèphe Moncorgé – można było częściej znaleźć w pierwszych podręcznikach medycyny, nie zaś w książkach kucharskich. Popularność kandyzowanych owoców miała swoje spadki i wzmożenia, jak w czasach Tudorów. Według doniesień historyków Henryk VII i jego wnuczka Elżbieta I byli wielbicielami tego rodzaju łakoci. W zbiorach, które pozostawił po sobie monarcha, znaleziono nawet jeden widelec zaprojektowany z myślą o jedzeniu tzw. *sucket*, czyli właśnie wycukrzonych fig, gruszek czy śliwek. Z jednej strony miał on dwa ostre zęby, a z drugiej łyżeczkę do nabierania syropu wyciekającego z kandyzowanego przysmaku. Przerobione przez artystów owoce stały na stołach i wisiały w ramach na ścianach. Upodobanie naszego gatunku do czynienia sobie natury poddaną jak widać niejedno ma imię. ■

Zupełnie inna historia

Nie polecili Państwo w wakacje na Malte? I bardzo dobrze, bo teraz dopiero przyszedł odpowiedni moment, by docenić wszystko, co ta piękna wyspa ma do zaoferowania.

Morze Śródziemne jest wciąż ciepłe (o ile ktoś chce popływać lub ponurkować), a temperatura, oscylująca wokół 25 stopni, pozwoli swobodnie zwiedzać, zamiast z wysiłkiem przeskakiwać między klimatyzowanymi lokalami. Bo zwiedzanie jest tu kluczowe – co prawda Malta, ze swoim niezmiennie błękitnym niebem i szafirową wodą, wydaje się modelową śródziemnomorską destynacją, ale to pozory. Archipeląg, niewielki, ciasny, z zaledwie kilkoma piaszczystymi plażami i w większości skalistym brzegiem, nie bardzo się nadaje do uprawiania plażingu, ale jeśli ktoś lubi architekturę, to już zupełnie inna historia.

Bo Malta jest, nawet w porównaniu z Italią czy południem Francji, zupełnie wyjątkowa. Jej stolica **Valletta** to włoskie miasto pod afrykańskim niebem (gdyby ktoś miał wątpliwości, to w sensie geograficznym leży dalej na południe niż Tunis, stąd ten żar lejący się z nieba), zachwycające jednorodną, barokową architekturą. Jednorodną, bo całe miasto zbudowano w zasadzie w tym samym czasie, wedle projektu jednego architekta, nawiasem: ucznia Michała Anioła. Zajmujące cały skalisty półwysep, łagodnie opada aż do morza tak, że idąc główną ulicą Triq ir-Repubblika, szybko dostrzeżemy na jej krańcu błękitne wody portu. Wszystkie budynki wzniesiono z charakterystycznego jasnego wapienia, co nie powinno dziwić, skoro w XVI w. pewien włoski żołnierz i poeta napisał, że „nic nie występuje na Malcie w większej obfitości niż kamienie”. Ponieważ ulice Valletty przecinają się pod kątem prostym, nie da się tu zgubić na dłużej niż kwadrans. Bez pomocy mapy trafimy prędzej czy później na plac, przy którym stoi Pałac Wielkich Mistrzów, dziś siedziba prezydenta, z fantastyczną zbrojownią i robiącą nieco mniejsze wrażenie kolekcją obrazów z epoki.

Dalej drugi punkt obowiązkowego zwiedzania, czyli katedra św. Jana. Ta najświeższa maltańska świątynia

PODRÓŻE

na pierwszy rzut oka wygląda nieco dziwnie – jest niska (żeby w razie oblężenia jej wież nie zniszczyły tureckie działa, co zresztą nigdy się nie stało), ma fałszywe zegary (żeby diabeł nigdy nie wiedział, kiedy wybija północ) i tak barokowe wnętrze, że u miłośnika gotyku może spowodować zawroty głowy. Za to w bocznej kaplicy znaleźć można jedno z największych maltańskich skarbów – dwa obrazy Caravaggia, stworzone, gdy przez chwilę był rycerzem zakonu św. Jana. Pierwszy to monumentalne „Ścięcie św. Jana”, drugi, znacznie mniejszy, to „Św. Hieronim piszący”, na którym Caravaggio sportretował jednego ze swych zakonnych protektorów, Ippolita Malaspinę.

Po wyjściu z katedry na tłoczne ulice najlepiej znów skierować się w dół, ku Fortowi św. Elma, gdzie podczas słynnego oblężenia rozegrały się niezwykle dramatyczne sceny – przy odrobinie szczęścia trafimy na inscenizację musztry, odgrywaną przez maltańskich rekonstruktorów, może nawet z salwą z XVI-wiecznych arkebuzów. To oczywiście tylko najważniejsze punkty na turystycznej mapie miasta. Warto zobaczyć stary szpital joannitów, barokowy gmach opery, plac przed dawną Oberżą Kastylii, każdy z 28 kościołów, i można tak wymieniać długo. Ale to, co najlepsze, znajduje się za wodami zatoki. Kierunek wskaże dominująca nad Wielkim Portem „Kamienna fregata”, ukryta za nią leży prawdziwa perła – niewielkie miasteczko Birgu.

Zamiast tłuc się przez godzinę autobusem, lepiej wybrać krótką wycieczkę kursującym co kwadrans promem albo, co jeszcze lepsze, dopłacić kilka euro i przepłynąć port na maleńkiej, chwiejnej luzzu, co gwarantuje niezapomniane wrażenia. Po lewej minimy luksusową marinę, na którą można machnąć ręką, i z przystani w kilka minut dotrzemy za mury Birgu. Tu nagle cisza, zwykle żadnego tłumu, wąskie, dające cień uliczki. Najlepiej włóczyć się bez planu i pośpiechu, doczekać tu wieczoru. Nie tylko dlatego, że maltański wapień ma tę cudowną właściwość, że bez trudu wchodzi w plastyczną relację ze światłem – ranniem jest jasnożółty, w południe prawie biały, a wieczorami delikatnie różowy. O zachodzie warto wyjść na mury od strony Kalkary, patrzeć, jak w tym samym rytmie ciemnieją niebo i woda, a jeśli dobrze się wsłuchamy, wiatr z daleka przyniesie echo dawnych historii. I to jest na Malcie najpiękniejsze. ■



Jan M. Długosz

– z wykształcenia i zamiłowania historyk, od 2006 r. w dziale internetowym POLITYKI.





Idealny wine bar

Niełatwo zdefiniować, czym jest wine bar.
Łatwiej powiedzieć, czym nie jest.

Im głębiej zanurzamy się w winie, tym bardziej potrzebujemy wine barów. Winne przybytki oferujące szeroki wachlarz propozycji na kieliszki i butelki, w nieformalnej, zawsze jednak skupionej na winie atmosferze, to powszechność w tradycyjnych krajach winiarskich. We Francji czy we Włoszech rozpoznaje się je z daleka: kameralne, z rozmownym właścicielem częstującym opowieściami o poszczególnych winach, z otwartymi butelkami stojącymi na kontuarze, a pustymi – na zawieszonych na ścianach półkach. Parę stolików, lista win obowiązkowo wypisana kredą na tablicy, bo często się zmienia. No i poczęstunek – tu sprawa jest kontrowersyjna, ale parlamentarna większość się zgodzi, że w wine barze jedzenie ma być dodatkiem, a nie główną atrakcją, dlatego najczęściej nie ma w ogóle kuchni, a oferowane są zimne przekąski: oliwki, sery, wędliny, kanapeczki (niedoścignym wzorem są

weneckie cicheti z różnymi kompozycjami na jeden kęs, analogiczną funkcję pełnią baskijskie pintxos).

Nad Wisłą i Wartą lubimy sobie dobrze podjeść, a wino ma być do tego tłem, a nie głównym bohaterem, dlatego taki model klasycznego wine baru się u nas początkowo nie przyjął. Robert Mielżyński, pionier w tej dziedzinie, który podwoje swojej winiarni w dawnej Fabryce Koronek na warszawskich Powązkach otworzył w 2004 r., od razu postawił na szerszą formułę zwaną „wine restaurant” albo „wine bistro” – winoteka dla kupujących na wynos, a obok niezobowiązująca restauracja, gdzie można zjeść makaron lub befsztyk i zamówić do nich butelkę za 40 albo 400 zł. W katalogu 500 pozycji i wszystkie dostępne na kieliszki – tym Mielżyński zdecydowanie odróżniał się od klasycznej restauracji, gdzie propozycji „by the glass” jest zwykle tylko kilka.

Chwyciło, choć w większych polskich miastach winocentryczne miejsca w stylu zachodnim długo można było policzyć na palcach jednej ręki. Ostatnie lata to przyspieszenie. Wine bary są też coraz bardziej różnorodne. Natural Rascal na pl. Teatralnym w Warszawie rano jest śniadaniownią z kawą alternatywną, dopiero po godz. 17 rusza szeroka gama win naturalnych na kieliszki i dobra kuchnia. Założony przez czołowych polskich sommelierów Kontakt, to wine bistro z autorskimi tapasami, ale można tu też posiedzieć i nad samym winem, korzystając z arcyciekawych zasobów importowanych przez firmę siostrę Terroirystów. Warszawskie Grono to również zbrojne ramię jednego z czołowych importerów – Vini e Affini; na kieliszki spróbujemy tu win zdecydowanie luksusowych, a do nich – uzależniających truflowych czipsów. Swoje wina sprowadza bezpośrednio, sprzedaje je na wynos i dystrybuje również wrocławska Winnica na Solnym czy poznański SPOT. Ot, polska specyfika – najczęściej wine bar to z konieczności tylko część wielorekiego winiarskiego interesu.



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu WiniCjatywa i pisma o winie „Ferment”.

Ostatnio zaproszono mnie do lokalnego wine baru na warszawskiej Saskiej Kępie. Prowadzi je polsko-francuskie małżeństwo Emilii i Gilles’a. Wina sprowadzane osobiście z Francji były, owszem, zacne (sauvignon, bordeaux, Langwedocja), ale najciekawsze działo się poza nimi. Choć był wtorek, lokal szybko zapełnił się stałymi bywalcami: w środku Mbappé przy łyku merlota strzela gola Borussia, na zewnątrz zaś saint-émilion i deska serów są dyskretnymi świadkami ożywionych rozmów kulturalno-towarzyskich. Ktoś przynosi właścicielom wino w prezencie, które za chwilę jest rozlewane wszystkim obecnym; ktoś wrócił do baru z dalekiej podróży, ktoś inny wpadł pierwszy raz z na pewno wielu. Można tu na winie się skupić, ale doprawdy nie trzeba. Gdy mecz się skończył, zaczęły się spontaniczne przy tym winie tańce i wtedy pomyślałem, że doczekaliśmy się w Polsce wine baru w prawdziwie francuskim stylu. ■

Mielżyński, Warszawa, ul. Burakowska 5/7, ul. Czerska 12, Poznań, Wojskowa 4, Gdańsk, Stocznia Cesarska
Winnica na Solnym, Wrocław, pl. Solny 14
SPOT, Poznań, Dolna Wilda 87
Le Rendez-Vous, Warszawa, ul. Nobla 3
Grono, Warszawa, ul. Mokotowska 54

Poruszona słowami premiera Morawieckiego, że zrezygnował „z wysokiej pensji, żeby służyć Polsce”, Katarzyna nie odpuściła mu („Plus Minus”): „Jest słabym premierem z prezesowskiej kalkulacji, tak jak wcześniej byli nimi Marcinkiewicz i Szydło. Ustawianie się dzisiaj w roli łaskawcy, który dla Polski zostawił miliony i właściwie to Polska powinna mu być wdzięczna, jest naprawdę irytujące, gdy każdym miesiącem premierowania potwierdza, że dobro Polski podporządkował dobru partii i jest gotów na każdy koszt utrzymania przez nią władzy, zwłaszcza jeśli to nie on go poniesie”. Może kiedyś poniesie.

Andrzej Stankiewicz („Newsweek”) zauważa, że poświęcenie premiera może mu nie pomóc: „Mawiają, że Bogu i mamonie służyć razem nie można. Ale na pewno można służyć mamonie i prezesowi. Morawieckiemu udaje się to od końca 2017 r., gdy został premierem. Ale teraz nad jego głową gromadzą się czarne chmury. Nawet wygrana PiS nie gwarantuje mu zachowania stanowiska, bo chętnych do sukcesji jest wielu, na czele z ministrem edukacji Przemysławem Czarneckim i ministrem do spraw państwowych spółek Jackiem Sasinem”. Po dżumie cholera?

Joannę Szczepkowską z kolei poruszyła postawa Andrzeja Dudy („Plus Minus”) wobec filmu Agnieszki Holland: „Oto prezydent niemałego państwa oświadcza publicznie, że nie ma zamiaru zobaczyć filmu, który bardzo mu się nie podoba”. Aktorka pyta dramatycznie: „Kto zatem hańbi polski mundur? Ten, kto stawia żołnierza czy funkcjonariusza w sytuacji nielegalnego i nieludzkiego procederu. Kto stawia go przed doświadczeniem, jakiego ludzka psychika unieść nie może i nie powinna. Nie mundur polski, lecz decyzja o pushbacku jest bohaterem tego filmu. Panie prezydencie, czas przekroczyć granicę kinowej sali. Chociaż taką granicę”. Pan prezydent przekroczył już wiele granic, ale akurat tej nie chce.

Refleksja Stanisława Mancewicza z „Tygodnika Powszechnego” przed wyborami i na po wyborach: „lud sam sobie wciska polityków o wymarzonych

Mówię to do rodziców, którzy zabierają dzieci na te okropne manifestacje i uczą ich agresji, otrzymacie od swoich dzieci odpowiednie podziękowanie! Na szacunek trzeba sobie zasłużyć! – Elżbieta Witek. Mówi, co wie, choć nie wie, co mówi.

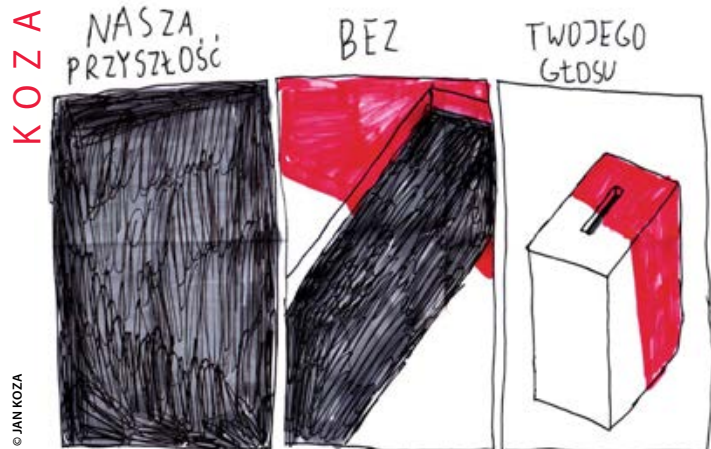
parametrach umysłowych i moralnych, i tej tezy nie da się obalić bez półlitrowki. A więc: polscy politycy, ci, których znamy, których lubimy bądź nie lubimy, są produktem naturalnym. Są eko i bio, bez konserwantów i polepszaczy. Są idealnym odwzorowaniem wyobrażeń i marzeń narodu na temat wolności, sprawiedliwości, moralności, fizyczności, kultury, fachowości i sprawczości”. I, co gorsza, podlegają nieustannie mu recyklingowi.

W „Tygodniku Solidarność” Rafał Woś pokazuje, że nie boi się autokompromitacji: „Od 2015 r. mamy w Polsce demokrację na zupełnie innym etapie. Moim zdaniem jest to etap rozkwitu polskiej demokracji, a na pewno nie jej uwiądnienia. Owszem, efektem ubocznym tego stanu rzeczy są emocje i tzw. polaryzacja opinii społecznej. Plusem jest jednak to, że dla olbrzymiej większości wyborców kolejne wybory są wreszcie o coś. Za wyborem kryje się poparcie jednej z dwóch dość konkretnych i wyraźnie się od siebie różniących wizji Polski”. Zauroczony przemocą?

Szef „Do Rzeczy” Paweł Lisicki wyraźnie rozczarowany: „Wiele wskazuje na to, że po 15 października PiS będzie miał po raz trzeci wystarczającą większość głosów, żeby stworzyć samodzielne rządy [to teraz będzie więcej niż jeden rząd? - przyp. red.]. Jest to, sądzę, przede wszystkim konsekwencją błędów i słabości opozycji. Mimo że do wyborów zostało raptem kilkanaście dni, można mieć wrażenie, że PO i akolici znaleźli się w ślepych zaułku”. Można mieć też wrażenie, że Lisicki jednak liczył na zmianę władzy. Jego dotychczasowa krytyka PiS nic nie dała.

W „Przeglądzie” Roman Kurkiewicz gorzko konstatuje: „Największym, choć nie nowym paradoksem tych wyborów jest rola i znaczenie na ostatniej prostej decyzji obywateli określanych w badaniach sondażowych jako niezdecydowani. (...) Nie jest to wcale mała grupa potencjalnych wyborców (ok. 9 proc.). (...) wygląda to trochę tak, jakby o wyniku ważnego meczu decydowali nie grający piłkarze i sędziowie, tylko przypadkowi kibice, rzadko zasiadający na trybunach, którzy nawet nie znają reguł samej gry. (...) dostajemy lekcję demokratycznej pokory. Głosy »wiedzących« i niezdecydowanych liczą się tak samo”. Te 9 proc. to ponad 2,5 mln ludzi.

Fragment serdecznej korespondencji przedwyborczej ważnych polityków PiS cytuje analityk Polityki Insight: „3 października były szef sztabu PiS, europoseł Tomasz Poręba, zaatakował na portalu X szefa Partii Republikańskiej i sztabowca PiS Adama Bielana: »To chyba nie najlepszy czas na twoje kłamliwe, puszczone brudnym tłustym paluchem spiny? Skoncentruj się chłopie na kampanii, bo już niejedną położyłeś, a po Smoleńsku zostawiłeś PiS. Przypadek? Wątpię. Powiedzieć piąta kolumna to w twoim przypadku nic nie powiedzieć«. Teraz Poręba na wywiad u braci Karnowskich nie ma co liczyć.



CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

STRANDMON
Fotel uszak

899,-



**Światowy design.
Świetnie wykonany w Polsce.**

Lepiej pomyślany dom

